

CZESKIE
KRYMI.

MICHAL SÝKORA



przełożył Krzysztof Wołosiuk

**PIĘĆ MARTWYCH
PSÓW**

MICHAŁ SÝKORA

**PIĘĆ MARTWYCH
PSÓW**

Przełożył
Krzysztof Wołoszuk

Afera
wydawnictwo

Wrocław 2024



Tytuł oryginału: *Pět mrtvých psů*

First published in 2018 by Host, Brno

Redakcja: Marta Mizuro, Julia Różewicz

Korekta: Aleksandra Szulejewska

Projekt okładki: Kasia Michałkiewicz-Hansen

Projekt makity: Mimi Wasilewska

Copyright © by Michal Sýkora, 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Afera, Wrocław 2024

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Wołosiuk

All rights reserved

978-83-65707-63-5

Wydanie I, Wrocław 2024

Afera
wydawnictwo

Wydawnictwo Afera

www.wydawnictwoafera.pl

kontakt: biuro@wydawnictwoafera.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza - Plany i pragnienia

1

2

3

4

Część druga - Niedźwiedzie

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

Część trzecia - Psy.

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

Część czwarta - Potok Trusovka

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

Część piąta - W kręgu przyjaciół

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

Epilog

Polecamy.

*We live in a political world
Where courage is a thing of the past
Houses are haunted, children are unwanted
The next day could be your last
Żyjemy w politycznym świecie,
odwagę dawno zastąpił strach,
w domach duchy zbłąkane, dzieci rodzą się niechciane,
dzisiaj żyjesz, jutro czeka cię piach.*

Political World (Bob Dylan, Oh Mercy)

Dla Markéty i Tomíka...

Część pierwsza

Plany i pragnienia

1

Połowa maja 2013, piątek

Psy niecierpliwiły się, pobudzone odgłosami szczekania. Słodkawy, ciepły zapach krwi unoszący się w powietrzu po poprzedniej walce przyćmił im zmysły i wzmagał agresję. Arnolda i Treja przepełniało błogie uczucie wyczekiwania.

Kiedy nadszedł czas, Oldřich Zoubek i Jindřich Vlach, krzepcy czterdziestolatkowie napędzani tą samą co psy adrenaliną, przypięli rottweilerom krótkie skórzane smycze, otworzyli furtkę wysokiego na metr dwadzieścia pięć drewnianego ogrodzenia i weszli na okrągły plac o średnicy około pięciu metrów, zwany areną. Pod podeszwami sportowych butów zachręściły trociny wymieszane z piaskiem. Mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie. Trzymane na smyczach psy wspięły się na tylne łapy, wbijając je głęboko w podłoże. Leoš Šmídmajer, któremu w panującej tu duchocie włosy lepiły się od potu i co chwila musiał ścierać słone krople z czoła i brwi, dał sygnał gwizdkiem. Zoubek i Vlach równocześnie odpięli sprzączki smyczy od metalowych kółek na grubych, skórzanych obrożach, a psy momentalnie, z dzikim warczeniem skoczyły sobie do gardeł. Spod uniesionych fafli wyjrzały żółte, pokryte pianą siekacze. W ciągu paru sekund rottweilery zlały się w ujadającą masę, kłębowisko zębów, pazurów, przekrwionych białek i fruwających trocin, które kleiły im się do sierści, wpadały do oczu i ran. Kilkunastu widzów za ogrodzeniem nie musiało zagrzewać zwierząt do walki. Psy się zakotłowały, Trej wgryzł się od spodu w pofałdowaną skórę na szyi Arnolda, a tamten zawył z bólu. Wydawało

się, że walka dobiegła końca, jednak Arnold wyrwał się Trejowi, któremu została w pysku kępka sierści i trociny. Parsknął, kaszlnął, rozkojarzyło go to, a jego właściciel już wiedział, że przeciwnik obróci sytuację na swoją korzyść. Trej wierzgnął, pomajtał tylnymi łapami w powietrzu i przewalił się na bok, Arnold przeleciał przez niego i wylądował obok, ale w tej samej sekundzie się poderwał. Oldřich Zoubek uchwycił jego spojrzenie, w którym wściekłość mieszała się z niezaspokojoną żądzą, i podobnie jak Vlach pojął, co się zaraz stanie, jakby widział wszystko z kilkusekundowym wyprzedzeniem. Należący do Vlacha Trej stracił czujność, całą uwagę skupił na wykrztuszaniu trocin i sierści i podniesieniu się na cztery łapy, Arnold zaś umiał ten krótki moment wykorzystać. Wystarczył mu jeden płynny ruch – publiczność wstrzymała oddech, patrzyła w napięciu, czy Arnold się nie spóźni, czy nie zmarnuje okazji. Zoubek uwielbiał te chwile, nie mógł się nasycić widokiem swojego pupila: napięte mięśnie i ścięgna, koncentracja, harmonia ruchów, absolutna doskonałość i wrodzony pęd do jednego, ostatecznego celu – zwycięstwa. Wszystkie spojrzenia utkwione były w parze walczących zwierząt, uwagę przyciągał najmniejszy szczegół, widzowie zdawali się posiadać władzę nad upływem czasu, a rzeczywistość była jak film odtwarzany w zwolnionym tempie: Arnold przechylił łeb w stronę Treja, bluzną spienioną śliną, odsłonił zakrwawiony kiel i – jakby dokładnie wiedział, czego Zoubek się po nim spodziewa – nie wgryzł się w ciało przeciwnika, a jedynie płynnym, wręcz eleganckim ruchem łba rozharatał Trejowi cały bok.

Šmídmajer odgwizdał koniec. Rana na ciele Treja wyglądała z początku niegroźnie. Po chwili jednak skóra rozstała się i spod sierści zaczęła broczyć krew. Zoubek podszedł przypilnować Arnolda; dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo były podstawą w klubie. Trej nawet nie

próbował się podnieść, leżał na boku i cicho skamlał. Jindřich Vlach spojrział na niego i westchnął, po chwili jednak zbliżył się do wieloletniego przyjaciela Oldřicha Zoubka i uścisnęli sobie dłonie. Publiczność nagrodziła to aplauzem.

Furtka areny otworzyła się i weszli przez nią dwaj pracownicy Bruknera, para wygolonych na zero osiłków z mięsistymi, trzęsącymi się jak galareta karkami. Nikt nie znał ich prawdziwych imion, niewykluczone, że sami je zapomnieli, bo wszyscy mówili na nich po prostu Majkel i Endi. Przynieśli stare szpitalne prześcieradło, rozłożyli je na ziemi i pomogli Vlachowi umieścić na nim Treja.

Oldřich Zoubek przyjmował tymczasem gratulacje, a w myślach obliczał już, ile dostanie od Bruknera za wygraną. Potem wyszedł do przygotowalni, żeby umyć Arnolda i sprawdzić, czy pies nie potrzebuje pomocy lekarskiej.

Jako prokurator Zoubek uznawał się za kogoś lepszego. We własnym mniemaniu górował nad ludźmi, także nad pozostałymi członkami Klubu Kynologii Sportowej (jak sami siebie nazywali); uważał się również za wyrafinowanego estety (pozostali byli w tym względzie zwykłymi „psiarzami”). W posiadanych czworonogach, a miał ich dwa, urzekało go piękno, doskonale wypracowane mięśnie i zwinne ruchy. Tryumf w walce nie tyle dawał mu poczucie władzy czy sprawiał radość z powodu kilku zarobionych tysięcy, ile wywoływał doznanie estetyczne właśnie. Jego psy wyglądały najpiękniej, gdy mogły się spełniać w tym, do czego były powołane, wykorzystywać swoje umiejętności. Jak matka, która przerzuca własne zawiedzione ambicje na dziecko, Zoubek przeżywał ekstazę, widząc przyjaciół i znawców oczarowanych urodą jego pupili (nazywał ją „urodą bojową”, choć zdawał sobie sprawę, że to niezbyt fortunne określenie).

Doktor Karel Halas już dawno stracił chęć oglądania takich widowisk na arenie. Faceci za drewnianym ogrodzeniem nazywali te spotkania „walkami”, jemu bardziej pasowało słowo „jatka”. W gospodarstwie Bruknera miał osobne pomieszczenie, gdzie na czas remontu własnego gabinetu przeniósł najpotrzebniejsze sprzęty: blaszany stolik na kółkach, podstawowe narzędzia, duży stół diagnostyczny i starą, ale sprawną lampę zabiegową. Siedział na krześle pod zaślepionym oknem i palił papierosa, trzeciego tego wieczora. Sądził, że udało mu się uwolnić od nałogu, ale zraniona ręka tak bardzo dawała mu się ostatnio we znaki, że wrócił do palenia. Odgłosy zza ściany nasilały się, Halas wiedział, co to znaczy: będzie mieć robotę. Spojrzał na niedopałek, a gdy stwierdził, że nic już z niego nie wysie, zgniótł go w popielniczce na parapecie. Wstał i przeleciał obojętnym spojrzeniem akcesoria na stoliku: kilka szklanych ampulek wypełnionych przejrzystą cieczą, zestaw igieł i nici chirurgicznych, nożyce i dużą ilość opatrunków. Przysunął drugi stolik z kompletem zapinanych na rzep kagańców, którymi w razie potrzeby można objąć całą psią kufę. Usiadł z powrotem na krześle i popatrzył z bliska na swoją lewą rękę – mały palec był obandażowany, a serdeczny i środkowy starannie oklejone plastrem. Spróbował nimi poruszyć, ale ból szybko go zniechęcił.

Jatka dobiegła końca. Jeden z kundli zaskomlał, rozległ się gwizdek, potem oklaski. Niezbyt gromkie, bo na widowni było ledwie paręnaście osób.

Z torby leżącej na parapecie doktor Halas wyjął lateksowe rękawice. Prawą naciągnął bez trudu, z lewą poszło o wiele gorzej. Ledwo zdążył je założyć, do pomieszczenia weszli Majkel i drugi z pomagierów Bruknera, taszcząc ułożonego na płachcie dużego, ciężkiego rottweilera. Za nimi szedł Jindřich Vlach, łysy i krzepki osiłek. Halas uświadomił sobie, że to jego kolejna przegrana. Poprzednio jeden z amstaffów Bruknera załatwił Kruma,

drugiego psa Vlacha, a tym razem pokonany został Trej. Vlach miał pecha, jego oba psy były zmalretowane, nie powalczą przez długi czas. Do pokoju zajrzał Leoš Šmíd majer. Miał na sobie okropne ciemnoniebieskie dresy z ortalionu, które uważał za niezwykle gustowne, bo widniało na nich logo Adidasa. Ludzie Bruknera ułożyli rottweilera na stole.

– Załóż mu kaganiec – polecił sucho Halas.

Obandażowana, unieruchomiona bólem ręka przypomniła mu, że nie warto ryzykować, trzeba za każdym razem zabezpieczać tym bydłakom pyski.

Vlach wziął ze stolika jeden z kagańców i założył go Trejowi. Šmíd majer obserwował wszystko z dystansu. Diagnoza nie wymagała specjalistycznej wiedzy: rottweiler był pogryziony nad łopatkami, a przez bok ciągnęła się długa, głęboka rana. Spod naderwanej skóry wyglądały mięśnie. Pies nierównomiernie oddychał. Ewidentnie cierpiał, mimo to leżał spokojnie na boku.

– Trzeba szyć – skonstatował Halas.

Vlach westchnął.

– Co poradzisz...

– Dam mu znieczulenie. Ile waży?

– Pięćdziesiąt jeden kilo.

Halas pochylił się nad stolikiem z narzędziami. Nabrał do strzykawki płynu z ampułki, popatrzył na psa, nie zaszczyciwszy spojrzeniem jego skruszonego właściciela, i pomyślał: „No dobra, Vlach jest miłym facetem, a Trej to poczciwy zwierzak”, po czym naciągnął jeszcze trochę, żeby psiak faktycznie nic nie czuł. Dla kundli Bruknera nie miałyby tyle litości, niech czują, co znaczy szycie. Sprawdził, czy w strzykawce nie zostało powietrze, a następnie zbliżył się do psa.

– Potrzyj mu nogę, Jindra.

Vlach chwycił potężną tylną łapę rottweilera i ścisnął ją mocno, Halas namacał żyłę i wbił igłę.

Zabiegowi przyglądał się stojący w progu Leoš Šmíd majer.

– Jak twoja ręka, Karel? – zapytał.

– Aa, niech ją diabli – burknął weterynarz.

– Załatwili cię na cacy.

Šmíd majer chciał w ten sposób okazać współczucie, Halas jednak wściekł się jeszcze bardziej.

– Ten konował na pogotowiu albo był pijakiem, albo paralitykiem... Kurwa, powinniście im zrobić nalot i niech wszyscy dmuchają w balonik. Normalnie chciałbym to zobaczyć.

– Pretensje nie do mnie – odpowiedział Šmíd majer. – Poskarż się Ládi.

Halas popatrzył na niego ze złością.

Šmíd majer obrócił się za siebie i zerknął w stronę głównej hali z areną, a potem wymienili spojrzenia z Vlachem.

– Chciałbym pogadać, Karel – zwrócił się do lekarza.

– Mamy prośbę – podchwycił Vlach.

Halas obserwował, jak pies pogrąża się w letargu.

– No, śmiało.

– Nie tutaj. Żeby Brukner nie usłyszał – wyjaśnił cicho Šmíd majer.

– Leoš będzie mówił w imieniu nas wszystkich – dodał Vlach.

– Kiedy się z tym uwiniemy, zaczekamy na ciebie na zewnątrz – ciągnął Leoš konspiracyjnie.

Halas wzruszeniem ramion dał znak, że się zgadza. Odwrócił się w stronę stolika i zaczął przygotowywać nici.

Dwie godziny później Karel Halas zaparkował swojego SUV-a na leśnej drodze kilkadziesiąt metrów od posiadłości Bruknera i zgodnie z umową

czekał na pozostałych. Towarzystwo zaczęło się rozjeżdżać do domów, nikt nie zapomniał pochwalić gospodarza za świetną organizację, pierwszej klasy alkohol, a przede wszystkim kapitalne walki.

Noc była parna, a księżyc świecił jak nawiedzony. Z dala od sztucznego blasku miasta Halas mógł się napawać widokiem gwiazd, pod którymi przelatywał właśnie migocący samolot. Pewnie siedzieli w nim urlopowicze udający się nad morze, podczas gdy on musiał tu sterczeć jak baran.

Po paru minutach nadjechało auto Šmídmajera. Za nim, mniej więcej w dwuminutowych odstępach czasu zjawili się Jindřich Vlach i Bedřich Adámek, który jak zwykle sprawiał wrażenie zupełnie odklejonego. Dzisiaj nie przywiózł swoich psów, bo bydlaki Bruknera dały im wycisk na arenie poprzednim razem.

– No mówcie, co wam leży na wątrobie – zaczął Halas.

Jako pierwszy odezwał się Leoš Šmídmajer. Mówił cicho, poważnym tonem, do tego ciągle rozglądał się z przesadną ostrożnością. Halas pomyślał, że w tym swoim dresowym kompleciku z kreszu wygląda jak herszt jakiejś spedałonej partyzantki.

– Wydaje nam się – zaczął Šmídmajer szeptem – że Brukner przegina. Nie może nam w ten sposób masakrować psów. To już nie jest zabawa ani sport, tylko zwykły sadyzm.

Weterynarz wzruszył ramionami.

– Nikt wam nie każe brać w tym udziału.

– To nie jest dobre podejście – ciągnął tamten ściszym głosem.

Halasowi jego szept działał na nerwy. Nie rozumiał, dlaczego Leoš nie mówi normalnym głosem. Czyżby sądził, że sowy i nietoperze też są na usługach Bruknera?

– Chłopaki są nieźle wkurzeni na Bruknera i zastanawiają się, czy nie zrezygnować.

Karel Halas milczał.

– Wszyscy by na tym stracili. Ty też – włączył się Bedřich Adámek.

– Czego chcecie? – zapytał lekarz, zdziwiony, że tamten powiedział coś od siebie.

– Masz dostęp do psów Bruknera, nie? – zapytał Adámek.

Šmídmajer pokiwał głową i wyjaśnił:

– Gadaliśmy z chłopakami, że musimy coś z tym zrobić. Rzecz w tym, że tylko u Bruknera mamy dobrą miejscówkę. Ale on wciska nam te swoje bydlaki.

Halas w końcu zrozumiał. Kundle Bruknera. Gospodarz stawiał warunek: jego trzy bestie musiały brać udział w każdym spotkaniu, a inni mogli się tylko modlić, żeby ich psy nie dostały żadnej z nich za przeciwnika.

– Sam też dobrze na tym wyjdiesz. Wiesz, że zawsze będziesz nam potrzebny – zapewnił go Jindřich Vlach. Jego glaca połyskiwała komicznie w świetle księżyca.

Halas znał swoją wartość.

– Dużo ryzykuję... – odparł wymijająco.

– Jak już mówiłem – wyszeptał Leoš – chłopaki są wkurzeni. A poza tym, wiesz, że cenią twoją pracę. Jeśli się zgodzisz... Tu jest mała zaliczka.

Šmídmajer podszedł do auta. Otworzył drzwi od strony pasażera i wyjął ze schowka kopertę. Podał Halasowi. Ten nawet nie zajrzał do środka, od razu włożył ją do kieszeni. Pomyślał, że ten cały Leoš nie jest takim bucem, na jakiego wygląda.

Półtora roku wcześniej

Był wczesny poranek siedemnastego grudnia. Kristýna Horová wróciła do łóżka. Trzęsa się z zimna i od histerycznego płaczu. Wiedziała, że bezsilność już zawsze będzie jej się kojarzyć z chłodem i mrokiem. Wciąż dygotała, wyskoczyła więc z łóżka, żeby wziąć dodatkowy koc, po czym momentalnie dostała takich dreszczy, że ledwo doszła do szafy. Koc, szlafrok, z powrotem się położyła. Niekończące się minuty płaczu i zimna. Musiała na chwilę przysnąć, bo kiedy otworzyła oczy, zaczynało świtać. Ranek przyniósł pewną poprawę nastroju, ale nie na tyle, by przeraźliwie puste mieszkanie przestało na nią działać depresyjnie. Opatulona w szlafrok powlekła się do łazienki, umyła zęby, w kuchni wylała do zlewu zawartość szklaneczki, ostatni raz spojrzała na jeden cienki prążek testu ciążowego, by mieć pewność, że w nocy się nie pomyliła, ale w pierwszych, nieśmiałyach promieniach grudniowego słońca wynik pozostał ten sam: negatywny. Zawód czy ulga? Rozpacz, a może ta lepsza z opcji? Kristýna nie potrafiła się zdecydować. Wiedziała tylko, że nie wytrzyma dłużej w mieszkaniu. Oszaleje. Była sobota i czuła, że musi wyjść. Działała pod wpływem impulsu. Spojrzała na termometr za kuchennym oknem, włożyła na siebie kilka warstw ubrań: fantazyjne getry, ocieplaną koszulkę do biegania, gruby czerwony golf, bluzę z kapturem, rękawiczki, szalik i zimowe buty z futerkiem, wzięła klucze do auta i wyszła. Byle nie siedzieć w mieszkaniu. Samochód odśnieżyła tylko z grubsza. Zeskrobała to, co konieczne. Zanim przednia szyba odtajała, widziała ze swojej czerwonej toyoty aygo mniej więcej tyle, ile przez wizjer czołgu.

Wrzuciła do odtwarzacza starą składankę Leonarda Cohena, wewnątrz samochodu wypełniły głębokie, melancholijne tony i podchodzące do ust chmurki pary. Miasto zanurzone było jeszcze w sennej powłoce mrozu, ruch na ulicach minimalny, więc na Svatý Kopeček dotarła w dwadzieścia minut, zaparkowała pod lasem i ruszyła przed siebie. Pod nogami chrzęściły zamarznięte igły i szyszki, kamienie były śliskie, a drzewa pokrywał szron. Szybkie tempo marszu i mroźne, czyste leśne powietrze podziały na nią kojąco. Z Kopečka ruszyła dobrze znanymi ścieżkami w kierunku Lošova, a stamtąd do Posluchova, gdzie zawróciła i trasą przez Radíkov wspięła się pod nadajnik przy starym forcie. Potem wygodną, asfaltową ścieżką dla rowerzystów zeszła na dół i wróciła na Kopeček. Przewietrzyła głowę, napełniła płuca mroźnym leśnym powietrzem, ciało rozgrzało się od wysiłku. Tego ranka Kristýna czuła się prawie spokojna, zadowolona i odprężona – przez kolejne miesiące ten stan nie miał się powtórzyć. Była dziewiąta rano, a ścieżka zaprowadziła ją do ogrodu zoologicznego, który właśnie otwierano. Bezchmurne niebo zapowiadało mroźny, ale słoneczny dzień. Podjęła decyzję bez zastanowienia, bo nie chciało jej się wracać do domu, a poza tym w zoo nie była od tak dawna, że zapomniała już, z kim i kiedy ostatnio. Kupiła bilet i już pięć minut później maszerowała w stronę małpiarni.

Nie licząc pracowników, była w ogrodzie sama. W taki mróz, o dziewiątej rano, do tego tydzień przed świętami, ludzie mają inne zajęcia. Budzą się przy ukochanych osobach, puszczają dzieciom bajki albo kupują prezenty pod choinkę. Kristýna wybrała już coś dla rodziców, mogła więc w ogrzewanym pawilonie przyglądać się rodzinie gibbońców czubatych. Znów ta rodzina... Zwierzęta żyjące w pojedynkę wydały jej się w tamtej chwili dużo sympatyczniejsze. Taki na przykład niedźwiedź malajski czy hipopotamek karłowaty... Samotny tygrys syberyjski przechadzał się

dostojnym krokiem po oszronionym wybiegu. Uniósł głowę w stronę oślepiającego słońca, przymknął oczy i zamarł jak człowiek, który chce się poopalać. Kristýna włóczyła się po zamarzniętym ogrodzie, obejrzała karmienie żyraf i wtedy przypomniała sobie, że jeszcze nic dzisiaj nie jadła. Obsługa jedyne go otwartego o tej porze baru wydawała się zaskoczona jej nadejściem. W bufecie pod wieżą widokową panowało przyjemne ciepło, okna zachodziły parą. Zdjęła kurtkę, zamówiła zestaw śniadaniowy, a do tego parówkę z grilla i drugą kawę. Ogród zoologiczny zmienił się od czasu jej ostatniej wizyty i zastanawiała się, dlaczego tak długo go omijała, choć przecież zawsze lubiła to miejsce. W wyludnionym zoo zwiedziła dokładnie wszystkie morskie akwaria i pawilon drapieżników, w którym łytał na nią naburmuszony lew. Na sąsiednim wybiegu jego samica ucinała sobie weekendową drzemkę. Na zewnątrz Kristýna przekonała się, że mroźna pogoda szczególnie dobrze służy reniferom i wołom piżmowym. Przechodząc obok wybiegów, zauważyła, że jako samotna zwiedzająca budzi większe zainteresowanie niektórych zwierząt – przyglądały jej się z równą uwagą jak ona im. Była pod wrażeniem wielkiego wybiegu, po którym biegło stado wilków polarnych oraz – co ją szczerze zdumiało – niedźwiedzie. Wydało jej się to dziwne, bo myślała, że misie przesypiają zimę. Dochodziło południe i w zoo pojawili się inni goście, Kristýna postanowiła więc schronić się przed widokiem zakochanych par i szczęśliwych rodzin w dużym, wypełnionym słońcem budynku restauracji Archa, gdzie zamówiła połądcwicę wołową.

Tę część dnia uznała za udaną. Powrót do domu oznaczał ponowne pograżenie się w depresji, która trwała przez kolejnych sześć miesięcy.

Do końca roku nic się nie wydarzyło, ale w styczniu machina urzędowa rozkręciła się na dobre. Zawieszenie w czynnościach służbowych, postępowanie kontrolne inspekcji generalnej służb mundurowych,

poniżające przesłuchania przed komisją, której członkowie rywalizowali między sobą, kto surowiej na nią spojrzy, wyżej uniesie brwi albo w inny, niewerbalny sposób okaże zniesmaczenie. Rażąco nadużycie stanowiska: Kristýna próbowała przekonać pobitą żonę kochanka do wycofania oskarżeń o napad, wyglądało na to, że miłość całkiem pozbawiła ją umiejętności odróżnienia prawdy od kłamstwa. Potem rozmowa z ojcem gotowym odstąpić od swoich zasad (przynajmniej niektórych) i wykorzystać autorytet i wpływy, aby wyciągnąć córkę z tarapatów. Dyskusja z Wielką Sową na ten sam temat: przełożona chciała w to włączyć Vitouša, uruchomić kontakty i koneksje. Kristýna jednak odrzuciła obie oferty pomocy. Nie chodziło wyłącznie o honor, zdawała sobie sprawę z rozmiarów swojej winy. Znacznie bardziej niż zawieszenie zabolowało odkrycie, że jest okłamywana przez Lukáša. Nie myślała wyłącznie o karze, którą musi ponieść, zawładnęło nią masochistyczne pragnienie spalenia za sobą mostów i rozpoczęcia wszystkiego na nowo. Marie próbowała ją odwieść od składania wypowiedzenia. Musiała wprawdzie liczyć się z karnym przeniesieniem, ale szefowa obiecała „ściągnąć” ją za jakiś czas z powrotem. Kristýna ostatecznie posłuchała jej rady. W tej jednej kwestii mogła ustąpić. Wstawił się za nią cały zespół, napisali jej dobrą opinię i bez wątpienia miało to wpływ na przebieg postępowania dyscyplinarnego.

Za karę przeniesiono ją do małego komisariatu w Šternberku. Musiała tam co rano dojeżdżać pociągiem. Na nierentownej, utrzymywanej wyłącznie z dotacji państwowych trasie Ołomuniec – Uničov kursowały stare, zużyte składy i ledwo zipiące lokomotywy. Przez dziurę w klozecie gapiła się na mijane w dole podkłady kolejowe. Cztery stacje z dworca głównego: Hlušovice – Bohuňovice – Štarnov – Šternberk. Przy odrobinie szczęścia, jeśli pociąg nie złapał opóźnienia zaraz za Ołomuńcem, pokonywała trasę szybciej, niż gdyby jechała samochodem, zwłaszcza w

zakorkowanym mieście. Dzięki Wielkiej Sowie znalazła kawałek Boba Dylana, w którym śpiewa „śmiech przychodzi z trudem, płacz przywozi pociąg”, ale dopiero w czasie podróży telepiącym się wagonem zrozumiała, co mistrz miał tak naprawdę na myśli. Plusem było to, że w pociągu mogła czytać zamiast tracić nerwy i wdychać spaliny ciężarówek, uwięziona w korku. Na komisariacie tonęła w papierowej robocie. Kradzieże rowerów. Protokoły. Włamania do sklepów. Protokoły. Pijana młodzież. Protokoły. Bójka na pływalni. Protokoły. Kradzieże rowerów, włamania do domków letniskowych, kradzieże aut... Miało to jednak swoje zalety. Choćby normowany czas pracy. Nikomu nie musiała niczego udowadniać: po pierwsze nie było czego, a po drugie wiedziała, że i tak jej tu nie lubią. Spotykała zwyczajnych ludzi, w pociągu, przy spisywaniu protokołów albo kiedy mogła komuś pomóc. Aż w końcu nastąpił przełom. Sprawa była banalnie prosta, jak z podręcznika kryminalistyki. Starszej pani zginęła książeczka oszczędnościowa i złoty łańcuszek. Kristýna nie musiała specjalnie wyteżać umysłu, by powiązać kradzież z nagłą i nieoczekiwaną wizytą wnuczka, który wcześniej nie kontaktował się z babcią przez prawie rok. Pojechała go przesłuchać. Cwany, pewny siebie siedemnastolatek. Kristýna, która miała za sobą lata nauki u Wielkiej Sowy, wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Następnego dnia osobiście zwróciła kobiecie książeczkę i łańcuszek, który zdążył wprawdzie wylądować w lombardzie, ale odzyskała go bez trudu, bo właściciel miał już nieco za uszami. Nie wspomniała starszej pani o wnuczku, bo pewnie zaboląoby ją to bardziej niż sama kradzież. Emerytka popłakała się ze wzruszenia. Drżącym głosem dziękowała policjantce i zaprosiła ją na placek z kruszonką. Kristýna skorzystała z zaproszenia już następnego dnia. Po godzinach pracy mogła robić, co chciała. Ciasto było pyszne. Takiej nagrody nie dostała od czasu, gdy Wielka Sowa po raz pierwszy pochwaliła ją za wzorowo wypełnione

zadanie. A potem czekały ją kolejne miłe dowody uznania. Pomogła młodej wietnamskiej sprzedawczyni, którą zwyzywał podpity obdartus w roboczym kombinezonie. Kristýna znalazła się w sklepie przypadkiem, nie była wtedy na służbie. Spocony typek zaczął wrzeszczeć na wystraszoną Wietnamkę:

– Jak to, kurwa, nie ma krušovic? Litovel to se w dupę wsadź, ty żółta małpo!

Kristýna w kategorycznym tonie upomniała go, by nie odnosił się tak do ekspedientki. Facet rzucił w jej stronę wyzwiskiem i zaczął strącać towar z półki. Horová zadzwoniła po kolegów, a równocześnie chciała pokazać gościowi, gdzie jest jego miejsce. Uwielbiała patrzeć, jak Wielka Sowa z iskrą ekscytacji w oku rozprawiała się z podobnym elementem. Nie myliła się: koleś okazał się mocniejszy w gębie niż w mięśniach i czterdzieści pięć sekund po tym, jak okazał pracownicy sklepu swoją wyższość etniczną, zrzucając z regału sześć opakowań herbatników, a następnie wdeptując je po męsku w linoleum, leżał na chodniku przed wejściem z ręką wykręconą za plecami. Ekspedientka stała w drzwiach i przyglądała się scenie jak otumaniona, a kiedy w końcu przyjechali mundurowi i bez zbędnych ceregieli wepchnęli wandalę do auta, wykrztusiła z siebie kilka razy „džemkujem”, wymówione tak twardo, jakby chciała utworzyć czasownik od słowa „džem”.

Niespodziewane odkrycie sensu własnej pracy w zwyczajnej, banalnej pomocy słabszym wynagrodziło Kristýnie monotonię powtarzalnych, rutynowych zadań i codziennych dojazdów z Ołomuńca. Przede wszystkim jednak dowiedziała się o sobie czegoś nowego: dotarło do niej – choćby tylko w formie przecucia – że siła, która ją napędza, nie bierze się z chorej ambicji i pragnienia kariery, ale z zapału i idealizmu. Z chęci bycia potrzebną. Ostatecznie cieszyła się, że przyjęła wymierzoną jej karę. A

jednak marzenie o powrocie do zespołu Wielkiej Sowy nigdy jej nie opuściło.

Zrealizowanie go okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Sama zresztą walnie się do tego przyczyniła. W czasie gdy toczyło się postępowanie dyscyplinarne, zarówno Wielka Sowa, jak i wszyscy koledzy – Pavel Edelweiss, David Kodet, Adam Kubík i Milan Purkyně – stanęli po jej stronie, spotykali się z nią, udzielali rad i wspierali, także po tym, jak została przeniesiona do Šternberka. W końcu doszła do wniosku, że najbardziej odpowiada jej towarzystwo Kodeta. To nie była nagła erupcja namiętności, związek rodził się powoli i nieśmiało, jakby ich samych dziwił ten przyływ uczuć. Na dodatek pierwszy seks okazał się klapą, był po prostu „tragiczny”, jak określiła go w myślach Kristýna. Kotłowali się w łóżku niczym para nastolatków, David doszedł szybciej, niż zaczął, ona jednak uparcie nie chciała dać za wygraną, i mimo żałosnego startu postanowili spróbować drugi raz – no dobrze, potem jeszcze trzeci, czwarty, piąty, aż w końcu zaskoczyło. Po przejściach z Lukášem Termerem Kristýna doświadczała nowego uczucia: miała partnera, do którego mogła w każdej chwili zadzwonić, budzić się przy nim, a wieczorem obok niego zasypiać. Rozumiał naturę jej pracy i umiał z nią o niej rozmawiać. Ich relacja miała jednak zasadniczą wadę: oboje wiedzieli, że Wielka Sowa nie tolerowała związków w zespole, a że Kristýna chciała wrócić, szefowa nie mogła się o nich dowiedzieć. Kolejna tajemnica.

Minął rok. Potem kolejne pół. Kristýna wciąż nie potrafiła myśleć o Termerze bez uczucia goryczy, ale przestała żałować, że wynik porannego testu przed świętami okazał się negatywny. Nawet jeśli początek był fatalny, teraz, gdy co rano jadła śniadanie z ukochanym mężczyzną, a praca nabrała sensu, uświadomiła sobie, że ostatnie miesiące należały do najbardziej harmonijnych w całym jej życiu. Trwał czerwiec, było ciepło i

tylko czasem siąpił delikatny, letni deszcz. Kawę musieli dopić w biegu, bo w internecie przeczytali, że wylotówkę na Šternberk zatarasowała przewrócona ciężarówka, której niecierpliwy kierowca próbował brawurowo wyprzedzić traktor, Kristýna postanowiła więc i tym razem jechać pociągiem. By ją odwieźć, David musiał zerwać się wcześniej z łóżka. Na wiecznie zatłoczonym dworcowym parkingu też nie mieli dla siebie dużo czasu, nachyliła się, dała mu buziaka i wyskoczyła z auta, żeby nie tamować ruchu. Nigdy mu tego nie powiedziała (pewnie by ją wyśmiał), ale lubiła te poranne rozstania i ich romantyczną aurę. Zatrasnęła drzwi samochodu, David ruszył, a ona jeszcze raz na niego spojrzała. Zawsze tak robiła, dwie, trzy sekundy, nie więcej, ale w tym patrzeniu – była tego pewna – wyrażała się cała jej miłość. W takich chwilach czuła się bardzo szczęśliwa. A o przyszłości myślała z radością i wielką nadzieją.

Sierpień 1988

Leoša Šmídmajera i Zbyňka Bruknera łączyła długa, głęboka przyjaźń jeszcze z czasów szkoły, gdy Šternberk był szarym, zapyziałym miasteczkiem, a jego monotonia wprost biła w oczy, nawet w późnych latach osiemdziesiątych. Wszyscy się tu znali, każdego z każdym łączyła nie pokrewieństwa albo szkolna znajomość, relacja wzajemnych przysług, ale przede wszystkim długie godziny spędzone razem w różnego rodzaju lokalach. Ojciec Bruknera był aktywnym działaczem spółdzielni rolniczej, rodzice Šmídmajera składali budziki w zakładach Chronotechny. Rytm ich życiu nadawały ranne i popołudniowe zmiany, wczasy pracownicze w Jesionikach i weekendy w domku letniskowym w Pasece, tak zapuszczonym, że słowo „rudera”, którym określał go Leoš, nie było przejawem młodzieńczej przekory, ale trzeźwym stwierdzeniem faktu. Gdzieś na wiosnę osiemdziesiątego ósmego rudera spłonęła do szczytu (ocalała jedynie metalowa rama drzwi wejściowych), nie ustalono przyczyny pożaru, a Leoš doszedł do wniosku, że budynek zapalił się samoistnie, z rozpaczy nad własną żalosną egzystencją.

Gdyby Šmídmajer i Brukner posiadali dar autorefleksji, doszliby do wniosku, że ich przyjaźń scementowały nie tylko szkoła i otoczenie, ale też wspólnie przeżywane traumy i krzywdy, których w takich czasach i miejscu nie brakowało. A do tego nuda i wkurzenie. W powiatowym mieście, gdzie wszyscy się znają, trudno było sprostać roli młodocianego chuligana, zbuntowanego przeciw całemu światu. Ekspedientka w spożywczym była ciotką kolegi, a pani z warzywniaka czyjaś kuzynką, więc zdarzało się, że

po szlugi i jabola chłopaki musiały zasuwać szynobusem do Ołomuńca, gdzie w supersamie Hanačka przy dworcu głównym obsługa traktowała ich bardziej pobłażliwie i nie wzywała od razu milicji. Pod koniec lata tamtego roku szesnastoletni Leoš i Zbyněk odkryli, że właściciel bufetu na dworcu autobusowym, rumiany, zwalisty, wiecznie skwaszony i śmierdzący tłuszczem typek w nieokreślonym wieku, wyżej sobie ceni zarobek niż przepisy socjalistycznego państwa i nigdy nie każe im pokazywać dowodu, kiedy proszą o dwa lane piwa. Papierosy Start miał wprawdzie droższe o dwie korony, ale i tak woleli to niż jazdę rozklekotaną, przepełnioną kolejką do Ołomuńca. W budce można było też dostać podwędzaną kiełbaskę na papierowej tacce, polaną sownicie musztardą, a do tego grubą pajdę chleba z kminkiem, wszystko za piąta. Właściciel sklepiku, nazywany przez wszystkich „starym Zemanem”, ustawił na zewnątrz trzy wysokie stoliki z laminowanym blatem, wyrzucone zapewne z dworcowego baru, a Leoš i Zbyněk mogli się tego lata poczuć – w końcu! – jak królowie życia: chodzili codziennie na basen, jedyną letnią atrakcją Šternberka, a w drodze powrotnej zahaczali o dworzec, wypijali na stojąco po piwie z papierowego kubka i zjadali na pół długą, cienką kiełbaskę, którą sprzedawca podwędzał wcześniej domowym sposobem, co wpływało na walory smakowe, ale i wzrost ceny. Miał działkę, na niej domek, a przy domku wędzarnię, do której opalania używał kradzionych podkładów kolejowych. Posmak dziegciu i nafty stał się znakiem rozpoznawczym jego produktów i zapewniał im lokalną sławę. Zeman niebawem poszerzył swój rakotwórczy asortyment o kilka towarów „spod lady”: wędzony boczek, udziec i karkówkę. Jak para bon vivantów chłopcy meldowali się codziennie przy stolikach koło budki i z petami w kącikach ust obserwowali, co się wokół dzieje. Wkrótce zorientowali się, że Zeman ma wielu stałych klientów. Nałogowi alkoholicy wpadali na kieliszek taniego rumu, upał nie upał, ale

zawsze w roboczych kombinezonach, dla zachowania pozorów, że wracają z pracy. Przychodzili też zasapani, spoceni goście w garniturach, z wypchaną aktówką pod pachą, którzy po drodze z rachitycznego autobusu wychylali w pośpiechu jedno piwko, nim w domu żonka zagoni ich do dalszej roboty. Było też dużo takich jak oni, młodych, spragnionych zakazanych atrakcji dorosłości. O dziwo, widywali też gospodynie domowe w różnym wieku, którym Zeman wsuwał do siatek zawiniętą w gazetę aromatyczną wędzonkę. Zbyněk i Leoš szybko połapali się, że ten facet w utyłanym czerwonym fartuchu robi konkurencję wszystkim lokalnym masarzom i rzeźnikom. Wśród stałych klientów byli również milicjanci, zaglądający tu po skończonej zmianie na kielbasę z musztardą i pogawędkę ze sprzedawcą. Za pierwszym razem chłopaków obleciał strach, że pały zobaczą ich z kubkiem piwa i petem w ustach, podejda i zagadną nieznośnym sprzeciwu tonem: „Czołem, młodzieży, dowodziki prosimy”. Okazało się jednak, że gliniarze potraktowali ich jak powietrze. Leoš przyglądał im się z uwagą. Mundurowy dostał od starego Zemana towar zapakowany w gazetę, pokiwał serdecznie głową, wsiadł do auta i odjechał.

– O kurde, widziałeś? – Leoš z niedowierzaniem odprowadził wzrokiem żółto-białą ładę.

– Co? – Zbyněk nadgryzł gorącą kielbasę, aż wytrysnęła z niej sok i pochłapał blat stolika.

– Ten glina mu nie zapłacił.

– I co z tego?

– Normalnie dostał mięso za friko.

Na Zbyнку nie robiło to wrażenia. Dokończył kielbasę, a potem kromką chleba zebrał musztardę i tłuszcz z papierowej tacki.

– Za żarcie też nie płacą – skonstatował młody Šmídmajer.

– Może mają abonament – rzucił Zbyněk obojętnie, z ustami pełnymi chleba z musztardą.

– Ty jesteś głupszy niż ustawa przewiduje – zachnął się Leoš.

Specyficzną symbiozę starego Zemana i funkcjonariuszy miejscowej milicji jeszcze lepiej unaoczniała scena, której młodzi byli świadkami parę dni później. Szli ulicą z pływalni w stronę dworca autobusowego i już z daleka zobaczyli sprzedawcę w czerwonym fartuchu, krzątającego się z wiadrem i miotłą przed swoją budką. W pewnej chwili nadjechała żółto-biała łada, wysiadło z niej dwóch klientów Zemana w zielonych mundurach, mężczyzna jednak nie odłożył narzędzi, tylko wskazał ręką przestrzeń za budką, gdzie miał rozstawione stoliki. Milicjanci zniknęli chłopakom z pola widzenia, a gdy wyłonili się z powrotem, wlekli za sobą jednego z amatorów taniego rumu. Nie zapakowali go jednak do radiowozu, ale odeszli kawałek od dworca, zbliżyli się do krzaków i najpierw zasunęli gościowi z liścia, po czym silnym kopniakiem przewrócili go wprost w zarośla służące miejscowym za śmietnik. Wracając w stronę budki, ocierali zamasyście dłonie o mundury, niczym robotnicy po fajrancie.

– Więcej się tu nie pokaże – powiedział z uśmiechem jeden z gliniarzy Zemanowi.

– Dzięki, panowie. – Właściciel budki skinął ręką i dalej szorował mokrą szczotką chodnik pod okienkiem.

– Łach pierdolony – rzucił drugi z milicjantów.

– Odwdzięczę się – zapewnił Zeman.

– To do jutra. – Pierwszy z funkcjonariuszy pomachał. Obaj zaś wsiedli do radiowozu i odjechali.

– Co się stało, kierowniku? – zapytał Leoš, gdy w końcu dotarli do budki. Był z nich bardziej wygadany, więc wziął na siebie komunikację z

Zemanem.

– Ten świnia Kučera wszystko mi zarzygał – burknął sprzedawca, chwycił wiadro i wylał jego zawartość na wyboisty, połatany asfalt. Następnie odwrócił się, wytarł ręce w fartuch i przywitał ich serdecznie: – Czołem, chłopaki!

– To co zwykle, kierowniku – zaszcebiotał Šmídmajer i po chwili dostali na tacce gorącą kiełbaskę przesyconą dymem z podkładów kolejowych.

Lotność umysłu nie była mocną stroną Bruknera, więc zanim skumał, co się naprawdę wydarzyło, Zeman zdążył napełnić dwa kubki piwa.

– O w mordę, to on nasłał milicję na Kučerę – szepnął Leošowi do ucha, wskazując przy tym na budkę.

Šmídmajer zarechotał.

– A co żeś, kurna, myślał? Milicja jest obywatelska, znaczy służy obywatelom.

Zeman podbił ich serca. Pierwszy raz poczuli się dorośli, bo traktował ich jak równych sobie. I nie miało znaczenia, że robił to wyłącznie dla zysku. Zbyněk i Leoš stali się jego wiernymi, zaufanymi klientami, prawie codziennie wpadali wypić piwko albo dwa, coś przekąsić i w spokoju zapalić. Czasem wdawali się z nim w krótką, męską pogawędkę.

– Jak leci, kierowniku? – pytał młody Šmídmajer.

Zeman wycierał ręce w zatłuszczony fartuch, przez co jeszcze bardziej je brudził, i rzucał tę czy inną odpowiedź, na ogół związaną z wydalaniem („Jak nie urok, to sraczka, tyle wam powiem” albo „Roboty od chuja, nawet wysrać się nie ma kiedy”), co chłopaków niezawodnie wprawiało w dobry nastrój. Sprzedawca lekko krzywił kąciki popękanych warg.

– To co zwykle? – pytał tubalnym głosem.

– Sie wie, kierowniku – przytakiwał Leoš.

To były piękne dni.

Wszystko wzięło w łeb pod koniec sierpnia, kiedy Leoš zmienił nieco treść zamówienia. Zrobiło się zbyt chłodno na kąpiele, chłopcy włóczyli się po mieście w kurtkach i zżerała ich taka nuda, że któregoś razu poszli nawet do zamku obejrzeć muzeum zegarów. Potem jak zwykle wylądowali pod budką Zemana na dworcu.

– Kierowniku, mój stary ma w przyszłym tygodniu urodziny. Nie wiem, co mu kupić. Ale żem sobie przypomniał, że on lubi domowe wędliny... Nie miałyby pan tak z kilo tej swojej wędzonki? – rzucił jakby od niechcenia Šmídmajer.

Sprzedawca swoim zwyczajem wytarł najpierw dłonie w fartuch, położył ręce na ladzie i zmierzył chłopaka przez okienko podejrzliwym spojrzeniem, jakby ten naruszył jakieś tabu. Do młodego dotarło naraz, że facet pewnie sprzedaje mięso na czarno, a oni nie mieli prawa się o tym dowiedzieć. Zeman podrapał się brudnymi palcami po szczeciniastym podbródku.

– Na kiedy byś potrzebował? – burknął.

Leoš odetchnął z ulgą. Umówili się na sobotę, ustalili cenę i ilość (sto pięćdziesiąt koron za kawałek wędzonego boczku było znaczącym ubytkiem w budżecie Šmídmajera, ale masarz zapewnił, że przywiezie towar pierwszej klasy, a szanowny tatuś będzie go wspominać przez tydzień; mówiąc to, z werwą wymachiwał rękami o palcach pokrytych czarnym nalotem). W sobotę po południu młodzi zjawili się przy budce, zamówili piwo, a Leoš wyłożył na ladę trzy pięćdziesięciokoronowe banknoty, za które dostał kulistą porcję mięsa owiniętą w środowe „Rudé právo”. Wieczorem złożył ojcu życzenia i wręczył prezent. Solenizant był w siódmym niebie, otworzył słoik korniszonów i piwo, a potem zabrał się za kosztowanie. Cały boczek spałaszował przy jednym posiedzeniu przed

telewizorem. Matka podejrzliwie spoglądała na mięso i chciała wiedzieć, skąd syn je przyniósł. Leoš, któremu udzielił się dobry nastrój ojca (starego nic nie wprawiało w lepszy humor niż pełny żołądek), stracił na chwilę czujność i beztrosko wszystko wypaplał. O ile stary pokiwał tylko głową z uznaniem i od razu kazał zamówić u Zemana dokładkę (trochę dla siebie, a resztę dla kolegów, z którymi miał wkrótce świętować), o tyle Šmídmajerová wpadła w furję. Trudno powiedzieć, czy powodowała nią zazdrość (podarowany przez nią komplet bielizny aż tak ojca nie ucieszył), chorobliwa, granicząca ze skąpstwem oszczędność typowa dla gospodyń w czasach realnego socjalizmu, a może po prostu kłótniwa natura, potrzeba nieustannego sprzeciwiania się wszystkiemu i wszystkim. Zaczęła wykrzykiwać coś o spekulantach, cinkciarzach i złodziejach, a syna nazwała idiotą, który pozwala się okradać i wciskać sobie lewiznę za duże pieniądze. Jej ojciec, dziadek Leoša, był ważnym funkcjonariuszem partii, uznała więc, że sprawę trzeba załatwić od razu – w poniedziałek rano zgłosiła szemrane interesy Zemana w radzie narodowej. Stamtąd wysłano na kontrolę dwie panie, ale że stary prywaciarz miał odbiorców w magistracie, urzędniczki napisały w protokole, że nie znalazły uchybień, a każda dostała w nagrodę kilogram wędzonego udźca i boczku.

Po południu Zbyněk i Leoš wpadli jak zwykle na piwo i kielbasę owianą zmysłowym aromatem podkładów kolejowych, a co za tym idzie – dalekich podróży. Stary Zeman wychylił się z okienka.

– Z wami, kapusie, kończę interesy. Jak was tu jeszcze zobaczę, skopię wam tyłki, żebyście wiedzieli!

Młodzi nie mieli pojęcia o całej aferze, więc gapili się tylko tępym wzrokiem na wkurzonego sklepikarza. I pewnie staliby tam jak kołki do samego wieczora, gdyby w pobliżu nie przejeżdżał akurat patrol. Mundurowi zażądali dowodów osobistych, a kiedy „ustalenie tożsamości”

okazało się niemożliwe, bo żaden z chłopaków nie miał przy sobie dokumentów, zabrali ich na komisariat. Antypatyczny oficer, w którym bez trudu rozpoznali jednego z klientów Zemana, potraktował ich zgodnie z utartym milicyjnym zwyczajem lat osiemdziesiątych: najpierw każdego zdzielił trzy razy po gębie, potem dorzucił parę wyzwisk, przy których niemal się zapluł, a następnie kazał stać przez godzinę czołem do ściany, aż z buziek zejda im ślady jego dłoni. W końcu spisał protokół („Już się z tego, wszarze, nie wyliżecie!”), a potem znów przez godzinę musieli stać w rogu, zanim rodzice (przestraszeni nie na żarty, bo zapadł zmrok, a młodych nie było w domu) przyjechali potwierdzić ich tożsamość i odebrać delikwentów zatrzymanych za awanturnictwo i wandalizm (jakąś kwalifikację czynu trzeba było wymyślić). W domu chłopaków czekało powtórne lanie, tym razem wzięli ich w obroty krewcy ojcowie. Gdy następnego dnia spotkali się na placu przy kościele, czuli się – dosłownie i w przenośni – jak dwa zbite kundły. Szkoła już dawno nauczyła ich, że świat nie jest sprawiedliwy, ale wczorajszy dzień stanowił prawdziwy rytuał inicjacji, lekcję przemocy i bezsilności, która zmieniła wszystko.

– Kapujesz? – Młody Šmídmajer kręcił głową. – Gdzie my żyjemy? W państwie, gdzie nawet pies może cię zwyzywać od szpicli. Pies! Mnie! Od szpicli!

Wtedy podjęli decyzję: jeśli mają żyć w takim, a nie innym świecie, muszą przyłączyć się do którejś ze stron. Już nigdy nie chcieli czuć się bezsilni, narażeni na krzywdę i niesprawiedliwość. Skoro musieli wybierać, woleli sami postępować źle niż być ofiarami zła. Cicha umowa masarza Zemana z milicją najpierw nimi wstrząsnęła, ale szok z czasem zamienił się w fascynację.

– Kuźwa, wyobraź sobie – nie mógł się nadziwić młody Brukner – gliny kryją handlarza mięsem. Spekulanta! Wystarczy, że do nich zadzwoni i ma

spokój, nikt go nie tknie.

Szesnastoletni Leoš bardzo dobrze umiał sobie wyobrazić wszystkie benefity tego typu współpracy.

– Nikt ci nie może skoczyć, bo jesteś psem, rozumiesz? Bierzesz kasę, w sensie pensję, a do tego wszędzie dostajesz żarcie za darmo, wystarczy się dogadać. I jeszcze możesz rozkwasić mordę komu chcesz i kiedy chcesz.

– Albo kopnąć w dupę – dodał Zbyněk, bo przypomniał sobie pijaka Kučerę leżącego wśród śmieci w krzakach.

Wtedy podjęli decyzję i bez słowa rozdzielili zadania. Zbyněk będzie mieć swoją „budkę”, a Leoš zadba, żeby nikt się nie przypieprzał. A w nagrodę czeka go podwędzana kielbaska albo coś innego. Gratis. Od teraz już zawsze gratis.

Początek czerwca 2013

Zbyněk Brukner lubił odgrywać rolę spiritus movens wszelakich stowarzyszeń, klubów i przedsięwzięć. Uważał się przy tym za kogoś więcej niż organizatora, raczej bankiera, zarządcę, męża zaufania, doradcę, *il consiglieri*, bohatera filmów o mafii w rodzaju tych granych przez Alę Pacino. Uwielbiał czuć, że wszyscy są od niego zależni, nie skąpił wysiłku ani środków, gdy przyjaciele znaleźli się w potrzebie, chciał, by byli mu coś winni i czuli się zobowiązani – nie chodziło o sprawy finansowe, takich unikał, ale o dług wdzięczności właśnie. Miał czterdzieści jeden lat i przekonanie, że doskonale sprawdził się w biznesie, osiągnął więcej niż ktokolwiek z rodziny, ani ojciec, ani dziadek nie mogli się poszczycić takimi sukcesami, a poza tym, w odróżnieniu od taty, nie musiał wstępować do żadnej partii, wystarczyło, że członkowie „jego” klubów posiadali odpowiednie koneksje. No dobra, żonę mógł wybrać lepiej, ta blond żółta załatwiła go na cacy, dzieci nie mieli, ale zbytnio się tym nie trapił, bo jedyną rzecz, której oczekiwał od małżeństwa, mógł sobie zrekompensować w klubie. I to z nawiązką.

Miał dwie pasje. Obie potrafił zamienić w zbiorową rozrywkę, a założone przez niego kluby stały się sensem życia. W Klubie Przyjaciół Whisky w każdy czwartek spotykali się ludzie, którzy coś znaczyli, a ponadto byli przekonani, że ich regularne posiedzenia świadczą o wysokiej pozycji społecznej. Z początku aspiracje Zbyńka miały wymiar lokalny, chciał sprawić przyjemność sobie i grupce najbliższych przyjaciół, stopniowo jednak zaczął poszerzać swoje terytorium jak średniowieczne

lenna, skoncentrował się na obszarze między Šternberkiem i Ołomuńcem, którą to okolicę urozmaicało wyłącznie kilka klubów sportowych, pole golfowe i małe lotnisko, dlatego stała się idealną bazą naboru nowych członków, żądnych innego rodzaju rozrywek niż bieganie z kijem po trawniku, atrakcji dyskretnych i ekscytujących. Klub Kynologii Sportowej miał bardziej elitarny charakter. Ludzi dobierano w nim ostrożniej, a po pięciu latach istnienia zrzeszał zaledwie dwadzieścia osób, z czego regularnie spotykało się jedenastu najwierniejszych klubowiczów.

Skład dwóch „stowarzyszeń” nieco się przemieszał na przestrzeni lat. Oba oparte były na schemacie piramidy, chodziło jednak nie tyle o pieniądze, ile o system wpływów, władzy, wzajemnej pomocy, przysług i zobowiązań. Na szczycie całej tej konstrukcji stał oczywiście Brukner i – jak to leży w naturze ludzi na wysokich pozycjach – nie dopuszczał do siebie myśli, że ktoś mógłby z niego drwić albo nim pogardzać. Wychodził z założenia, że wszyscy wokół powinni być mu wdzięczni za swoisty awans, który stał się ich udziałem za sprawą jego, Zbyńka, dobrej woli, uporu i wielkoduszności. Przyzwyczyił się, że jeśli kogoś o coś prosi, życzenie zostaje spełnione. Nikogo do niczego nie zmuszał, wszyscy wiedzieli jednak, że odmowa oznacza potencjalne kłopoty: że prędzej czy później, nie wprost, ale definitywnie popadną u niego w niełaskę. Piramidę można było w każdej chwili opuścić, niemniej w ciągu kilku ostatnich lat nikt tego nie zrobił, bo jasne jak słońce było, że tylko członkostwo w klubie oznacza dostęp do systemu wzajemnych przysług. Brukner rozumiał mechanizm, popełnił jednak kardynalny błąd w ocenie ludzkiej natury. Nie przewidział bowiem, że ktoś zechce uwolnić się od tej zależności, więcej, z premedytacją mu zaszkodzić, po to tylko, by zachwiać jego pozycją.

Świat Zbyńka Bruknera, zamknięty system dostępny tylko dla członków premium, zaczął się rozpadać niepozornie. Nawet sami inicjatorzy

drobnego spisku, trochę buntownicy, a trochę mściciele, nie przewidzieli, jakie skutki mogą przynieść ich knowania przeciwko właścicielowi klubów. Chcieli tylko uchronić swoje psy przed niebezpieczeństwem i wymusić przestrzeganie zasad...

Lekarz weterynarii Karel Halas miał wszelkie powody do wściekłości. Nie chodziło o chwilową irytację czy napad gniewu, lecz długotrwałą złość, która czasem tliła się gdzieś pod powierzchnią, a przy każdym spotkaniu ze Zbyńkiem Bruknerem groziła erupcją furii na niespotykaną skalę. Nigdy za nim nie przepadał, ale od trzech tygodni czuł, że na sam widok jego mordy wręcz skacze mu ciśnienie i krew buzuje w żyłach. Działy mu na nerwy jego wiecznie spocone, rzadkie włosy, które ten pajac zapuszczał w nadziei, że ukryje postępującą łysinę, zwłaszcza kretyńska grzywka, nieustannie poprawiana i zaczesywana na bok. Wkurzał go jego dziwaczny, krzywy uśmiech, właściwy osobom o nabrzmiałym ego, wynikającym nie tyle z przekonania o rzeczywistej przewadze nad innymi, co z ukrywanego przecucia własnej niedoskonałości i chęci dorównania ludziom autentycznie pewnym siebie i władczym. Poza tym irytował go styl ubierania Bruknera, wyjątkowo tandetny, a oparty na zamiłowaniu do tenisówek oraz ciemnych dżinsowych kurtek i koszul, zupełnie nieodpowiednich dla czterdziestoparolatka. Do szału doprowadzało go też jego prostackie zachowanie i wielkopańskie maniery, absolutna wiara w to, że wszyscy pracownicy – którym przecież płaci „z własnych pieniędzy” – i ludzie na jego usługach powinni okazywać mu wdzięczność, czy to za szansę wzbogacenia się, czy za obecność w gronie wybrańców, na których (cóż za łaskawość!) spoznał przychylnym okiem. Nienawidził jego udawanych gestów, elitarnych klubów, opartych na wspólnocie interesu, kodeksie honorowym i wzajemnej lojalności, jakich w mniemaniu Bruknera mogliby im pozazdrościć nawet trzej muszkietierowie.

Karel Halas uważał się za pragmatyka. W biznesie musi zgadzać się kasa. Brukner tego nie rozumiał, on chciał się czuć uwielbiany i niezastąpiony, pragnął wyrazów wdzięczności. Dlatego potrafił być nieobliczalny. Halas doskonale pamiętał, co się działo, gdy opowiedział Bruknerowi o swoich planach. Nie prosił o pieniądze, a jedynie proponował udział w dochodowym interesie. Za określoną sumę chciał korzystać ze starego chlewa, czyli po prostu go wynająć. Tak, wynająć! Chodziło o rudere na tyłach gospodarstwa, która stała nieużywana. Gdyby ktoś przyszedł do niego i powiedział: „Słuchaj, Karel, masz tę swoją starą chałupę, nic z nią nie robisz, weź mi ją wynajmij, dostaniesz do ręki solidną kasę”, odpowiedziałby: „Jasne, za ile?”. A jak zareagował Brukner? Halas czuł się jak na audiencji u papieża. Zbyněk siedział w swoim biurze, rozwalony w fotelu, w ręku szklaneczka whisky, a kiedy Karel przedstawiał mu ofertę i podał całkiem rozsądną sumę, biznesmen tylko nadymał usta i marszczył brwi. Po wysłuchaniu propozycji milczał przez chwilę, następnie pokiwał głową (zapewne myślał, że dodaje mu to majestatu), utkwił spojrzenie gdzieś za plecami Halasa, w punkcie, do którego – jak sądził – wzrok zwykłego zjadacza chleba nie dociera, a gdzie tak naprawdę znajdowała się tylko ściana kanciapy w jego „luksusowym męskim klubie”, w istocie będącym po prostu burdelem o podwyższonym standardzie. W końcu stwierdził, że przemyśli sprawę i się odezwie. Halas z trudem się powstrzymał, by nie krzyknąć mu w twarz: „Wiesz co, Zbyněk? Idź się wypchać, kurwa twoja mać!”. Wiedział jednak, że z Bruknerem nie można rozmawiać w ten sposób, bo ucierpiałyby na tym miłość własna biznesmena. Powiedział więc tylko:

– Jasne, zastanów się i jakby co, to wiesz, gdzie mnie szukać, pogadamy, napijemy się, ja stawiam... Daj mi znać.

Po czterech dniach Halas zaczął się niepokoić, bo wiedział, że jest tylko ogniwem dochodowego biznesu, do tego ogniwem, które można zastąpić, gdy wspólnikom się spieszy. Jeśli jemu się nie uda, znajdą sobie inne miejsce – skośnookim cwaniakom nie robi różnicy, że będą mieć bazę produkcyjną trochę dalej, a za oferowaną kasę tylko głupi nie wszedłby w ten interes. Brukner chciał pokazać, że jest ważny, a on, Halas, mógł przez to stracić intratne źródło dochodów. Pozostawało mu czekanie.

Wieczorem czwartego dnia zadzwonili i powiedzieli, jak stoją sprawy. Że nabywcy się niepokoją, bo zasoby w magazynie się kurczą, a ukraińska trasa jest definitywnie spalona. Słowacy już ostrzą sobie zęby, ale dla nich ta opcja odpada, bo raz że daleko, a dwa że kiepskie autostrady. Halas zapewnił, że pracuje nad tym i do końca tygodnia da odpowiedź, na tak albo na nie. Raczej tak, musi tylko dograć szczegóły. Następnie zadzwonił do Bruknera. Oświadczył mu wprost:

– Słuchaj, Zbyněk, albo się zgodzisz i trochę zarobisz na starej szopie, albo szukam innej miejscówki. Znasz okolicę. Wiesz, że bez trudu znajdę inną chałupę na odludziu, z której właściciele nie korzystają i której pozbędą się z pocałowaniem ręki, jeszcze za kasę. O terenach poligonu Libavá nawet nie wspominam.

Ta argumentacja zaskoczyła Bruknera, który chyba naprawdę myślał, że jest nie do zastąpienia. Pod jednym względem miał rację: Halas zdawał sobie sprawę, że prowadząc farmę w dotychczasowym miejscu, będzie względnie kryty dzięki znajomościom i wpływom Bruknera. Wiedział, że Zbynkowi nikt się nie dobierze do skóry, ani policja, ani sąd, ani urząd skarbowy, on, Halas, może sobie spać spokojnie. Na szczęście biznesmen nie dał się długo namawiać, forsa jak zwykle go przekonała, i koniec końców się dogadali.

Halas wynajął kilku facetów, ale nie miejscowych, bo ci na pewno puściliby farbę, tylko robotników spod Bruntála, wdzięcznych, że dorobią parę koron do zasiłku. Przywieźli ich nocą, więc nawet nie wiedzieli, dokąd jada. Opróżnili chlew, przygotowali konstrukcje nośne i zamontowali klatki. Pracowali sprawnie, nie mieli żadnych pytań ani wygórowanych oczekiwań finansowych. Po tygodniu ze Słowacji przyjechał pierwszy transport. Halas dobrze wszystko przygotował i biznes szybko się rozkręcił. Przy małym obłożeniu nie potrzebował pomocników, poza prowizją dla Bruknera nikomu nie musiał nic płacić, a kasa zaczęła płynąć szerokim strumieniem. Z popytem nie mieli problemu, a kiedy się dowiedział, że zamówień jest znacznie więcej niż dostaw, zaproponował powiększenie bazy produkcyjnej. I właśnie wtedy sprawy wzięły w łeb.

Najbardziej go wkurzało, że sam był sobie winien. Nie cierpiał psów Bruknera i za każdym razem, gdy musiał któremuś zszywać ranę po zjeździe Klubu Kynologii Sportowej, starał się nie ułatwiać im życia i podawał zbyt małą dawkę znieczulenia. Chciał, by poczuły każde wbicie, każde szarpnięcie rany nicią chirurgiczną. Zwierzęta przeczuwały, co je czeka, więc wpadały w szal, gdy tylko się do nich zbliżył. Powinien był być ostrożniejszy, mieć się na baczności. Jeden z kundli rzucił się na niego, on nie zdążył zareagować i w ciągu paru sekund miał poszarpany mały, serdeczny i środkowy palec lewej ręki. Skubańcowi udało się nawet złamać mu dwa paliczki i kostki nadgarstka. Kiedy lekarz na pogotowiu w Šternberku zaszywał ranę i składał kości, Halas miał w organizmie końską dawkę środków znieczulających i myślał, że za chwilę będzie po sprawie. W kolejnych dniach jednak ból nie ustępował, stał się wręcz paraliżujący, więc Karel ponownie wylądował w szpitalu.

Minął miesiąc, a ręka ciągle dawała popalić, więc propozycja Šmídmajera, Adámka i Vlacha sprzed dwóch tygodni była nie tylko szansą

na zarobek, ale też okazją do zemsty. Jeśli po całej akcji będzie musiał udzielić kundlom pomocy lekarskiej, zaśpiewa sobie za to od Bruknera osobną sumkę. I w ten sposób upiecze nie dwie, ale trzy pieczenie na jednym ogniu. Odszkodowanie plus zemsta . Tylko jak to zrobić?

W gospodarstwie Bruknera zjawiał się codziennie, by doglądać zwierząt. Z powodu unieruchomionej ręki musiał ograniczyć własną praktykę lekarską, miał więc sporo wolnego czasu. Zajęcia w posiadłości okazały się jednak sporym obciążeniem dla nie w pełni sprawnego weterynarza, dlatego Halas doszedł do wniosku, że przydałby mu się pomocnik. Ktoś zaufany, rzetelny i kompetentny, a do tego gotowy odwdzięczyć się za otrzymane wynagrodzenie lojalnością. Krótko mówiąc: profesjonalizm i oddanie. Sęk w tym, że wielu kolegów z branży było weterynarzami z powołania, a pojęcie etyki zawodowej odmieniali przez wszystkie przypadki. Halas wiedział, że w pojedynkę nie da rady załatwić nowych zwierząt, a opieka nad farmą będzie coraz trudniejsza. Poszukiwania współpracownika z zachowaniem minimalnej choćby dyskrecji wymagały zachodu i wysiłku. A jeszcze inwestor niecierpliwił się w oczekiwaniu na obiecany wzrost dostaw.

Znacznie prostszym zadaniem okazało się wyeliminowanie kundli Bruknera z najbliższych walk. Dwa dni przed kolejnym zjazdem klubowiczów Halas znalazł się sam w posiadłości. Już wcześniej wszystko dokładnie zaplanował. Do boksów z psami gospodarza nie odważył się nawet podejść. W budynku była zamrażarka z mięsem. Codziennie któryś z pracowników wyjmował jedną porcję i zostawiał ją na stole w przygotowni, żeby odtajała do następnego dnia. Prosta sprawa. Halas wybrał odpowiedni moment, mając pewność, że Brukner nie odwoła zawodów z dwudniowym wyprzedzeniem, bo ludzie by się wściekli. Wiedział też, że o tej porze będzie w budynku sam, a gdyby nawet ktoś się

napatoczył, niczego się nie domyśli. Cała akcja miała zająć kilka sekund. Z kieszeni kurtki wyjął strzykawkę, w której przygotował niespodziankę dla agresywnych pupilów Zbyňka. Z etui na komórkę wysupłał igłę, nałożył ją na strzykawkę, a następnie wkłuł parę razy w mięso, zostawiając w nim jej zawartość.

Wystarczyło poczekać.

Brukner zadzwonił w czwartek po obiedzie. Jego zrozpaczony głos brzmiał w uszach Halasa jak *Oda do radości*.

– Karel, musisz przyjechać, i to szybko. Coś się dzieje z psami...

Był tak podenerwowany i zgnębiony, że Halas, wbrew wcześniejszym zamiarom, nie dał się długo namawiać.

Część druga

Niedźwiedzie

13 i 14 czerwca 2013

Dzień pierwszy

Czwartek 13 czerwca

5

– Nie wyłazi już panu bokiem ten Dylan? – zapytał Adam Kubík.

Przejechali pod wiaduktem kolejowym, nad nimi śmignęło pendolino do Pragi, a zaraz potem utknęli w korku, bez którego skrzyżowanie Pavlovickiej i U Podjezdu po prostu nie byłoby sobą.

– Czy ja wiem? Raczej nie – odpowiedział siedzący za kierownicą komisarz Edelweiss.

Zastanawiał się, czy nie włączyć syreny i niebieskich świateł, ale uznał, że sytuacja jest i tak beznadziejna. Sznury aut ciągnęły się w obu kierunkach, a wszystko komplikowała sygnalizacja na niedalekim skrzyżowaniu przy Lidlu. Boczna droga nadjeżdżali kierowcy chcący włączyć się do ruchu na zapchanej głównej, węzeł się zacieśniał, Edelweiss nie miał więc wyboru i musiał czekać, aż ruch na Pavlovickiej w kierunku wylotowym się odblokuje. Patrzył na przepełniony parking przy niemieckim supermarkecie i tłumy emerytek w drodze po tanie zakupy. Przypomniawszy sobie, że kiedy ogłoszono budowę dyskontu, ludzie się burzyli i ślali pisma w obawie przed paraliżem komunikacji i upadkiem małych, rodzinnych sklepów. Gdy jednak Lidl został otwarty, nie zdecydowali się na solidarny bojkot giganta, można nawet powiedzieć, że sami przyczyniali się do tego, przed czym ostrzegali w petycjach. Już wcześniej trudno przejezdna okolica zamieniła się w drogowy koszmar, a w witrynach dawnych sklepików i masarni pojawiły się kartki z napisem: „LOKAL DO WYNAJĘCIA”. Edelweiss czytał gdzieś, że Ołomuniec ma najwięcej

przestrzeni handlowych w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. A każde nowe władze ratusza dwoją się i troją, by tę palmę pierwszeństwa utrzymać.

– Gdyby chociaż ładnie śpiewał – westchnął Kubík, wracając do tematu.

Pavel odwrócił spojrzenie od niemieckiego supermarketu. Na skrzyżowaniu przed nimi ktoś histerycznie naciskał klakson.

– W twoim wieku myślałem tak samo – zaczął. – Przepraszam, kiedy miałem tyle lat co ty, nie znośłem, jak starsi ludzie gderali: „ja w twoim wieku coś tam”. Chciałem tylko powiedzieć...

Adam Kubík uśmiechnął się z siedzenia pasażera.

– Wydaje mi się, że chodzi o doświadczenie życiowe – ciągnął Edelweiss dydaktycznym tonem. – W głosie Dylana, i w ogóle w jego muzyce odbija się cała jego biografia, wszystko, co go spotkało. Cała brutalność egzystencji, o której śpiewa. Wielka Sowa nie szuka wpadających w ucho melodii, ale właśnie prawdy, autentyzmu.

– Jak dla mnie muzyka musi mieć rytm, żeby dało się do niej tańczyć.

Edelweiss spojrzał na młodszego kolegę, na jego chłopięcej twarzy rysował się komiczny, rzadki wąsik zapuszczany od pół roku. Przerośnięty młodzieńczy puszek z całą pewnością nie dodawał mu powagi przy pełnieniu służby. Miał wygląd licealisty, choć niedawno skończył dwadzieścia siedem lat. Pavel nie potrafił go sobie wyobrazić w tańcu. Inna sprawa, że Adam raczej nie miał na myśli klasycznych bali czy potańcówek.

Ruch na skrzyżowaniu przerzedził się, a oni mogli ruszyć z miejsca. Ujechali może trzydzieści metrów, a potem zatrzymało ich czerwone światło.

– A pan czego słucha, szefie? – zapytał Kubík.

– Nie jestem aż takim radykałem. Ale kupiłem w styczniu adapter. Wielka Sowa w zeszłym roku sprawiła sobie wypasiony, drogi sprzęt, a kiedy zobaczyłem i usłyszałem to чудо, też naszła mnie ochota. Oczywiście nie chciałem aż takiej kolubryny, jak ma ona.

– A ile coś takiego kosztuje? – zainteresował się Adam.

– Ja za swój dałem siedem tysięcy. A do tego jeszcze pięć patyków za nową, lepszą wieżę do podłączenia adapteru.

– Ja pitole! Dwanaście tysięcy! – Kubík nie mógł uwierzyć. – Mnie do słuchania muzyki zupełnie wystarczy iPod.

– Wielka Sowa za sam adapter dała dwie dychy.

– Żeby sobie puszczać tego wyjca... – Młodszy z policjantów roześmiał się. – Ciągle nie wiem, czego pan słucha.

– Znalazłem w piwnicy całą skrzynię płyt po tacie.

– Teraz wszyscy chcą mieć w domu adapter, to bardzo modne – zauważył Kubík.

– Mój ojciec miał wszystkie albumy Pink Floyd z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Oprócz tego Genesis, Yes, Blood, Sweat & Tears, lubił ten typ rocka. Nawet nie wiem, jak to wszystko zdobył za komuny. Same piękne wydania z Niemiec albo Holandii, nie na polskiej czy jugosłowiańskiej licencji. Zacząłem sobie puszczać. Najpierw na takim starym, skrzeczącym odtwarzaczu. I od razu mnie wzięło na wspomnienia. Cofnąłem się do czasów, gdy tata w weekendy siedział w fotelu zasłuchany w dźwięki z adaptera. To moje dzieciństwo. No więc napisałem list do świętego Mikołaja i dostałem w prezencie odpowiednią sumę. I teraz robię to samo. Siadam sobie i puszczam *Wish You Were Here*. Cudowna muzyka.

– Powie mi pan jeszcze raz nazwisko tej wokalistki?

– Której?

– No tej, co pan jej słucha.

– To zespół, nie wokalistka. Pink Floyd.

– Czyli nie mają nic wspólnego z Pink? Ona jest świetna. Lepsza niż Dylan...

Okazało się, że Adam nigdy nie słyszał o Floydach. Z kolei Edelweiss nie wiedział, kim jest Pink. Przypomniało mu się, że czytał gdzieś, jak to córka George'a Martina zapytała któregoś razu ojca: „Ty podobno pracowałeś z tymi Beatlesami. Byli tak samo dobrzy jak Bay City Rollers?”.

– Spójrz na to z innej, lepszej strony. Wyobraź sobie, że Wielka Sowa nie szaleje na punkcie Dylana, tylko jakiejś... bo ja wiem... Ivety Bartošovej czy Vondráčkovej. Wytrzymałbyś cały dzień z Helenką?

– Ej, ale... – zaprotestował Kubík niemal urażonym tonem – Bartošová jest spoko. Przy niektórych kawałkach można się naprawdę fajnie pobujać.

Zapaliło się zielone światło i kolumna aut w końcu ruszyła z miejsca. Sunęli powoli Pavlovicką, szeroką ulicą, przy której stały parterowe, w większości zaniedbane domy. Zjazd na Svatý Kopeček w końcu uwolnił ich z korka, Edelweiss włączył niebieskie światła, rozpędził się, wrzucił czwórkę i ruszył w kierunku celu.

6

Wielka Sowa i dowódca jednostki inspektor Šupina dotarli na miejsce jako ostatni. Do zoo zaczęli już ścierać ciekawscy, fama o tragicznym zdarzeniu i przyjeździe policji rozniosła się lotem błyskawicy. Na parkingu czekała obsługa zwierzyńca, której nie wpuszczono na poranną zmianę, a droga dojazdowa do pracowniczej portierni zastawiona była z obu stron służbowymi autami. Całą przestrzeń ogrodzono taśmą policyjną, której pilnowali umundurowani funkcjonariusze z ponurymi twarzami. Było jasne, że sytuacja jest poważna. Marie Výrová i jej szef podjechali pod wejście dla pracowników, ocienione wiekowymi sosnami.

Kiedy tylko wyszli z auta, w drzwiach portierni pojawił się Edelweiss w letniej, czerwono-białej koszuli w kratę i lekkich, jasnych, płóciennych spodniach. Marie pomyślała, że wygląda bardziej jak turysta w uzdrowisku niż policjant na służbie. Zza jego pleców wyłonił się spocony David Kodet, który dołączył do niego i Kubíka po drodze, i obaj wyszli naprzeciw przełożonym.

– Dzień dobry – powiedzieli unisono, jakby wcześniej przećwiczyli powitanie.

Šupina kiwnął głową.

– Dzień dobry – odpowiedziała Wielka Sowa. – Co dla nas macie?

– Morderstwo. František Rampula, lat sześćdziesiąt trzy – poinformował Kodet.

– W nocy na teren ogrodu wtargnęło pięciu mężczyzn – zaczął Edelweiss. – Napadli na portiera, pracownika ochrony i opiekuna, który

miał dyżur w tej, no... jak się mówi na szpital dla zwierząt? – Spojrzał pytająco na Kodeta.

– Lecznica – odpowiedział tamten.

– Właśnie – potwierdził Edelweiss. – Według zeznań przyjechali dwiema furgonetkami i... – Pokręcił głową, jakby wahał się wypowiedzieć kolejne słowa. – Wywieźli trzy niedźwiedzie.

– Niedźwiedzie? – dopytała z niedowierzaniem Marie.

Kodet przytaknął.

– A ten denat? – zapytała.

– Portier – wyjaśnił Kodet.

– Dobrze, spójrzmy na to – odezwał się w końcu inspektor Šupina.

Miejsce zdarzenia opuszczali właśnie dwaj technicy kryminalistyki: Kaplan i Pur. Cyril Kaplan uprzejmie się przywitał, a jego wiecznie milczący asystent jak zwykle udawał, że nie dostrzega ludzi wokół siebie.

– Zbrodnia w zoo, co za okropieństwo – zaczął bez zbędnych wstępów podinspektor Kaplan. – Miejsce publiczne, wszędzie pełno ludzi. Wrócimy tu jeszcze. Teraz idziemy do lecznicy, ale powiem wam od razu: cudów nie oczekujcie.

– Mamy świadka – poinformował przełożoną Kodet, a na poparcie słów Kaplana dodał: – Twierdzi, że wszyscy sprawcy mieli rękawice.

– A podał jakieś rysopisy? – zwrócił się do Kodeta Šupina.

– Podobno nosili czarne kominiarki.

Zniecierpliwiony Kaplan spojrzał na asystenta.

– Naturalnie zebraliśmy dużo materiału – zapewnił. – Przyjrzymy się w pierwszej kolejności sznurom i kneblom, którymi obezwładnili ochronę. No i temu opiekunowi. Ale... jak już powiedziałem, jestem dość sceptyczny.

– Dzięki, podinspektorze – odprawiła go Marie i skierowała się w stronę portierni.

Budyneczek był z trzech stron przeszklony i przechodni. Biurko portiera znajdowało się z tyłu pod ścianą, przy szklanych drzwiach na zaplecze. Na starym biurku stał nieodłączny monitor z kablami, których końce znikwały pod blatem, obok niego telefon, w rogu pilot do bramy, wczorajsza gazeta, książeczka z sudoku, a przy niej długopis z logo zoo. Właściciel tych wszystkich przedmiotów leżał na podłodze, przykryty białym prześcieradłem. Za biurkiem, na krześle obrotowym siedział nobliwy lekarz medycyny sądowej Anděl i czekał na Wielką Sowę, bo wiedział, że śledcza chce dostać informacje z pierwszej ręki. Przed nim, w woreczkach do zabezpieczania materiałów dowodowych, leżały inhalator i okrągłe szaro-niebieskie plastikowe pudełko.

Do małego pomieszczenia wpadało przez okno ostre, poranne słońce, w którego promieniach widać było wirujący w powietrzu kurz i smugi na szybie. Šupina z Výrovą weszli do środka, Edelweiss i Kodet zatrzymali się w drzwiach.

– Cześć, Marie! Dzień dobry, panie inspektorze!

Lekarz wstał z fotela i podał obojgu rękę. Następnie pochylił się nad zwłokami i uniósł kraniec płachty. Leżał pod nią siwawy mężczyzna z ustami zalepionymi grubą warstwą taśmy klejącej. Miał otwarte oczy i Marie zobaczyła w nich trwogę, jaką musi czuć człowiek w obliczu śmierci. Doktor Anděl zakrył denata i zwrócił się do śledczych:

– Przyczyna zgonu wydaje się na tę chwilę oczywista. Zmarły chorował na ciężką postać astmy. W jego kieszeni znaleźliśmy ventolin, a w szufladzie biurka seretide. Standardowe leki dla astmatyków. Kiedy założono mu knebel, udusił się. Dokładniej rzecz biorąc, najpierw doznał wstrząsu, a potem się udusił.

Spoglądali na kontur okrytego ciała.

– Sekcja da nam więcej informacji – dodał. – Jeśli chodzi o czas zgonu, podejrzewam, że nastąpił między północą a pierwszą. To by się zgadzało z godziną napadu, którą podał pan sierżant.

Kodet pokiwał twierdząco głową.

– Dzięki, doktorze – powiedziała Marie.

Anděl przeleciał wzrokiem zebranych.

– Jeśli nie jestem już potrzebny, każę odwieźć zwłoki i sam też już pojedę.

Wyszli na podwórze ocienione pobliskim lasem. Portiernia przechodziła płynnie w rozległe zabudowania gospodarcze, ciągnące się z obydwu stron wzdłuż całego placu. Zaraz naprzeciwko, ściśnięte na niewielkiej przestrzeni, znajdowały się rozdzielnia prądu i wiata dla rowerów. Wyasfaltowane podwórze służyło jako parking dla kilku mikrociężarówek i traktora z przyczepą. Z kolei za portiernią, jedna przy drugiej, stały dwie równiutko zaparkowane ciuchcie dla zwiedzających. Do bocznej ściany parterowego budynku w lewej części podwórza przylegały woliery; przy pierwszej z nich stał Adam Kubík i z pełnym służbowym zaangażowaniem przesłuchiwał białego kakadu, ptak zaś powtarzał po nim każde zdanie, rezolutnie przechylając łebek raz w jedną, raz w drugą stronę. Trochę dalej, pod czujnym okiem sztywnego jak deska policjanta mundurowego tłoczyła się grupka pracowników zoo. Edelweiss, który często przyjeżdżał tu z dziećmi, obserwował z ciekawością stado gibkich, majestatycznych żyraf w trakcie porannego spaceru z dala od pawilonu, na wybiegu nieopodal podwórza.

Z letargu wyrwał go głos inspektora Šupiny.

– Potworna śmierć. Ale wiele zależy od psychiki. Mój brat też ma astmę. Kiedy wie, że ma pod ręką leki, nic się nie dzieje. Ale kiedy tylko

się zorientuje, że zostawił inhalator w domu, to koniec. Natychmiast zaczyna się dusić.

– Kto go znalazł? – zapytała Kodeta Wielka Sowa.

– Pierwszy opiekun, który przyjechał na zmianę. Czeka w biurze.

– Przeprowadź mi go – nakazała.

David kiwnął głową i ruszył do zbawienego cienia jednego z budynków.

– Ustaliliśmy – zaczął komisarz Edelweiss – że sprawcy związali portiera i po cichu wjechali na teren zoo. Pozostała dwójka poszkodowanych wyszła z napadu bez szwanku, jeden jest trochę wychłodzony i pokąsany przez owady, bo zostawili go w krzakach. Przypuszczamy więc, że w przypadku portiera mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem. Nie planowano morderstwa.

– To doda otuchy bliskim zmarłego – zauważył Šupina.

– No ale co z tymi trzema niedźwiedziami? – chciała wiedzieć Marie.

Pavel wzruszył ramionami.

– Ukradli je, tyle na razie wiemy. Czy można to uznać za motyw... – powiedział, rozkładając bezradnie ręce. – Dyrektor w asyście dwóch opiekunów robią właśnie obchód i sprawdzają, czy nie zaginęły inne zwierzęta.

Z budynku biurowego za portiernią wyłonił się Kodet w towarzystwie rosłego pięćdziesięciolatka. Marie, Edelweiss i Šupina zwrócili spojrzenia w ich stronę.

– To jest pan Radoslav Vimmer – przedstawił mężczyznę Kodet. – On znalazł rano ofiarę.

Wielka Sowa i Šupina przywitali się z nim bez słowa. W zaistniałej sytuacji zwrot „dzień dobry” wydał im się niestosowny.

– Podinspektor Výrová, inspektor Šupina – kontynuował przedstawianie Kodet.

– Jak blisko znał się pan ze zmarłym? – zapytała Marie.

– Byliśmy kolegami przez wiele lat. Pracował u nas, niech policzę... coś ze trzydzieści lat. Już niedomagał, nie mógł nic robić przy zwierzętach, więc przenieśli go na portiernię.

– Miał rodzinę?

Vimmer nie mógł opanować łez.

– Żonę i dwie córki. Jedna z nich jest w ciąży z drugim dzieckiem. Boże, kiedy Vlasta to usłyszy... František nie mógł się doczekać kolejnego wnuka. Straszna tragedia. Czy naprawdę musieli go zabijać? – Spojrzał na Marie bezradnie, jakby oczekiwał od niej wyjaśnienia.

– Potrzebny nam będzie adres pana Rampuli. Musimy powiadomić rodzinę.

– Przyjaźniliśmy się wiele lat, nie tylko w pracy. Wolałbym, żeby Vlasta, to znaczy żona Franty, dowiedziała się tego od mnie. Czy możemy tak zrobić? – zapytał Vimmer.

Do rozmowy włączył się sam inspektor.

– To ja może pojedę z panem. To, co zobaczyłem dotąd, na razie mi starczy, nie będę wam się tu kręcił pod nogami.

Marie pokiwała głową.

– Czy coś niezwykłego zwróciło pana uwagę dzisiaj rano?

– Brama była zamknięta. Przyjechałem pierwszy. Franta nie otwierał, więc poszedłem sprawdzić, co się dzieje... – W tym momencie rozplakał się na dobre i odwrócił głowę.

Wielka Sowa odczekała chwilę, a potem pytała dalej:

– Wiem, że jest panu ciężko. Ale proszę mi powiedzieć, czy w ostatnich dniach działo się tu coś podejrzanego?

– Niczego nie zauważyłem – odparł Vimmer.

Pożegnali się, po czym Šupina odprowadził roztrzęsionego opiekuna w stronę wejścia do zoo.

– Morderca zamknął za sobą bramę – skonstatował Edelweiss. – Zapewne nie chcieli ściągać na siebie uwagi.

Marie włożyła ręce do kieszeni i w zamyśleniu wpatrywała się w asfalt podwórza.

– Dlaczego te niedźwiedzie były w lecznicy?

– Przewieźli je tam wczoraj w ciągu dnia. Wszystkie trzy miały ostrą biegunkę i wymiotowały. Postanowili umieścić je w izolatce, bo mają wspólny wybieg z wilkami. Bali się, że to coś zakaźnego – wyjaśnił komisarz.

– I co im wyszło z badań? – kontynuowała Výrová.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nic. Opiekun powiedział, że to chyba z powodu karmy.

– Musimy go jeszcze raz zapytać. I sprawdzić wszystkich pracowników. David, załatw mi listę. Z zaznaczeniem, kto był wczoraj obecny.

Przed wejściem do lecznicy Cyril Kaplan, w milczącej obecności mrukliwego Rudolfa Pura, klócił się ze smagłym, szczupłym czterdziestopięcioletkiem w szortach i koszulce z plecakiem zarzuconym na jedno ramię. Marie bodaj pierwszy raz w życiu widziała szefa techników naprawdę wkurzonego. Kędzierzawa głowa podskakiwała na rachitycznej szyi, głos mu się trząsał, a przy wymawianiu głosek „s” i „z” wyrzucał z ust kropelki śliny.

– Czy pan nie rozumie, że tu popełniono przestępstwo? Trzeba zabezpieczyć materiał biologiczny, a pan może go zabrudzić i zniszczyć ewentualne dowody!

Pracownik zoo twardo obstawał przy swoim:

– Człowieku, zrozum, to są żywe stworzenia!

– Proszę dać nam godzinę – złagodził ton Kaplan, gdy zobaczył nadchodzącą Výrovą.

– O co chodzi, panie podinspektorze? – zapytała Marie.

Zamiast niego, odpowiedział mężczyzna w szortach:

– To pani nimi kieruje? Nazywam się Toman, jestem weterynarzem. Próbuję temu... waszemu człowiekowi wytłumaczyć, że muszę iść do zwierząt. Dać im wodę, skontrolować stan zdrowia. Założyć opatrunek gibbonowi.

– To taka mała – wyjaśnił szeptem Pavel.

– Wiem, co to jest gibbon. Na jakim jesteście etapie? – zwróciła się do Kaplana Výrová.

– Dopiero zaczęliśmy.

– Panie doktorze... – Marie spojrzała na weterynarza życzliwie i wyrozumiale, ale przy tym nieustępliwie. – Mamy do czynienia z poważnym przestępstwem. Człowiek stracił życie. Na ten moment najważniejsze jest dokonanie oględzin w miejscu zdarzenia i zabezpieczenie dowodów.

Na twarzy Tomana pojawił się grymas charakterystyczny dla człowieka, który przywykł do wydawania poleceń, a nie ich wykonywania.

– Myślę, że to ja lepiej się znam na potrzebach zwierząt – odparował.

– Moja propozycja jest następująca – ciągnęła Marie pojednawczo, rozumiała bowiem argumenty weterynarza. – Nasi ludzie przeprowadzą podstawowe oględziny, a my w tym czasie porozmawiamy. Potem zapewnimy państwu dostęp do zwierząt.

– Czy jest tu miejsce, gdzie da się w spokoju rozmawiać? – zapytał Edelweiss.

Wyraźnie nabuzowany weterynarz poprowadził ich z powrotem przez podwórze do budynku dyrekcji, drewnianego wolnostojącego domku. Sekretarka udostępniła policjantom i lekarzowi małą salę konferencyjną, sąsiadującą z gabinetem dyrektora. To na prośbę komisarza Edelweissa, który chciał, by wskazała im pomieszczenie do przeprowadzenia rozmów z kluczowymi w tej fazie śledztwa pracownikami zoo. Kobieta, doświadczona profesjonalistka, zapewniła, że pan dyrektor nie będzie miał obiekcji. Na odchodnym zaproponowała obecnym kawę, co przyjęli z wdzięcznością. Zostali sami i przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie dobiegającymi z oddali odgłosami zwierząt. Przez korony drzew za oknem przenikało słońce, wypełniając salę zielonkawym światłem.

Komisarz spojrzał na przełożoną, a gdy delikatnie skinęła głową, z tylnej kieszeni spodni wyciągnął notatnik i zaczął go wertować.

– Dobrze, zacznijmy. Potem jeszcze poprosimy, żeby przyjechał pan na komisariat podpisać protokół.

Toman kiwnął głową.

– Dlaczego te trzy niedźwiedzie trafiły do lecznicy? – zainteresował się Edelweiss.

– Wczoraj po południu, około wpół do drugiej, wezwano mnie do wybiegu baribali. Wszystkie trzy miały poważne problemy żołądkowo-jelitowe. Jeden niedźwiedź wymiotował, wszystkie cierpiały na intensywną biegunkę. Jak państwo może wiedzą, w naszym zoo niedźwiedzie i wilki dzielą jeden wybieg, więc postanowiłem przenieść misie do lecznicy. Po pierwsze, żeby je zbadać, a po drugie, żeby nie narazić wilków na zarażenie.

– Jak często dochodzi do takich przypadków?

– Zwierzęta czasem chorują, to naturalne. Problemy żołądkowe zdarzają się w zoo regularnie, bo odwiedzający nie stosują się do zakazów i rzucają zwierzętom jedzenie. Oczywiście nie wliczam w to sadystów, którzy celowo próbują wyrzucić im krzywdę. Koledzy z Pragi znaleźli na wybiegu dla słońi jabłko najeżone gwoździami.

– I co było dalej z niedźwiedziami? – wrócił do tematu Edelweiss.

– Wykonałem badania krwi i kału. Wykluczyliśmy infekcję i zatrucie.

– No więc jaka była przyczyna?

– Przypuszczam, że ktoś podał im środek na przeczyszczenie. Niestety nie mogę tego stwierdzić na pewno, bo niedźwiedzie skradziono.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, do sali weszła sekretarka i sprawnie rozdała siedzącym kawę.

Pavel zaczekał, aż kobieta wyjdzie, i kontynuował przesłuchanie:

– Jaką zastosował pan terapię?

– Podałem im leki i czuwałem, by się nie odwodniły. – Toman przy mówieniu mieszał głośno napój.

– Jak długo planował je pan izolować?

Lekarz odłożył łyżeczkę, wypił łyk kawy i dopiero wtedy wyjaśnił:

– Ponieważ wykluczyłem infekcję, zamierzałem je dzisiaj odesłać na wybieg.

Nonszalancja, z jaką odpowiadał na pytania, działała Edelweissowi na nerwy.

– Kto wiedział o pana zamiarach?

Toman spojrział na Pavla, jakby czytał w jego myślach. Mężczyźni ewidentnie nie przypadli sobie do gustu.

– Trudno powiedzieć. Informowałem o tym opiekuna, który dogląda wybiegu dla niedźwiedzi, pana dyrektora...

– Teoretycznie mogli zatem wiedzieć wszyscy pracownicy? – przerwał mu komisarz.

– Teoretycznie tak. To nie była poufna informacja.

– Podejrzewał pan kogoś o podanie niedźwiedziom środka na przeczyszczenie?

– Nie zastanawiałem się nad tym – odpowiedział weterynarz, jakby uznał, że drażnienie tej kwestii jest poniżej jego godności.

– Kto się zajmuje wybiegiem dla niedźwiedzi?

– Martin Pluskał. Ale ludzi się nie upilnuje... Jeśli ktoś chce coś wrzucić zwierzakom, i tak to robi.

Marie wstała i wyszła na korytarz. Z kieszeni marynarki wyjęła telefon i zadzwoniła do Kodeta.

– Panie Davidzie, proszę mi znaleźć Martina Pluskała. Zajmuje się wybiegiem dla niedźwiedzi i wilków. Niech przyjdzie do budynku dyrekcji,

jesteśmy w sali konferencyjnej.

Gdy wróciła, Toman właśnie kategorycznie kręcił głową.

– ...absolutnie wykluczam, że któryś z pracowników mógłby wyrządzić krzywdę zwierzętom. Pracują tu z pasji, a nie dla pieniędzy. Jak my wszyscy.

Edelweiss mierzył go spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: w pana przypadku mam co do tego wątpliwości.

– Czysto hipotetycznie – wtrąciła VÝrová – gdyby ktoś chciał ukraść niedźwiedzie bezpośrednio z wybiegu, co by mu stało na przeszkodzie?

Toman podrapał się za uchem.

– Po pierwsze musiałby się liczyć z tym, że są tam wilki.

– Nie zamykacie ich na noc? – dopytała.

– Dlaczego mielibyśmy je zamykać? – zdziwił się Toman.

Marie wzruszyła ramionami i dopiła kawę.

– Poza tym – wyjaśniał dalej lekarz – przestrzeń dla zwiedzających jest znacznie lepiej strzeżona. Przy niektórych wybiegach są kamery. Dostęp do niedźwiedzi jest dość skomplikowany, także z powodu konstrukcji samego wybiegu.

– Rozumiem – skwitowała Marie. – Proszę, żeby sprawdził pan też wyposażenie swojego gabinetu. To znaczy sprawdził, czy nic nie zginęło.

– Jak je stąd wywieźli? – chciał wiedzieć Toman.

– Opiekun twierdzi, że użyli naboju usypiającego – odpowiedział Edelweiss.

Weterynarz pokręcił głową i westchnął.

– Boże.

Marie i Edelweiss pomyśleli w tej samej chwili, że pierwszy raz w czasie rozmowy okazał jakiegokolwiek uczucia względem podopiecznych.

– Jak się panu wydaje, do czego tym ludziom mogą być potrzebne trzy żywe niedźwiedzie? – zapytała Marie.

Toman rozłożył ręce.

– Trudno powiedzieć. Obawiam się, że mogą ich użyć jako zwierzyny łownej. Niektórzy nowobogaccy mają takie fanaberie, chcą mieć w domu trofeum... U nas polowania na niedźwiedzie są zabronione, ale na Słowacji czy na Bałkanach można zdobyć specjalne zezwolenie na odstrzał. Może o to im chodziło.

8

Dyrektor ogrodu zoologicznego Petr Lysák musiał być młodszy od Edelweissa, ale charyzmatyczna aura, jaką roztaczał, i pewność siebie nie pozostawiały wątpliwości, że na swoim stanowisku czuje się jak ryba w wodzie. Wysoki, żylasty brodacz w sportowej koszulce, płóciennych spodniach i sandałach (bez skarpet!) wkroczył do pokoju i przez chwilę zastanawiał się, gdzie ma usiąść, bo na ogół zajmował honorowe miejsce. Edelweiss z Výrovą wybrali dla siebie krzesła w połowie stołu, więc ostatecznie usiadł naprzeciwko nich. W drzwiach za jego plecami ponownie stanęła sekretarka.

– Petr, przynieść ci kawę albo coś?

– Tylko trochę wody – poprosił dyrektor.

– A państwu? – zapytała policjantów.

Oni także zadowolili się wodą.

– I co, panie dyrektorze? Obszedł pan całe zoo?

– Wszystko w porządku, poza tymi trzema nie brakuje żadnego – odpowiedział Lysák. – Ale... nasi ludzie muszą wrócić do pracy, nie możemy zostawić zwierząt bez opieki.

Výrová pokiwała w zamyśleniu głową.

– Dobrze. Skoro zaginęły tylko misie... Ale portiernia i gabinet weterynaryjny będą na razie zamknięte.

Dyrektor nie protestował, a Edelweiss zadzwonił do Kodeta i kazał mu wszystko załatwić.

– Miał pan już taką sytuację? – zapytała Marie.

– Nie. To znaczy, zdarza się, że jakieś zwierzę zaginie, bo po prostu uciekło... Ale to, co się stało w nocy, jest zmorą wszystkich ogrodów zoologicznych. Odkąd Chińczycy, czy ogólnie Azjaci, zaczęli się bogacić, rośnie tam popyt na kość słoniową, proszek z rogu nosorożca i wszelkie szarlatańskie ekstrakty ze zwierząt, przeważnie tych najbardziej zagrożonych gatunków.

– Znamy przypadki odpiółowywania rogów spreparowanym nosorożcom w zamkowych muzeach – dodał Pavel.

– Właśnie to mam na myśli. Prędzej czy później kłusownicy zaczną polować na nosorożce bezpośrednio w zoo – kontynuował z goryczą Lysák.

– Brzmi absurdalnie, ale zyski z procederu są ogromne, a odważni na pewno się znajdują. U nas na szczęście nie ma nosorożców ani słoni, ale gdyby wczoraj ktoś mi powiedział, że ukradną nam niedźwiedzie, uznałbym go za wariata.

– Jakie macie zabezpieczenia? – Marie skorzystała z okazji i podjęła wątek, który ją interesował.

– Jesteśmy w zoo, nie w więzieniu. Czyli głównie ogrodzenia. Plus kilka kamer w przestrzeni dla zwiedzających. Do tego całodobowy monitoring, ale tak dużego terenu nie da się kontrolować w całości.

– Naturalnie – zgodziła się, nie chcąc budzić w dyrektorze podejrzeń, że ma w tej kwestii inne zdanie. – Domyśla się pan, do czego innego niż polowanie te niedźwiedzie mogą być potrzebne złodziejowi?

Lysák pokręcił głową.

– Wolę sobie tego nawet nie wyobrażać. Najbardziej optymistyczny wariant to jakiś szajbnięty prywatny hodowca. Inna opcja: ktoś chciał sobie sprawić elegancki dywanik przed kominek. Niektórzy uważają też za rarytas pieczoną niedźwiedzią łapę.

– A obrońcy zwierząt? – rzuciła Marie.

– To my jesteśmy obrońcami – obruszył się dyrektor.

– Miałam na myśli tych bojowo nastawionych? Nie macie z nimi problemów? – sprecyzowała pytanie.

– W dzisiejszych czasach większość ludzi rozumie, że ogrody zoologiczne odgrywają nieocenioną rolę w ochronie i opiece nad zwierzętami. My tu nie testujemy lekarstw czy kosmetyków. Czasem się odezwie jakiś świr, ale animalsi koncentrują się na innych miejscach. Cyrkach, laboratoriach, hodowlach przemysłowych. – Cisza. Gdy dyrektor zorientował się, że śledczy nie wiedzą, o co by tu jeszcze zapytać, skorzystał z okazji, by rozwinąć poprzednią wypowiedź. – Każdy, kto zajmuje się zawodowo hodowlą i ochroną zwierząt jak ja, musi się mierzyć z przypadkami, które przechodzą wszelkie pojęcie. Ludzkie okrucieństwo wobec zwierząt nie zna granic. Aż dziw bierze, że po tylu stuleciach trzebienia przyrody ciągle jeszcze mamy jakąś faunę. A do tego ten biedak Rampula – dodał, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że prócz niedźwiedzi stracił także pracownika.

Marie westchnęła. Rozmowa z Tomanem jasno określiła krąg podejrzanych. Pozostawało tylko powiedzieć o tym dyrektorowi.

– Proszę pana, zebrane przez nas informacje sugerują, że sprawcy musieli być bardzo dobrze zorientowani w tutejszych warunkach.

Lysák pokręcił głową.

– Nie ma takiej opcji.

– Musimy przesłuchać praktycznie każdego pracownika.

– Jak możemy sprawdzić, czy wszyscy przyszli dzisiaj do pracy? – zapytał Edelweiss.

– Sekretarka będzie wiedzieć.

– Czy któryś z podwładnych sprawiał panu problemy? – dopytywała Výrová.

- Nie. A już na pewno nie w ostatnim czasie.
- Dobrze. Gdyby pan sobie coś przypomniał...
- Oczywiście – przytaknął dyrektor. – Wiem, że w zaistniałej sytuacji może to zabrzmieć... hm... cynicznie, ale... Czy możemy dzisiaj otworzyć zoo?

Marie i Edelweiss wymienili się spojrzeniami.

– Jest czerwiec, pełnia sezonu. Przyjeżdżają wycieczki szkolne... – tłumaczył dyrektor i brzmiało to niemal jak przeprosiny.

– Biorąc pod uwagę, że napastnicy działali wyłącznie na zapleczu zoo, nie widzę przeciwwskazań.

Dyrektor Lysák podziękował im z wyraźną ulgą.

Zeznania opiekunów z nocnej zmiany pokrywały się ze sobą.

Pracownik ochrony Klasna około wpół do drugiej w nocy zauważył dwa samochody dostawcze z włączonym silnikiem, ale zgaszonymi światłami, zaparkowane tuż za bramą. Nim zdążył zorientować się w sytuacji, z ciemności wyskoczyło na niego co najmniej dwóch mężczyzn, powalili go na ziemię, związali, a usta zakleili taśmą. Całą noc spędził pod przyczepą ciągnika, dopiero rano wyswobodzili go koledzy. Nie licząc małej, przykrej wpadki, która wynikła z niemożności pójścia do toalety, oraz pokąsania przez komary, stróż nie doznał większego uszczerbku na zdrowiu. Podobnie jak opiekun Jakub Havlíček, który już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka przywykłego do pracy na świeżym powietrzu, bez względu na warunki atmosferyczne. Całą noc spędził na weterynarii, gdzie doglądał niedźwiedzi w izolatce i podawał regularną dawkę antybiotyków dwóm chorym małpom. Napastnicy zaskoczyli go na tapczanie w „kanciapie”; nie miał szansy się bronić, więc po chwili on także leżał na podłodze związany, z zaklejonymi ustami. Liczbę sprawców określił precyzyjniej: było ich trzech, plus jeden usypiający niedźwiedzie, i kierowca, którego nie widział. W zeznaniach podkreślił, że atak rozegrał się w absolutnej ciszy. Stał strapiony przed budynkiem lecznicy, a w jego głosie słychać było zmęczenie, rozpacz i żal. Po tym, jak go związali, mężczyźni wyszli na korytarz i włączyli wszystkie światła. Wyraźnie słyszał skoki i wrzaski gibona. Jeden z napastników kopnął klatkę i krzyknął: „Zamknij się, cholero!”. To jeszcze bardziej rozdrażniło małpę, ale inny z intruzów zaczął bronić zwierzęcia: „Hej, daj jej spokój!”. Ten

sam głos przywołał pozostałych do niedźwiedzi. Havlíček zsunął się z łóżka i doturlał do drzwi, skąd przez korytarz, przez otwarte wejście do izolatki mógł obserwować, co się dzieje wewnątrz. Trzeci z mężczyzn postawił na podłodze walizeczkę i podniósł wieko. Wyciągnął zestaw strzykawek i kilka fiolek. Podniósł głowę, rozejrzał się, a tymczasem z pomieszczenia dochodziły wściekłe pomrukiwania i odgłos nerwowych kroków. Z pudełka wybrał igłę odpowiedniej wielkości i wpiął ją do naboju, który wsunął potem do pistoletu usypiającego.

– To był profesjonalny sprzęt, nie mam co do tego wątpliwości – dodał Havlíček. – Po kolei uspił wszystkie niedźwiedzie.

Pozostali dwaj obserwowali to w milczeniu. Gdy ich wspólnik sprzątał narzędzia, ten, który wcześniej kopnął klatkę z gibonem, w końcu się odezwał:

– Weźmy se jeszcze tygrysa! Pasowałyby na dywanik... – zarechotał.

Wspominając o tym, Havlíček ukrył twarz w dłoniach.

– Rozumiecie państwo, ta bezsilność... straszna. Tak się wtedy bałem. Nie o siebie, domyśliłem się, że nie chodzi im o mnie. Oczywiście nie miałem pojęcia o biednym Františku... Krótko mówiąc, mną się w ogóle nie interesowali. Byłem przerażony tym, co chcą zrobić naszym zwierzacom.

Havlíček pamiętał, że facet od zastrzyków usypiających w ogóle się nie odzywał. W milczeniu spoglądał na zegarek, a potem kiwnął do drugiego głową. Nie widział, co się działo dalej, bo jeden z mężczyzn wyszedł w pośpiechu na korytarz, a związany pracownik zoo musiał energicznie odturlać się spod drzwi. Potem słyszał już tylko zapalony silnik i przez szparę obserwował, jak tamtych czterech wynosi niedźwiedzie na brezentowych płachtach.

– Leżałem tam i w końcu, mimo szoku, chyba też zasnąłem, bo kiedy wróciła mi świadomość, na dworze już świtało...

– Czy zapamiętał pan może coś szczególnego w ich wyglądzie? – spytała Wielka Sowa.

Havlíček się zamyślił.

– No, wydaje mi się, że... różnili się od siebie. To znaczy podzieliłbym ich na dwie grupy. Z jednej strony dwóch przypakowanych kolesi. Ale tak solidnie. I dwóch normalnych, z czego jeden raczej szczupły. Wyglądało na to, że znają teren. Wiedzieli, co robią.

Edelweiss, który wcześniej przesłuchał ochroniarza Klasnę, potwierdził, że ich zeznania są zgodne. Stali przed budynkiem weterynarii. Doktor Toman czekał z niecierpliwością, aż Kaplan i Pur wpuszczą go do środka. Wpatrywał się w mówiącego Havlíčka, jakby słyszał go niewyraźnie i musiał czytać z ruchu warg.

– Panie doktorze, czy macie tu broń usypiającą? – zapytała Marie.

Na twarzy Tomana pojawił się wymuszony uśmiech człowieka, który musi udzielać oczywistych odpowiedzi.

– Naturalnie, to przecież zoo.

– Pokaże nam ją pan?

Pavel otworzył drzwi budynku i zniknął w środku. Marie w towarzystwie milczącego, wyczerpanego Havlíčka oraz najeżonego weterynarza czekała na zewnątrz. Po chwili komisarz dał znak, że Kaplan pozwala im wejść.

– Bogu dzięki! – zawołał teatralnym głosem Toman.

W lecznicy panował przyjemny chłód. Przez cały budynek biegł długi korytarz, którego ściany pokrywała do dwóch trzecich wysokości błyszcząca, zmywalna farba olejna w zielonym kolorze. Po każdej stronie znajdowało się troje drzwi prowadzących do magazynu, pracowni

rentgenowskiej, sali operacyjnej i pooperacyjnej, głównego gabinetu oraz pomieszczenia z klatkami dla chorych zwierząt. Z końca korytarza można się było dostać do izolatki dla dużych zwierząt z osobnym wyjściem na dwór, zamykanym od środka. Stały nadzór nad nią sprawował teraz Kaplan. Pojawienie się nowych ludzi w lecznicy wzmogło aktywność głosową pary małp. Technik skomentował ich zachowanie w niedelikatny sposób, co w Tomanie wzmogło tylko nieskrywaną awersję. Havlíček pokazał im kanciapę, w której spał i gdzie został napadnięty, Edelweiss i Výrová mogli zaś przekonać się na własne oczy, że faktycznie był w stanie obserwować przez korytarz i otwarte drzwi izolatki dla dużych zwierząt, co się dzieje w środku.

– Możemy obejrzyć te sprzęty, panie doktorze? – zwróciła się do weterynarza ponownie Wielka Sowa.

Lekarz bez słowa wszedł do gabinetu, którego głównym wyposażeniem był wielki blaszany stół. Gdy tylko znaleźli się w środku, Marie zauważyła, że w tej części budynku pomieszczenia są przechodnie. Z gabinetu można się było dostać do pokoju z klatkami dla małych chorych zwierząt z jednej strony, i do narzędziowni z drugiej. Kiedy jednak zajrzała do małp (hałaśliwie reagujących na zakłócanie im spokoju), nie zobaczyła kolejnych drzwi, co znaczyło, że izolatka dla dużych zwierząt była dostępna wyłącznie z korytarza. Wróciła do gabinetu. Toman w tym czasie podszedł do stołu w rogu, przy oknie. Żaluzje były opuszczone, przez podniesione lamele wpadały jednak do środka smugi jaskrawego światła słonecznego. Toman wysunął górną szufladę i wyjął z niej metalową kasetkę (rzucało się w oczy, że nie była zamknięta), wyciągnął z niej klucz, którym następnie otworzył masywną blaszaną szafę w przeciwległym rogu pomieszczenia, tuż za drzwiami. W środku znajdowały się przymocowane do stojaków dwie strzelby usypiające, a niżej, w przegródkach, trzy pistolety i

dotatkowe akcesoria. Po wewnętrznej stronie drzwi przyklejona była biurowa koszulka ze spisanim inwentarzem. Toman szerokim gestem zachęcił Výrovą i Edelweissa, by zajrzeli do środka.

– Brakuje czegoś?

– Nie – odparł weterynarz.

– Czego by pan użył na niedźwiedzia? – zapytał Edelweiss.

– Strzelby. Ale z bliskiej odległości wystarczyłby pistolet. Zależy od grubości igły. Na strzelbę trzeba mieć pozwolenie, na pistolet nie. Tyle że można go kupić tylko od wyspecjalizowanych dostawców sprzętu weterynaryjnego. Szanujące się sklepy rejestrują każdy zakup.

– Czy taką broń może nabyć ktoś spoza branży? – zainteresował się komisarz.

– Proszę zajrzeć do internetu. Przy odrobinie szczęścia znajdzie pan kogoś, kto panu sprzeda, łącznie z akcesoriami – odparł gorzko lekarz. Trudno było stwierdzić, czy Toman ma pretensje do systemu, który umożliwia tego typu praktyki, czy do przedstawiciela policji, która temu nie przeciwdziała. Weterynarz wyjął z szafy komplet akcesoriów i położył je na wielkim, blaszanym stole diagnostycznym. – Trzeba wybrać odpowiednio dużą ampułkę ze środkiem usypiającym i grubą igłę. Na niedźwiedzia użyłbym sześćdziesięcimilimetrowej.

– A jakiej substancji?

– Bo ja wiem – wzruszył ramionami Toman. – Usypiaczy i znieczulaczy mamy w weterynarii całe mnóstwo. Musiałbym znać wagę niedźwiedzia, dawkę dobraćbym zgodnie z przeznaczeniem środka i wagą zwierzęcia.

– Nie zginęło panu coś z gabinetu?

– Na ten moment nie wiem. Ale wszystko mam spisane w inwentarzu. Zakupy i wykorzystanie preparatów. Mogą państwo sprawdzić.

– W porządku...

– Nalegam – burknął ze złością Toman. – Żądam przeprowadzenia inwentaryzacji w moim gabinecie. Koledzy twierdzą, że podejrzewacie nas, pracowników. Że niby ktoś od nas jest w to zamieszany. Dla mnie takie oskarżenie jest absolutnie...

– Dobrze – odpowiedziała spokojnie Marie. – Ale będziemy musieli zaplombować gabinet i magazyn.

– Na jak długo?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, panie doktorze – wyjaśniła Wielka Sowa. – Zabito pana kolegę. Proszę się nie zachowywać jak ofiara nękania.

Edelweiss wyszedł na zewnątrz, żeby poszukać młodszego kolegi Milana Purkyněgo i rozkazać mu dokładne oględziny sprzętów weterynarza. Toman kiwnął ręką.

– Musimy tylko nakarmić zwierzęta i podać im leki.

Kwadrans później siedzieli ponownie w sali konferencyjnej w budynku dyrekcji. Sekretarka znów przyniosła zimną wodę, a Kodet przyprowadził Martina Pluskała, opiekuna wybiegu niedźwiedzi i wilków. W otwartym oknie powiewała na ciepłym wietrze firanka, do wnętrza docierał głośny szum lasu i przytłumione, niejednorodne odgłosy z zoo. Pluskał, ubrany w koszulkę z firmowym logo na piersiach i plecach, mocno się pocił. Z kołnierza wystawała długa, kojarząca się z żyrafą szyja o wydatnej, niedokładnie ogolonej grdyce. Pojedyncze kępki zarostu na brodzie sugerowały, że sztukę golenia opanował dość pobieżnie. Za to z policzkami obszedł się przed wyjściem do pracy bezlitośnie, o czym świadczyły trzy zaognione, świeże strupy.

– Poinformowano nas, że jest pan nadzorcą niedźwiedzi – zaczął Edelweiss rzeczowo.

– Opiekunem – poprawił go pracownik zoo, ale tak nieśmiało, że komisarz musiał poprosić o powtórzenie. Pluskał odchrząknął. – Używamy raczej słowa „opiekun”, a nie „nadzorca”.

– Aha. No więc, jest pan nim?

– Kim?

– Opiekunem niedźwiedzi.

– Tak, jestem.

Obgryzionym palcem podrapał się po twarzy i zdarł jeden ze strupów. Marie wyjęła z torebki zawieszanej na oparciu sąsiedniego krzesła opakowanie chusteczek higienicznych i podała mu jedną. Ten ruch wyraźnie przestraszył mężczyznę, jakby zobaczył na stole przed sobą

kajdanki. Wielka Sowa zasygnalizowała gestem, że facet ma na policzku dużą kroplę krwi. Pluskał przyjął chusteczkę roztrzęsioną dłonią, ale zamiast wytrzeć czerwoną plamkę, tylko ją rozmazał.

– Proszę się nie obawiać – zwróciła się do niego łagodnie Wielka Sowa.
– Musimy po prostu ustalić, co się stało w nocy.

– Byłem w domu – zapewnił pospiesznie Pluskał, międląc w rękach chusteczkę.

– Doskonale – pochwalił go Edelweiss. – Co pan nam może powiedzieć o tych niedźwiedziach?

– Niedźwiedź czarny, baribal. Najmniejszy gatunek północnoamerykański. To są nasze misie. Mamy jeszcze malajczyki, ale one są w innym wybiegu i...

– Domyśla się pan, co mogło spowodować nagle problemy z trawieniem u wszystkich trzech?

– Nie mam pojęcia. Wczoraj o jedenastej dostały normalną porcję jedzenia. Niedźwiedzie są wszystkożerne, więc daliśmy im owoce. I sałatę lodową. Uwielbiają ją.

– To pan je karmi?

Struny głosowe Pluskała najwyraźniej dotknął nerwowy paraliż. Mężczyzna rzucał stropione spojrzenia to na Edelweissa, to znów na Vyrova, drobiąc przy tym zakrwawioną chusteczkę na strzępki.

– Tak czy nie? – dopytywał komisarz.

– Tak – wydukał w końcu. – Nie widziałem nic podejrzanego.

– A co mogło spowodować problemy trawienne?

Pluskałowi z nerwów i stresu zadrżał głos.

– Ludzie.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział spokojnie Pavel.

Opiekun znowu odchrząknął.

– Ktoś z odwiedzających mógł im coś wrzucić. To się zdarza na otwartych wybiegach. – Włożył strzępki chusteczki do kieszeni spodni.

– Wiem, słyszeliśmy już o tym – przytaknął policjant.

– Tak. – Pluskał pokiwał głową.

– Przynieść panu wody? – włączyła się do rozmowy Marie.

Opiekuna to nieoczekiwane pytanie bardziej przstraszyło, niż ucieszyło, i odmówił stanowczo, jakby obawiał się, że przyjęcie od niej szklanki płynu skaże go na dożywotnie więzienie.

– Kto podjął decyzję o przeniesieniu niedźwiedzi do lecznicy? – ciągnął Edelweiss.

– Pan doktor Toman.

– Czy to standardowa procedura?

Pluskał wzruszył ramionami.

– Czy to oznacza „tak”?

– Tak ocenił sytuację pan doktor.

– Czy pan podzielał tę ocenę?

Pytanie go zaskoczyło.

– Tak – odpowiedział po krótkim namyśle.

– Kto wiedział, że niedźwiedzie są poza wybiegiem?

– Ja i pan doktor. Musieliśmy też zawiadomić dyrekcję. Właściwie to wszyscy mogli wiedzieć. Przewoziliśmy niedźwiedzie przez połowę terenu zoo.

– Czy rozmawiał pan o tym z kimś spoza ogrodu zoologicznego?

Także to pytanie skonfundowało opiekuna na tyle, że nie był w stanie odpowiedzieć.

– Tak czy nie? – nastawał Edelweiss.

– Nie – odparł w końcu Pluskał. – Nikomu o tym nie mówiłem. Tylko wieczorem rozmawiałem na ten temat z tatą. Zawsze mu opowiadam, co robiłem w pracy.

– A czy on mógł o tym komuś powiedzieć?

– Nie. Na pewno nie! – zaklinał się Pluskał z nieoczekiwaną stanowczością.

– Jeszcze jedno pytanie: czy w ostatnim czasie w pobliżu wybiegu dla niedźwiedzi nie działo się nic podejrzanego?

– W jakim sensie?

– Pytam, czy nie zauważył pan czegoś nienormalnego.

Mężczyzna znów długo się namyślał.

– Nie. Nie zauważyłem.

– W takim razie dziękuję – zakończył komisarz.

Pluskał siedział jak przykuty do krzesła.

– Może pan iść – wyjaśniła mu grzecznie Marie.

– Aha – ocknął się. – Dziękuję, do widzenia.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Výrová pokiwała z uznaniem głową. Pavel przeciągnął się na krześle.

– Miło spotkać człowieka, który czuje taki respekt przed policją – skomentował.

– Robił sobie z nas jaja, nie? – Marie wpatrywała się w zamknięte drzwi.

Edelweiss się podniósł i wyprostował plecy.

– Nie wydaje mi się. Jego nerwowość nie była udawana. Ale musimy mieć na niego oko. W końcu miał najlepszy dostęp do niedźwiedzi.

– Myślę, że powinniśmy obejrzeć ich pawilon – zasugerowała Wielka Sowa.

Kiedy wyszli z powrotem na podwórze, Edelweiss dokładnie przyjrzał się portierni i otwartej bramie. Przestrzeń odgrodzono policyjną taśmą, powiewającą w ciepłym wietrze. Pilnowali jej dwaj funkcjonariusze w mundurach. Na zacienionym placu pod lasem stało kilka radiowozów. Drogą obok zoo szła para turystów w letnich strojach, zmierzająca najpewniej do ruin kartuzjańskiego klasztoru z czternastego wieku, ukrytych na skalistym pagórku w lasach nad Svatým Kopečkem. Zaciekawieni piechurzy spoglądali przez bramę do wnętrza zwierzyńca, próbując dociec, dlaczego zjechało się tu tyle policji.

Martin Pluskal też kręcił się przed portiernią. Wyraźnie nie spodobał mu się pomysł, żeby policjanci obejrzel niedźwiedziarnię. Nic nie powiedział, ale widać było panikę na jego twarzy. Nie mieli jednak okazji baczniej mu się przyjrzeć, bo całą ich uwagę skupił na sobie Adam Kubík. Dreptał pospiesznie po trawniku przed pawilonem żyraf, lekko pochylony w przód. Ewidentnie próbował nie dotykać uniesionymi ramionami reszty ciała, jakby odparzył sobie pachy. Za nim podążała młoda kobieta z warkoczami w roboczym ubraniu zoo i zanosila się śmiechem. Gdy młody policjant zbliżył się do nich, Marie zorientowała się, że abstrakcyjny motyw na jego czarnej koszulce jest w istocie wielką mokrą plamą.

Kiedy wściekły Kubík zauważył zdziwione spojrzenia Edelweissa i Wielkiej Sowy, wykonał dłońmi zamaszysty gest i rzucił tylko:

- Żadnych pytań!
- Co się... – nie wytrzymał Edelweiss.

Opiekunka zwierzaków znów parsknęła śmiechem.

– Obrzygała mnie lama – jęknął z rozpaczą w głosie Kubík.

Edelweiss przyłączył się do chichotu kobiety.

– Strasznie pan cuchnie – skwitowała niemiłosiernie Marie. – Proszę jechać do domu i się przebrać.

– Jeśli chcesz, mam w aucie czystą koszulkę – wykrztusił Pavel.

– Muszę wziąć prysznic – odpowiedział Adam.

– Zaprowadzę pana do łazienki – zaproponowała przytomnie pracownica zoo.

Pokiwał głową.

– Koszulkę znajdziesz na tylnym siedzeniu – dodał Edelweiss.

Pluskał przez cały ten czas stał z boku i nawet zabawny wypadek Kubíka nie pomógł mu się odprężyć.

– Nie wiem czemu – przerwał ciszę komisarz – ale przypomniła mi się historia ze Spacákem, jak go wtedy napadli w kiblu plebanii w Štěpánovie.

– Nawet o tym nie wspominaj – ucięła ponurym tonem Marie, nie mogąc oderwać wzroku od pleców Kubíka. – Spacák na szczęście odszedł, a limit gamoni w zespole się wyczerpał.

– Jasne, Adam to jednak inna ranga – zgodził się Edelweiss, choć nie wiadomo, co dokładnie miał na myśli.

Odwrócili się do Pluskała, który stał jak w letargu obok, i razem ruszyli w kierunku niedźwiedziarni.

Poprowadził ich asfaltową dróżką ocienioną potężnymi świerkami. Ścieżka łączyła zaplecze zoo z częścią dla odwiedzających, a Marie i Edelweiss z zaciekawieniem rozglądali się wkoło. Po trzech minutach spaceru znaleźli się na tyłach wybiegu niedźwiedzia malajskiego. Ogród został już otwarty, więc przy kłatkach i pawilonach pojawili się pierwsi goście. W towarzystwie wyraźnie przerażonego Pluskała policjanci obesli

azyl koczokodanów, później przestronną woliereę jastrzębi i czapli, a następnie wspięli się po kaskadowej ścieżce na górę, pod opustoszały wybieg niedźwiedzi.

Marie zawsze była zdania, że budynki wiele mówią o swoich właścicielach, ich stosunku do okolicznego krajobrazu i przyrody. Żałowała, że w Ołomuńcu nie stawia się wielu obiektów podobnych do nowej niedźwiedziarni czy jej niedawno wzniesionego „sąsiada” – pawilonu lampartów amurskich. Wybieg dla niedźwiedzi, połączony z nieco większym przybytkiem wilków polarnych, obejmował spory kawałek świerkowego lasu, niezbyt gęstego, za to przenikniętego słońcem. Las schodził ku cienkiej nitce potoku przepływającego przez ogród zoologiczny. W szczytowej części wybiegu znajdował się obłożony drewnem pawilon, dobrze wkomponowany w otoczenie, z drewnianą przybudówką na dachu, wokół której wiodła kilkumetrowa kładka dla zwiedzających.

Marie i Edelweiss przystanęli w tym miejscu, gdzie platforma przechodziła płynnie w górną część kaskady na zboczu wzniesienia, i patrzyli w dół do wnętrza wybiegu. Brudnobiałe wilki, zmęczone upałem, polegiwały między odsłoniętymi przez erozję korzeniami świerków i tylko sporadyczne strzyżenie uszami dla odpędzenia much świadczyło, że w ogóle żyją.

Komisarz przechylił się przez barierkę, by obejrzeć wyjście z niedźwiedziarni na wybieg. Biorąc pod uwagę lokalizację budynku, było oczywiste, że sprawcy musieli w jakiś sposób wywabić niedźwiedzie na zewnątrz. Co więcej, za sąsiednim pawilonem lampartów amurskich teren należący do zoo się kończył, a za ogrodzeniem ciągnęła się zwarta zabudowa domków jednorodzinnych na Svatým Kopečku, z górnych pięter których na pewno widoczne były wybiegi. Gdyby pod niedźwiedziarnię

podjechała w środku nocy ciężarówka, wzbudziłaby niepożądane zainteresowanie.

Milczący Pluskał przez cały czas stał dwa kroki za nimi ze spuszczoną głową. Marie poprosiła, by oprowadził ich po wnętrzu pawilonu.

Wrócili na główną alejkę, obeszlili budynek i ruszyli w dół po wybetonowanym zboczu w stronę wejścia. Pracownik zoo otworzył kluczem blaszane drzwi i zapalił w środku światło. Weszli do ciasnego pomieszczenia, z którego prowadziły kolejne drzwi, wszystko wskazywało na to, że do wybiegu. Elegancki z zewnątrz pawilon przypominał w środku bunkier, urządzony z surową praktycznością. Pod okienkiem koło umywalki stał blaszany stół, na którym przygotowywano pożywienie dla zwierząt. Mała przestrzeń wymagała, by wiaderka, skrzynki, miotły, łopaty i inne niezbędne przybory do sprzątnięcia ustawić w ergonomiczny, przemyślany sposób. Ścianę od strony wybiegu zajmowały półki, na których stały kuchenka mikrofalowa oraz kartonowe i plastikowe pudła. Pluskał przesunął się nieco w bok i wskazał lewą stronę, gdzie pomieszczenie kuchenne przechodziło w zakrzywiony korytarz otaczający część mieszkalną niedźwiedzi. Marie i Pavel zajrzeli do środka: świetlówki sufitowe, trzy wydzielone boksy z rozsuwanymi kratami, na ścianie skrzynka rozdzielcza. Milczący opiekun czekał cierpliwie na koniec oględzin, a potem wyprowadził policjantów na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi.

Na dworze oślepiło ich ostre słońce.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – zapytał.

– Na razie nie – odparł Edelweiss.

– W razie potrzeby wiemy, gdzie pana szukać – dodała Marie.

Pluskał zamrugał kilka razy i pożegnał się. Wielka Sowa i Pavel udali się znowu na miejsce przestępstwa. Poświęcili wystarczająco dużo czasu

zwierzętom, nadeszła pora, by zająć się denatem gatunku homo sapiens.

Dotarcie na miejsce zajęło im trochę czasu. Dolina Bělkovická okazała się dłuższa, niż myślała, do tego ani ona, ani jej kolega nie znali okolicy. W przypadku Kristýny było to zrozumiałe, bo nie pochodziła z tych stron, z kolei Libora Antona najbliższe środowisko mało obchodziło, gubił się w nim bez poczucia wstydu, a krajoznawcza ciekawość i chęć poszerzania wiedzy były mu z gruntu obce. Po pierwszym wspólnym dyżurze Kristýna nadała Antonowi przydomek „chłoptaś” i często zachodziła w głowę, dlaczego podkomisarz Průcha dobrał jej takiego pomocnika. Doszła do wniosku, że przełożony zrobił to z premedytacją: słabowity, ślamazarny Libor, pozbawiony jakichkolwiek intelektualnych ambicji, miał ostudzić jej zapał do pracy i spowolnić postępy w dochodzeniu. Był wysokim mężczyzną o niezdatnych ruchach, z małą głową i pustym wyrazem twarzy, którą sam – wbrew wszelkiej logice – uważał za pociągającą, a na dodatek „upiększył” śmiesznym wąsikiem i zabawną bródką. Za każdym razem, gdy w następstwie fatalnej pomyłki losu znajdował się w okolicy radiowozu i Kristýna widziała go na jednym planie z policyjnym sloganem „Pomagamy i bronimy”, uświadamiała sobie z całą mocą okrutną ironię czy wręcz absurd tego zestawienia... Anton siedział za kierownicą służbowego roomstera, z łokciem opartym na opuszczonej lewej szybie (pełen luz, uśmiechnęła się w duchu na ten widok). Na wąską drogę wzdłuż doliny padało zielonożółte światło, cień lasu mieszał się z promieniami prześwitującego słońca. Kristýnie kolejny raz przyszło na myśl, jak mogłyby wyglądać „pomoc i obrona” w wykonaniu chłoptasia, ale wołała się w tę wizję nie zagłębiać. Na szczęście Wielka Sowa nauczyła ją

asertywności, potrafiła więc sprowadzić Libora do parteru, a on z kolei zrozumiał, że Kristýna jest nie tylko starsza, ale i bardziej doświadczona (ale jeśli pojął, że jest też od niego mądrzejsza, to skrzętnie tę wiedzę ukrywał), w związku z czym zdawał się w pełni na jej decyzje, zwłaszcza gdy wymagały choćby małego wytężenia umysłu. Ponieważ nie wiedzieli, gdzie dokładnie będzie na nich czekać leśniczy Dietrich (a ten cymbał za kierownicą ma zerową orientację w terenie, dodała w duchu), jechali powoli. Opuścili szyby, las majestatycznie szumiał, a nagrzone upałem suche igliwie owiewało ich słodkim aromatem. Wzdłuż drogi płynął potok zarośnięty na brzegach łopianem, gęstymi krzaczkami paproci i kaczeńców, a nad nim, w promieniach słonecznego światła, lśniły metaliczną barwą skrzydła owadów. Pomyślała, że zamiast siedzieć z chłoptasem w aucie, wolałaby tu przyjechać na wycieczkę. W pewnej chwili na jednej z przecinek ukazała się sylwetka mężczyzny w spodniach moro, zielonym podkoszulku i kamizelce w kolorze khaki z tyłoma kieszeniami, że można by w nich zmieścić cały majątek. Człowiek do nich machał. Libor włączył kierunkowskaz, skręcił do lasu i zatrzymał auto.

Półtorej godziny wcześniej leśniczy Dietrich zadzwonił pod numer alarmowy i zgłosił dziwne znalezisko. Zaniepokojony obywatel okazał się być około pięćdziesięcioletnim niewysokim mężczyzną o dużych oczach, sporym nosie i mięsistych wargach, pod którymi ledwie zaznaczała swoją obecność mocno przerzedzona bródka. Był wyraźnie poirytowany, nie wiadomo, czy długim czekaniem na przyjazd policji, czy też z powodów, dla których ją wezwał. Poprowadził ich szeroką leśną drogą, przeoraną oponami ciężkich pojazdów, i z trudem łapiąc oddech, opowiadał o swoich wieczornych obchodach lasu, zagrożeniu pożarem, bezmyślnych turystach rozpalających w upale ogień albo kopających papierosy. W końcu też o tym, jak po zmroku wyszedł na spacer ze swoim jamnikiem i zobaczył na

polanie obok zaparkowane auto terenowe i kręcącego się w pobliżu faceta z łopata. Niestety nie mógł zainterweniować (Kristýna nie wiedziała, jaki rodzaj interwencji wobec typa z łopata w ciemnym lesie mógł mieć na myśli), bo koleś wsiadł do samochodu i odjechał.

– Zapisał pan numery rejestracyjne? – spytała Kristýna.

– Nie, nie mogłem ich odczytać. Było ciemno.

– A zapamiętał markę?

– Terenówka albo coś podobnego – wysapał mężczyzna.

Typowy świadek, westchnęła w duchu.

Opuścili cienistą leśną drogę i wyszli na zalaną słońcem polanę. Wśród bujnej roślinności wystawało z ziemi może dziesięć pieńków, rozrzuconych po całej polaci, nad którą w promieniach słonecznego światła unosiły się miriady owadów – leśnych os, bzygów i trzmieli.

– Stał gdzieś w tym miejscu. – Dietrich zatoczył rękami koło.

Kristýna się rozejrzała. W takiej suszy auto nie mogło zostawić śladów.

– A o co właściwie chodzi? – przeszedł do rzeczy Libor, z którego pot spływał już gęstą strugą, a nos zaczął mu pomału czerwienieć.

Kristýna wyjęła z kieszonki na piersi okulary przeciwsłoneczne i założyła je.

– Już mówię – wyjaśnił leśniczy. – Otóż dzisiaj rano tu wróciłem. Myślę, chłop z łopata, w nocy, w lesie, podejrzan, co? – Zamilkł na chwilę, jakby czekał na aprobatę policjanta. Ponieważ tamten milczał, Dietrich tłumaczył dalej. – Pomyślałem, że to jaki miastowy, co ma tu domek. Jaka to jest czasem hołota, to mi państwo nie uwierzycie. Żadnego szacunku do przyrody, ważne, że u siebie mają trawniczek przystrzyżony. No więc przyszło mi do głowy, że może przyjechał tu jakiś mieszczuch zakopać śmieci, to jest teraz plaga, powinniście ich ścigać. Wziąłem rano psa, trochę pochodziłem, i nie uwierzycie mi państwo, co znalazłem.

Dietrich wyprowadził ich z polany do lasu. Igliwie chrzęściło pod ich stopami. Anton w pewnej chwili zaczepił nogą o korzeń i omal nie wyłożył się na ziemi, na co Kristýna trochę liczyła. Leśniczy mijał dorodne świerki, do wysokości pięciu metrów niemal pozbawione gałęzi, aż w końcu dotarł na skraj niewielkiej jamy...

– Wiecie państwo, ja rozumiem, że ktoś chce pochować zwierzaka, dajmy na to, na skraju polanki, ale żeby coś takiego... – Pokręcił głową wyraźnie wzburzony.

Kristýna stała nad płytkim, odkrytym grobem, w którym leżało obok siebie pięć czarnych worków. Leśniczy rozerwał je rano, aby zajrzeć do środka. Każdy miał dziurę w innym miejscu, z jednego wystawał łeb, z drugiego łapa, a z jeszcze innego psi zad z ogonem. W każdym spoczywał dużej wielkości pies. Ciała nie nosiły śladów rozkładu, a jednak w nagrzanym od upału powietrzu zaczęły się już roić owady.

– Co o tym myślisz, Libor? – zapytała kolegi Kristýna. Była w szoku i zapomniała, że Antona nie warto prosić o opinię w jakiegokolwiek sprawie.

Jego odpowiedź szybko jej to uświadomiła:

– Jak to co? Komuś zdechły kundle.

Kristýna przykucnęła i rozdarła jeden z worków wzdłuż. Zobaczyła mocarną łapę i kanciasty pysk dorodnego rottweilera. Na ciele nie było ran, śladów postrzału czy uduszenia sznurem, jak się to zdarza u zwierząt, których właściciele chcą się ich pozbyć. Ktoś ewidentnie o niego dbał; poza raną w okolicach ucha, zapewne pamiątką po krwawym pojedynku, nic nie wskazywało na śmierć zadaną przemocą. Skąd zatem pięć psów zakopanych w jednym dole? Kristýna uniosła ciężki łeb jednego z nich; martwy zwierzak wciąż miał lekko wyszczerzone zęby, a z pyska zwisał mu bezwładnie suchy, różowy język.

Podniosła się.

– To nie jest normalne, żeby komuś zmarło pięć psów naraz.

Libor Anton rozglądał się dokoła, ale nie z dociekliwością policjanta, tylko z wyrazem znużenia.

– Niczego nie da się wykluczyć – skwitował filozoficznie.

– Wygląda na to, że ktoś je zabił – odparła Kristýna, spoglądając do wnętrza grobu.

Anton wzruszył ramionami.

Z rozmyślań wyrwał ją leśniczy:

– Zamierzacie się tym zająć? Tak przecież nie można, wywieźć do lasu i zakopać...

– Oczywiście, że się zajmiemy – odpowiedziała zdecydowanym tonem.

– Libor, mamy w aucie aparat?

– Mamy – przytaknął.

– To pojedź tutaj, proszę. Najpierw zrobię zdjęcia, a potem je stąd zabierzemy.

Dietrich się uśmiechnął. Pewnie poczuł ulgę, że ma problem z głową.

– Czekaj, chcesz je... tego... do auta? – nie mógł pojąć Anton.

– Owszem – odparła kategorycznie Kristýna.

Libor rozejrzał się dokoła.

– Przecież jesteśmy w lesie...

Spostrzegawczość kolegi nie przestawała jej zadziwiać.

– Zgadza się – potwierdziła.

– Jak mam tu niby podjechać?

– Tak samo, jak przyszliśmy. Drogą.

– A potem? Przecież to jest... – Spoglądał na prześwitującą między drzewami polanę.

– Jakies trzydzieści metrów – obliczył leśniczy.

- Mam je potem zapakować do auta? – wyraził obiekcję Anton.
- Chyba nie chcesz, żebym ja je dźwigała? – zdziwiła się Kristýna.

Libor szukał w myślach kolejnych zastrzeżeń.

- A co, jak złamię półoś na tych wertepach?!

Tym razem to Kristýna nie miała pojęcia, o co chodzi. Wiedziała jednak, że niepewnym siebie facetom warto czasem połechtać ego.

- Na pewno sobie poradzisz. Jesteś niezłym kierowcą.

Niewątpliwą zaletą gabinetu inspektora Šupiny była zamontowana w nim od paru dni klimatyzacja. Narada w związku ze śledztwem ciągnęła się więc w nieskończoność, bo ani Marie, ani Edelweiss nie mieli ochoty wstawać z foteli przy stole konferencyjnym i przenosić się do kiepsko wentylowanych części biura, nie mówiąc o wystawianiu się duchocie na zewnątrz.

– Żona denata potwierdziła, że biedak faktycznie chorował na astmę, i to poważnie – streścił przebieg rozmowy z wdową Šupina. – Jest też przekonana, że nie miał wrogów. Pytałem, czy mąż nie skarżył się w ostatnim czasie na problemy w pracy, ale poza historią o rysiu, który wlaź na drzewo, bał się zejść i musieli go ściągać w czterech chłopa, o niczym innym nie wspominał.

Výrová potarła przemęczone oczy i zrekapitulowała dotychczasowe ustalenia:

– Musiał w tym maczać palce ktoś z pracowników zoo. Po pierwsze złodzieje doskonale wiedzieli, co robią, a po drugie postarali się, żeby niedźwiedzie przeniesiono z wybiegu do... jak się nazywa to miejsce?

– Lecznica – przypomniał jej ospale Pavel. Popołudnie wyzwalало w nim tęsknotę za poobiednią drzemką.

– Co proponujecie? – zapytał szef.

– Zdaje się, że na ten moment nie mamy żadnego materiału dowodowego z miejsca zdarzenia. Technicy jeszcze pracują, ale Kaplan marnie to widzi. Nasi ludzie sprawdzają poszczególnych pracowników. Przesłuchania nic nam nie dały – podsumowała Marie.

Edelweiss z trudem powstrzymał się od ziewnięcia i powiedział:

– Rzecz jasna nie mogliśmy zapytać wprost, czy są w to zamieszani. Czy aby nie dosypali niedźwiedziom środka na przeczyszczenie do karmy.

Teraz to Marie nie dała rady opanować ziewania.

– Jasny gwint! Pobudka, oboje! To nie leżakowanie! Wyjaśniamy zabójstwo! – huknął nagle inspektor.

Edelweiss wyprostował się w fotelu i lekko skinął głową, jakby chciał w ten sposób strząsnąć z siebie ospałość. Marie ponownie przetarła oczy.

– Nie gniewaj się, Jindřich. Ten upał nas dobija.

Šupina spojrział na podwładnych surowo zza szkieł okularów.

– Cóż, śmierć Rampuli musiała być szokiem także dla złodziei. Pewnie są przerażeni, nie chcieli nikogo zabić. Powinniśmy to wykorzystać.

– W sensie, przycisnąć ich, zablefować i poczekać, czy ktoś się na to złapie? – dopytywał Edelweiss.

Wielka Sowa potaknęła.

– Jestem za. Nic nie tracimy, a sprawa może ruszy z miejsca. Osobiście mam podejrzenia wobec tego Pluskala.

– Kogo? – wszedł jej w słowo Šupina.

– Facet od niedźwiedzi i wilków. Wyglądał nerwowo, jakby miał cykora...

– Już dawno nie widziałem, żeby ktoś aż tak się stresował podczas rozmowy z nami... – potwierdził Edelweiss.

– Ja też – zgodziła się Marie. – Jeśli któryś z pracowników jest w to umoczony, obstawiałabym w pierwszej kolejności jego.

Edelweiss pokiwał głową.

– To w sumie logiczne. Był z niedźwiedziami w najbliższym kontakcie.

– Myślicie, że to aż taka banalna historia? – zaoponował Šupina.

– A czemu nie? – odpowiedział mu Pavel. – Śmierć Rampuli nie była planowana. Jeśli chcieli tylko ukraść niedźwiedzie, scenariusz mógł być całkiem prosty...

– Czyli Pluskal. Propozycje? – zwrócił się do nich szef.

Namyślali się przez parę sekund.

Výrová podniosła się z fotela, aby pomóc sobie w walce z popołudniową sennością.

– Przesłuchania jasno dowodzą, że na portiera, stróża i opiekuna rzuciło się kilku mężczyzn. Konkretnie trzech. Plus kierowca. I ten, który uśpił niedźwiedzie. Tego ostatniego typuję na szefa całej szajki i zarazem profesjonalistę, który zna się na zwierzętach.

– Może weterynarz? – zasugerował Edelweiss.

– Niewykluczone, że ktoś z trójki, która miała fizyczny kontakt z ofiarami, jest pracownikiem zoo. Na tym bym się oparła.

– W jakim sensie? – zapytał Šupina.

– Rozpuścimy wśród pracowników zoo pogłoski, że mamy DNA jednego ze sprawców.

Dzień drugi

Piątek 14 czerwca

14

Po wielu latach Pavel, na co dzień wzorowy mąż i ojciec, mógł w końcu zaznać odrobiny spokoju. Potrafił się tym stanem delectować. Żona wyjechała na parę dni z dziećmi, a on został w domu sam. Tęsknił wprawdzie, ale nieobecność rodziny pozwalała mu wieczorami oddawać się formie słodkiego nieróbstwa, którą lubił najbardziej: mościł się w fotelu w dużym pokoju, otwierał butelkę wina, puszczał na adapterze stare wydanie *Dark Side of the Moon*, a potem już tylko siedział (wcześniej odsuwał na bok stolik i drugi fotel, aby jego fotel i dwa głośniki tworzyły idealny trójkąt równoboczny) i napawał się samotnością oraz muzyką. Umiał się cieszyć i jednym, i drugim, jak każdy, kogo na co dzień otacza ludzki gwar. Nikt do niego nie mówił, niczego nie chciał i nie zabraniał siedzenia w fotelu z kieliszkiem wina przy dźwiękach Floydów.

Gdy wieczorem kładł się spać, postanowił nastawić budzik na wpół do szóstej. Dzięki temu rano udało mu się opuścić miasto przed korkami; nad polami unosiła się pomarańczowa luna, a zapowiadane upały jeszcze nie nadeszły. O wpół do siódmej zaparkował auto przy ogrodzeniu z blachy falistej i zapukał do drzwi stróżówki. Portier wyjrzał podejrzliwie przez judasza, kiedy jednak rozpoznał twarz policjanta, otworzył od razu. Edelweiss niczego nie wyjaśniał, poprosił tylko, by mężczyzna wpuścił go do środka i w pojedynkę ruszył na poranny obchód zoo, odtwarzając trasę przebytą wczoraj z Pluskalem.

Pawilony były zamknięte, ale wiele zwierząt spędzało letnie noce i ranki na wybiegach. Nie licząc ptasich trel i egzotycznych wrzasków, których komisarz nie umiał przyporządkować konkretnym gatunkom, w wyludnionym zoo panował spokój. Brak ludzi i względna cisza podziały na niego kojąco. Teren był otoczony lasem, w powietrzu unosił się zapach igliwia, spróchniałego drewna i mchu. Wilki przeciągały się i grzały w porannym słońcu. Jelenie wschodnie, kozice i muflony odrywały łby od paśników i witały Edelweissa zdziwionymi spojrzeniami z rozległego wybiegu. W dali polegiwały żubry i ogromne łosie. Szedł w kierunku przeciwnym do trasy zwiedzania. Kiedy dotarł na wzniesienie z wybiegiem tygrysów syberyjskich, natknął się na pracownicę zoo. Kobieta w firmowej bluzie w kolorze khaki zmierzała do pawilonu zwierząt Ameryki Południowej, a nadejście porannego gościa wyraźnie ją zaskoczyło. Najpierw wydała się przestraszona, po chwili jednak zrozumiała, z kim ma do czynienia.

– Niech mi pan nie mówi, że w nocy znów coś się stało – wykrzyknęła.
Komisarz ją uspokoił.

– Przyjechałem wcześniej i postanowiłem się przejść. Co miesiąc jestem tu z dziećmi, więc chciałem tym razem obejrzeć zoo samemu i w spokoju.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Wiecie już, kto to zrobił? – spytała.

– Na razie nie.

– Co się stało z niedźwiedziami też nie?

– Niestety. Dopiero zaczęliśmy śledztwo – dodał, jakby chciał ją przeprosić za własną nieudolność.

– Hm... – Pracownica rozłożyła bezradnie ręce. – Chce pan zobaczyć tamandę? Mrówkojada? Idę wyprowadzić samicę, może pan dołączy?

Edelweiss zdecydowanie nie chciał przepuścić takiej atrakcji, choć nie bardzo rozumiał, co to znaczy „wyprowadzić mrówkojada”. Kobieta wyjęła z kieszeni klucze, otworzyła pawilon i wpuściła go do środka. Małpki sajmiri tryskały energią od samego rana, a policjant opowiedział, jak przed rokiem jedna z tych nad wyraz żywotnych bestyjek chapnęła go dotkliwie w palec wskazujący. Pokazywał synowi małpę zajadającą jabłko, a zwierzę wysunęło łapę przez szparę w ogrodzeniu, chwyciło go za dłoń i w sekundę przysunęło ją do pyska, by podstępnie się w nią wgrzyźć. Rozmówczyni tylko machnęła ręką.

– Ja raz straciłam czujność i jedna z nich wyrwała mi z głowy kępkę włosów... Proszę za mną. – Otworzyła drzwi do pomieszczenia służbowego.

Przeszli wąską, podłużną przygotowalnią posiłków, w której unosił się zapach dojrzałych bananów. Pod ścianami stały półki wypełnione przez miski, wiaderka i skrzynki, a całą przestrzeń pod oknem zajmował blaszany stół. Opiekunka otworzyła drzwi i weszła do przybytku mrówkojadów czteropalczystych. Pośrodku wznosił się kikut sztucznego drzewa, do którego powtykano grube gałęzie, a na jednej z nich przymocowano drewnianą budkę. Wewnątrz drzemała sobie w najlepsze biała kulka. Pozostałe trzy biało-rdzawo-czarne mrówkojady wielkości cocker-spaniela zajmowały gałęzie. Nadejście kobiety w towarzystwie obcego człowieka wyraźnie je ożywiło.

– Czołem, maluchy! – zwróciła się do nich opiekunka łagodnym, serdecznym tonem, który skojarzył się Pavłowi z głosem jego babci. Po gałęzi zaczął się do niej zbliżać mniejszy osobnik, którego przedstawiła jako półtoraroczną samicę Mínę. W tym czasie najmniejszy z mrówkojadów, jej półroczny brat Bubo, przyglądał się z góry włosom Edelweissa.

– Nie zrobi panu krzywdy – zapewniła. – Niech pan do niej wyciągnie rękę.

Spróbowała ściągnąć Mínę z drzewa, ale ta owinęła wokół gałęzi końcówkę ogona. Kobieta wprawnym ruchem odmotowała węzeł i wzięła zwierzę na rękę.

– No chodź do mnie, chodź – uspokajała ją.

Samica zaczęła ją obwąchiwać szpiczastym ryjkiem, co chwila wysuwała z pyszcza podłużny, sznurkowaty język i lizała opiekunkę po brodzie, nosie, szyi, aż w końcu zanurzyła całą głowę w jej dekolcie.

– Niech go pan weźmie na rękę. – Skinęła w stronę małego samca.

Policjant wyciągnął rękę w jego kierunku, a małe ciekawskie stworzonko natychmiast skorzystało z okazji.

– Uwaga na pazury – ostrzegła, Bubo zaś wspinał się policjantowi po przedramieniu.

Przednie kończyny zakończone były długimi czarnymi pazurami, na szczęście zawiniętymi do wewnątrz, jakby schowanymi w dłoniach. Edelweiss dotknął jednej łapki i poczuł pod palcem jedwabście miękką i gładką poduszeczkę. Bubo wlaź na ramię mężczyzny i zaczął go obwąchiwać. Pavel czuł na szyi i uszach dotyk chłodnego jęczyczka. Lewą ręką ściągnął mrówkojada niżej i trzymał go w ramionach jak dziecko. Samiec przytulił się i zaczął go łaskotać ryjkiem po szyi.

– Proszę się nie bać, nie ugryzie. One nie mają zębów – zapewniła opiekunka.

Edelweiss głaskał mrówkojada i od razu pomyślał, jaką radość taka zabawa sprawiłaby jego dzieciom. Zwierzę miało twardą, szorstką sierść i w odróżnieniu od psów czy kotów było dziwnie sztywne.

– Poniesie go pan? – zapytała kobieta.

– Jeśli mogę, bardzo chętnie.

– Świetnie. W takim razie chodźmy.

Komisarz skinął głową w stronę jasnej kosmatej kuli, która spała w budce między gałęziami.

– To leniwiec?

– Nie. To samiec. Budzi się tylko w porze karmienia – dodała sucho, jakby była to jej zdaniem jedyna cecha osobnicza istot płci męskiej.

Wyszli z pawilonu. Opiekunka z Míną na rękach ruszyła pewnym krokiem w stronę lasu, Pavel zaś podążał ostrożnie trzy kroki z tyłu w obawie, by nie upuścić wierzącego się zwierzęcia lub nie potknąć się o korzeń. Kobieta wyjaśniła mu, że samica, po niedawno przebytej chorobie, przestała jeść, dlatego musi ją zabierać do lasu na „łowy”, bo tylko na świeże mrówki nie straciła apetytu. Przystanęła w lesie obok pawilonu, niedaleko olbrzymiej woliery. Zbliżyła się do spróchniałego pnia i położyła Mínę na ziemi. Edelweiss zrobił to samo z samczykiem.

Mína natychmiast przystąpiła do dzieła. Najpierw dokładnie obwąchała pień, a potem przednimi pazurami zaczęła drapać korę i spróchniałe drewno. Zanurzyła spiczasty ryjek w szczelinie, a policjant widział, jak z jej pyska co chwila wystrzeliwuje cieniutki język.

Brata mrówki ewidentnie nie interesowały. Maszerował wokoło kolebiącym się krokiem, zdierał korę z drzew i wszystko obwąchiwał. W tym czasie Mínie udało się rozdrapać spróchniały pień na tyle, że mogła dosięgnąć jajeczek, co wprawiło ją niemal w ekstazę. Przymknęła oczy, po całej jej mordce biegały spłoszone mrówki, wciąż jednak plądrowała językiem mrowisko. Bubo próbował wspiąć się po konarze młodego buka. Słabe drzewko nie było jednak w stanie udźwignąć czterokilogramowego mrówkojada i zaskoczony samiec wylądował na plecach wśród paproci.

– Ludzie mówią, że podejrzewacie kogoś z nas – zaczęła opiekunka, podczas gdy Bubo próbował podnieść się na cztery łapy.

– Wychodzimy z założenia, że sprawca musiał dobrze znać tutejsze warunki i...

– Wie pan... – zaczęła pracownica, ale przerwała w pół zdania, wskazując ręką na ryjącą w mrowisku samicę. – To jest Mína. To Bubo. Ich matka ma na imię Stella. Dla nas to nie są po prostu mrówkojady. Mają imiona. Stella, Mína, Bubo. Zależy nam, żeby niczego im nie brakowało. Dlatego przychodzę do pracy wcześniej i wyprowadzam je na żerowisko. Chcę, żeby Mína była zdrowa i najedzona... To samo dotyczy niedźwiedzi. Każdy z nich ma imię. Stara samica wabiła się Berta, a te młodsze Tracy i Karel. Proszę zrozumieć, że nie ukradziono nam trzech anonimowych osobników, ale Bertę, Tracy i Karla.

– W każdym zespole może się trafić przysłowiowa czarna owca – odpowiedział Edelweiss i w tej samej chwili uświadomił sobie niezręczność sformułowania. – Zakładamy wprawdzie, że wśród napastników był pracownik zoo, ale to nie znaczy, że jest pani podejrzana. Opieramy się na dowodach, nie stosujemy zasady odpowiedzialności zbiorowej.

– Nie to miałam na myśli... Dla mnie to po prostu zdrada. Jakby wychowawczynie maltretowała dzieci w przedszkolu. – Nagle zmieniła temat. – Musimy wracać, mam jeszcze trochę roboty, a poza tym wezwali nas państwo...

Zaoferowała komisarzowi, że odprowadzi go tylnym przejściem do budynku dyrekcji, a po drodze pokazała jeszcze rodzinę ursonów, stworzeń wyglądających jak dziwaczna krzyżówka bobra z jeżozwierzem. Ich chów w nienaturalnych warunkach jest wyjątkowo trudny, dlatego zwierzęta przebywały tymczasowo poza strefą dla zwiedzających, w specjalnym pomieszczeniu za wybiegiem dla wielbłądów, które śledziły teraz mijających je Edelweissa i opiekunkę właściwym sobie ospałym spojrzeniem. Kobieta zaprowadziła go do budynku dyrekcji, pożegnała się i

ruszyła w stronę magazynu. Nikogo z policjantów nie było jeszcze na miejscu, komisarz usiadł więc na ławce z widokiem na żyrafy i zebry i obserwował pasące się zwierzęta. Rozumiał, o co chodziło opiekunce, gdy mówiła o Bercie, Tracy i Karlu. Domyślał się, że tak rażące złamanie wyznawanych tu zasad, i to przez kogoś z ekipy, traktowała jak osobistą zniewagę. A potem uświadomił sobie, że Martin Pluskał nie nazwał żadnego z niedźwiedzi po imieniu. Nie był pewien, czy ma z tego wyciągać jakieś wnioski, ale utwierdził się w przekonaniu, że z chłopakiem jest coś nie tak.

Spojrzał na zegarek i dostrzegł na grzbiecie dłoni i przedramieniu ślady zadrapań, pamiątkę po pazurach małego mrówkojada. Do tego poczuł, że brzydko pachnie. Miał nadzieję, że Wielka Sowa nie wyłapie smrodku. Było wpół do ósmej, na podwórzu ogrodu zoologicznego zajechał radiowóz.

Wielka Sowa również postanowiła tego ranka wstać nieco wcześniej, bo i jej potrzebna była chwila wytchnienia. Poprzedniego dnia, przez całą drogę do zoo (z powrotem odwiózł ją Pavel) Šupina opowiadał jej z drastycznymi detalami historię wielkiego głodu na Ukrainie, wywołanego na początku lat trzydziestych przez Stalina. Niedługo po objęciu przez inspektora funkcji ich szefa okazało się, że uwielbia on umilać sobie wieczory lekturą książek historycznych, których treść referował systematycznie wszystkim członkom zespołu. Po miesiącu Edelweiss zaczął nazywać te pogadanki „politycznymi szkoleniami kadry”. Marie zastanawiała się, czy Šupina z tą samą werwą poszerza horyzonty swojej żony, czy może zanudza pracowników wykładami właśnie dlatego, że w domu nikt nie chce go słuchać. Jakkolwiek zbrodnie Stalina bez dwóch zdań zasługiwały na potępienie, bardziej obchodziły ją przestępstwa, których sprawcy nie zostali dotąd wykryci. Poprzedniego dnia w aucie przypomniała sobie starą piosenkę Hanka Williamsa, którą śpiewał później Dylan, a którą gwiazda country adresowała proroczo Josifowi Wisarionowiczowi: „Próbował już niemiecki cesarz, a potem Hitler, próbował nawet Mussolini. Teraz wszyscy siedzą wokół ognia, i wiesz co? Trzymają tam dla ciebie miejsce”.

Nie chciało jej się słuchać o sprawach, które jej nie obchodziły. Zdecydowanie wolał pokonać półgodzinną trasę z domu do zoo w absolutnej ciszy. Zamówiła więc sobie podwózkę; dzień wcześniej zadzwoniła do dyspozytorni i kazała po siebie przysłać służbowe auto z kierowcą. Samochód przyjechał punktualnie o siódmej rano (wysoki stopień i autorytet zrobiły swoje), wyskoczył z niego młodziutki

mundurowy i usłużnie otworzył przed nią tylne drzwiczki. Zapytał, czy ma włączyć koguta, na co Marie odparła, że ma jechać spokojnie, przepisowo i milczeć. Kierowca skwapliwie zastosował się do wytycznych, a ona nie musiała się do niego odzywać. Przerwała ciszę dopiero, gdy wjechali serpentynami na szczyt Kopečka: na placyku przed kościołem kazała mu się zatrzymać i chwilę zaczekać.

Na przystanku autobusowym stała grupka porannych pasażerów, zmierzających na dół, do miasta. Marie ruszyła pod górę do bazyliki. Lipy i kasztanowce w parku dawały przyjemny, chłodny cień. Osławione drewniane stoiska, przyklejone od zewnątrz do bocznego muru ambitu, były jeszcze zamknięte. Marie przeszła podcieniami obok kawiarni i znalazła się na wzniesieniu, gdzie kiedyś odprawiał mszę papież. Biało-złota świątynia mieniła się oślepiającym blaskiem na tle krajobrazu. Policjantka usiadła na górnym stopniu szerokich kamiennych schodów, w cieniu jednej z barokowych rzeźb przedstawiających młodych mężczyzn, i głęboko zaciągnęła się porannym letnim powietrzem. Potrzebowała chwili spokoju, by zebrać myśli. Zastanawiała się, co ją dzisiaj czeka, i miała nadzieję, że plan się powiedzie, bo to oznaczało szybkie zamknięcie sprawy, a dla niej możliwość wzięcia urlopu.

Z Kopečku rozciągał się zapierający dech w piersi widok na miasto. Pamiętała jeszcze, jak to wyglądało dawniej, wieże kościołów, trzy kopuły u świętego Michała, iglica ratusza, a dalej na południowym wschodzie, niewyraźna, górowała wieża ciśnień.

W przeszłości na horyzoncie ciągnęła się aleja drzew i wznosiła się aż do sanktuarium, rzucającego w dal żółtą poświatę. Gdy patrzyło się od strony Klášterneho Hradiska, miało się przed sobą doskonały przykład barokowej architektury krajobrazu – aleja z bazyliką tworzyły ogromny krzyż, w którym kościół stanowił poprzeczną belkę, a jego wieża

wierzchołek krzyża. Część alei zachowano, ale przyszłe pokolenia prawdopodobnie jej nie zobaczą. Trasę z Ołomuńca na Svatý Kopeček ma przeciąć obwodnica.

Także panorama miasta z Kopečku straciła już dawny urok. Marie z obrzydzeniem spoglądała na dwa szpetne wieżowce, wzniesione przez miejscowego megalomana o wątpliwym poczuciu smaku, za to z grubym portfelem i wpływowymi znajomymi, którzy pomogli mu w realizacji planów. Nie mogła pojąć, dlaczego władze zgodziły się na postawienie budynków – równie wysokich, co brzydkich – tuż obok historycznego centrum, wiedziała za to, z kim jest skoligacony ich właściciel, więc potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądało forsowanie projektu w magistracie. Awersja, którą budziły w niej oba wieżowce, nie była wyłącznie natury estetycznej: czuła ewidentną niechęć do samego przedsiębiorcy, którego uważała za hochsztaplera, i ciągle doskonale pamiętała sprawę, z powodu której musiała parę razy odwiedzić niesławny budynek RCO przy dworcu głównym.

Marie zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Ciepły, pomarańczowy odbłask przenikał przez jej powieki. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że nie powinna kazać na siebie czekać kolegom w zoo. Kiedy po dziesięciu minutach tam dotarła, wpadła na Šupinę, który raczył właśnie zdumionego dyrektora Lysáka opowieścią o ujęciu Adolfa Eichmanna – najwyraźniej przekonany, że właśnie ta historia jest kluczowa dla rozwiązania aktualnego śledztwa.

Ten dzień nie rozpoczął się najlepiej dla Kristýny Horovej.

Stała przed swoim przełożonym podkomisarzem Průchą i wiedziała, że czeka ją kolejna porcja jego osobliwych żartów. Za biurkiem siedział otyły czterdziestopięciolatek, już teraz zlany potem, choć sezon prawdziwych upałów miał dopiero nadejść. Wielki stołowy wentylator usilnie dawał do zrozumienia, że potrafi wprawdzie rozwiewać papiery po biurku, i to jak!, ale kwaśnawy zapach szefowskiego munduru jest zadaniem ponad jego siły.

Z samego rana Kristýna odwiedziła gabinet wiekowego šternberskiego weterynarza Miloša Zahradníka. Przeszło miesiąc wcześniej musiała razem z Liborem Antonem interweniować u starszego pana, gdy upojone piwem małżeństwo, niezadowolone z cen usług, zdemolowało jego gabinet. Kristýna zademonstrowała wówczas policyjne środki przymusu bezpośredniego, co tak urzekło lekarza (nie wspominając o uroku osobistym interweniującej), że zdecydował się wysłać adresowany do jej szefa list z podziękowaniami i wyrazić w nim uznanie dla policjantki, która „nie wahała się narazić życia w obronie mojego zdrowia i majątku”. Průcha, który przekazaną mu przez naczelnika informację o liście skwitował suchym „Ktoś se z nas robi jaja, nie?”, na porannej odprawie, ku niezadowoleniu samej Kristýny, poinformował o zdarzeniu cały zespół i bez specjalnego entuzjazmu określił jej postępowanie jako „wzór służby obywatelom”.

Zahradník drżącym z przejęcia głosem zapewnił wtedy policjantkę, że zawsze może liczyć na jego pomoc i radę, z czego Kristýna zdecydowała

się skorzystać i poprzedniego dnia przed południem przywiozła lekarzowi pięć martwych psów, prosząc o ustalenie przyczyny ich śmierci.

O ustalonej z weterynarzem godzinie, ósmej rano, zadzwoniła do drzwi przychodni. Zahradnik powitał ją w stroju, który miał na sobie w czasie dwóch wcześniejszych spotkań, czyli w płóciennych spodniach i zielonej podomce, której dekolot odsłaniał kępkę siwych włosów. Zaproponował jej kawę, Kristýna odmówiła, wymawiając się pracą, obiecała jednak, że chętnie skorzysta z zaproszenia przy najbliższej okazji (skłamała, chcąc odwdziżyć się lekarzowi choć cieniem nadziei na kolejne z nią spotkanie).

Nawet jeśli doktor poczuł się zawiedziony, nie dał tego po sobie poznać. Przeszli do wyłożonego kafelkami pomieszczenia na tyłach przychodni, gdzie na podłodze leżało pięć ciał.

Lekarz stanął nad nimi w szerokim rozkroku.

– Jeśli chodzi o rasy, mamy tu dwa pitbulle, jednego amstaffa i dwa rottweilery. We wszystkich przypadkach dokonano profesjonalnej eutanazji.

Kristýna skrupulatnie zapisywała wszystko w notatniku.

– Co należy przez to rozumieć, panie doktorze?

– Ktoś te psy podtruł, podejrzewam, że podał im zbyt wysoką dawkę środka na przeczyszczenie, a ich właściciel zdecydował się je uśmiercić. Wszystko wskazuje na to, że udał się w tym celu do weterynarza, który najpierw wprowadził je w głęboką narkozę, a potem dokonał eutanazji.

– Jest pan w stanie stwierdzić, za pomocą jakiej substancji to zrobił?

– Nie mam odpowiedniej aparatury – odpowiedział roztropnie lekarz. – Musiałaby pani poprosić o ekspertyzę w laboratorium. Ale odkryłem coś, co panią zainteresuje. Proszę spojrzeć.

Zahradnik nachylił się nad jednym z rottweilerów i wskazał dobrze widoczne blizny w okolicach szyi i nad łopatkami, na tyle znaczne, że w ich

miejscu nie odrosła sierść. Można też było rozpoznać ślady po szwach. Pies wyglądał, jakby wielokrotnie zszywano mu skórę.

– Proszę spojrzeć, ile ma blizn. Musiał być wielokrotnie wystawiany na ataki innych zwierząt, a następnie ktoś profesjonalnie opatrywał mu rany.

Kristýna przykucnęła i dokładnie obejrzała blizny.

– No nie wiem. To przecież rottweiler, nie pozwoliłby się tak łatwo zmasakrować innemu psu – zauważyła.

– Błędnie pani rozumuje. Ten pies wiele razy walczył. Regularnie. – Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, czy ma wyjaśniać dalej. – Podejrzewam, że brał udział w walkach psów.

Kristýna zdrętwiała.

– Co takiego? – wydusiła z siebie.

– To znana rozrywka właścicieli tych ras. W niektórych rejonach często odnotowuje się zaginięcia psów. Nawet tych zaczipowanych, z rodowodem, różnych ras, po prostu przepadają bez śladu. Panuje przekonanie, że są wykorzystywane jako mięso treningowe dla psów bojowych.

– Przecież rottweiler to nie jest rasa bojowa – zaświtało Horovej.

– Ale ma mnóstwo siły. Ludziom się wydaje, że w walkach biorą udział tylko pittbule, ale rottweiler, ze swoją budową ciała i po odpowiednim szkoleniu, też może być godnym przeciwnikiem.

Kristýna patrzyła w milczeniu na pięć martwych psów.

Zahradník zerknął na nią, jakby nie był pewien, czy ma mówić dalej.

– O ile dobrze pamiętam, wspominała pani, że nie jest stąd.

– A co? – zainteresowała się.

– A... bo mamy tu różne tajemnice poliszynela...

– Na przykład?

– Choćby to, że w okolicy mieszka sporo hodowców ras bojowych.

Kobieta w napięciu czekała, dokąd zmierza wywód doktora. Stary weterynarz podrapał się po siwej, krzaczastej brwi i ciągnął dalej:

– Padają różne nazwiska, ale to niepotwierdzone informacje, a ja nie chcę rozsiewać plotek...

– Skoro już pan zaczął, doktorze...

– Wszystkie te psy należały prawdopodobnie do tego samego właściciela. Myślę, że nie będzie trudno go znaleźć.

– Wspomniał pan o nazwiskach... – nie ustępowała Kristýna.

Lekarz spojrział na nią badawczo.

– Proszę się nie gniewać, ale nie powiem, bo pogłoski to jeszcze nie dowody. Ten człowiek ma znajomości w ratuszu i w policji. A ja wynajmuję gabinet od miasta... Niepotrzebne mi kłopoty.

Postawa doktora ją zaskoczyła. Choć z drugiej strony, po śledztwie, które przyplaciła przeniesieniem do Šternberka, już nic nie powinno było jej dziwić.

– Powiedział pan, że rany zostały profesjonalnie opatrzone – zmieniła temat.

– Tak. Niestety. Na tych obrzydliwych zawodach można sporo zarobić, dlatego zawsze się znajdzie jakiś kolega po fachu, który bierze w tym udział. Po skończonej walce psa trzeba albo opatrzyć, albo jak najszybciej uśpić.

– Ale te konkretne ktoś wcześniej podtruł.

– Tak właśnie było.

Horovej nie przychodziły do głowy kolejne pytania.

– Co mam z nimi zrobić? Zutylizować?

Kristýna zamyśliła się.

– Mógłby pan jeszcze poczekać?

– W takim upale? – zdziwił się lekarz.

– Jeszcze tylko dzisiaj. Jeśli to możliwe, przyjdę po południu i wszystko sfotografuję.

Zahradník pokiwał głową, a aspirantka się pożegnała.

Dwadzieścia minut później Kristýna zaparkowała swoje czerwone aygo przed komisariatem. Minęła portiernię, jedyną naprawdę zadbaną część budynku, który poza tym wyglądał jak składowisko sprzętów ze słusznie minionej epoki. Przywitała się z jasnowłosą policjantką na recepcji. Miała na imię Nikola, a Kristýna bardzo szybko przekonała się, że dziewczyna posiada te same predyspozycje intelektualne do wykonywania zawodu, co Libor Anton, choć w odróżnieniu od niego natura obdarzyła ją znacznie atrakcyjniejszą powierzchownością, dlatego została skierowana przez naczelnika na pierwszą linię kontaktów z petentami, ku niezadowoleniu obu stron. Kristýna powiedziała jej ciche „dzień dobry” i ruszyła prosto do gabinetu podkomisarza Průchy. Szef najpierw skomentował spóźnienie podwładnej i brak munduru, a potem rozparł się w krzesło, aż pod nim jęknęło, i wysłuchał, co miała mu do powiedzenia. Kristýna opisała krótko wczorajsze znalezisko i dzisiejszą wizytę u doktora Zahradníka. Průcha z trudem tolerował ją w swoim zespole. Należał do ludzi gotowych do upadłego bronić poglądu, że prawdziwa policyjna robota jest dla mężczyzn, a kobiety mogą ewentualnie siedzieć w dyspozytorni, w centrali albo na portierni, jak uparcie nazywał odnowioną recepcję komisariatu. Jego niechęć do Horovej wzmacniał fakt, że została tu przysłana za karę.

Kiedy skończyła, podkomisarz się wyprostował (krzesło znów jęknęło) i położył masywne dłonie na blacie biurka.

– Jeśli dobrze rozumiem – zaczął powoli – chcesz ode mnie paru ludzi, żebyście mogli przeczesać las w poszukiwaniu kolejnych psich zwłok.

– Tak – odparła Kristýna, która nauczyła się już w kontaktach z szefem twardo obstawać przy swoim. To też zawdzięczała szkole Wielkiej Sowy.

– A ilu ludzi ci potrzeba? Może dam ci wszystkich? – Průcha uśmiechnął się drwiąco.

Spuściła wzrok. Wiedziała, że musi być cierpliwa.

– Moglibyśmy wszcząć nadzwyczajne dochodzenie. Zaangażować podwójną ekipę, pracować po godzinach. Skoczę do naczelnika i pogadam, co? Można poprosić o wsparcie strażaków. Każda wioska w okolicy ma swoich ochotników, zaraz ich obdzwoń, jeśli chcesz. A może wojsko? Mamy pokój, zero wojen na horyzoncie, żołnierze siedzą i dłubią w nosie... Zadzwoń do sztabu generalnego i zapytam. Co sądzisz?

Kristýna nadal milczała.

– Myślisz, że mi się nudzi? – wybuchnął wreszcie Průcha. – Drobną przestępczość kwitnie, złodziei od cholery. Braki kadrowe. Co i rusz dostaję opieprz z szefostwa, że na ulicach nie widać patroli, że mieszkańcy boją się wychodzić z domu. Naczelnik wzywa mnie na dywanik z powodu byle pierdoły. Mam na głowie nowych Cyganów, w zeszłym tygodniu szef był u burmistrza, musimy dopilnować porządku na obrzeżach miasta i w stu pięćdziesięciu wsiach w okolicy, gdzie wszyscy chleją i kradną, do tego zmniejszyć przestępczość na ulicach i kontrolować kierowców. Ale jasne, odłożmy wszystko na bok, bo nasza gwiazda kryminalistyki z Ołomuńca pragnie rozwiązać zagadkę zabójstwa pięciu kundli! – Dwie grube dłonie walnęły z impetem o biurko.

Horová odkaszlnęła.

– Panie podkomisarzu, prawdopodobnie mamy do czynienia z zakrojonym na szeroką skalę przypadkiem znęcania się nad zwierzętami. Wszystko wskazuje na to, że gdzieś w okolicy organizowane są walki psów.

Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że jest to proceder nielegalny. Z pewnością chodzi o zorganizowaną grupę...

– Grupę, powiadasz?! – zawołał Průcha z udawanym przejęciem. – W takim razie musimy wezwać posiłki z wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej!

Kristýna śmiało spojrzała mu w oczy.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że ja będę mogła zająć się tą sprawą.

Průcha zmierzył ją wzrokiem.

– Wiesz co? Dobrze. Weź to sobie. I tak nie wiem, co mam z tobą robić. Do pilnowania Cyganów cię nie wyślę, bo umrą ze śmiechu. Burdy na zabawach też odpadają, jeszcze cię ktoś pobije.

– Panie podkomisarzu – zaprotestowała twardo Kristýna, mimowolnie podnosząc głos. – To się zdarzyło tylko raz, przypominam, że chodziło o śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa w mojej poprzedniej jednostce i...

– Rany, młoda, co się tak od razu najeżasz? – Průcha znów uderzył w stół. – Przecież idę ci na rękę. Bierz to, jeśli chcesz. Pięciokrotne morderstwo, w sam raz dla ciebie, jak za lepszych czasów w Ołomuńcu. Nieważne, że zginęły tylko kundle, nie? Ale nas w to nie mieszaj! Mamy potąd cholernej papierkowej roboty i włamań do aut.

– Panie podkomisarzu... – Wzięła oddech.

Průcha nie dał jej dokończyć:

– Koniec tematu. Bierz się do roboty. Dopóki nie dostaniesz poważniejszej sprawy, możesz się zajmować swoimi kundelkami.

W pomieszczeniu słychać było szum wentylatorów, czterech kolegów Kristýny siedziało przy komputerach, próbując uporać się z rutynową,

poranną pracą. Gdy wychodziła z gabinetu szefa, rozległ się głos udający szczenie, ktoś inny zawtórował mu wyciem.

Ledwo włączyła komputer, kiedy podszedł do niej sierżant Anton i szepnął:

– Słuchaj, nie wiem, czy to ma związek ze sprawą, ale może ci pomóc w dochodzeniu. Dostaliśmy zgłoszenie o kolejnych martwych zwierzętach.

Kristýna spojrzała na niego podekscytowana.

– Na serpentynach w kierunku Opawy znaleziono przejechanego jeża. Może wyślesz tam ekipę?

Całe biuro gruchnęło śmiechem.

Chodziło o czystą komedię, ale postanowili odegrać ją z pełnym zaangażowaniem. O wpół do dziewiątej rano na polecenie dyrektora wszyscy pracownicy zebrali się w sali wykładowej na piętrze nad wejściem dla zwiedzających. Czekali tam na nich Wielka Sowa, Edelweiss, Purkyně i Kubík w obecności kilku umundurowanych policjantów, którzy przybrali surowe miny i ustawili się niczym oddział specjalny do tłumienia zamieszek. Wejście do zoo usytuowane było w sztucznym wzniesieniu, a jego dach płynnie przechodził w trawnik. Marie była zachwycona, że może obejrzeć od środka nowy obiekt z kasami, efektownym akwarium i pomieszczeniem dla lemurów, uważała bowiem, że architekt, podobnie jak w przypadku niedźwiedziarni, wykazał się poczuciem smaku, inwencją i szacunkiem dla krajobrazu.

Z przodu sali doktor Kaplan i asystent Pur, milczący i skupieni, rozkładali na stole narzędzia. Wielka Sowa wyjaśniła im, że w całej akcji chodzi przede wszystkim o efekt psychologiczny.

– Wszystko musi wyglądać bardzo groźnie i poważnie. Wśród tych ludzi znajduje się sprawca. Prawdopodobnie jest w dużym stresie, a wy musicie go w tym stanie utrzymać.

– Ale przecież nie mamy żadnych próbek DNA do porównania. – Cyril Kaplan podrapał się za uchem, jakby upewniając się, czy się nie przesłyszał.

– Oni tego nie wiedzą – odpowiedziała Marie.

– Aha – podziękował za wyjaśnienie doktor Kaplan.

Przy wejściu, pod nadzorem Adama Kubíka i dyrektora Lysáka, sekretarka sprawdzała obecność. Výrová i Edelweiss stali przy otwartym oknie z widokiem na gęsty las.

– Zwołaliśmy wszystkich, jak sobie państwo życzyli – poinformował cicho Lysák, kiedy jego podwładni zebrali się w małej sali.

Brakowało tylko jednego opiekuna: Havlíčka, który po przejściach z poprzedniego dnia poprosił o dzień urlopu, i doktora Tomana. Lekarz miał tego dnia asystować przy zabiegu w stajni w Hrubej Vodzie, a Kodet uzyskał telefonicznie potwierdzenie, że faktycznie tak jest.

Technicy rozpoczęli swój spektakl: Pur wyjął pierwszy komplet fiolek ze szpatułkami, przygotował flamaster do opisywania naklejek, a jego szef w tym czasie naciągał lateksowe rękawice, przewiercając przy tym zebranych uważnym spojrzeniem, jakby samym tylko wzrokiem, niczym rentgenem, potrafił namierzyć sprawcę. Wszystkie te czynności wykonywali z przesadnie rozwleczoną starannością.

Marie odchrząknęła (za jej plecami rozległ się gumowy trzask – to Kaplan zakładał lateksowe rękawice i akurat przeciągał gumkę przez nadgarstek) i szmer w sali ucichł. Wyczekała chwilę, robiąc dramatyczną pauzę, a potem zwróciła się do obecnych:

– Dzień dobry. Jak państwo wiedzą, w dniu wczorajszym na terenie ogrodu zoologicznego dokonano poważnego przestępstwa. Państwa długoletni kolega František Rampula został zabity. Ocena zebranego materiału doprowadziła nas do przekonania, że ze sprawcami tego tragicznego czynu musiał współdziałać ktoś z pracowników zoo.

W kilku miejscach sali rozległ się pomruk protestu, niektórzy z zebranych pokręcili przecząco głowami. Śmierć dobrego kolegi zjednoczyła personel ogrodu. Na taką właśnie reakcję liczyła podinspektor; milczała przez kilka sekund, a potem dodała:

– A może nawet brał aktywny udział w napadzie.

Na efekt tych słów nie trzeba było długo czekać. Blisko siedemdziesiąt twarzy spoglądało na nią nieprzyjaźnie.

– Udało nam się zabezpieczyć pewną ilość dowodów. Sprawcy zostawili na miejscu zdarzenia materiał genetyczny. W czasie szarpaniny z panami Havlíčkem i Klasną... – Marie przerwała dla podkreślenia heroicznej postawy obu wspomnianych mężczyzn, choć wcale nie skreśliła ich z listy potencjalnych podejrzanych – ...na pętach i kneblach znaleźliśmy próbki DNA wystarczające do identyfikacji napastników. Panie komisarzu?

Edelweiss przejął pałeczkę i tłumaczył dalej suchym, urzędowym tonem:

– Wierzimy, że w interesie wszystkich państwa leży ujęcie sprawcy zabójstwa pana Rampuli. Dlatego chcemy poprosić każdego o udostępnienie nam próbki DNA w celu porównania jej z materiałem zebrany na miejscu czynu. Jest to dobrowolny akt. Jeśli ktoś z państwa nie zgadza się na pobranie, proszę zgłosić ten fakt naszemu koledze, który zajmuje się ewidencją.

– Państwa kolega nie żyje – stwierdziła Marie i nieco przytłumiła głos, by ponura cisza, przerywana jedynie szumem wiatru w koronach starych sosem i odgłosami zwierząt, robiła jeszcze większe wrażenie na zebranych. Zamiarem sprawcy nie było go zabić, dlatego czyn ten nie ma kwalifikacji morderstwa. W tej sytuacji, jeśli zabójca znajduje się w tym gronie – a sądzimy, że tak jest – współpraca z policją zostanie uznana za okoliczność łagodzącą. Dlatego informuję sprawcę, którego ujęcie to tylko kwestia analizy pobranej próbki DNA, że prokurator prowadzący wyraził zgodę na porozumienie w przypadku współpracy sprawcy z policją i obniżenie kwalifikacji prawnej czynu.

Ostrzegawczy ton i ponura powaga funkcjonariuszy zrobiły na zebranych piorunujące wrażenie. Rozglądali się nieśmiało, ciekawi, czy ktoś odważy się odmówić współpracy z policją. Ogólna nerwowość, niepewność i oburzenie samym czynem i faktem, że wszyscy znaleźli się w cieniu oskarżenia, wywołały napiętą, graniczącą z paranoją atmosferę. Marie i Edelweiss po latach pracy bardzo dobrze znali to uczucie. Strach przed byciem podejrzanym. Nie chodzi o to, że ma się coś na sumieniu, tylko o napiętnowanie w oczach przyjaciół i kolegów.

– Zacznijmy więc – zwrócił się do obecnych Edelweiss. – Kolega będzie państwa wywoływał w porządku alfabetycznym, a nasi technicy pobiorą od każdego próbkę DNA.

Kubík stanął przy szefie z listą pracowników i podał pierwsze nazwisko:

– Bahník Vratislav.

Gdy wyczytany przedzierał się przez grupkę kolegów, Edelweiss odszukał spojrzeniem Martina Pluskala. Wygląd młodego człowieka zdawał się wyrażać jego stan psychiczny: był wystraszony, na krawędzi paniki, ewidentnie nie wiedział, co ma robić. Najlepiej, gdybyś spróbował uciec, przemówił do niego w myślach Edelweiss. Od razu, żeby wszyscy widzieli. Pluskal jednak nie zamierzał ułatwiać im zadania. Zapewne bardziej niż samego zdemaskowania bał się, że miałyby ono odbyć się na oczach innych pracowników zoo. Cierpliwie czekał na swoją kolej. Albo nie czujesz, że sytuacja jest beznadziejna, albo sądzisz, że ktoś wyciągnie cię z opresji, policjant mierzył go wzrokiem, jakby chciał przeniknąć do jego mózgu. I właśnie w chwili, gdy Pluskal łypał przerażony po wszystkich twarzach, jego wzrok skrzyżował się z czujnym spojrzeniem komisarza. Młody człowiek zamarł. Doprowadzisz nas do swojego mocodawcy, Edelweiss nadal przemawiał do niego w myślach, a blady i mokry od potu

nieszczęśnik przełknął tylko ślinę, aż na długiej, zaczerwienionej szyi podskoczyła mu grdyka. Do wczorajszych strupków nie dołączyły nowe; tego rana się nie golił.

Kiedy Zbyněk Brukner chciał trochę odetchnąć lub po prostu dopadał go leń, nie jechał do domu, bo na żonę w ostatnim czasie nie chciał nawet patrzeć. Nie zostawał też w „lokalu”, choć miał tu dziewczyny, z których każda chętnie by go pocieszyła – a przynajmniej tak mu się zdawało, bo nie wiedział, że ma wśród nich ksywkę Knur. Najlepiej relaksował się w towarzystwie swoich psów. Osobiście je ćwiczył lub przyglądał się treningom, zabierał na spacer, nie wszystkie naraz, ale na zmianę, i miał frajdę, gdy któryś złapał na łąkach za gospodarstwem zająca albo zagryzł jelonka, czy chociaż podręczył stado tępych krów na pastwisku u góry pod lasem, nawet jeśli potem musiał słuchać ujadania tych wrednych bab ze wsi. A teraz... nie miał już psów. Ani jednego. W firmie się nudził, więc przeszedł się po autosalonie i opieprzył pracowników, że pokazowe modele mają zakurzone felgi, a potem wszedł do samochodu i pojechał do lokalu. Tak nazywał swoje miejsca: „firma”, „lokal” i „gospodarstwo”. W firmie sprzedawał auta, do lokalu chodził się zabawić, a gospodarstwo było oazą relaksu i dobrego nastroju. Było, dopóki miał tam swoje psy. Domu nie brał pod uwagę – dom nie oferował mu ani zabawy, ani dobrego nastroju, oferował tylko żonę, która z kolei jemu nie miała nic do zaoferowania.

W lokalu nie wszedł nawet do biura, tylko sprawdził, czy menadżer się nie objął, a potem postanowił się napić. Chłopak za barem jak zwykle patrzył na niego lodowatym spojrzeniem, ale wybaczał mu, bo gość miał talent do mieszania drinków, a przede wszystkim doskonale znał się na różnych gatunkach whisky, przez co znacznie wzbogacił wiedzę swojego pracodawcy w tej kwestii (sam Brukner nigdy by się do tego nie przyznał).

Biznesmen wgramolił się na hoker. Tyczkowaty barman, na oko dziesięć lat młodszy od swojego szefa, nazywał się Dušan Příklad, a do Šternberka trafił ze wschodnich Moraw, skąd z jakiegoś powodu chciał się wyrwać. Zbyňkowi spodobał się od razu, bo nie tylko znał się na robocie, ale sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego mięśni mimicznych. Poleciała go znajoma Jitki czy jakoś tak, dawno już zapomniiał, jak to dokładnie było. Najważniejsze, że z Dušana wyklął się rasowy barman, a Zbyněk zachodził czasem w głowę, czemu ktoś taki kibluje u nich w Šternberku. Na takim zadupiu? Domyślał się, że albo stoi za tym jakaś baba, albo musi się ukrywać, ewentualnie jedno i drugie. Zbyt długo siedział w tym biznesie, by nie wiedzieć, że na skarb, jakim był Dušan, trzeba chuchać i dmuchać. Spokojny, niezawodny, absolutnie lojalny pracownik, który wie, jak sprawić przyjemność szefowi. Kto by się przejmował jego przeszłością? Brukner zapomniiał nie tylko, jak chłopak do niego trafił, ale też jak miał na imię. Przy pierwszej okazji, gdy Dušan obsługiwał członków Klubu Przyjaciół Whisky, ktoś powiedział: „Ten barman ma taką kamienną twarz, jak jakiś Ramzes”. I barman został Ramzesem. Reagował na przydomek, a Zbyňkowi z czasem wyleciało z głowy jego imię.

– Dzień dobry, szefie – przywitał się Dušan-Ramzes.

Wpatrując się w jego zimne, zupełnie pozbawione emocji oblicze, Brukner nieraz zastanawiał się, czy barman kiedykolwiek miewa erekcję. Jeśli nie, trudno, przynajmniej nie dobiera się do dziewczyn, co zresztą potwierdził mu menadżer.

– Czołem, Ramzes. Jak leci?

– Dzięki, szefie, nie narzekam. A jak się powodzi panu, jeśli mogę spytać?

– Powiem ci, Ramzes, że chujowo.

– W takim razie mam dla pana coś na poprawę humoru.

Mężczyzna odwrócił się, zdjął ze szklanej półki jedną z butelek i podał ją Bruknerowi, któremu nazwa trunku nic nie mówiła.

– Szkocka single malt, pięćdziesiąt siedem procent. Ardbeg Corryvreckan. Tylko dla koneserów.

Brukner skinął na znak, że skosztuje. Nie mógł wyjść z podziwu, że Ramzes umie wymówić te wszystkie karkołomne wyrazy. On sam już dawno zaniechał prób nie tylko ich zapamiętania, ale choćby powtórzenia po barmanie. Zauważył jednak, że butelka jest napoczęta.

– Kto to przede mną pił? – chciał wiedzieć.

Ramzes zapatrzył się w zielone szkło.

– Dopiero ją wprowadziłem do oferty. W zeszłym tygodniu zamówił wicedyrektor Adámek. Chciał, żebym mu trochę rozcieńczył... Wydaje mu się, że zna się na whisky... – dodał z lekkim uśmiechem, co Brukner uznał za przejaw najwyższego politowania, na jaki barman potrafił się zdobyć.

– Mnie nie rozcieńczaj – mruknął Zbyněk, dając do zrozumienia, że amatorów pokroju Adámka ma w głębokiej pogardzie. – Ile u nas szklaneczka tego cuda? – zapytał, aby dać wyraz szefowskiemu myśleniu.

– Czteryście dziewięćdziesiąt koron, proszę pana.

Brukner z satysfakcją pokiwał głową. Niech Adámek buli, debil jeden.

Ramzes postawił przed nim szeroką, idealnie czystą szklanę ze złocistym płynem precyzyjnie odmierzoną na wysokość centymetra.

– Jako koneser z pewnością doceni pan bardzo intensywny aromat. Powinien pan wyczuć nieco dziegciu, gorzkiej czekolady, porzeczki, czereśni i sosnowych igieł. Po dodaniu kilku kropel wody – ale tylko kilku, żadnego chamskiego rozcieńczania! – pojawią się zaskakujące tony pieprzu i ostrzyg, jak również leciutka domieszka morskiej soli. Smak jest bardzo specyficzny, coś jak stek z pieprzem, pikantne wodorosty, gorzka czarna

kawa i przejrzałe czerwone owoce. Na języku poczuje pan też gorzkie migdały i delikatną nutkę anyżu.

Brukner z uznaniem uniósł brwi.

– Ja też pozwoliłem sobie na łyczek. Ale tylko dla sprawdzenia, czy mogę ją panu polecić – wyjaśnił skwapliwie Dušan. – Pragnę też zwrócić uwagę na końcówkę, ten posmak na języku. Jest naprawdę długa, głęboka i mocna.

Brukner skosztował. Sam z siebie nie umiałby opisać smaku żadnym ze słów, których użył Ramzes, zastanawiał się tylko, czy szklanka tego trunku jest warta pięć stów, skoro na dobrą sprawę wystarcza mu klasyczny dwunastoletni ballantine's. Z rozmyślań wyrwał go telefon.

Ramzes przybrał obojętny wyraz twarzy człowieka, który z zasady nie podsłuchuje cudzych rozmów, i oddalił się o parę kroków. Aby pokazać szefowi, że mimo braku gości nie zbija bąków za barem, zaczął polerować kieliszki białą ściereczką. Brukner z naburmuszoną miną słuchał głosu w telefonie, aż w końcu wybuchnął:

– To zajmie trzy lata! Trzy pieprzone lata! Już wybrałem szczeniaki, ale... Dobra, dobra... – Jego głos zrobił się spokojniejszy. – Jasne, że dotrzymam terminu, spotkamy się za dwa tygodnie w piątek, możesz powiedzieć chłopakom. – Schował komórkę do kieszeni spodni i za jednym zamachem wypił pozostałą zawartość szklaneczki. – Trzymaj się, Ramzes. – Z hukiem odłożył szklankę na bar, zgramolił się ze stołka i ruszył w stronę wyjścia.

Gdyby w tamtej chwili się odwrócił, ujrzałby zniesmaczony wyraz twarzy barmana. On też znał ksywkę, którą dziewczyny ukuły dla Bruknera i w pełni się z nią zgadzał.

Telefon przypomniał Bruknerowi o doznanej stracie, ale mimo to chciał zajechać do gospodarstwa, bo tam miał przynajmniej święty spokój.

Przejechał przez miasto, na rondzie skręcił w lewo w kierunku szpitala, a na szerokiej drodze dodał gazu. Przed przejściem dla pieszych zatrąbił na jakąś głupią laskę z wózkiem dziecięcym w nadziei, że jeśli bachor spał, udało mu się go obudzić. Minął kąpielisko i popruł dalej za miasto. Na leśnych serpentynach zauważył czatującą drogówkę i celowo przyspieszył, żeby pokazać gnojom, że mogą mu skoczyć, śmignął tylko obok radaru sto dwadzieścia na godzinę. Policjant, rozpoznawszy metaliczno-zielone bmw, nawet nie zaczął mierzyć prędkości.

W Lipinie Brukner odbił w prawo na Těšíkov. Gdy wyjechał z wioski, wyłoniły się przed nim łąki i podgórskie pastwiska, otoczone w oddali pasem gęstych lasów. Z naprzeciwka nadjeżdżał autobus, więc musiał zwolnić na wąskiej szosie i do Těšíkova wjechał niemal przepisowo, pięćdziesiąt na godzinę. Postanowił, że skoro już tu jest, odwiedzi matkę, u której nie był od trzech dni. Zatrzymał się przed jej domem, minął zadbane ogródki z bujnie kwitnącymi różami i sięgnął do kieszeni po klucze.

W korytarzu było chłodno i – jak w całym domu – unosił się w nim zapach stęchlizny. Ledwie zamknął za sobą drzwi, z kuchni wyjrzała pani Bruknerová, około siedemdziesięcioletnia kobieta w kwiecistym fartuchu. W zestawieniu z roslą sylwetką syna jej mikra postura uwydatniała się jeszcze bardziej.

– Zbyněčku! – zawołała z radością.

– Cześć, mamó – mruknął Brukner i zwałił się na stare, rozchwiane krzesło.

– Właśnie robię sobie kawę, napijiesz się? – zapytała i podeszła szybko do kuchenki, na której grzał się blaszany ronderek z wodą.

– Mamó – huknął Brukner, bo wiedział, że matka niedosłyszy. – Do diabła, dlaczego parzysz kawę w ten sposób? Przecież kupiłem ci ekspres!

Dlaczego go nie używasz?

Sporej wielkości ekspres na kapsułki stał przykryty ściereczką w rogu kuchennego blatu. Cała sfinansowana przez kochającego syna konstrukcja lśniła blaskiem nowości.

– Daj spokój, na pewno dużo kosztowało, dla mnie szkoda... – Starsza pani machnęła ręką. – Majka Trochtová mówiła, że te pojemniczki z kawą są strasznie drogie.

– Gówno drogie. Kapsułka wychodzi dziesięć koron czy coś koło tego...

– Matko święta! – Bruknerová załamała ręce. – Ja, stara baba, co całe życie normalnie zalewa kawę wodą, mam nagle kawę pić jak jaka królowa?! Dziesięć koron!

– Mamo, do licha ciężkiego, jak trzeba to ci kupię cały wagon kapsulek.

– Kiedy ja nie potrzebuję, Zbyněčku. Poza tym Majka Trochtová mówiła, że te skomplikowane ustrojstwa są strasznie niebezpieczne. Mogą się zapalić czy coś.

– Trochtová to szajbuska! Po co jej w ogóle słuchasz? Kupiłem ci najlepszy model.

– Nie mów tak o niej, synku. To poczciwa kobieta. Chciała dobrze.

– Głupia jest i tyle.

– Jak może być głupia, skoro jest panią inżynier? – zaprotestowała Bruknerová. Dla niej każdy, kto skończył studia, był autorytetem.

Zbyněk machnął ręką.

– Nie chcę kawy z fusami. Boli mnie po niej żołądek.

Kobieta zalała swój kubek wrzątkiem, upewniła się, że zakręciła gaz pod rondelkiem, i usiadła z synem przy stole.

– A jak się w ogóle masz, synku?

– Hm, znośnie.

– Zbyněčku, tak pomyślałam... – Przeniosła nieśmiało spojrzenie na groźną aparaturę do parzenia kawy. – Może byś go tak sobie zabrał? Droga maszyna, szkoda dla mnie. A Jitušce by się pewnie przydała w domu...

– Jasny gwint, mamó, to po co ci kupowałam?

– Nie gniewaj się, ale dla mnie to tego naprawdę szkoda. Jitušce się na pewno...

– Mamy w domu taki sam.

– To zabierz do biura.

– Proszę cię, daj mi już spokój z tym ekspresem.

– A co tam u Jituški?

– Siedzi w domu – mruknął jak automat, bo rozmowa z matką zmierzała w dobrze mu znanym kierunku, a on znał na pamięć całą sekwencję pytań i odpowiedzi.

– Czemu jej nie wzięłeś ze sobą?

– Nie wiedziałem, że wpadnę.

– Jesteś kochany, że wpadłeś. A Jituška czym ciągle taka zajęta w domu? Gotuje ci chociaż? Mężczyzna to nie powinien po barach jadać. Kobieta, jak nie pracuje, powinna gotować mężowi...

Kwadrans później załadował ekspres i pudło z kapsułkami do bagażnika metaliczno-zielonego bmw gran turismo, pomachał matce wyglądającej z kuchennego okna i zanim wszedł do auta, przez chwilę jeszcze wpatrywał się w wyludnioną w to gorące przedpołudnie ulicę. W jego spojrzeniu była pewność siebie człowieka, który wie, co w życiu osiągnął, niczego nie musi się wstydzić i lubi czuć się szanowany, przy czym sam siebie również bardzo szanuje. Na parterze domu naprzeciwko, pokrytego ochrowym ozdobnym tynkiem i zielonym blaszanym dachem, poruszyła się firanka. Ten ledwo dostrzegalny ruch przypomniał Bruknerowi, że od dłuższego czasu planował zająć się pewną sprawą, a podły nastrój sprawił, że w ułamku sekundy wezbrała w nim złość. Zatrzasnął gwałtownie drzwi samochodu (wyznawał pogląd, że beemka to auto dla prawdziwych facetów, w związku z czym musi być odporne na męskie traktowanie) i przeszedł na drugą stronę ulicy. Nacisnął dzwonek na słupku obok rozchwierutanej furtki, za którą ciągnęła się małym ogródkiem alejka prowadząca do trzech stopni przed złuszczonymi drzwiami domu. Firanka tym razem ani drgnęła, ale Brukner wiedział, że ze środka ktoś bacznie go obserwuje. I na pewno się boi. Uśmiechnął się z zadowoleniem w stronę okna przy drzwiach.

– No już, otwieraj, stary szpiclu!

Cisza. Zbyněk rozejrzał się po ulicy. Była pusta, więc urządzenie draki nie miało sensu.

– Wiem, że jesteś w domu, pojebusie jeden! Otwieraj! – krzyknął znowu, ale bardziej pro forma, aby ten, kto ukrywa się w środku, nie

myślał, że łatwo się podda. – Myślisz, że nie wiem o twoich donosach?

Żadnej reakcji. Bruknerowi skończyły się wyzwiska, jakimi mógłby jeszcze rzucić w stronę nieruchomej firanki za zamkniętym mimo upału oknem, więc machnął ręką i ruszył w stronę auta. Dopiero wtedy zauważył, że ktoś jednak przyglądał się całej scenie. Zza skrzynek z kwiatami, przez okno patrzyła na niego matka w chustce na głowie.

– Zbyněčku, nie ró b ludziom wstrętów – upomniała go zatroskanym głosem.

– Niech się mama nie martwi – odburknął. Wsiadł do auta i trzasnął drzwiami. Potem zatrąbił jeszcze klaksonem, żeby sąsiedzi wiedzieli, że nie zapomniał o starowince matce, i ruszył do swojego gospodarstwa.

Określał tym mianem teren dawnej spółdzielni rolniczej przy trasie Těšíkov – Libavá. Od strony szosy cały front posesji zajmował dwupiętrowy budynek z mansardowym dachem i wjazdem dla samochodów, który zamykała wielka blaszana brama pokryta odłazącą, dawniej chyba jasnoniebieską farbą i rdzą. Gościom, których Brukner łaskawie wpuścił w swoje progi, otwierał się za nią widok na kwadratowe podwórze o wymiarach piętnaście na piętnaście metrów. W szparach popękanego betonu rosła trawa samosiejka. Przestrzeń otoczona była ze wszystkich stron parterowymi budynkami z potężnym, dwuspadowym dachem, niegdyś mieściła się w nich spółdzielcza obora (prawe skrzydło), warsztaty naprawcze i magazyny (lewe skrzydło), stodoła (tylne lewe skrzydło) i chlew (schowany trzy metry za podwórzem w prawym rogu tylnego skrzydła). W budynku frontowym znajdowały się dawniej biura spółdzielni (na piętrze) oraz magazyny i garaże (na parterze), i właśnie tę część Brukner poddał generalnemu remontowi. W garażach po prawej części budynku wyburzył ściany działowe, tworząc salę „impresownia” towarzystwa zwanego dumnie Klubem Kynologii Sportowej. Pośrodku

właściciel zamontował okrągłą arenę z drewnianymi bandami. W sąsiednich pomieszczeniach mieściły się zaplecze techniczne „impresowni” i gabinet weterynarza. Nad nimi właściciel urządził pokoje do wypoczynku, w tym dwie sypialnie, rzadko jednak używane do spania, raczej jako miejsce, w którym rozweseleni członkowie klubu mogli spędzić czas w towarzystwie pracownic lokalu. Centralnym punktem klubu był luksusowy bar obity jasnym drewnem, z wygodnymi fotelami i stolikami. Można się tu było zrelaksować, pogadać albo najeść do syta jedzeniem dowożonym i serwowanym przez pracowników lokalu Bruknera. Lewą część budynku Zbyněk zarezerwował dla siebie. Na parterze zainstalował starego typu boksy dla swoich pupili, na piętrze miał przestronne biuro, odpowiednio nasłonecznione, wygodne i dobrze umeblowane. Lubił się w nim zaszywać, a ostatnio też nocować, żona była bowiem ostatnią osobą, z którą chciał spędzać wieczory. Także dawny budynek przygotowalni znalazł nowe przeznaczenie, służył jako zaplecze klubu. Majkel i Endi mieli tutaj, jak ją określali, „bazę” – nazwa ta miała według nich brzmieć poważnie. Pozostałe pomieszczenia Brukner wyposażył w wygodne boksy, gdzie mogły odpoczywać klubowe psy, w czasie gdy ich właściciele oddawali się w głównym budynku rozmowom i picciu, ewentualnie uciechom z panienkami. Cała infrastruktura doskonale spełniała swoją funkcję: do zabudowań można było wejść tylko od podwórza, dzięki czemu gościom oszczędzono wścibskich spojrzeń z zewnątrz. Ochronę przed ciekawskimi zapewniał także dwumetrowy płot z siatki, zwieńczony trzema rzędami drutu kolczastego. Przestrzeń między ogrodzeniem a budynkami, jakieś pięć do dziesięciu metrów, wypełniała puszczona samopas, bujna roślinność: krzewy, cyprysiki Lawsona, jałowce, szybko rosnące klony jesionolistne i pokrzywy, słowem: nieprzebrana gęstwina, która miała zniechęcać potencjalnych intruzów, a zarazem tworzyć naturalną,

nieprzenikliwą zasłonę dla okien na parterze budynku. Tylko w miejscu leżącym najdalej od drogi, za dawną stodołę w cieniu lasu, zamiast drucianego płotu stał wysoki mur z cegieł, i jedynie tam Brukner naprawdę troszczył się o zieleni. Starannie przystrzyżony, ogrodzony trawnik służył jego pupilom jako wybieg i teren treningowy.

Zapora z płotu, drutu kolczastego i dzikich roślin świadczyła jednoznacznie o paranoidalnych skłonnościach właściciela majątku, a mieszkańcy Těšíkova i okolic, którzy w pobliskim lesie zbierali chrust i grzyby lub po prostu przejeżdżali obok, chętnie puszczali wodze fantazji i snuli teorie spiskowe na temat działalności Bruknera i jego gości, przybywających tu od czasu do czasu kolumnami SUV-ów, których nie dostrzegłby chyba tylko ślepiec. W rzeczywistości biznesmen postępował racjonalniej, niż mogło się wydawać. Klub był jego dziełem, jego własnością, i chciał zapewnić przyjaciom maksymalny komfort i dyskrecję. Był przede wszystkim przedsiębiorcą i wiedział, że ten, kto dużo płaci, ma prawo oczekiwać najwyższych standardów. Żaden więc z obu klubów, ani kynologiczny, który miał siedzibę tutaj, ani Klub Przyjaciół Whisky, zbierający się przede wszystkim w nocnym lokalu Bruknera, nie przyjmowały członków ot tak, z całą pewnością zaś nie byli w nich mile widziani ludzie mało majątni. Ze zrozumiałych względów szczególnie kynolodzy otwierali się na nowych gości z dużą ostrożnością i każdego dokładnie sprawdzali: kto chciał się znaleźć w tym gronie, musiał zostać wprowadzony przez innego członka, a pozostali musieli się na to zgodzić, dyskusji nie podlegał też warunek uiszczenia jednorazowej, bezzwrotnej składki za pierwszy rok w wysokości pięćdziesięciu tysięcy koron. Od drugiego roku płaciło się już tylko trzydzieści. W zamian klubowicze zyskiwali prawo do udziału we wszystkich walkach (a co za tym idzie, także premii za zwycięstwo w eliminacjach), pierwszorządne jedzenie i

pięćdziesięcioprocentową zniżkę w nocnym klubie Bruknera, z której chętnie i regularnie korzystali zwłaszcza żonaci członkowie. Zbyněk uważał, że zwyczajnie wypełnił lukę na rynku: grupka chętnych chciała się w określony sposób zabawić, w czym niestety, w imię wątpliwych pseudowartości, przeszkadzało państwo, musieli więc stworzyć elitarny krąg, którego właściciel umożliwiał im rozrywkę w towarzystwie takich jak oni – ludzi sukcesu, ludzi na poziomie. Klub Przyjaciół Whisky zbierał się co czwartek w saloniku lokalu w willi na obrzeżach Šternberka, a zasady członkostwa były z oczywistych względów mniej rygorystyczne. Jednak także w nim udało się Bruknerowi zgromadzić wyłącznie wpływowe i bogate osoby, które w ten sposób mogły świadczyć sobie nawzajem różne przysługi, a w wolnym czasie spotykały się przy szklaneczce szlachetnego trunku na kulturalnych rozmowach z ludźmi podobnego formatu. Zbyněk czuł się wyśmienicie w roli założyciela obu klubów. Równocześnie kurczowo trzymał się myśli, że skoro są one jego własnością, a członkowie coś od niego otrzymują, powinni być mu za to wdzięczni i oddani. Zaślepiony tą złudną ideą, nie dostrzegał, co się wokół niego tak naprawdę dzieje.

Od czasu, kiedy Brukner odjechał sprzed domu matki, do momentu, gdy rozsiadał się w wygodnym, skórzanym fotelu w swoim biurze upłynęło tylko dwadzieścia minut. Ściany gabinetu przyozdobione były plakatami o tematyce kynologicznej i powiększonymi zdjęciami jego pięciu pupili z czasów ich szczytowej formy. Na wspomnienie psów najchętniej zawyłby z wściekłości albo się rozpłakał. Zabranym od matki ekspres do kawy postawił na szafce między oknami i właśnie się zastanawiał, czy ma go podłączyć, czy może leczyć skołatane nerwy ballantine'sem, gdy wtem zadzwonił telefon.

Człowiek nie ma chwili spokoju, pomyślał zirytowany. Wyświetlacz pokazywał imię wójta gminy Těšíkov, a Brukner, w przekonaniu, że facet dzwoni w sprawie jego mamy, odebrał połączenie.

– Słucham! – warknął, by dzwoniący nie myślał, że sprawił mu radość.

– Cześć, Zbyněk, mówi Tonda Lipner.

– No siema.

– Dzwoniła do nas policja, do urzędu. Pytali o twoje psy – poinformował z troską w głosie Lipner.

– Nie rozumiem.

– Chcieli wiedzieć, czy prowadzimy rejestr psów na terenie gminy.

– No i?

– Powiedziałem, że tak, więc policjantka kazała mi sprawdzić, czy ktoś ma u nas zarejestrowanych pięć psów. Wymieniła ich rasy, dokładnie takie jak twoje.

– Hm... I co jej powiedziałaś?

– Na razie nic. Mam oddzwonić. O co chodzi? Jakies problemy?

– No coś ty.

– To dlaczego policja wypytuje o te twoje kundle?

– Skąd mam wiedzieć, do cholery?

– To co jej powiedzieć?

– Że nic nie wiesz.

– Dobra, ale...

– Znasz mnie. Zawsze spłacam swoje długi, Tonda, więc powiedz im, proszę, że o niczym nie wiesz.

– A co, jeśli będą chcieli przejrzeć rejestr?

– Zniszcz go.

Brukner położył komórkę na biurku. Był w szoku. Co to miało znaczyć? Dlaczego policja interesuje się jego psami? Musiał to sprawdzić. Poderwał się z fotela i wyszedł z biura na rozległe, kwadratowe podwórze posesji, otoczone ze wszystkich stron zabudowaniami. Wiedział, że człowiek, z którym chce rozmawiać, znajduje się gdzieś w okolicy, bo widział jego auto zaparkowane obok swojego.

Rozejrzał się: kia sportage Halasa znajdowała się na swoim miejscu. Pod budynkiem naprzeciwko stały dwa dostawczaki i ciężarówka. Spokojnie, pomyślał, oba auta należą do niego. Obok nich zobaczył jednak białego peugeota boxera, dość starego, z zardzewiałymi błotnikami. Brukner nie potrafił stwierdzić, do kogo należy ten gruchot. Podwórzem przeszło dwóch jego pracowników i przywitali się z nim z daleka. Tak się traktuje szefa, pomyślał Brukner i kiwnął w ich stronę. Gdzie, do cholery, podziewa się Halas? Z dawnego chlewa na przeciwległym końcu podwórza wyszedł weterynarz, a z nim... Biznesmenowi z początku zdało się, że to omamy wzrokowe z powodu prażącego słońca. Jeszcze tego brakowało, żeby Halas zaczął tu sprowadzać skośnookich! Wietnamczyk niósł w rękę małe kartonowe pudełko; gdyby Brukner stał bliżej, usłyszałby brzęk wydobywający się ze środka. Mężczyzna włożył zawartość pakunku do zardzewiałego peugeota i wręczył lekarzowi kopertę. Potem wsiadł do furgonetki. Brukner patrzył, jak odjeżdża.

Halas stał i patrzył na Zbyńka. Ten ruszył w jego stronę zdecydowanym krokiem. Lekarz włożył kopertę do wewnętrznej kieszeni wiatrówki i wyszedł mu spotkanie.

– Karel – zaczął Brukner bez zbędnych wstępów – musimy pogadać.

Gdy zbliżał się do starego chlewu, usłyszał dziwny dźwięk, coś jak długie, bolesne, zwierzęce zawodzenie. Weterynarz zrobił kilka kroków w tył i gwałtownym ruchem zamknął bramę.

– Możesz mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego policja interesuje się moimi psami? – napadł go Brukner.

– Przecież ty już nie masz psów... – odpowiedział tamten obojętnie.

Ton jego głosu doprowadził Zbyńka do furii.

– Ale miałem, kurwa! – wrzasnął.

– A co to obchodzi policję? – dopytywał spokojnie Halas.

– Miałeś się nimi zająć.

– Zająłem się.

– To czemu grzebią w tym gliny? Coś z nimi zrobił?

– Niestety mój znajomy ze spalarni wybił sobie ramię, był na zwolnieniu i nie mógł ich zabrać. Pomyślałem, że nie ma potrzeby mieszać w to innych ludzi.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Nie mogłem ich trzymać u siebie. Pogrzebałem je.

– Kurwa! – wybuchł znowu Brukner. – Ale kasę przytulileś, co?

– Ja też ponoszę koszty. Myślisz, że sam latałem z łopata? Z tą swoją ręką? – Halas pokazał Bruknerowi obandażowaną lewą dłoń.

– Gdzie je zakopałeś?

– Za górną polaną. Wyluzuj.

– Do kurwy nędzy, równie dobrze mogłem je zakopać u siebie.

– Mówię, luz.

Brukner najchętniej obiłby mordę tej konowalskiej szmacie.

– Jak mam wyluzować, kiedy węszy za nimi policja?

– Podjadę tam i rzucę okiem.

Halas przez te wszystkie lata nauczył się pacyfikować Zbyńka. Wiedział, że ten spaślak i sutener lubi wydzierać na ludzi japę, ale jeśli przeciwnik zademonstruje stalowe nerwy, szybko się uspokaja.

Brukner chwilę stał w milczeniu, wreszcie przypomniał sobie, co jeszcze chciał powiedzieć.

– Na cholere mi tu sprowadzasz Azjatów...

Lekarz spojrzał mu głęboko w oczy.

– Zbyněk, płacę ci czynsz, więc daj na wstrzymanie, co?

Brukner obrócił się na pięcie i poszedł zaaplikować sobie dwunastoletniego ballantine'sa na uspokojenie.

Adam Kubík (który po wczorajszym dniu postanowił, że nie zbliży się więcej do zwierząt w zoo, a szczególnie lamy będzie omijać szerokim łukiem) siedział pod lasem, na suchym kawałku mchu, oparty plecami o pień świerku. W podkoszulku, szortach, tenisówkach, z plecaczkiem przy nogach i czapką z daszkiem zsuniętą na oczy wyglądał jak turysta, który w upalny dzień postanowił odpocząć w cieniu drzewa. Kubík i Milan Purkyně zmieniali się w ten sposób od rana. Ich program dnia nie był może zbyt urozmaicony, Adamowi to jednak nie przeszkadzało. Zarówno w cienistym lesie, jak przy bezalkoholowym piwie w przestronnej drewnianej restauracji przed wejściem do zoo czuł, że bywały w jego życiu i bardziej uciążliwe, i nudniejsze akcje śledzenia podejrzanych.

Po wpół do czwartej bramą służbową zaczęli wychodzić pracownicy po pierwszej zmianie, a Adam obserwował, jak rozmawiają o czymś w kilkusobowych grupkach. Domyślał się, co może być tematem. O 15:37 wśród wychodzących i odjeżdżających pojawił się Martin Pluskal. Miał na sobie pomarańczową koszulkę bez rękawów, szorty moro z kieszeniami, na bosych stopach sandały, a na ramieniu sfatygowany plecak. Już wcześniej sprawdzili, że auto zaparkował na osiedlu Nové Sady, a technicy założyli mu rano podsłuch w komórce. Kubík z bocznej kieszeni plecaka wyjął służbową krótkofalówkę i powiadomił Milana, że obiekt się oddala. Z urzędzenia dobiegł trzask, Purkyně rzucił krótkie „rozumie”, po czym dopił w pośpiechu piątę tego dnia latte, zapłacił i wyszedł na parking przed wejściem dla zwiedzających. Słońce zdążyło zmienić pozycję, więc służbowa cywilna octavia znalazła się w epicentrum upału. Musiał najpierw

wywietrzyć auto, a w czasie jazdy opuścił wszystkie szyby. W tym czasie Kubík w przyciemnionych okularach obserwował spokojnie Pluskała zmierzającego między willami w stronę przystanku autobusu. Po drodze Pluskał dołączył do dwóch innych pracowników zoo, ale nie wdawał się z nimi w rozmowę.

Czapka z daszkiem i okulary zapewniały Adamowi jaką taką anonimowość, choć śledzony mężczyzna nie sprawiał wrażenia specjalnie czujnego. Stał na przystanku ze spuszczoną głową, a kiedy jeden z kolegów o coś go zapytał, potrzebował dłuższej chwili, by w ogóle odnotować pytanie. Zza zakrętu na Radíkov wynurzył się autobus, Kubík zaczekał, aż Pluskał do niego wsiądzie, po czym sam też wskoczył do pojazdu tylnymi drzwiami. Autobus ruszył i ledwo minął zjazd w kierunku zoo, podjechała do niego od tyłu octavia prowadzona przez Milana. Kubík machnął mu dyskretnie przez tylną szybę, a ten odpowiedział skinieniem głowy znad kierownicy. Martin Pluskał siedział w przedniej części autobusu i oddawał się rozmyśleniom, nie mając pojęcia, że policjanci depczą mu po piętach.

Zgodnie z przewidywaniem wysiadł z jedenastki na ostatnim przystanku pod dworcem głównym. Obok wznosił się wieżowiec RCO, efekt współpracy inwestora-dziwaka i architekta o nieco przebrzmiałej bałkańskiej fantazji. Kubíka mało obchodziła stylistyczna pokraczność budynku, pamiętał za to dobrze, co w nim przeżył z kolegami i jaki to miało wpływ na cały zespół.

Wysiedli i naraz znaleźli się w rozgrzanej słońcem krainie z betonu, asfaltu i kostki brukowej, gdzie jedynym źródłem cienia była wiata nad przystankiem tramwajów i autobusów oraz wielka elektroniczna tablica z godzinami odjazdów poszczególnych linii. Pluskał od tego żaru aż przymknął oczy i ruszył w stronę przystanku autobusu na Nové Sady. Adam rozejrzał się i zauważył, że Purkyně podjechał autem pod budynek

dworcowej poczty, bo nie znalazł innego miejsca do zaparkowania. Dokładnie w chwili, gdy Kubík dotarł do przystanku naprzeciwko, Pluskal odwrócił się i ruszył w jego stronę. Adam się wystraszył, ale zdążył spuścić głowę, tamten jednak nie zwrócił na niego uwagi i szedł dalej w kierunku dworca. Przebiegł przez szyny tramwajowe i minął postój taksówek. Kubík widział, jak Purkyně wysiada z auta, wyraźnie zaskoczony widokiem idącego mu naprzeciw Pluskala. Ten jednak i tym razem zdawał się nie dostrzegać obecności funkcjonariusza i zniknął za drzwiami poczty.

Purkyně skoczył za nim, ale w środku po podejrzanym nie było śladu.

Martin Pluskal pocił się tymczasem w budce telefonicznej. Wrzucił do urządzenia kilka monet, wyciągnął z kieszeni kartkę z numerem i podniósł słuchawkę.

Kubík wbiegł do budynku poczty. Milan Purkyně rozglądał się po przestronnej hali, a gdy zobaczył kolegę, tylko rozłożył bezradnie ręce. Adam też się rozejrzał, a potem zatrzymał wzrok na kabinie, którą drugiemu z policjantów zasłaniało starsze małżeństwo stojące przy okienku obok. Ruchem ręki wskazał mu miejsce, sam jednak ulotnił się z powrotem na parking. Prażące słońce odbijało się w przednich szybach samochodów, asfalt topniał od gorąca, a pobliskie skrzyżowanie z torowiskiem tramwajowym dosłownie tonęło w ukropie.

– Policja znalazła ślady DNA – informował kogoś przez telefon roztrzęsionym głosem Pluskal. – Pobrali nam wszystkim próbki... A co miałem robić?! Nie było mowy, że ktoś przy tym zginie. A już na pewno nie Franta Rampula... I jeszcze jedno. Policja powiedziała, że to nie było morderstwo, ale nieumyślne spowodowanie śmierci i jeśli sprawca się przyzna, potraktują to jako okoliczność łagodzącą. Myślę, że powinniśmy im powiedzieć, tu już nie chodzi o kradzież zwierząt z zoo, tylko o martwego Rampulę. Na pewno oddam całą kasę.

Za jego plecami, oddzielony przeszklonymi drzwiami budki, wyłonił się Purkyně.

– No dobra – powiedział Pluskal do telefonu i się odwrócił.

Milan uskoczył w ostatniej chwili. Twarzy zaglądującej mu przez ramię do wnętrza kabiny Martin z pewnością by nie przeoczył, nawet jeśli dotąd wykazywał daleko posunięty brak zainteresowania wszystkim, co się wokół niego działo.

– Kto miałby mnie śledzić? Okej, jasne, możemy się tak umówić. – Odłożył słuchawkę i opuścił kabinę.

Purkyně odwrócił się w stronę plakatu reklamowego i czekał, aż Pluskal go minie. Kiedy obiekt opuścił budynek poczty, przejął go ponownie Kubík. Milan wszedł do kabiny, wysypał z portfela drobniaki, wrzucił je do automatu, podniósł słuchawkę i wcisnął guzik REDIAL. Usłyszał ton nawiązywania połączenia, przerwany niemal od razu komunikatem, że abonent jest czasowo niedostępny. Purkyně zapisał w notesie rząd cyfr z wyświetlacza, a potem z komórki zadzwonił na komisariat, by sprawdzono mu, na kogo zarejestrowany jest numer.

Człowiek, z którym Pluskal przed chwilą rozmawiał, zdążył tymczasem wyjąć z telefonu kartę SIM. Siedział za kierownicą zaparkowanego samochodu, traktując włączony silnik jako napęd do klimatyzacji. Otworzył schowek przy siedzeniu pasażera, wyjął z niego nożyczki i rozciął kartę na trzy części, które następnie wyrzucił przez okno. Z walizeczki na siedzeniu obok wyjął nową abonentową simkę i wsunął ją do telefonu. Dopiero wtedy wrzucił jedynekę i powoli ruszył.

W swoim biurze Wielka Sowa walczyła z duchotą za pomocą spuszczonej żaluzji i wentylatora. Ten ostatni jednak przede wszystkim siał zamęt wśród papierów, akt, meldunków i karteluszków, a dopiero w drugiej kolejności pełnił swoją funkcję. Po przyjeździe z zoo Marie puściła sobie bożonarodzeniowy album Dylana, co było swoistym gestem rozpaczy zmęczonej upałami kobiety, pragnącej przynajmniej w duchu stworzyć iluzję chłodu. Przebrnęła przez papierową wyściółkę na podłodze, by schronić się przed gorącem i administracyjną mitręgą w klimatyzowanym biurze inspektora Šupiny, gdzie wkrótce potem zawitał także Edelweiss, a tuż przed czwartą dowlókl się z raportem półżywy sierżant Kodet. Oprócz teczek z dziennymi meldunkami przyniósł mapę okolic Ołomuńca i rozpostarł ją na stole konferencyjnym, wokół którego wszyscy siedzieli.

– Na podstawie nagrań z miejskiego monitoringu możemy prawie na pewno stwierdzić, że w czasie, który nas interesuje, do miasta nie wjechała żadna furgonetka. Musieli wsiąknąć w którejs z wiosek pod Svatým Kopečkiem albo pojechać w stronę Radíkova czy Lošova – poinformował przełożonych Kodet.

Šupina stał wpatrzony w mapę.

– Radíkov bym wykluczył. Dokąd mieliby stamtąd jechać?

Sierżant uznał pytanie za retoryczne i kontynuował:

– Skontaktowaliśmy się z komendą w Šternberku, a potem z komisariatami w Velkej Bystřicy i innych okolicznych wsiach. Nie pomogli nam. – Zamilkł na chwilę, a ponieważ nikt nie skomentował tych informacji, przeszedł do następnego punktu. – Staramy się też sprawdzić,

kto mógł kupić broń usypiającą. I oczywiście szukamy samych niedźwiedzi. Na razie bez skutku.

Inspektor Šupina podniósł się znad mapy i oparł w fotelu.

– Zastanawiam się, czy nie podać wszystkiego do wiadomości publicznej – przyznał.

– W sensie, ogłosić poszukiwanie niedźwiedzi? – zareagowała zdziwiona Marie.

Šupina wzruszył ramionami.

– Przede wszystkim pomyślmy, kto może potrzebować tych zwierząt i po co? – włączył się Edelweiss. – Kogo mamy szukać? Może komuś się zamarzyło myśliwskie trofeum?

– Nie wykluczałbym prywatnego hodowcy – zasugerował Kodet, przeglądając notatki dla pewności, że o niczym nie zapomniał.

– W odróżnieniu od dyrektora zoo brałabym pod uwagę także obrońców zwierząt – dodała sucho Wielka Sowa.

– Niby co mieliby z nimi robić? – zdumiał się David.

– Bo ja wiem? – Výrová rozłożyła ręce. – Odnowić populację w Beskidach?

Edelweiss rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– Baribale żyją w Ameryce Północnej, nie u nas.

Marie zmierzyła go wzrokiem pełnym złości. Pavel uniósł brwi.

– Chciałem tylko powiedzieć, że animalsi raczej nie wypuszczaliby amerykańskich niedźwiedzi w Beskidach...

– Jaki mamy punkt wyjścia? – zapytał Kodet i zamknął teczkę.

– Zaczekajmy, może śledzenie Pluskala do czegoś nas doprowadzi – postanowił Šupina. – Potem się zobaczy.

Nocami Kristýna i David dzielili wprawdzie łóżko, ale w ciągu dnia się mijali. Gdy Kodet poprzedniego dnia wrócił do domu, ona już spała. Obudził się sam, bo Kristýna miała umówione spotkanie z weterynarzem Zahradníkem, a ponieważ rano na trasie Ołomuniec – Šternberk korki bywają koszarne, wyjechała jeszcze przed siódmą. Dopiero wieczorem mogli wreszcie zreferować sobie prowadzone sprawy. David opowiedział o zabójstwie w zoo i sidłach, jakie na potencjalnego mordercę zastawiła Wielka Sowa. Kristýna słuchała go niecierpliwie, bo chciała jak najszybciej przejść do „swojej” sprawy, która – jak sobie uświadomiła tego wieczoru – była pierwszą prowadzoną przez nią samodzielnie i bardzo jej zależało, by móc ją w końcu z kimś omówić. Opisała mu znalezienie pięciu martwych psów, przytoczyła słowa doktora Zahradníka, a potem podzieliła swoim rozczarowaniem, że po całym dniu obdzwaniania urzędów i wertowania list zarejestrowanych psów do niczego nie doszła. David namyślał się przez chwilę, po czym stwierdził, że człowiek, który organizuje walki psów, prawdopodobnie nie przejmuje się czymś takim jak ewidencja zwierząt. Zaoponowała, że nie da się zataić posiadania pięciu psów i że prędzej czy później na właściciela i tak doniosłby jakiś gorliwy sąsiad. Siedzieli przy kuchennym stole nad talerzami z jajecznicą, zagryzali ją pieczywem, a David słuchał wyjaśnień Kristýny:

– Uznałam, że mogę zacząć na dwa sposoby. Po pierwsze hodowcy. Załatwiłam z urzędu miejskiego w Šternberku listę zarejestrowanych psów i staram się na podstawie ras ustalić, kto był właścicielem tych pięciu. Do tego obdzwoniłam wszystkie wsie w okolicy.

– To miałyby sens tylko w przypadku, gdyby właściciel zgłosił psy – zauważył sceptycznie David.

– Jest jeszcze druga możliwość – ciągnęła Kristýna. – Doktor Zahradník powiedział, że w pobliżu miejsc, gdzie odbywają się walki, dochodzi do zaginięć psów. To może pomóc w ustaleniu lokalizacji. Zadzwońię jeszcze do komendy powiatowej i zapytam, czy nie notują gdzieś podejrzenie wysokiej liczby zaginięć.

Wieczór spędzali osobno. Wypompowany po całym dniu David oglądał telewizję i czekał na swoją kolej przy śledzeniu Pluskala. Kristýna przeglądała w sieci informacje na temat walk. Była porażona tym, co udało jej się znaleźć. Okazało się, że ta forma rozrywki praktykowana jest nie tylko w państwach trzeciego świata czy krajach o niższym stopniu cywilizacyjnego rozwoju, jak Rosja czy niektóre republiki bałkańskie, ale w całej Europie, nie wyłączając Czech.

W przerwie na reklamy do kuchni, gdzie siedziała z laptopem, przyczłapał David. Nalał sobie wody z kranu. Kristýna z przerażeniem spoglądała w monitor komputera.

– Jezu... – westchnęła.

– Co?

– Spójrz. – Pokazała mu ekran. – A co, jeśli te wasze misie ukradli właśnie po to?

Około ósmej wieczorem Adam Kubík przestał się łudzić, że całodzienne śledzenie podejrzanego jest pewną formą wypoczynku. W aucie było im z Milanem nieznośnie gorąco, dlatego usiedli na ławce pod obskurnym blokiem, w którym ich obiekt mieszkał razem z ojcem. Nuda i pierwsze symptomy klaustrofobii dopadły ich tak czy owak. Milanowi działało na nerwy nieustanne esemesowanie kolegi, a im bardziej dawał temu wyraz, tym większe było przekonanie Adama, że ma do czynienia z malkontentem i z tym większym utęsknieniem czekał na północ, gdy zmieni ich David. Po dziesiątej podejrzany wyszedł z budynku, a ich wyczerpana upałem psychika potraktowała to jak wybawienie z opresji.

Martin Pluskal wszedł do starej škody, a znużeni Purkyně z Kubíkiem podążyli za nim przez labirynt osiedlowych uliczek i pogrążony we śnie Slavonín aż na Horní Lan, gdzie obiekt zatrzymał auto przed galerią handlową. Nie licząc kilku samochodów i ludzi, spowity mrokiem parking był pusty, dlatego Milan przezornie stanął trochę dalej. Pluskal zamknął škodę i ruszył do galerii.

– A ten dokąd? – zapytał zdziwiony Kubík.

– Chyba do sklepu – skonstatował Purkyně.

– O dziesiątej wieczorem? – Adam mieszkał z rodzicami, dlatego problemy typu konieczność szybkiego zaopatrzenia lodówki po wielu godzinach pracy były mu nieznane.

– Tesco jest otwarte całą dobę – stwierdził bez entuzjazmu Purkyně. Rzadko kiedy czuł się większym desperatem niż w chwilach samotnych

wędrówek między podświetlonymi regałami pustego sklepu o wpół do pierwszej w nocy.

– Pójdiesz za nim czy ja mam iść? – zapytał Kubík.

Purkyně wyczuł, że Adam chętnie by poszedł, co zresztą mu odpowiadało, więc odparł:

– Zaczekam w aucie.

Za Pluskałem tymczasem zamknęły się automatyczne drzwi galerii. Purkyně wysiadł z auta i się przeciągnął. Na otwartym placu powiewał wiatr, schładzał gorące powietrze i przynosił szum samochodów z niedalekiej wylotówki na Brno. Asfalt zdążył już nieco ostygnąć. Podświetlone billboardy wzmagaly niepokojącą atmosferę pustego parkingu.

Pluskał przeszedł przez galerię w dyskretnej asyście Kubíka. Zamknięte sklepy robiły przygnębiające wrażenie, młodzi mężczyźni nie rozglądali się jednak wokoło, pochłaniały ich bez reszty ich własne myśli; Pluskał zastanawiał się, co powie człowiekowi, z którym miał się spotkać, Adamowi zaś chodziło po głowie łóżko i czekająca w nim na niego dziewczyna. Witryny opustoszałych sklepów przesłonięte kratą nęciły letnimi promocjami. Manekiny w koszulkach, szortach i okularach przeciwsłonecznych wpatrywały się w wyludnione korytarze galerii. Pluskał nawet nie spojrzął w ich stronę i wszedł do hipermarketu, który zajmował całą tylną połowę budynku. Ledwo wkroczył z koszykiem między regały, w kieszeni zabrzączał sygnał esemesa: „Zrob zakupy, potem idz do toalety. Następną wiadomość tam”.

Ostatnich pięć minut życia Martin Pluskał spędził na chodzeniu po sklepie i wybieraniu artykułów żywnościowych. Na śniadanie kupił dwie drożdżówki w folii, butelkę mleka na promocji, a dla taty kawę, potem jeszcze wrócił po piwo. Pomyślał, że przy takim upale browar choć trochę

poprawi ojcu kiepski bilans przyjmowanych płynów. Przez chwilę jeszcze się namyślał, co kupić. Całodzienny stres i napięcie zawiodły go do półki z alkoholami, przy której zmęczona kobieta w lekkim kostiumie i z chorobliwie spoconym czołem nie mogła się zdecydować, czym najlepiej zapisać samotność letniej nocy. Pluskał rzucił okiem na ceny i stwierdził, że nie jest to antidotum na jego problemy. Kobieta spojrzała na niego, a gdy spuścił głowę, wróciła do przeglądania oferty koniaków. W alejce obok szwendał się Kubík. On, samotna amatorka trunków i ospała kasjerka, której sztuczne światło wyssało z twarzy wszystkie ludzkie barwy, byli ostatnimi ludźmi widzącymi Martina Pluskała żywego.

Zostały dwie minuty.

Purkyně otworzył bagażnik i sięgnął po butelkę wody, która jednak po całym dniu leżenia w upale okazała się obrzydliwie ciepła. Skoro Adam i Pluskał mogą robić zakupy, dlaczego i on nie miałby skoczyć do sklepu po coś do picia? Zamknął auto i pewnym krokiem ruszył w stronę wejścia do galerii.

Gdy zamknęły się za nim automatyczne drzwi, Pluskał akurat pakował swoje zakupy do reklamówki, po czym skierował się do wyjścia. Kubík odczekał minutę i podszedł do kasy. Z braku lepszych pomysłów włożył do koszyka trzy rogaliki, opakowanie sałatki majonezowej (jego matka uzna to za szaleństwo – w taki gorąc! – i wyrzuci ją do kosza) oraz dwie puszkę energetyka. Zmęczenie zmęczeniem, ale wieczorem czeka go jeszcze panna.

Zapłacił i ruszył w stronę wyjścia.

W tym czasie do Tesco z drugiej strony wszedł Purkyně i zaczął szukać lodówki z napojami.

Adam był już na parkingu. Mimo wieczornej pory upał nie odpuszczał, więc po czasie spędzonym w klimatyzowanych wnętrzach mężczyzna

przeżył szok termiczny. Jego wzrok przez chwilę przyzwyczajał się do ciemności, ale w końcu zorientował się, że auto Pluskala stoi puste. Rozejrzał się. Także Purkyně gdzieś wyparował. Sięgnął do kieszeni po komórkę.

Ostatnie trzydzieści sekund. Martin Pluskal wszedł do toalety. Był ciekaw, jaką dostanie wiadomość. Miał nadzieję, że ta zabawa w szpiegów zaraz się skończy, a szef nie każe mu latać po całym mieście. Rozejrzał się po umywalni, a potem wszedł do części z kabinami. Nie było tam żywej duszy. Położył torbę z zakupami na podłodze i wyjął komórkę. Wiadomość od szefa z nieznanego numeru. Wcisnął przycisk „Zadzwoń” i przyłożył telefon do ucha. Dwie sekundy ciszy. Gdy usłyszał sygnał nawiązywania połączenia, równocześnie rozległ się przytłumiony dzwonek. Tuż obok. Czyżby wskazywał miejsce, gdzie zostawiono mu wiadomość? Uniósł głowę w kierunku kabiny, której drzwi nagle się otworzyły, i zanim zdążył zareagować, czyjaś pięść powaliła go na ziemię.

Uderzenie nie było silne, do tego wyprowadzone w mało zręczny sposób, Pluskal jednak nie umiał przyjmować ciosów, w każdym razie nie fizycznych. Przyklęknął na posadzce, zatrząsał głową, żeby dojść do siebie, ale nie dostał na to szansy. Napastnik podszedł do niego, lewą ręką w lateksowej rękawicy chwycił za włosy i przysunął jego głowę do pisuaru. Nim Martin zdążył się zorientować, co jest grane, mężczyzna stanął w rozkroku i odchylił głowę ofiary do tyłu. W prawej ręce trzymał skalpel, który przystawił chłopakowi do szyi. Jednym precyzyjnym ruchem przeciął mu tętnicę szyjną i tchawicę. Pluskal zarzęził, a z rany silnym strumieniem, wprost do pisuaru, trysnęła krew. Po chwili znalazła się tam również jego głowa, bo napastnik puścił włosy i delikatnie popchnął ją do przodu. Ciało opadło na ziemię, ale twarz pozostała w pisuarze. Pluskal wierzgnął jeszcze kilka razy. Morderca podszedł do kabiny i w ten sposób uruchomił czujnik

spłukiwania. Do muszli napłynęła woda, zmieszała się z krwią i zaczęła się wylewać na podłogę. Facet obejrzał swoje dłonie w lateksowych rękawicach i ramiona, ale prócz zakrwawionych palców, w których trzymał skalpel, reszta ciała była czysta. Rzucił narzędzie zbrodni na posadzkę i bardzo ostrożnie ściągnął rękawice nad umywalką. Z kieszeni spodni wyjął woreczek, naciągnął go na dłoń, którą następnie chwycił rękawice, i wszystko włożył do kieszeni.

– Kurwa mać! – wymsknęło się Purkyněmu, gdy Adam zapytał go, gdzie jest Pluskał. Złapał butelkę z wodą mineralną i popędził do wyjścia.

Kubík ponownie przeleciał wzrokiem po parkingu, a potem biegiem wrócił do galerii.

Morderca bez pośpiechu wyszedł z toalet. Rozejrzał się dookoła, zauważył biegnącego korytarzem w stronę hipermarketu młodego mężczyznę, po czym skierował się do wyjścia. W drodze do auta wyciągnął z komórki kartę SIM i wrzucił do pobliskiej studzienki.

– Myślałem, że czekasz na zewnątrz... – wściekał się na Purkyněgo Kubík.

– A ja, że masz go na oku – odparował tamten.

– Płaciłem przy kasie za zakupy... – Do Adama dotarło, że wciąż trzyma w ręku reklamówkę.

– Niech to chuj! – ulżył sobie Purkyně.

Ich rozmowa przykuła uwagę ochroniarza, który stał przy kasach w Tesco.

Kobieta w kostiumie płaciła właśnie za zakupy: butelkę koniaku, chipsy, puszkę drogich sardynek.

– Może poszedł do kibla – przyszło do głowy Purkyněmu.

Na myśl o tym, że zniknięcie Pluskała można racjonalnie wytłumaczyć, Kubíkowi zrobiło się lżej na sercu.

– Idź, sprawdź, a ja zobaczę na zewnątrz – zdecydował kolega.

Zanim ochroniarz zdążył do nich podejść, rozdzielili się.

Purkyně wybiegł na parking. Pusta škoda Pluskala stała na swoim miejscu. Gdzieś w oddali odjeżdżało auto. Już chciał wrócić do galerii, gdy w kieszeni odezwała się komórka. Kubík.

– Milan, mamy przejebane – sapał do telefonu Adam. – Pluskal nie żyje.

Część trzecia

Psy

15-18 czerwca 2013

Dzień trzeci

Sobota 15 czerwca

24

Wygląd mieszkania Pluskalów, ojca i syna, odpowiadał epoce, w której postawiono ich blok. W przedpokoju powycierana na krawędziach i przy rączkach szafa wnękowa, laminatowe okleiny, wysłużona zabudowa kuchenna z blaszanymi drzwiczkami i obdartym blatem, pożółkła kuchenka gazowa.

Eduard Pluskal zaprowadził Edelweissa i Kodeta do kuchni. Mógł mieć około siedemdziesięciu lat, przez rzadkie, krótkie włosy prześwitywała plamiasta skóra czaszki, z uszu i nosa wystawały mu kępki zarostu, doskonale współgrające z gęstymi brwiami. Policjanci wyrwali go ze snu, siedział więc teraz przy stole w górze od pizamy i powyciąganych bokserkach, a jego nocni goście nie byli pewni, czy zrozumiał, co mu właśnie przekazali.

Na suficie paliła się energooszczędna żarówka w prostym kloszu. Zegar na ścianie wskazywał wpół do pierwszej w nocy. Stary Pluskal przyglądał się swoim plamom wątrobowym na grzbietach dłoni.

– Martin był dobrym dzieckiem – powiedział w końcu. – Po rozwodzie zamieszkał ze mną. W zoo niedużo zarabiał, a musiał płacić alimenty na dzieci, więc się cieszył, że może zatrzymać się tu, u starego ojca. – Podniósł wzrok na komisarza Edelweissa. – Co ze mną będzie po jego śmierci?

– Czy syn powiedział panu, dokąd jedzie? – zapytał Pavel.

– Na zakupy. Mówię mu, siedź w domu, niczego nie potrzebujemy, chcę, żebyś został ze mną, ale nie, on musiał jechać do sklepu. I tak się

skończyło.

– Czy syn lubił swoją pracę? – dopytywał dalej Edelweiss.

– Oczywiście, że tak. Zarabiał niewiele, ale kochał te swoje zwierzaki.

– Rozmawiał z panem o tym?

– Jasne, że rozmawiał! Co to w ogóle za pytania?! – Starszy pan pokręcił głową, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Nie wspominał czasem o jakichś problemach w pracy?

– Lubił zoo – odpowiedział tamten sucho.

– A może opowiadał w ostatnim czasie coś o niedźwiedziach? – zapytał Edelweiss.

– O niedźwiedziach? – powtórzył wolno ojciec Martina.

– Na przykład, że ktoś go poprosił o pomoc w transporcie niedźwiedzi – zasugerował Kodet.

Mężczyzna spojrzał na niego zdumiony, ale nic nie powiedział.

– Proszę pana... – zaczął Edelweiss.

– Martin faktycznie wspominał, że poznał jakiegoś człowieka, który lubi niedźwiedzie – przypomniał sobie naraz.

– Co jeszcze mówił?

– Że niedźwiedzie powinny żyć w swoim środowisku naturalnym, w lesie, a nie być atrakcją do oglądania.

– To słowa pana syna czy tego znajomego?

Pluskał się zamyślił. Edelweiss i Kodet czekali cierpliwie na odpowiedź.

– Chyba obaj tak mówili – przypomniał sobie w końcu ojciec Martina.

– Czy syn powiedział panu, jak się poznali?

– Zdaje się, że w zoo. – Zasepił się. – Kto się mną teraz zajmie? Jestem stary, potrzebuję opieki. Dostanę chociaż odszkodowanie?

– To nie jest pytanie do nas – uciął Edelweiss. – Ostatnia rzecz. Czy pana syn w ostatnim czasie wszedł w posiadanie jakiejś sumy pieniędzy?

– Pieniądzy to ja potrzebuję. – Stary Pluskał pokręcił głową. – Muszę mieć opiekunkę, kogoś, kto się mną zajmie.

– Czy możemy obejrzeć pokój Martina? – zapytał Kodet.

– Nie powiedzieliście mi, czy dostanę odszkodowanie – upierał się mężczyzna. – Potrzebuję środków do życia, mam siedemdziesiąt lat, ktoś musi się mną opiekować.

Kodet spojrział bezradnie na Edelweissa, a potem wrócił do pytania:

– W którym pokoju mieszkał pana syn?

Mężczyzna znowu zamilkł, a po chwili wstał bez słowa, wszedł do przedpokoju i wskazał drzwi naprzeciwko.

Policjanci weszli do skromnie urządzonego kwadratowego pokoiku, jakich w domach z wielkiej płyty istnieją tysiące. Stały w nim łóżko, regał z książkami, szafa na ubrania, komoda i biurko z szufladami, wszystko z nieśmiertelnej sklejki, klasyka wczesnych lat siedemdziesiątych. Jedyne laptop na biurku, odtwarzacz CD na komodzie i półka z płytami na ścianie wprowadzały względny element nowoczesności.

Rozejrzeli się po pokoju, a następnie włożyli lateksowe rękawiczki. Edelweiss bez trudu czytał w myślach Kodeta, bo i jemu nasunęło się to samo podstawowe pytanie.

– No cóż, każdy przeżywa żałobę na swój sposób – powiedział cicho i otworzył szafę z ubraniami.

Sierżant Kodet w tym czasie przeglądał szuflady.

– Tylko że ten facet myśli wyłącznie o sobie. Zabili mu syna, a jedyne, co go interesuje, to odszkodowanie?

W szafie nie znaleźli nic prócz jesiennych i zimowych kurtek.

– A co my możemy wiedzieć o tym, jak się żyje w naszych czasach starym ludziom? – odpowiedział Pavel i podszedł do biblioteczki.

– Spójrz... – David wyciągnął z dolnej szuflady kopertę. W środku znajdował się cienki stosik banknotów tysiąckoronowych.

– Ile? – chciał wiedzieć Edelweiss.

Kodet przeliczył.

– Dwanaście.

Komisarz upewnił się, że drzwi do pokoju są zamknięte.

– Konfiskujemy. Laptop też. Poszukaj, czy nie ma tam jakiegoś pamiętnika, kalendarza czy czegoś w tym rodzaju.

Kodet ponownie przetrząsnął szuflady biurka, a Edelweiss otworzył przeszkloną biblioteczkę. Wziął do ręki *Wyzwolenie zwierząt* Petera Singera.

– Hm... książka o prawach zwierząt. O tym, że nie możemy zadawać im cierpienia.

Kodet podszedł do niego i wspólnie zaczęli przeglądać księgozbiór. Zainteresowania czytelnicze Martina Pluskala wydały im się uderzająco monotematyczne; biblioteczka zawierała wyłącznie naukowe i popularnonaukowe pozycje z zakresu etologii, ochrony środowiska i relacji człowieka ze zwierzętami: prace Zdeňka Veselovskiego *Człowiek i zwierzę* oraz *Czy zachowujemy się jak zwierzęta?*, kilka tomów Konrada Lorenza, opasłe dzieło *Zanim zginie przyroda* Jeana Dorsta, opracowania Stanisława Komárka i Václava Cílka i wiele innych książek tego typu.

– Może jednak maczali w tym palce animalsi, hm? – zasugerował David Kodet.

– Wydaje ci się logiczne, że obrońcy zwierząt kradną trzy niedźwiedzie, żeby wypuścić je na wolność, a potem zaczynają się nawzajem mordować?

– wyraził sceptycyzm jego szef.

Kodet odwrócił się od biblioteczki i podszedł z powrotem do biurka. Edelweiss patrzył, jak kolega ponownie przeszukuje szuflady.

– Pluskal mógł mieć szlachetne intencje, ale sądzę, że za wszystkim i tak kryje się zwykła ludzka chciwość – stwierdził. – Żadne wzniosłe idee, czysty zysk. – Rozejrzał się jeszcze raz po pokoju Pluskala. – Do tej zbrodni wcale nie musiało dojść, David. Chłopaka zabili z naszego powodu.

Nocny wiatr trzepotał policyjną taśmą, którą zawieszono na drzwiach galerii. Przy każdym z wejść postawiono dodatkowo jednego mundurowego. Przed budynkiem stało – w przypadkowym porządku i wbrew wytyczonym miejscom parkingowym – kilkanaście radiowozów z migającymi kogutami.

Taśma broniła także wstępu do toalet dla klientów, z których wynurzył się posepny doktor Anděl. Pilnujący wejścia policjant uniósł taśmę, a lekarz pod nią przeszedł. Przy stoliku w dużej hali jadalnej przeznaczonej dla czterech fastfoodowych restauracji, siedziała podłamana Wielka Sowa. Lekarz przysiadł się do niej. Widok parkingu i policyjnej sygnalizacji za wielką przeszkloną fasadą budynku wzmagał ponurą atmosferę pustego centrum handlowego i parnej nocy.

– Zrobiłem swoje, Marie – oznajmił lekarz. – Znacie czas zgonu, nazwisko ofiary, znaleźliście narzędzie zbrodni, przyczyna śmierci jest oczywista. Resztę powiem ci po południu.

– Dzięki – odparła cicho.

– Zbieram się – powiedział Anděl, ale nie podniósł się z krzesła.

Marie milczała.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

– Nie, dzięki.

Z korytarza wyłoniła się wysoka, rozchwiana sylwetka inspektora. Mijając stoliki, zmierzał w ich stronę.

– Jak pan to widzi, doktorze? – spytał Šupina.

– Morderca doskonale wiedział, co robi. Tego jednego jestem pewien – stwierdził medyk sądowy, pożegnał się i odszedł.

Šupina usiadł przy stole na jego miejscu.

– Przyjechał dyrektor centrum handlowego. I szef ochrony. Przywieźli nagranie z kamer.

Výrová westchnęła i podniosła się z trudem. W podobnych sytuacjach wiek szczególnie dawał jej się we znaki.

– Dobra, chodźmy.

– Wszystko w porządku, Marie? – Šupina przyglądał się jej badawczo.

Znowu westchnęła.

– Spieprzyliśmy sprawę, Jindřich. Chodź, miejmy to za sobą.

Šupina wstał i ruszyli korytarzem centrum handlowego. Na jednej z ławeczek czekał na nich Purkyně, kawałek dalej na podłodze siedział Kubík, oparty plecami o witrynę sklepu z konfekcją. Między jego podkurczonymi nogami leżała reklamówka. Marie nie miała ochoty z nimi rozmawiać, postanowiła ich zignorować, ale widok Kubíka sprawił, że jednak cofnęła się o parę kroków. Mężczyzna podniósł się jak na komendę.

– Co pan ma w tej siatce? – zapytała, wskazując na reklamówkę z logo Tesco.

Kubík nie mógł wykrztusić słowa.

– Proszę mi ją pokazać – powiedziała stanowczym tonem.

Schylił się i podał jej siatkę.

– Zakupy – wymamrotał, unikając spojrzenia szefowej.

Marie zajrzała do reklamówki.

– Właśnie widzę, bułeczki. Chce mi pan powiedzieć, że w czasie, gdy morderca zarzynał tego nieszczęsnego człowieka, pan w najlepsze kupował bułeczki? – Rzuciła siatką w stronę Kubíka, który ledwo zdążył ją złapać. –

Jeden z drugim – podniosła głos – przeszliście dzisiaj samych siebie. Osiągnęliście szczyt głupoty i nieudacznictwa. I naprawdę macie wielkie szczęście, że nie jestem już waszą szefową, bo od jutra stalibyście z suszarkami przy drodze! – W opustoszałym korytarzu centrum handlowego jej słowa rezonowały donośnym echem.

Kubík i Purkyně nie odważyli się zaprotestować.

Zaraz potem osowiały pracownik ochrony i jego szef pokazali Výrovej i Šupinie nagrania z kamer. Zobaczyli, jak Pluskal przechodzi alejką obok zamkniętych sklepów, potem kręci się między regałami w Tesco, płaci przy kasie, wychodzi, idzie kawałek i skręca do toalety. Kamery utrwaliły też Kubíka robiącego zakupy i Purkyněgo wchodzącego do galerii. A potem jeszcze raz Adama, który rozgląda się po parkingu i szuka pracownika zoo. Następnie biegnie z powrotem do środka i pod wejściem do Tesco trafia na kolegę.

– Poza kasjerką, ekspedientem, ochroniarzem i trzema klientami w sklepie nie było w tym momencie nikogo innego – referował Šupina, ale głównie po to, by przerwać ciszę.

Tak jak ustalili wczoraj z Pavlem, Kristýna zjawiała się w byłej pracy o dziewiątej. Průcha nigdy nie przydzielał jej służby w weekendy, dlatego postanowiła przeznaczyć sobotę na „prywatne” dochodzenie. Przy śniadaniu David, który położył się spać około wpół do piątej i teraz padał z nóg, opowiedział jej o nowych wątkach sprawy, co tylko rozpałiło w Horovej ambicję wzbogacenia materiału o własne odkrycia. Przywitała się z dawnymi kolegami, po czym ruszyła z Edelweissem do Wielkiej Sowy.

W biurze byłej przełożonej nic się nie zmieniło: wszędzie walały się segregatory, teczki i luźne papiery, przygniecione pudełkami od płyt CD, których stałym miejscem była półka między otwartymi oknami, skąd wpadał do środka ciepły strumień powietrza wraz z hurkotem samochodów i dzwonieniem tramwajów. Kiedy się przywitały, Marie zamknęła okna i włączyła duży wentylator podłogowy. Silny podmuch rozwiął papiery na biurku i Kristýna od razu zrozumiała, dlaczego Wielka Sowa używa płyt z muzyką Dylana jako przycisków. Z odtwarzacza na półce za plecami Výrovej dobiegał znany głos. Jak zwykle nie wyłączyła urządzenia, a jedynie je ściszyła. Starym zwyczajem Kristýna i Edelweiss usiedli w fotelach przy stoliku kawowym, podczas gdy Marie została za swoim biurkiem. Déjà vu: Horová na krótki moment uległa iluzji, że nigdy nie przestała tu pracować.

– Co leci? – zapytała Kristýna. – Poznała głos Dylana, ale piosenki wydały jej się obce. Brzmiały dziwnie, niemal jak country, do tego ze sporą dawką słodkich smyczków. – Tego jeszcze nie słyszałam.

– *Self Portrait*. Album z 1970 – wyjaśniła Marie, którą rozmowa o Dylanie zawsze wprawiała w dobry nastrój. – Leżał w domu od lat, ale dopiero niedawno zaczęłam go słuchać. Ludzie wieszają psy na tej płycie, a ja uważam, że nie jest taka zła.

Nastała chwila ciszy, bo wszyscy zasłuchali się w *Days of 49*, jakby chcieli wyrobić sobie własne zdanie na temat albumu. Kristýna uznała, że kawałek nie jest tragiczny, ale też nie rzuca na kolana. Ot, przyjemny wypełniacz. Pokiwała głową.

– Może być – powiedziała w końcu.

– Słyszałam, że kogoś masz – powiedziała Wielka Sowa niespodziewanie.

Kristýna zamarła i zanim udało jej się opanować i zmusić do beztroskiego uśmiechu, jej twarz wyglądała jak encyklopedyczna ilustracja określenia „trupio blady”.

– Rozmawiałam z twoim tatą – wyjaśniła Marie. – Powiedział, że tym razem spotykasz się z kimś normalnym. W sensie z kimś w swoim wieku.

– Szanowny tatuś, jak sądzę, nie posiada się z radości – skomentował Edelweiss i spojrzał na Kristýnę z przekąsem.

Zamiast odpowiedzieć młoda policjantka tylko mruknęła.

– Wiesz, że zawsze interesowali nas wszyscy twoi faceci – dodał.

– Jacy wszyscy? – obruszyła się Kristýna. – Przez ostatnie cztery lata miałam dwóch, z aktualnym włącznie.

Marie uśmiechnęła się i postanowiła przejść do rzeczy.

– Co nam przyniosłaś?

– Pracuję nad jedną sprawą – zaczęła Kristýna, zadowolona, że udało jej się uciec od delikatnego tematu. – W lesie koło Těšíkova znaleziono pięć martwych psów. Wszystko wskazuje na to, że gdzieś w okolicach Šternberka odbywają się nielegalne psie walki. Na razie nie mam zbyt

wielu informacji. Chciałabym to zbadać, ale szef traktuje mnie jak wrzód na nie powiem czym. Niby daje mi wolną rękę, ale tylko po to, żeby mieć mnie z głowy, a poza tym myśli, że nie nadaję się do niczego lepszego. Wiecie już, co się stało z tymi skradzionymi niedźwiedziami?

Odpowiedział jej Edelweiss:

– Bierzemy pod uwagę kilka hipotez, ale samych zwierząt nie udało nam się znaleźć. Podejrzewamy prywatnych hodowców albo kogoś, komu zależy na trofeach z niedźwiedzi.

– Mamy na głowie kolejne zabójstwo. Mogą być w to zamieszani także obrońcy zwierząt – dodała Marie.

Pavel pokręcił sceptycznie głową.

– Szukałam wczoraj w internecie informacji na temat nielegalnych walk psów – ciągnęła Kristýna. – Byłam w szoku, ile tego jest. A te filmiki... Jakaś masakra. Przy okazji dowiedziałam się, że na przykład w Rosji czy w Chinach organizuje się psie walki z udziałem niedźwiedzi.

Marie i Pavel słuchali w milczeniu.

– Próbowałam coś na ten temat znaleźć i odkryłam, że zanim w Europie wytrzebiono prawie całą populację niedźwiedzi, ludzie często urządzali takie zabawy. Nazywało się to „szczucie na niedźwiedzia”. W arenie walczyli ze sobą niedźwiedź i specjalnie szkolone psy.

Również ten wątek nie wywołał u kolegów reakcji.

– Na walkach psów zarabia się ogromne pieniądze. To chore, ale niektórzy lubią takie rozrywki. A co, jeśli te bydlaki chcą pójść o krok dalej w swoim sadyzmie? Może zwyczajne walki psów im nie wystarczają i chcą do nich włączyć niedźwiedzie?

– Chcesz przez to powiedzieć, że nasze sprawy mogą się łączyć? – zapytał w końcu Edelweiss.

Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się Wielka Sowa:

– Masz na to jakieś dowody?

Kristýna wywnioskowała z tonu Marie, że jej zapał i nadzieje były przedwcześnie.

– No, wydawało mi się... oba przypadki wypłynęły w tym samym czasie...

Marie zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

– Okej, walki psów. Słyszałam o tym. Ale niedźwiedzie? To już trochę naciągane. Nie sądzę, żeby komuś opłacało się włamywać do zoo i zabijać dwie osoby tylko z powodu walk z udziałem niedźwiedzi...

– No więc czemu skradziono tamte trzy misie? – zapytała Kristýna.

– Tego na razie nie wiemy – przyznał Edelweiss.

– No właśnie. Dlaczego więc nie rozpatryć jeszcze jednego motywu? Wzięłabym to na siebie, żadnej dodatkowej pracy dla was.

Marie rozparła się w fotelu i obrzuciła Kristýnę zmęczonym spojrzeniem.

– Naturalnie, moglibyśmy tak zrobić. Ale musimy się poruszać w granicach prawdopodobieństwa. To po pierwsze. A po drugie: masz też własne zadania. Porozmawiaj ze swoim przełożonym, jeśli go przekonasz, a on pozwoli ci się tym zająć...

Horová nie była w stanie ukryć rozczarowania.

– Hm... Průcha jest leśnym dziadkiem. Jego życiowe osiągnięcie to złapanie dwóch chłopaków, którzy na dyskotecę zgwałcili koleżankę.

– Dziwi mnie twój lekceważący stosunek do codziennej policyjnej pracy – stwierdziła cicho Marie.

– Po prostu chciałam być pomocna – broniła się Kristýna.

– Jeśli przyniesiesz nam dowód, choćby jeden, na potwierdzenie swoich domysłów... – zaczęła Wielka Sowa, ale zniecierpliwiona Kristýna

przerwała jej urażonym tonem:

– Jasne – rzuciła i ruszyła w stronę drzwi.

Marie i Edelweiss milczeli przez kilka minut. Wentylator szumiał niemrawo, w tle leciała muzyka, a Pavel czekał, aż usłyszy głos Dylana. Dopiero przed samym końcem utworu zorientował się, że jest on instrumentalny.

– Jak sądzisz, nie potraktowałam jej za ostro? – zapytała naraz Marie.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Rozumiem ją. Zawsze była ambitna i pełna zapału.

Marie wstała z fotela i rozciągnęła plecy. Pavlowi przyszło na myśl, że naśladuje jego ruchy, ale zaraz potem dotarło do niego, że jest odwrotnie. To od niej wszyscy w zespole przejmowali gestykulację i sposób myślenia. A do tego zaraziła ich muzyką Dylana.

– Chce do nas wrócić – wyrwała go z rozmyślań Marie. – Zdaje sobie sprawę, że gdyby udało jej się pomóc nam w śledztwie, nawet na odległość, ze Šternberka, może poprosić o przywrócenie na poprzednie stanowisko.

Na parterze, przy wyjściu na policyjny parking, stał David Kodet i słuchał pełnej goryczy opowieści Kristýny o przebiegu rozmowy. Pod koniec była już bliska łez.

– De facto pokazali mi drzwi. Że niby fantazuję.

David objął ją bez słowa. Ona jednak wyrwała się z jego ramion. Poczucie upokorzenia zamieniło się w pragnienie buntu.

– Znajdę im te dowody, przysięgam – oświadczyła bojowo i ruszyła w stronę auta.

Doktor Karel Halas prowadził swój gabinet weterynaryjny w domu, jednopiętrowym segmencie szeregowki na pagórkowatych obrzeżach Šternberka. Lokalizacja zapewniała mu klientów, bo w okolicy prawie każdy miał psa lub przynajmniej kota. Samemu sobie nie musiał płacić czynszu, obniżył więc ceny usług na tyle, że doprowadził do bankructwa działającą parę ulic dalej przychodnię, później zaś podstępnie i stopniowo kasował za wizyty coraz więcej, w niektórych przypadkach nawet o siedemdziesiąt procent.

Poprzedniego wieczora pojechał obejrzeć miejsce, w którym zakopał zdechłe psy Bruknera. Tym razem nikt go nie widział, był tego absolutnie pewien. Na wszelki wypadek zostawił auto na poboczu i wszedł do lasu pieszo, z latarką w ręku. Zaskoczył go nie tyle spory dół, ile fakt, że komuś chciało się go wykopać i zabrać martwe zwierzęta.

W drodze powrotnej zastanawiał się, jak o tym powiedzieć Bruknerowi, w końcu jednak doszedł do wniosku, że jeśli zwróci mu pieniądze, tamten nie będzie się czepiać. Dawniej doktor nie rozstawałby się z forszą tak łatwo, ale odkąd zaczęło mu się powodzić, nie potrzebował jałmużny od Zbyňka.

Przed południem jak zwykle przyjmował klientów, ale potem na ogół zamykał gabinet. Przekręcił klucz w zamku i zaczął przygotowywać materiał w pokoju zabiegowym. By o niczym nie zapomnieć, starannie rozłożył na stole akcesoria: kilka długich wenflonów, metalowe próbówki, plastikowe wężyki. Do tego skalpele, rękawice chirurgiczne, przybory do szycia, opatrunki. Wszystko dokładnie obejrzał, dwa razy sprawdził, czy czegoś nie pominął, a kiedy upewnił się, że nie, włożył cały ekwipunek do

dużej czarnej skórzanej torby. Zamknął ją, spojrzął na obandażowaną lewą rękę i pomacał owinięte gazą palce. Obiecał sobie, że wkrótce zrobi coś z tą raną i kiedy tylko sprawa trochę przyschnie, umówi się na wizytę u normalnego lekarza, nie konowała, który opatrywał go na pogotowiu.

Wziął torbę, sprawdził, czy ma przy sobie pieniądze i dokumenty, i otworzył drzwi, ku swojemu zdziwieniu niemal zderzając się w progu z panią Lumíkovą. Starcza hipochondria kobiety znajdowała ujście w paranoicznej trosce o pudelka Bertíka (zdaniem Halasa rozpuszczonego jak dziadowski bicz). Trzymany na smyczy otyły piesek próbował odciągnąć kobietę od drzwi gabinetu, ta jednak nieustępliwie kierowała go z powrotem do wejścia.

– Przykro mi, dzisiaj już nie przyjmuję. Mam pilny przypadek, muszę jechać – poinformował Halas zdecydowanym tonem, wiedząc, że w przeciwnym razie przez kolejne pół godziny będzie musiał słuchać o problemach trawiennych pudelka.

– Ale panie doktorze, to poważna sprawa, Bercik już drugi dzień robi rzadką kupkę.

Lumíková miała skrzekliwy, wysoki głos, na który Halas od dłuższego czasu reagował alergicznie. Gruby, tępy psiak był sensem jej życia, dlatego często domagała się konsultacji w różnych, najdziwniejszych nawet porach.

– To niech mu pani zaaplikuje dietę.

Odwrócił się do niej plecami, żeby zamknąć drzwi na klucz.

– Dzisiaj zero jedzenia, a jutro garstkę ciepłych płatków owsianych.

– Nawet go pan nie obejrzy? Co, jeśli jest chory? – Lumíková się obruszyła.

– Nie jest – odparł weterynarz, wkładając klucze do dużej torby, przy czym niechcący uderzył się w obolałą rękę i aż syknął. – Nic mu nie

dolega, pewnie znów się przejadł. Proszę to potraktować jak moją bezpłatną diagnozę.

– Tylko że Bercik źle znosi dietę. Jak nie dostanie amciu, robi się nerwowo – broniła się kobieta.

Cierpliwość Halasa się wyczerpała.

– Jeśli chce pani koniecznie kogoś karmić, proszę sobie adoptować sierotę z Afryki. Przynajmniej zrobi pani dobry uczynek. Żegnam. – Nie odwrócił się nawet w jej stronę, tylko wsiadł do zaparkowanego przed domem SUV-a, położył neseser na fotelu pasażera i włączył silnik. Planował zamknąć przychodnię, kiedy tylko interes porządnie się rozkręci. Albo wynająć ją komuś za duże pieniądze. Z pewnością nie będzie tęsknił za codziennym użeraniem się z ludźmi pokroju Lumíkovej.

W gospodarstwie spędził dwie godziny, w ciągu których zrobił, co do niego należało, potem zmył z siebie smród i pot, i wreszcie zaczął szukać Bruknera. Ponieważ nie zastał go w biurze w głównym budynku, postanowił do niego zadzwonić.

Kristýna była wściekła. Rozgoryczona. Oburzona. Urażona. Nie zasłużyła sobie na taki despekt ze strony Wielkiej Sowy. Odprawiła ją jak jakąś wariatkę, namolną prymuskę, która włązi oknem po tym, jak wyproszono ją drzwiami, pod byle pretekstem. Spotkała ją krzywda! To było zwyczajnie nie fair... Tak się starała, a czekał ją zimny prysznic. Z poczucia bezsilnej złości chciała zadzwonić do Davida i ochrzanić go, że nie stanął w jej obronie, złajając za wszystko, co akurat przyszło jej do głowy, także za to, że zapomniała tego zrobić, gdy chwilę wcześniej rozmawiali. Wyciągnęła nawet komórkę z torby, ale w końcu zadzwoniła do ojca.

– Cześć, tato. Nie przeszkadzam?

– Cześć, Kristy. Nie. Potrzebujesz czegoś?

– Tak. Znajdziesz dla mnie czas?

– Jasne, jestem w biurze i...

– Jak to? W sobotę?

– No, tak wyszło... – Powiedział to niemal przeprasającym tonem.

Kristýna wiedziała, że ojciec jest w pracy nie z powodu natłoku obowiązków, ale by ograniczyć do niezbędnego minimum czas spędzany pod jednym dachem z jej matką.

– Mogę wpaść?

Ojciec nie miał powodów jej odmówić.

Prokurator Hora nie popierał związku córki z Lukášem Termerem, podobnie zresztą jak z każdym mężczyzną z obrączką na palcu. Po kilku kłótniach na ten temat ich relacje się ochłodziły, a w każdym razie spotykali

się rzadziej niż dotąd, choć ojciec dalej śledził jej poczynania, wiedział, co robi i z kim się spotyka. Po ojcowsku się o nią martwił, to wszystko. Kristýna tego nie rozumiała, należąc do tej kategorii córek, u których poczucie niezależności, swobody i samodzielności wzmaga się proporcjonalnie do liczby awantur z rodzicami. Przełomem w ich relacji był pamiętny grudniowy wieczór, kiedy Marie poinformowała ojca przez telefon, że Kristýnę zabrało pogotowie, bo... bo... jej przełożona nie umiała znaleźć właściwych słów.

– Została pobita – wydusiła z siebie w końcu, ponieważ nie była w stanie opisać, co tak naprawdę przydarzyło się jej podwładnej.

– Termer? Ten dupek jej to zrobił? – zareagował bez ogródek Hora.

– Nie... nie – odpowiedziała Marie.

Rozmowa telefoniczna nie mogła rzecz jasna przygotować ojca na obraz, który zastał po przyjeździe do szpitala. Ratownicy z pogotowia zdążyli udzielić Kristýnie tylko podstawowej pomocy, więc ojciec zobaczył ją w kołnierzu ortopedycznym, nieprzytomną, pokiereszowaną, całą we krwi. Niewiele później na miejsce dotarli Výrová z Edelweissem i dopiero od nich dowiedział się, do czego doszło w willi Jonáša i że jego córkę mogło to kosztować życie.

To zdarzenie na nowo ich do siebie zbliżyło, wygładziło rysy w ich relacji. Rozstanie z Lukášem, napad i rekonwalescencja, a potem dyscyplinarka, kara i przymusowe odejście z zespołu Wielkiej Sowy – wszystko to spowodowało, że prokurator, choć najchętniej sam sprawiłby córce lanie, poczuł, że mu jej żal.

Zaczęli się widywać regularnie, Hora obserwował, jak sobie radzi w nowej pracy, i nie umknęło jego uwagi, że wokół Kristýny coraz częściej kręci się Kodet. Aż w końcu – pamięta, że było to późną wiosną, w czerwcu – córka zaprosiła oboje rodziców na niedzielny obiad, w którym ku ich

zaskoczeniu wziął udział także David. Nie jako znajomy czy były kolega z pracy, ale jako aktualny partner. Ojciec słusznie uznał ten gest za wyciągnięcie ręki na zgodę. Chodziło o pierwszego od wielu lat chłopaka, którego oficjalnie im przedstawiła, do tego mężczyznę w odpowiednim dla niej wieku, ewidentnie nieżonatego i bezdzietnego. Oczywiście każdy porządny ojciec znajdzie u wybranka jedynej córki jakiś feler, w tym przypadku był nim zawód Davida. Prokurator Hora zdawał sobie jednak sprawę z konsekwencji, jakie mogło spowodować wyrażenie tych obiekcji na głos, dlatego podczas spotkania był miły i tylko uśmiechał się z zadowoleniem. Poza tym znał partnera córki już wcześniej, uważał go za „przyzwoitego chłopaka”, a fakt, że pracował w zespole Wielkiej Sowy, był dodatkową rekomendacją.

Wielką zaletą Ołomuńca jest to, że można się po nim szybko i sprawnie przemieszczać piechotą. Kristýna potrzebowała zaledwie dwudziestu minut (z czego jedną trzecią zajęło jej krążenie po zawitych korytarzach prokuratury okręgowej), by znaleźć się przy wzorowo uporządkowanym biurku ojca w jego – jak na jej gust – przesadnie czystym, sterylnym niemal gabinecie. Klimatyzacja, nowoczesne meble, których dobór wyraźnie wskazywał na praktyczną, a nie estetyczną funkcję, regał z dziennikami ustaw, jak od linijki ułożone segregatory, stosy akt i teczek, słowem: doskonale zagospodarowana przestrzeń pracy funkcjonariusza publicznego. W porównaniu z tym idealnie schludnym miejscem komisariat w Šternberku wyglądał jak obskurna, zaniedbana rudera ze startym linoleum, umeblowaniem, którego nikt nie wymieniał ani nie odnawiał od trzydziestu lat (zapewne tak samo długo nie planował tego robić w przyszłości) i oknami w metalowych, nieszczelnych ramach z oberwanymi żaluzjami. Odkąd Kristýna została tam przeniesiona, podczas każdej wizyty u ojca czuła się jak nędzarz odwiedzający bogatego wujka. Jedynie niedbale

poluzowany krawat na szyi prokuratora Hory naruszał iluzję idealnego porządku i organizacji.

Wiele ich łączyło także poza fizycznym podobieństwem (ta sama delikatna, całkiem niesportowa postura, owal twarzy, kształt nosa i oczu): hołdowanie określonym zasadom, wytrwałość i powaga, przekonanie, że prawo i sprawiedliwość są czymś więcej niż tylko zbiorem suchych paragrafów, że mają swój istotny wymiar moralny. Z matką Kristýny oboje nie rozumieli się zbyt dobrze; ale ze sobą byli silnie związani i bardzo tę relację przeżywali. Jeśli zgadzali się w jakiejś sprawie, to w pełni i żarliwie, a z kolei różnice zdań pociągały za sobą długie, przygnębiające milczenie. Kiedy Kristýna chciała się poradzić w jakiejś sprawie, robiła to dlatego, że liczyła się ze zdaniem i doświadczeniem ojca. Podobnie było z Wielką Sową: była w nią zapatrzona, liczyła się z nią i z jej poglądami, wyznawała ten sam system wartości, ale też nikt nie był w stanie wyprowadzić jej z równowagi i dotknąć tak, jak robiła to Výrová. Pani Horová, jako matka i człowiek, sytuowała się na peryferiach zainteresowania, miłości i szacunku córki. Kristýna cieszyła się, że inni traktowali ją poważnie z powodu pozycji, jaką wywalczyła sobie w na wskroś męskiej profesji, ale prawdziwą satysfakcję sprawiało jej wyłącznie uznanie ze strony ojca i Wielkiej Sowy. Do dziś pamiętała chwilę, gdy Marie po raz pierwszy powiedziała jej „dobra robota, Kristy”, i że musiała nad sobą zapanować, żeby nie okazać wtedy emocji. Pokiwała tylko głową, jakby chciała powiedzieć „nie ma o czym mówić” albo „zrobiłam, co do mnie należało”. Potem jednak wymknęła się do obskurnej policyjnej toalety i zaczęła płakać, od serca, ze szczęścia. Tak wiele razem przeżyły! Przypomniała jej się strzelanina na posesji w Myslechovicach. Bała się wtedy, a jednocześnie czuła troskę ze strony Marie. Pamiętała też aresztowanie morderców ze Štěpánova i koszmary wieczór w luksusowej willi kvestora Jonáša.

Wymuszona rozłąka sprawiła, że trzy lata w zespole Výrovej wydawały się teraz Kristýnie czymś niemal romantycznym, ekscytującą przeszłością, przygodą teamu nieustraszonych bohaterów, kierujących się maksymą „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, przy czym tym „jednym” była oczywiście Wielka Sowa. Właśnie dlatego czuła przewagę nad Průchą, który w ciągu całej kariery nie przeżył tyle, co ona w trzy lata, i zapewne nigdy tego nie nadrobi.

Wykończona i mokra od potu usiadła na krześle naprzeciwko ojca i poprosiła o coś do picia. Hora wstał i podszedł do szafki przy drzwiach, w której zabudowana była mała lodówka, tak doskonale ukryta i dźwiękoszczelna, że mogła budzić podejrzenia, czy aby nie skrywa czegoś, co jej właściciel wolałby zataić przed światem. Gdy jednak ojciec ją otworzył, Kristýna zobaczyła tylko rząd butelek z wodą i kilka puszek mrożonej kawy, do której pan prokurator miał wyraźną słabość. W lodówce panował idealny porządek.

– Dać ci szklankę? – zapytał ojciec.

– Nie trzeba. – Kristýna odgięła zawleczkę, wytarła brzeg puszki i upiła łyk kawy. Ojciec nie byłby sobą, gdyby w tym czasie nie wyjął z szuflady papierowej serwetki i nie położył jej przed nią, bo przecież wilgotna puszka mogła zostawić na drewnianym stole okrągły ślad.

Grzbietem dłoni przetarła usta i zaczęła mówić. W ciągu dwóch minut wyrzuciła z siebie cały żal na Výrovą i jej odmowę. Ojciec siedział w milczeniu i tylko czasem kiwał głową. Kiedy skończyła, zaczekał, aż znów napije się kawy, i dopiero wtedy zabrał głos.

– Oboje dobrze znamy Wielką Sowę, Kristy. I wiemy, że relacje z ludźmi opiera na zaufaniu. Wyobraź sobie, czysto hipotetycznie, że wracasz do zespołu, a ona dowiaduje się, że ty i David jesteście razem. Jak twoim

zdaniem by to przyjęła? Wyściskałaby was? Powiedziała, że do siebie pasujecie? Albo że pięknie razem wyglądacie?

– Jestem dorosła i nie potrzebuję niczyjej zgody, żeby się z kimś spotykać! – warknęła Kristýna. Rola wiecznie zbuntowanej córki nie idzie w parze z racjonalnym myśleniem.

– W takim razie dlaczego ukrywacie przed nią wasz związek?

– Bo to nie jej sprawa!

– Jeśli chcesz, pogadam z nią – zaoferował.

– Nie ma mowy.

– Kristy, przecież tu nie chodzi o jej zgodę czy błogosławieństwo. Tylko o stosunki między pracownikami, zaufanie i...

– No to się pobierzemy i po sprawie! Nigdzie nie jest napisane, że małżonkowie nie mogą razem pracować. Gdyby z tego powodu chciała wyrzucić mnie albo Davida, byłaby to jawna dyskryminacja.

Ojciec z trudem utrzymywał poważny wyraz twarzy.

– Przestań się ze mnie nabijać. Jestem naprawdę wkurzona.

– A, i jeszcze ta druga sprawa. – Hora postanowił zmienić temat. – Z tymi zwierzętami. Spróbuj na to spojrzeć z innej perspektywy. Wyobraź sobie, że ktoś kradnie niedźwiedzie z zoo i dokonuje z tego powodu dwóch morderstw tylko po to, żeby urządzać jakąś walkę... Jak mówiłaś, że to się nazywa?

– Szczucie na niedźwiedzia.

– Komu by się to opłacało? Dwa morderstwa z powodu „szczucia na niedźwiedzia”?

– Najpierw ukradli, dopiero potem zabili. Istotna jest kolejność.

– Czemu?

– Bo pierwsze morderstwo to był nieszczęśliwy wypadek. Czyli właściwie zabójstwo, a nie morderstwo. A to drugie miało pomóc w ukryciu sprawcy. Jest różnica.

– Ale pytanie pozostaje to samo.

Kristýna tylko rozłożyła ręce. Następnie dopiła kawę.

– Znaczy się, ty też uważasz, że mi odbiło. – Jej intonacja zawisła w połowie drogi między pytaniem i konstatacją.

– Nie. Być może masz rację. Chcę tylko, żebyś miała świadomość, że wątpliwości Marie...

– Tato – zwróciła się do niego zdecydowanym tonem – szukamy racjonalnego powodu, dla którego komuś mogą być potrzebne trzy żywe niedźwiedzie.

Uwagi Hory nie uszło zastosowanie przez córkę liczby mnogiej, ale postanowił tego nie komentować.

– I tym powodem są według ciebie walki.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam o tym z Davidem. Czują się bezradni. Niczego nie znaleźli. I to mnie wkurza. Chcę im przedstawić logiczną, prawdopodobną odpowiedź na pytanie, po co komuś trzy żywe niedźwiedzie.

– Sam nie wiem... Szczucie na niedźwiedzia. Kto niby miałby wpaść na coś takiego?

– Sprawdzalam w internecie. W Rosji ciągle organizuje się takie rzeczy. Może jakiś ruski nowobogacki postanowił urządzić coś podobnego w Czechach...

– A przyszłoby ci to w ogóle do głowy, gdybyś nie trafiła na sprawę z walkami psów u siebie w rejonie?

Kristýna zmarszczyła czoło.

– Sądzę, że nie – ciągnął ojciec. – Może więc po prostu bardzo chcesz połączyć dwie sprawy, które tak naprawdę nie mają ze sobą nic wspólnego?

– No nic, dzięki za wsparcie – odpowiedziała z irytacją i podniosła się z krzesła.

– Zaczekaj. Oboje znamy Wielką Sowę. Nawet jeśli teraz odesłała cię z kwitkiem, to nie znaczy, że całkiem odrzuciła twoją wersję. Po prostu jest sceptyczna. Spróbuj podrażnić temat tych walk, a potem się okaże, czy miałaś rację, czy nie.

Kristýna stała przed ojcem z ręką na oparciu krzesła.

– Tylko bądź ostrożna. Nie wiadomo, kto może być w to zamieszany...

– Potrzebuję więcej informacji. Ludzie albo nic nie wiedzą, albo nie chcą mówić. Jeden weterynarz ze Šternberka twierdzi, że w sprawę może być umoczony ktoś... – starała się znaleźć odpowiednie słowa – ... odgórnie chroniony.

– Popytam kolegów, ale niczego nie obiecuję. Słuchaj, może chcesz porozmawiać z Zoubkiem? Od lat hoduje psy, może by coś doradził. Albo podpowiedział.

Kristýna przytaknęła.

– Czemu nie.

– Mam cię z nim umówić? Jak wróci z sądu, mogę zapytać, kiedy ma czas.

– Dzięki.

– Posłuchaj mnie...

– Tak, wiem, będę na siebie uważać. Ale dorwę ich. I co najważniejsze, udowodnię Marie, że miałam rację.

Gdyby telefon na biurku w gabinecie Bruknera zadzwonił o pół minuty wcześniej, Zbyněk potwornie by się wściekł. Cały dzień chodził rozeźlony, rano posprzeczał się z Jitką, która w ostatnich tygodniach najwyraźniej zapomniała, że skoro mąż finansuje jej zakupy i auto, daje kieszonkowe i zatrudnia gosposię, aby szanowna małżonka przypadkiem nie złamała sobie paznokcia przy praniu czy sprzątanu, krótko mówiąc, zapewnia jej luksus i wygodę, o jakich inne, wcale nie gorsze od niej kobiety mogą tylko pomarzyć, ma prawo oczekiwać w zamian adekwatnej nagrody. Rano rzucił jej prosto w twarz, że taniej by mu wyszło utrzymywać kurwę, a wszystko dlatego, że żona znowu dostała ataku migreny, która dziwnym trafem dopadała ją zawsze, gdy próbował zerwać z niej drogie majteczki, kupione przecież za jego pieniądze.

– Jedną już utrzymujesz! – wrzasnęła Jitka. – Ludzie śmieją mi się w twarz, że posuwasz tą młodą cygańską sukę. Czy ta dziewczyna jest chociaż pełnoletnia?

Brukner zrobił się purpurowy i zagroził, że ją zleje i wyrzuci z domu.

– Nie zrobisz tego i doskonale wiesz czemu. – Twarz żony wykrzywił perfidny uśmiech. – I zapamiętaj sobie: dopóki będziesz dupczyć tę swoją ciapatą małolatę, do mnie się nawet nie zbliżysz. Jeszcze mnie zarazisz jakimś syfem.

Brukner już się zamachnął, żeby nauczyć ją pokory, ale Jitka walecznie mu się postawiła.

– Śmiało, tylko spróbuj!

Rozmyślił się i tylko trzasnął za sobą drzwiami. Gdyby nie stracił psów, udałby się do gospodarstwa. Zamiast tego pojechał skontrolować sprawy w firmie i żeby sobie ulżyć, zrobił awanturę menadżerowi salonu, który od tygodnia nie sprzedał ani jednego auta, a następnie pogroził nierozgarniętej blondynce na recepcji, że wyleci na zbity pysk, jeśli jeszcze raz przyłapie ją na przeglądaniu Facebooka w godzinach pracy. Kiedy około jedenastej zaspokoił potrzebę przypomnienia wszystkim, komu zawdzięczają robotę, przemieścił się do biura lokalu. Menadżer przeglądał akurat rachunki, więc mógł go od razu poinformować o kondycji finansowej spółki. Nie wyglądało to najlepiej, ale i tak nieźle w porównaniu z salonem. Od bankructwa ratowały go kluby. Każdy, kto w mieście i jego okolicach chciał cokolwiek znaczyć, orientować się w lokalnych przetargach, pogadać o interesach i spędzić miło czas w towarzystwie dziewczyn, wiedział, że musi odwiedzać Bruknera w każdy czwartek w Klubie Przyjaciół Whisky, który był oczkiem w głowie właściciela. Nikt z całej tej bandy przygłupów nie znał się wprawdzie na whisky tak jak on, ani nie miał takiego doświadczenia, z drugiej strony jednak zdawali sobie sprawę, że muszą przychodzić, nie żałować forsy, pokazać się, wnieść składkę członkowską, i nawet jeśli karta klubowa uprawniała ich do dwudziestoprocentowej zniżki na wszystkie napoje, menadżer ustawił ceny na tym poziomie, że Brukner wychodził na swoje. A czasem goście wpadali w tak dobry nastrój, że bardzo im odpowiadało przyjemne damskie towarzystwo. Menadżer często mu radził, żeby pozbył się kurwiszonów, które nawet nie potrafią na siebie zarobić, a zamiast tego urządził w tym miejscu porządną restaurację. Brukner puszczał to mimo uszu, nie będzie mu żaden pedał mówił, jak ma prowadzić biznes. Nocny klub to nocny klub i kropka. O wpół do dwunastej zjawił się Dušan Příklad ze swoją kamienną twarzą, w rękach trzymał kartonowe pudło i reklamówkę, w której coś kusząco brzęczało.

Poinformował wczoraj menadżera, że jedzie do Ostrawy po nowe próbki dla szefa i jego klubowiczów, co też uczynił. W hurtowni załadował do pudła luksusowy towar, a od znajomego wyprosił puste buteleczki, które tamtemu zostały po degustacji dla miejscowych VIP-ów oraz członków zarządu hut i kopalni. Gdy zobaczył baterię szklanych małepek, wpadł mu do głowy pewien pomysł, a na jego twarzy zagościł na kilka sekund ekstatyczny niemal uśmiech.

Príkrył schował pudło za barem, buteleczki przełożył ostrożnie do zlewu, gdzie przemył je wodą, pilnując przy tym, by nie uszkodzić etykiet. Wybierał głównie mniej znane marki kanadyjskiej i irlandzkiej whisky czy szkockiej single malt, o których wiedział, że szef ich nigdy nie kosztował, dając pierwszeństwo szkockim blended, przeważnie oklepanym. Pomysł był szalony i kielkował mu w głowie powoli, kiedy patrzył, jak chlejusy z Klubu Przyjaciół Whisky rywalizują o tytuł największego konesera trunków, a przy tym nie potrafią odróżnić bourbona od suntory. Obsługiwanie tej bandy prowincjonalnych snobów doprowadzało Ramzesa do szału, postanowił więc – aby mieć ich prędzej z głowy – przekonać tych idiotów, że prawdziwy znawca whisky nigdy nie rozcieńcza jej wodą.

O w pół do pierwszej do klubu przywlekła się Lucka, nazywana przez Jitkę Bruknerovą „cygańską kurwą”, którą Zbyněk kazał wezwać do siebie do biura. Śniada pięknotka była ulubienicą jego klientów, po pierwsze dlatego, że we własnym mniemaniu mogli sobie wobec niej pozwolić na więcej, a po drugie dawała im, mieszkańcom małego miasteczka, namiastkę zmysłowej egzotyki. Również Brukner lubił ją najbardziej ze wszystkich dziewczyn, bo była wdzięczna za pracę i potrafiła docenić chlebobawcę. Gdy dziś zapukała do drzwi jego biura, kazał jej wejść, a potem zrekompensował sobie poranną kłótnię z Jitką. Z nawiązką, bo Lucka bez problemu godziła się na to, za co żona nawymyślałaby mu od ostatnich.

Zbyněk z lubością opowiadał na spotkaniach klubowiczów, że jego pracownica dokładnie wie, kiedy zamknąć, a kiedy otworzyć buzię. Gdy zobaczył, że dziewczyna połknęła, co miała połknąć, podał jej opakowanie chusteczek higienicznych i przyglądał się, jak wyciera usta, podciąga majteczki i poprawia minispódniczkę, jakby specjalnie skrojoną dla jej długich, oliwkowych nóg. A potem patrzył, jak idzie do drzwi. Schlebiało mu, gdy dziewczyny wychodziły od niego obolałe, czuł się jak aktor w firmie porno: najpierw porządnie wydymać, żeby nie mogła chodzić, a potem do buzi i niech łyka, nie ma wypluwania. Przed ślubem Jitka w pełni tolerowała jego preferencje, ale tydzień po nocy poślubnej, gdy weselny kac na dobre minął, a on postanowił wrócić do dawnych nawyków, czekała go przykra niespodzianka. A potem kolejna, i jeszcze jedna. Gdyby nie miał Lucki, po prostu walnąłby pięścią w stół. Ale że ją miał, nie chciało mu się wdawać w zbyteczne awantury z tą żmiją w domu, bo przecież... Na samą myśl o tym kręcił tylko głową. Jak mógł być takim idiotą? Jitka miała go w garści.

Nie zdążył nawet zapiąć spodni, gdy zadzwoniła komórka. Spojrzał na wyświetlacz: Halas. Może zaczekać, pomyślał, i nadal patrzył, jak Lucka kuśtyka do wyjścia. Wyglądała, jakby do końca życia była w stanie chodzić już tylko w ten sposób. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, odebrał połączenie.

Zaraz za drzwiami Lucka wyprostowała się i podeszła do baru typowym dla siebie, rozkołysanym, ponętym krokiem. Ramzes właśnie skończył napełniać małpki z markowymi etykietami. Do połowy opróżnioną butelkę printersa odłożył na ladę, a na wewnętrznym blacie ustawił obok siebie dwanaście wypełnionych w dwóch trzecich buteleczek. Lucka bez słowa usiadła przy barze. Chłopak nie musiał o nic pytać, wszystkie dziewczyny

wiedziały o jej wizytach u szefa i cieszyły się, że je w tym obowiązku wyręcza. Ramzes podał jej paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Dzięki – mruknęła.

– Napijesz się czegoś?

– Napiję.

Nalał jej trochę printersa, a ponieważ wiedział, że dziewczyny muszą się oszczędzać, rozcieńczył go wodą z dzbanka.

– Dzięki – powiedziała znowu Lucka i pociągnęła ze szklaneczki. – Co to za ciepłe siki? Wrzuc mi parę kostek lodu.

Ramzes z zasady nie uznawał dodawania lodu do whisky, bo uważał, że zimno zabija jej smak i aromat, i tylko Amerykanie schładzają sobie bourbona. Ale skoro chciała, spełnił jej prośbę. Był pewien, że printers to najlepsze, co w życiu piła, więc nie było sensu wprowadzać jej w tajniki odpowiedniej konsumpcji szlachetnego alkoholu. Otworzył lodówkę, wyjął z pojemnika parę kostek lodu i wrzucił je do szklanki. Plusk.

– Dzięki – powtórzyła. – Muszę czymś zmyć ten posmak w ustach. – Wypiła na raz całą porcję trunku, pozostawiając na dnie samotne kostki.

– Nalać ci jeszcze? – zapytał Ramzes.

– Nalej.

Barman pokropił lód nową porcją whisky i dołał wody, a Lucka potrząsnęła lekko kostkami w szklance i tym razem tylko z niej upiła.

– Okej – oceniła.

Ramzes zastanawiał się, jak jej to powiedzieć. Wiedział, że ryzykuje, ale odkąd Brukner wypatrzył sobie tę cygańską ślicznotkę, spędzili ze sobą po dwóch stronach baru tyle miesięcy, że traktował ją jak sprzymierzeńca i pokrewną duszę. Gdy patrzył, jak płucze sobie usta whisky, wiedział, że na pewno nie wyda go przed Knurem.

– Miałbym do ciebie prośbę, Lucka. Jak pójdziesz do toalety... Czy mogłabyś trochę do tego...

Wyjął spod lady szklanekę pięćdziesiąt mililitrów. Dziewczyna nie wyglądała na zdziwioną, w końcu życie nauczyło ją, że faceci miewają dziwne pomysły i zachcianki.

– A po co ci to? – zapytała obojętnie. – Robisz jakieś badania?

Ramzes powiedział jej prawdę. Lucka przyglądała mu się przez chwilę, jakby nadal nie rozumiała.

– Dobra – zgodziła się w końcu, odłożyła papierosa na brzeg popielniczki, wzięła szklaneczkę i poszła do łazienki. Kiedy wróciła, postawiła przed nim pięćdziesiąt mililitrów swojego moczu. A potem wzięła do ręki whisky, w której lód zdążył się już całkiem rozpuścić.

– To będzie nasza tajemnica, okej? – poprosił Ramzes.

– Za dobre pomysły – wzniosła toast i wypła całą zawartość jednym haustem.

Kiedy pół godziny później do baru wkroczył doktor Halas, stółek przy ladzie był już pusty, a Dušan z kamiennym wyrazem twarzy polerował szklaneczkę. Kolejny znawca whisky, pomyślał na widok lekarza, ale jak zwykle zachował mimikę pokerzysty. Weterynarz wgramolił się na hoker.

– Co mi dzisiaj zaproponujesz, Ramzes? – zapytał wesoło.

– Niedawno polecałem to panu Bruknerowi – zaczął wyjaśniać barman.
– Ardbeg Corryvreckan. Wyjątkowa rzecz.

– Ile kosztuje?

– Jak dla pana trzysta pięćdziesiąt.

– Jaja sobie robisz? – zachichotał piskliwie Halas.

– W żadnym wypadku. To wyjątkowa whisky. Pięćdziesiąt siedem przecinek jeden procent. Tylko dla koneserów.

Halas zastanawiał się przez chwilę. Ramzes milczał, co tamten uznał błędnie za przejaw uprzejmości. Ból w ręce nie dawał mu spokoju. Zapalił papierosa, ale czuł, że musi napić się czegoś mocnego i dał się namówić.

– Dobra, polej.

Karel przyglądał się, jak barman napełnia mu szklanę.

– Jeszcze trochę wody. Ten drink kosztował mnie fortunę, niech przynajmniej ma jakąś objętość.

Ramzes nalał do szklanki wody z dzbanka.

– Powiedz mi, Ramzes, dlaczego człowiek z twoją wiedzą i doświadczeniem wylądował na takim zadupiu jak Šternberk? – zapytał.

– Bo mi się tu podoba – odpowiedział z kamienną twarzą Dušan Příklad.

Halas się roześmiał.

– Jeszcze mi powiedz, że mieszkają tu mili, sympatyczni ludzie.

Ramzes milczał.

– Dobra, już cię nie męczę, zawołaj mi szefa – zakończył rozmowę Halas.

Ramzes poszedł przekazać szefowi wiadomość, a Karel w tym czasie upił trochę whisky. Brukner wyłonił się z gabinetu, na twarzy miał jeszcze wypieki, ślad niedawnych erotycznych uniesień. Wspomnienie porannych nieprzyjemności odeszło w niepamięć. Też kazał sobie nalać szklanę ardbeg corryvreckan. Usiedli przy jednym ze stolików na wypadek, gdyby barman okazał się zbyt ciekawski.

– Już parę razy chciałem cię zapytać – zaczął Halas. – Jak się ten twój Ramzes właściwie nazywa? Czy aby nie Frankenstein?

Brukner, który o literaturze nie miał pojęcia, a z filmów oglądał tylko te, w których aktorki pojawiają się przynajmniej bez biustonosza, naturalnie nie zrozumiał żartu.

– Nie. Ma jakieś zwyczajne imię. Już nie pamiętam jakie. Dla mnie to prostu Ramzes.

Doktor tylko machnął ręką.

– I co powiesz? – Brukner wskazał na szklanekę, bo ten temat był mu znacznie bliższy.

– No wiesz... swoje kosztuje – odpowiedział tamten rzeczowo.

– Lepiej przepijać pieniądze niż pozwalać żonie wydawać na głupoty.

– Jestem szczęśliwie rozwiedziony – przypomniał mu Halas.

– Czytałem ostatnio w gazecie, że jakiś Chińczyk popełnił samobójstwo w galerii handlowej, bo musiał przez pięć godzin robić zakupy z żoną. Kiedy oświadczyła, że chce jeszcze kupić buty, biedak nie wytrzymał – opowiadał z rozbawieniem Brukner.

– I co z tego wynika? – zapytał Halas, nie rozumiejąc, co ma piernik do wiatraka.

– Że lepiej dać babie kartę kredytową, niech idzie na zakupy sama.

Brukner był już w dobrym nastroju, Halas jednak przypomniał mu o jego pięciu przedniej klasy psach, które trzeba było uśpić, a potem – z chwilowego braku lepszej opcji – pogrzebać w lesie, skąd ktoś je później wykopał i zabrał w nieznane miejsce. Patrzył teraz ponurym wzrokiem na sączącego whisky weterynarza.

– Podsumujmy, bo może czegoś nie kumam. Dałem ci kasę, żebyś zutilizował psy zgodnie z przepisami, a ty je zamiast tego zakopałeś w lesie...

– Nikt nie mógł przewidzieć, że zostaną znalezione – bronił się Halas.

– Tak samo, jak nikt nie mógł przewidzieć, że wszystko spieprzysz. Jeśli facet w spalarni był akurat na zwolnieniu, mogłeś po prostu poczekać parę dni, aż wróci.

– Odbiło ci? W tym upale? Gdzie je miałem trzymać?

– Mieliśmy umowę, Karel. I dałem ci za to kasę. A teraz psami interesuje się policja.

Weterynarz wyjął portfel i położył przed Bruknerem pięć banknotów tysiackoronowych.

– Proszę. Żeby nie było, jestem uczciwym człowiekiem. A z policją chyba umiesz sobie poradzić. Czy tylko tak się przechwalałeś? – Dopił whisky. – Rozumiem, że na koszt firmy – rzucił i ruszył do drzwi.

Brukner w milczeniu odprowadził go spojrzeniem. W innej sytuacji nawtykałby mu od najgorszych, ale pięć banknotów na stole miało swoją wagę i znaczenie. Wychylił ardbeg corryvreckan, wstał i poszedł do gabinetu wykonać niezbędny telefon.

– No cześć, Zbyněk! Co tam? Szykuje się zjazd? – przywitał się rozmówca.

Brukner pomyślał, że ma do czynienia z debilem. Jak, do licha, ma organizować zjazd, skoro został bez psów? Postanowił przejść od razu do meritum:

– Halas miał odwieźć psy do spalarni, ale zamiast tego zakopał je w lesie, duppek jeden. Jakiś palant je znalazł i zadzwonił do was. Teraz podobno w tym grzebiecie. Myślę, że sprawa nie jest tego warta.

– Okej, rozumiem – zamruczał głos po drugiej stronie. – A kto konkretnie się tym zajmuje?

– Nie wiem. Podobno jakaś babka.

Leoš nie potrzebował więcej wyjaśnień.

– Załatwię to.

– Super. Wy tłumacz jej, proszę, że psy poważnie chorowały i musiałem je uśpić. Niestety człowiek, który miał zutilizować zwłoki, trochę skiepscił sprawę.

– Spoko, nie ma problemu.

– Cieszę się – odpowiedział Brukner. – A w czwartek widzimy się u mnie, mam nowe próbki.

– Świetnie, będę – zapewnił rozmówca.

Pożegnali się, po czym Brukner się rozłączył. Pomyślał, że dobrze mieć swoje kontakty i wiedzieć, do kogo i z czym dzwonić.

Rozległo się pukanie.

– Wejść! – krzyknął Zbyněk.

W drzwiach pojawił się Ramzes z tacą, na której stały szklanka, mała karafka z wodą i buteleczka z białym napisem na szarej etykiecie, wypełniona miodowożłotym płynem.

– Szefie – wyjaśnił barman – wyszedł pan tak szybko, że nie zdążyłem zaproponować doskonałej nowości. Prawdziwy rarytas z limitowanej serii. Auchentoshan Three Wood, pierwszy butelkowany single malt z regionu Lowlands, czterdzieści trzy procent. Dostałem do degustacji, od importera w ostrawskiej hurtowni.

Brukner rozsiadł się z zadowoleniem w fotelu. Jednak są na świecie rzeczy, które nie zawodzą, i ludzie, na których zawsze można liczyć. Uśmiechnął się do Ramzesa i powiedział:

– Dokładnie na to miałem ochotę. Postaw mi tutaj.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że leśniczy Emil Dietrich i jego żona mają diametralnie różne upodobania. Kristýna przekonała się o tym w pokoju, który zajmował połowę parteru leśniczówki: gdzie tylko spojrzała, konkurowały ze sobą o miejsce korzenioplastyka i porcelana, i jedno, i drugie w najrozmaitszych kształtach, stylach i rozmiarach, a przede wszystkim w ogromnych ilościach. Półki domowej biblioteczki wypełniono filiżankami ze spodeczkami, białymi, niebieskimi, różowymi, z wyobrażeniami świętych, połączanymi brzegami i uszkami. Tuż obok, na regałach, półkach i ścianach prezentowały się z kolei różnorako poskręcane kawałki drzewa, korzenie czy ociosane pieńki, poddane doskonałej obróbce i błyszczące pod grubą warstwą lakieru. Pani Dietrichová, drobna, pełna ikry kobiecina o fryzurze pudła, usadziła policjantkę (ubraną po cywilnemu, przez co leśniczy z początku jej nie poznał) w fotelu, do jednej z filiżanek naląła jej kawy, a do tego podała kawałek babki na deserowym talerzyku.

– W czym jeszcze mogę pani pomóc? – zapytał Dietrich ze śmiertelnie poważną miną. Na kolanach trzymał brązowego gładkowłosego jamnika ze spiczastym pyszczkiem. Zwierzę spoglądało na Kristýnę podejrzliwie, a w tym czasie właściciel drapał go po luźniej skórze pod szyją.

– Chciałabym wrócić do tego auta, które pan widział. Czy byłby pan je w stanie opisać?

– Hm, to była taka terenówka... Ale niezupełnie.

– Rozumiem – westchnęła.

– Dzisiaj wszystkie samochody są do siebie podobne – zauważył leśniczy przeproszającym tonem.

– Widział pan może tablicę rejestracyjną?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Wie pani, było już ciemno...

– A kolor?

– Jakiś ciemny. – Najwyraźniej dostrzegł rozczarowanie na twarzy Horovej, dlatego próbował zatrzeć nie najlepsze wrażenie: – Wie pani, ludzie są teraz straszni. Kupują sobie terenówki albo te, no... quady. A kiedy człowiek próbuje ich zatrzymać i wyprosić z lasu, najchętniej by go rozjechali. Kiedyś skręciłem sobie kostkę, bo mnie potrafił taki jeden na motorze. Prosiłem policję o pomoc, żeby choć w weekendy patrolę pilnowały wjazdu do lasu, ale...

– Usłyszał pan, że nie mają ludzi – dokończyła za niego.

– Właśnie.

Sięgnęła do torby, którą wcześniej położyła na dywanie obok fotela, i wyjęła gruby atlas psów z powtykanymi zakładkami. Otworzyła na stronie z fotografią amstaffa.

– Tutaj są zdjęcia ras, które pan znalazł. Może ktoś wyprowadzał takie psy w okolicy? Domyślam się, że często obchodzi pan teren i zwraca uwagę na takie rzeczy.

Leśniczy nachylił się nad książką. Jamnik obwąchał stronę, po czym ziewnął.

– Zgadza się, ale tych konkretnych ras nie widziałem u nikogo. Ja mam swojego Bojara. Ludzie z okolicy naturalnie chodzą wyprowadzać psy do lasu, także miastowi, ale jeśli są kulturalni i nie płoszą zwierzyny, żyjemy w zgodzie.

Kristýna dopiła kawę. Jej rozmówca nie wydawał się specjalnie spostrzegawczy. Nie wiedziała, o co jeszcze zapytać. Po chwili jednak przyszło jej na myśl, że to ona jest nieudolna, a nie Dietrich. I że Wielka

Sowa z pewnością poradziłaby sobie nawet z tak nierozgarniętym świadkiem.

– Doszły pana słuchy, że w tych stronach mogą być organizowane walki psów? – zapytała.

– Że co? – zdumiał się mężczyzna.

– Psy, które pan znalazł, regularnie uczestniczyły w takich walkach – wyjaśniła. – Potem ktoś je otruł. Dlatego próbuję ustalić, czy należały do kogoś z miejscowych.

– Pierwsze słyszę. Nic mi o tym nie wiadomo. – Leśniczy pokręcił głową.

– A nie zauważył pan, żeby w te okolice zjeżdżała na raz większa liczba osób? Regularnie.

– Nie.

Pani Dietrichová przysłuchiwała się rozmowie, czy raczej udręce Kristýny z jej mężem. W końcu nadarzyła jej się okazja, by coś powiedzieć.

– Zjeżdżają się, do gospodarstwa Bruknera – wyjaśniła.

Horová odwróciła głowę w jej stronę.

– Jak spółdzielnia zbankrutowała po rewolucji, Zbyněk Brukner odkupił jej majątki. Ale nikt nie wie, czym on się tam zajmuje. Baby we wsi mówią, że często przyjeżdżają do niego auta, całe kolumny samochodów. A potem w nocy odjeżdżają.

– Zna go pani?

– On siedzi na pieniądzach, nie zadaje się z takimi jak my.

– A gdzie mieszka?

– Jego mama w Těšíkovie, a on sam gdzieś w Šternberku, ale nie wiem dokładnie gdzie.

– A gdzie ma tę swoją farmę?

– Gospodarstwo... – poprawiła ją Dietrichová, jakby chodziło o zasadniczą różnicę. – Pani nie jest stąd, prawda?

– Nie – przyznała Kristýna.

– Emil, podaj mi mapę. Pokażę pani – zwróciła się do męża.

Dwadzieścia minut później Kristýna zatrzymała swoją toyotę na poboczu wąskiej, lekko wznoszącej się drogi. Z lewej strony szosę ocieniał las, z prawej otwierał się widok na okolicę. Przy drodze ciągnęło się pastwisko dla krów, które stały apatycznie w cieniu zagajnika. Po błękitnym niebie sunęły powoli małe, blade chmurki. Dochodziła czwarta. Słońce prażyło tak mocno, że spaliło nieocienione łąki i pastwiska na brązowo. Nad wyczerpaną upałem roślinnością leniwie unosiły się owady.

Na horyzoncie widać było leżące w dole gospodarstwo Bruknera. Otaczał je druciany płot z kłębami drutu kolczastego, dokładnie pośrodku znajdowała się zaś brama wjazdowa; od głównej drogi prowadził tu wąski dojazd zarośnięty gęstymi krzakami. Podczas niemiłosiernego upału posiadłość sprawiała wrażenie wymarłej, Kristýna mogła dojrzeć przestronne podwórze między budynkami i fragment ciężarówki, brama i wszystkie okna były jednak zamknięte, a na centralnie położonym placu nie dostrzegła żadnego ruchu. Wszędzie wokoło panowała cisza, zakłócana jedynie delikatnym szumem lasu. Stała jeszcze przez chwilę, a następnie wsiadła do auta i ruszyła w stronę domu.

Mimo panujących na zewnątrz upałów w sali konferencyjnej wyraźnie czuć było chłodną atmosferę. Inspektor Šupina i Marie Výrová siedzieli u szczytu stołu. Przy otwartym oknie kołysał się na krześle sposepniały Edelweiss, stukając cicho długopisem w notatnik leżący na stoliku po jego prawej stronie. Reszta zespołu zajęła wolne miejsca, na chybił trafił. Wielka Sowa przedstawiła im wyniki oględzin miejsca zdarzenia. Kaplan i Pur nie dostarczyli żadnych istotnych informacji: morderca nie zostawił śladów, nosił rękawice, użyty przez niego skalpel można kupić w każdym sklepie z akcesoriami lekarskimi, zgon nastąpił natychmiast, ofiara nie miała czasu się bronić, między nią a sprawcą nie doszło do niekontrolowanego przez mordercę kontaktu fizycznego. Na tablicy wisiała słabej jakości fotografia z kamery umieszczonej przy wejściu do supermarketu, na tyle rozmazana, że nie dało się na jej podstawie zidentyfikować sprawcy. Nawet Purkyně i Kubík wyglądali na nocnych, rozedrganych ujęciach z galerii jak para zombie w stanie postępującego rozkładu. Inną serię podobnie niewyraźnych zdjęć pokazał też David Kodet.

– Nie wiemy, którądy odjechał sprawca. Ale jeśli mijał po drodze McDonalda, mam tutaj kilka fotografii z tej godziny. Niestety w McDrivie mieli akurat spory ruch, na zdjęciach uchwycono pięć samochodów.

Na ujęciach utrwalony został parking przed restauracją, a w rogu skrawek drogi prowadzącej do galerii. Jakość materiału była jednak na tyle niska, że nie dało się odczytać numerów na tablicach rejestracyjnych.

David otwierał kolejne zdjęcia.

– Pokazałem je w komisie, tu niedaleko. Sam nie potrafiłbym określić marek. Mamy tutaj fiata uno, forda focusa, renault clio i dwie fabie. Poprosiłem w straży miejskiej, żeby sprawdzili nagrania z kamer, czy przypadkiem nie uchwycili tych aut w nocy. Na razie się nie odezwali.

– Świetnie – pochwaliła go Marie. – Przynajmniej jedna osoba robi, co do niej należy. – Wypowiedziała te słowa, patrząc w stronę Purkyněgo i Kubíka. Następnie zrelacjonowała swoją popołudniową wizytę u doktora Anděla w instytucie medycyny sądowej, gdzie panował przyjemny chłód i gdyby nie bliska obecność zwłok, ona i Edelweiss chętnie posiedzieliby tam dłużej. Lekarz zapytał, czy chcą obejrzeć denata. Marie pokiwała głową. Zaprowadził ich do wyłożonego płytkami pomieszczenia bez okien, otworzył jedną z komór chłodni i wysunął z niej przykryte prześcieradłem zwłoki. Odwinął płachtę, a policjanci zobaczyli przed sobą bladą twarz Pluskala z wielkim krwiakiem wokół lewego oka, sięgającym nasady nosa. Policzki mężczyzny były zapadnięte, ale Marie i Edelweiss i tak dostrzegli w jego twarzy ślad lęku i zaskoczenia, jakby nadal nie rozumiał, co mu się przytrafiło. Przez szyję biegła głęboka rana cięta, oczyszczona z krwi, rozwarta, z lekko odstającymi brzegami. Na jej widok komisarz odwrócił się i cofnął o kilka kroków.

– Raczej nie poprawię wam nastroju.

– Gdybym przychodziła tu poprawić sobie humor, od razu musieliby mnie zabrać obok, na psychiatrię – stwierdziła chłodno Marie.

Nie było już na co patrzeć. Doktor przykrył zwłoki i wsunął je z powrotem do komory.

– Biorąc pod uwagę narzędzie i sposób cięcia, nie wykluczałbym, że sprawca jest lekarzem – skonstatował Anděl.

Edelweiss, do tej pory milczący i ponury, w końcu zabrał głos:

– A może weterynarzem?

Doktor zastanowił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Tak samo prawdopodobne.

Kiedy Marie streściła małą garść informacji, które udało im się zdobyć tego dnia, nastąpiła długa chwila ciszy. W końcu, nie mając innego wyjścia, postanowiła ją przerwać.

– Co na ten moment wiemy o mordercy? W dalszym ciągu zakładamy, że pierwszego zabójstwa dokonał przypadkiem. Biznes z niedźwiedziami okazał się jednak na tyle intratny, że Pluskala zlikwidował bez skrupułów. Najwyraźniej opłacało mu się przekroczyć granicę i z premedytacją, w przemyślany sposób zamordować człowieka.

Pavel przestał się kołysać.

– Najpierw to my przekroczyliśmy granicę. Wystawiliśmy podejrzanego na niebezpieczeństwo, a on zapłacił za to najwyższą cenę. Nikt z nas nie pomyślał, co się może stać... – zauważył.

– Nie mogliśmy przewidzieć, że sprawca posunie się tak daleko – zwróciła się do niego Marie.

– Oczywiście, że mogliśmy – obstawał przy swoim komisarz. – Pluskala zabito z naszej winy.

Milan Purkyně zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, nabrał powietrza, ale w końcu postanowił milczeć. Podenerwowany Kubík tylko przysłuchiwał się dyskusji.

– Dowiedzieliśmy się wprawdzie, że nie mamy do czynienia z pospolitym złodziejaskiem, ale wydaje mi się, że cena za tę wiedzę była za wysoka. – dodał Pavel.

– Świadomie podjęliśmy ryzyko – odpowiedziała Výrová.

– Owszem. Ale ofiarą naszej decyzji stał się ten biedak z zoo – skwitował Edelweiss.

Purkyně w końcu zdobył się na odwagę:

– Wszystko działa się bardzo szybko. Ja... przepraszam, po prostu źle oceniłem sytuację.

Kodet przemknął spojrzeniem po obecnych, a następnie przejął inicjatywę:

– Numer, pod który Pluskal dzwonił wczoraj z budki, to komórka na abonament. Ale od tamtej pory jest poza zasięgiem. Według bilingów zamordowanego w ciągu ostatnich dwóch miesięcy łączył się z tym numerem szesnaście razy, z czego tylko w ostatnim tygodniu sześć.

– Dzięki za info, David, ale mówiłem o czymś innym i nie zamierzam odpuścić tematu – przerwał mu Edelweiss twardo.

– Co konkretnie chcesz usłyszeć? – zapytała Marie.

Pavel walnął piórem w notatnik.

– Nie wiem. Ale nie akceptuję podejścia typu „trudno, stało się”.

– Odpowiedzialność za decyzję formacji ciąży na mnie, panie komisarzu – włączył się do rozmowy Šupina. – To ja wydałem zgodę, na dobrą sprawę sam zaproponowałem akcję, a zatem to ja muszę liczyć się z konsekwencjami.

– Decyzję podjęto gremialnie, więc mnie też to dotyczy – zauważył Edelweiss.

Nikt nic nie mówił.

– Mam propozycję – odezwała się w końcu Výrovà – która może ci się nie spodoba, ale uważam, że jest konstruktywna. Teraz skoncentrujemy się wyłącznie na wskazaniu sprawcy. Także po to, by naprawić nasze błędy. A dzisiejszą dyskusję na razie odłożymy i wrócimy do niej, kiedy sprawa zostanie zamknięta i będzie można dokonać trzeźwej oceny. Zgoda?

Edelweiss milczał.

– Czyli ustalone – skwitowała Marie.

– Z tego, co wiemy, wynika chyba jasno, że morderca jest weterynarzem – wrócił do meritum inspektor Šupina.

– Też tak sędzę – zgodziła się Wielka Sowa. – Sprawdzimy wszystkich w okolicy, przynajmniej w Ołomuńcu, Prościejowie, Przerowie, Šternberku i pobliskich wioskach. A zaczniemy od Tomana, tego z zoo.

– Biorę go na siebie – zadeklarował Kodet.

Dzień piąty
poniedziałek 17 czerwca

32

– Nie muszę wam chyba mówić, co nas czeka – zwróciła się rano do członków swojego zespołu Marie.

W sali konferencyjnej zamknięto na noc okna, dlatego teraz panował w niej zaduch.

– Stara pocziwa policyjna robota. Dużo chodzenia, ślęczenia nad papierami, oddzielania maku od piasku, drobiazgowego przeglądania bilingów, nasłuchiwania plotek, szukania najmniejszych śladów itepe, itede. Wiele wskazuje, że sprawca jest weterynarzem, dlatego musimy osobiście sprawdzić każdego przedstawiciela tego zawodu w okolicy. Dowiedzieć się, kto ma akcesoria do narkozy, zorientować się, kto z nich miał jakiegokolwiek kontakty z zoo i kto posiada nieruchomości odpowiednie do ukrycia niedźwiedzi. Oraz czy ten ktoś nie jest przypadkiem czynnym myśliwym, czy nie ma długów, nie był karany i oczywiście, jakie alibi ma na obie noce, gdy doszło do zabójstw.

David Kodet, który już poprzedniego dnia podjął kluczowe dla sprawy działania, poprosił o słowo.

– Sprawdziłem Tomana. Z bilingów wynika, że nie jest przesadnie gadatliwy. Albo nie ma do kogo dzwonić. Najczęściej rozmawia przez telefon z matką, nie znalazłem żadnej podejrzanej aktywności w okresie przed napadem na zoo.

– A numer, pod który tak często dzwonił Pluskał, nie pojawia się w jego bilingach? – zapytał Edelweiss.

– Nie – odpowiedział Kodet. – Ale pan doktor najwyraźniej ma kłopoty finansowe. Z wynagrodzenia potrącają mu raty dla firmy lichwiarskiej. Kojarzycie na pewno te reklamy, „weź chwilówkę, pozbądź się problemów”, to właśnie oni. Trochę w tym pogrzebałem i księgowa z zoo zdradziła mi, że w zeszłym roku chcieli nawet zająć Tomanowi pensję. Facet tonie w długach.

– Hm. – Edelweiss pokiwał z uznaniem głową.

– Księgowa powiedziała mi jeszcze, że Toman jest hazardzistą, takie chodzą plotki. Podobno często obstawia zakłady, odwiedza kasyna i tego typu miejsca – dodał Kodet.

– Ciekawe. A życie osobiste? – zagadnęła Marie.

– Nic ciekawego. Mieszka sam, nie ma żony, nawet byłej, kochanki też brak. Bezdzietny. Rodzice mieszkają w Przerowie. I tyle.

– A może ktoś zwrócił uwagę na częstsze niż zwykle kontakty Tomana z Pluskalem? – dopytywał komisarz.

– Nie. – Kodet pokręcił głową. – Ale w zoo każdy z każdym jest w kontakcie. Tomanowi zależy na dobrostanie zwierząt. Częstszych rozmów z Pluskalem nie można ani wykluczyć, ani potwierdzić. Summa summarum, nie udało mi się zebrać niczego szczególnego.

– A co Toman robił w noc morderstwa Pluskala? O ile pamiętam, akurat na tę noc ze środy dwunastego na czwartek nie miał alibi – dopytywał Pavel.

– Nie sprawdzałem. Pomyślałem, że jeśli jest w to umoczony, niepotrzebnie bym go zaalarmował. – Głos Kodeta brzmiał niepewnie.

Teraz Edelweiss przejął pałeczkę.

– Okej. Najpierw wysondujemy ludzi z otoczenia. Powinniśmy też przyrzeć się jego kontu bankowemu.

– Załatwię zgodę – włączył się Šupina.

– Doskonale – powiedziała Marie, zamykając posiedzenie. – Zaczniście od razu sprawdzać pozostałych weterynarzy. Toman to tylko jeden z wielu.

Uczestnicy odprawy zaczęli ociężale podnosić się z krzesel. Kiedy Wielka Sowa zauważyła ich apatię, walnęła ręką w stół. Purkyně aż podskoczył ze strachu. Wszystkie spojrzenia ponownie skierowały się w jej stronę.

– I macie mi znaleźć te niedźwiedzie! – huknęła Marie. – Komisarz Edelweiss powiedział mi, że baribal mierzy dwa metry i waży jakieś dwieście pięćdziesiąt kilo. A my szukamy trzech. Przecież czegoś takiego nie da się ukryć na byle podwórku. Więc gdzie się, do cholery, podziały?!

Rutynowe poranne posiedzenie odbywało się także w komisariacie w Šternberku. Tego dnia jednak podkomisarz Průcha zaczął odprawę w nieoczekiwany sposób, mianowicie od zadania, które zleciła im sama komenda ołomuniecka. Siedział na krześle w otwartej przestrzeni biura z kartką papieru w dłoni i starał się zapanować nad podwładnymi.

– Proszę o ciszę, zaczynamy. Jest nadzwyczajna sprawa. Dostaliśmy polecenie z Ołomuńca, bezpośrednio z wydziału, w którym pracowała nasza koleżanka. Prowadzą śledztwo w sprawie dwóch zabójstw i chcą, żebyśmy skontrolowali miejscowych weterynarzy. Należy przede wszystkim sprawdzić, czy mają broń usypiającą i pozwolenie na nią, a jeśli tak, muszą wam ją okazać. Poza tym musimy dyskretnie, podkreślam: dyskretnie, zorientować się, jak wygląda najbliższe otoczenie ich gabinetów. Chodzi o to, czy nie mają do dyspozycji przestrzeni, w której mogliby ukrywać, uwaga!, niedźwiedzie.

Wśród kolegów Kristýny dały się słyszeć pomruki i szepty.

– A w jaki sposób mamy to stwierdzić? – zapytał błyskotliwie Libor Anton.

Průcha się uśmiechnął. Kristýna odkaszlnęła.

– Mogę coś powiedzieć? – zwróciła się do szefa, który z przesadną galanterią udzielił jej głosu. – To proste – zaczęła. – Najpierw trzeba ocenić sytuację na miejscu, a potem trochę poimprovizować. Obejrzyjcie gabinet i jego otoczenie. Zorientujecie się, jaki majątek posiada weterynarz. Trzech niedźwiedzi nie da się ukryć w miejskiej zabudowie, trzeba zatem sprawdzić, czy lekarz ma jakieś nieruchomości poza miastem, ewentualnie, czy nie nabył jakiegóś w ciągu ostatniego roku. Rozpytajcie sąsiadów. Jeśli pomieszczenia gabinetu są wynajmowane, zapytajcie właściciela budynku, jaki metraż i przestrzeń są przedmiotem umowy.

– No, to już wszystko wiecie – zakończył jej wystąpienie Průcha z wyraźną ironią.

Libor czuł potrzebę powiedzenia czegoś zabawnego.

– Wcześniej zajmowaliśmy się psami, teraz niedźwiedziami. Co będzie następne? Yeti?

Kilku młodszych kolegów zatrzęsło się od śmiechu.

– Proszę o spokój! – upomniął ich przełożony. – Zachowujecie się jak banda dzieciaków. I jeszcze jedno: macie się dowiedzieć, czy dany weterynarz posiada samochód służbowy i czy przypadkiem nie jest to furgonetka. A na koniec ustalcie ich alibi na noc z czternastego na piętnastego czerwca.

– To znaczy, że mamy wszystko rzucić i uganiać się za konowalami od zwierząt? – chciał się upewnić Anton.

– Dokładnie. Cieszę się, że mam w zespole tak spostrzegawczych ludzi. – Průcha uśmiechnął się do niego. Jego podwładni nie wyglądali jednak na uszczęśliwionych. Postanowił więc jakoś ich zmotywować i dodał: – To prosta robota, uwiniemy się z nią do wieczora. A żeby nikt nie powiedział, że was z tym zostawiam, sam włączam się do akcji. Przyniosłem wam listę

weterynarzy w Šternberku i podlegających mu gminach. Rozdzielcie zadania.

Zadania rozdzielenia listy podjęła się Kristýna, głównie dlatego, by móc wybrać osoby dla siebie. Wśród nich był także doktor Zahradník, który z pewnością ucieszy się z kolejnego spotkania, oraz dwóch innych przyjmujących w Šternberku. Zgodnie z oczekiwaniem znajomy weterynarz niemal rozpląnął się na jej widok i chętnie odpowiadał na wszystkie pytania, w konsekwencji czego nie znalazł się na liście potencjalnych podejrzanych. Podziękowała mu za kawę i się pożegnała.

Wsiadła do czerwonego aygo, wstukała w nawigacji drugi adres, a GPS poprowadził ją na obrzeża miasta, gdzie na wzniesieniu znajdowały się uliczki otoczone niewielkimi willami i zabudową szeregową. Gdy dotarła na miejsce, ruszyła w stronę rzucającej się w oczy tablicy z nazwą prywatnej przychodni weterynaryjnej doktora Karla Halasa. Kristýna wcisnęła oba dzwonki, LEK. WET. HALAS – PRZYCHODNIA oraz HALAS – PRYWATNY, ale nikt się nie odezwał. Spojrzała na godziny przyjęć, potem na zegarek i stwierdziła, że gabinet powinien być otwarty... Jeszcze raz wcisnęła oba dzwonki, wreszcie zrezygnowała.

Kiedy odwróciła się od drzwi, zobaczyła na chodniku dwie eleganckie starsze panie, z których jedna prowadziła na smyczy otyłego pudła. Obie damy z zainteresowaniem przyglądały się policjantce, jakby człowiek, który odwiedza weterynarza bez towarzyszącego mu zwierzęcia, z zasady budził podejrzenia.

– Nie ma go – zawołała do niej pani Lumíková.

– Powinien przyjmować o tej porze – odpowiedziała Kristýna i ruszyła w stronę kobiet.

– Pan doktor musi mieć w ostatnim czasie inne sprawy na głowie. Otwiera i zamyka gabinet, kiedy mu się podoba. – Pani Lumíková ciągle nie mogła strawić aroganckiej odmowy zbadania Bertíka. Wprawdzie za radą lekarza wdrożyła mu dietę, ale po dwóch godzinach pies zrobił się tak nerwowy, że pobiegła do sklepu po piętnaście deko szynki z kurczaka, sądząc, że wędlina mu nie zaszkodzi. Miała rację: pudel się najadł, usnął, a kiedy się obudził, rozwolnienie przeszło jak ręką odjął.

– A gdzie jest teraz? – chciała wiedzieć Kristýna.

– Tego to ja pani nie powiem – odparła Lumíková tonem człowieka, który na ogół wie wszystko, czasem jednak musi przyznać, że nawet jego wiedza ma swoje granice.

– A gdzie mieszka pan doktor?

– Tutaj. To jego dom.

– Żyje tu sam?

Starsza kobieta znowu przyjrzała się dokładnie Kristýnie.

– A dlaczego to panią interesuje?

– Jestem z policji – wyjaśniła i pokazała legitymację.

W oczach Lumíkovej zalśniły iskierki tryumfu.

– To się musiało tak skończyć – stwierdziła tajemniczo.

Kiedy Kristýna składała raport, podkomisarz Průcha bezwstydnie wpatrywał się w jej dekolt. Z powodu upałów pozwoliła sobie na pewną zuchwałość i nie włożyła rano munduru, licząc przy tym na pobłażliwość szefa. W poprzedniej pracy nie nosiła stroju służbowego, a teraz, z uwagi na nie całkiem oficjalny charakter śledztwa w sprawie pięciu martwych psów, zdecydowała się na strój odpowiadający warunkom pogodowym: szorty i żółty, obcisły top na ramiączkach. Dzięki push-upowi głęboki dekolt wypełnił się bardziej, niż się spodziewała, machnęła jednak ręką i pomyślała, że w ten sposób nieco udobrucha wiecznie naburmuszonego szefa.

– Miałam do sprawdzenia trzech weterynarzy – poinformowała go. – Zahradník i Simonová są czyści. Halasa nie zastałam w gabinecie. Powinien tam być, ale jak się dowiedziałam, w ostatnim czasie nie przestrzega godzin otwarcia.

Průcha w końcu podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– I czego ode mnie oczekujesz? Mam ci go złapać? To przecież skandal! Faceta nie ma w gabinecie, choć powinien być. Aresztować dziada i niech gnije w pierdłu!

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby – odparła Kristýna spokojnie. – Oczywiście pojedę tam jeszcze raz. Pytałam sąsiadów, ale nikt nie wie nic o żadnych jego nieruchomościach czy większym majątku. Po południu sprawdzę księgi wieczyste. A teraz, jeśli mogę, chciałabym wrócić do swoich psów.

Podkomisarz tylko machnął ręką. Uznała to za zgodę i wyszła.

Przy biurku pośpiesznie spisała raport o wykonanych tego dnia czynnościach, a następnie zabrała się za dossier Bruknera. Kompleks zabudowań gospodarczych, który oglądała wczoraj z oddali, z całą pewnością nie służył pierwotnemu przeznaczeniu. Nie dostrzegła żadnych urządzeń rolniczych, pracowników ani zwierząt hodowlanych. Dlaczego zatem utrzymywał ten majątek? Przychodziło jej do głowy jedno wyjaśnienie. Lokalizacja była idealna. Na uboczu, w środku lasu, całość otoczona wysokim płotem... W rejestrze mieszkańców znalazła adres właściciela. Najpierw chciała ponownie zadzwonić do działu ewidencji psów w urzędzie miasta, potem jednak postanowiła, że wybierze się tam osobiście. Przez ramię przerzuciła dużą torbę, wrzuciła do niej komórkę, portfel, służbowe dokumenty, lornetkę i wielki atlas psów, po czym ruszyła w stronę urzędu. Na miejscu zmusiła spoconą i niemrawą pracownicę do wstukania nazwiska Bruknera w systemie i na własne oczy przekonała się, że ani pod jego adresem, ani nazwiskiem nie zarejestrowano żadnych czworonogów. Zrobiła też wywiad w miejscu jego zamieszkania. Biznesmen miał willę na peryferiach miasta, zdobioną balustradami, doryckimi kolumnami przy wejściu i reliefem orła na fasadzie. Przed domem zielenił się piękny trawnik, szczerze nawadniany zraszaczem. Horová dostrzegła też kawałek basenu. Za stosunkowo niskim ogrodzeniem (niech każdy widzi, na co stać gospodarza!) wznosiła się ściana idealnie przyszyżonego żywopłotu. Kristýna od razu pojęła, że po tak wymuskany ogrozie nigdy nie mogło biegać pięć masywnych psów. Mimo to skorzystała z obecności sąsiada z naprzeciwka, który akurat wyjeżdżał z garażu, i zadała mu kilka pytań. Zainteresowanie Bruknerem ze strony policji wyraźnie go ucieszyło. Uśmiechał się do Kristýny i zapewniał ją, że właściciel willi jest znanym miłośnikiem psów, ale nie trzyma ich w domu. O ile wie, Brukner posiada jakieś działki za Těšíkovem i pewnie tam

je hoduje. Zapytała, czy wie coś więcej na temat tych zwierząt. Powiedział, że nie, ale podobno jest ich sporo i są to wyłącznie duże rasy.

– Ale nie powiem pani, na co mu tyle psów, i to jeszcze takich byków...
– dodał sąsiad, jakby chciał podsunąć jej jakąś wskazówkę.

Aspirantce przyszło na myśl, że praca policji byłaby o niebo trudniejsza, gdyby nie ci wszyscy zawistni ludzie, których nic tak nie cieszy, jak krzywda sąsiada.

Ruszyła do Těšíkova. Przejechała cienistymi serpentynami drogi wylotowej na Opawę, w Lipinie odbiła w prawo, a za wsią wyłonił się przed nią widok krajobrazu skąpanego w słońcu. Po jednej stronie szosy pasły się krowy, po drugiej mieniło na żółto pole rzepaku, w oddali zielenił las, a nad wszystkim rozpięła się błękitna kopuła nieba. Przez sam środek tego sielankowego obrazka mknęło czerwone autko Kristýny.

Najpierw postanowiła znów zerknąć z góry na posesję Bruknera. Zaparkowała w tym samym miejscu co wczoraj, na wzniesieniu. Przez lornetkę obejrzała wszystkie zabudowania gospodarcze. Brama przejazdowa była otwarta, ale widok na podwórze zasłaniał jej dach frontowego budynku. Zastanawiała się, czy nie spróbować dostać się pod jakimś pretekstem do środka, ale doszła do wniosku, że to zły pomysł. Najpierw musiała dokładnie zorientować się w całej sytuacji, aby ocenić ryzyko. Nagle przed budynkiem pojawił się napakowany osiłek w białym podkoszulku i ruszył podjazdem w stronę metalowej bramy. Za nim wyłoniło się powoli auto, szare albo brudne. Kristýna wyostrzyła lornetkę i rozpoznała markę samochodu – Renault Clio. Zdecydowanie nie wyglądało na pojazd właściciela; nie chciało jej się wierzyć, że znany w całej okolicy nuworysz jeździ czymś takim. Odłożyła szybko lornetkę i sięgnęła do torby po komórkę. Auto sunęło po drodze dojazdowej, zostawiając za sobą tumany kurzu. Policjantka kliknęła w ikonę aparatu i ustawiła maksymalnie

zbliżenie. Typek w podkoszulku otworzył bramę, renault przejechał koło niego. Kristýna skierowała telefon na samochód w oddali, ten jednak momentalnie się rozpędził i wyjechał na drogę biegnącą obok posesji Bruknera. Facet w podkoszulku zamachał dłonią, ale nie na pożegnanie, tylko próbując rozwiać kurzowy obłok. Następnie zamknął za sobą bramę. Kristýna zdążyła jeszcze cyknąć dwa zdjęcia odjeżdżającego auta. Kiedy potem oglądała je na maksymalnym zbliżeniu, przekonała się, że z powodu kurzu numery rejestracyjne są niewidoczne. Zaklęła cicho, wrzuciła lornetkę i telefon z powrotem do torby, wsiadła do auta i ruszyła w stronę Těšíkova.

Wójt gminy Lipner długo i z niedowierzaniem przeglądał legitymację służbową Horovej. Jej przyjazd wprowadził go w taki popłoch, że nawet opalony dekolt policjantki nie był w stanie przywrócić mu psychicznej równowagi.

– To ja do pana dzwoniłam w sprawie psów – przypomniała.

– Mówiłem już, że takie rasy nie figurują w naszym rejestrze – odpowiedział wójt.

– Czy zna pan Zbyňka Bruknera?

Lipner niepewnie pokiwał głową.

– Posiada ziemię i nieruchomości na terenie gminy, prawda?

Cisza.

– Nie wierzę, że pan nie wie. Wszyscy wiedzą, tylko pan nie? – zdziwiła się Kristýna. – Podobno właśnie tam hoduje psy. To o nie pytałam, panie wójcie.

Lipner dalej milczał.

– Co za tym idzie: albo nie chciał pan współpracować z policją, co w przypadku urzędnika samorządu jest dość szczególnym przypadkiem, albo

Brukner nie zgłosił swoich psów do ewidencji.

Wójt chciał coś powiedzieć, ale Kristýna nie dopuściła go do słowa.

– Jest jeszcze trzecia możliwość. Brukner nie zgłosił psów, a pan mimo to o nich wiedział, tylko z jakiegoś powodu nie zdecydował się na współpracę z policją – skonstatowała chłodno. Tego też nauczyła ją Wielka Sowa: urzędników trzeba umieć postraszyć, by przełamać ich służbową lękliwość i skłonić do kooperacji.

Lipner uznał, że bardziej zależy mu na stanowisku niż relacjach z Bruknerem.

– Tak, teraz sobie przypominam, że faktycznie ma jakieś psy, ale... pani pytała przecież, czy są u nas zarejestrowane.

– Czy Brukner ma w okolicy jakichś krewnych? – zmieniła temat.

– Matkę.

– Mogę dostać jej adres?

Lipner ostatecznie się poddał.

– Proszę iść do pani Seidlovej, drzwi na końcu korytarza. Ona pani poda.

Kristýna podziękowała i udała się do wskazanego pokoju.

Kiedy tylko policjantka wyszła, Lipner chwycił komórkę.

Brukner siedział akurat w gospodarstwie nad szklanką dwunastoletniego ballantine'usa i kombinował, jak ma się wymigać od przyobiecane go członkom klubu kolejnego zjazdu, którego powoli zaczynali się domagać, a którego on – chwilowo pozbawiony psów – nie miał najmniejszej ochoty organizować. Dzwonił wójt. Nie chciało mu się z nim gadać.

– Co znowu? – warknął Brukner do telefonu.

– Była u mnie ta policjantka.

Dramatyczny szept Lipnera jeszcze bardziej go rozzłościł.

– Coś ty taki tajemniczy? Jaka policjantka?

– Ta, co wypytywała o twoje psy. Chciała wiedzieć, gdzie mieszka twoja matka.

Chwila ciszy.

– I co zrobiłeś?

– Musiałem jej powiedzieć. Przecież jest z policji.

– Kurwa – ulżył sobie Brukner.

– Nie denerwuj się, Zbyňo. To jakaś młoda siksa. Nie z takimi sobie radziłeś.

Zbyněk walnął pięścią w biurko, po czym się rozłączył. Zgarnął klucze od auta i wybiegł z gabinetu.

Jitka Bruknerová była jedną z tych młodych kobiet, którym się wydaje, że samym przyjściem na świat zyskały oczywiste i niezbywalne prawo do wygodnego życia, a wszystkie ich zachcianki i potrzeby powinny być natychmiast zaspokajane. W końcu od czego miała rodziców, a potem męża? Pracować mogą inni, jej należy się luksus, relaks, rozrywka i częste, coraz droższe wakacje. Życie jest krótkie, trzeba się nim cieszyć. A jeśli mąż nie mógł spełnić jakichś jej potrzeb, miała pełne prawo do rekompensaty. I właśnie dlatego, w czasie gdy wściekły jak osa Zbyněk Brukner pędził swoim bmw do domu matki w Těšíkovie, Jitka w najlepsze zabawiała się z barmanem męża Dušanem Přikrylem w jego niewielkim, zalanym słońcem mieszkaniu. Posiadanie kochanka było jej oczywistym prawem. Przy takim mężu! Poza tym młody, sprawny partner seksualny niejako poprawiał jej wizerunek przygłupiej blondynki, która wyszła za starszego faceta, i sprawiał, że na powrót czuła się nowoczesną, atrakcyjną kobietą, która pociąga także młodych mężczyzn.

Poznali się w Zlinie, gdzie Dušan był barmanem i akurat przeżywał chwile grozy, bo kolegę z pracy przed tygodniem zgarnęła policja. Umierał ze strachu, że kumpel zacznie sypać i jego też dopadną. Jitka, która miesiąc wcześniej „zrobiła sobie piersi” (jej własne słowa) w klinice doktora Marka w Brnie i w związku z tym jeszcze zyskała na (i tak dotąd niemałej) pewności siebie, spędzała akurat kilka dni u mieszkającej w Zlinie siostry. Wpadła tu w drodze powrotnej z tygodniowego pobytu w Luhačovicach, gdzie pojechała z koleżanką, by – jak się wyraziła – „dojść do siebie po ciężkim zabiegu”. Okazało się jednak, że znajoma nie była już tak skora do

impres jak dawniej, w kółko nawijała o swoim facecie i do głowy jej nie przyszło trochę zaszaleć, to znaczy wyrwać sobie kogoś i niezobowiązująco pobzykać. Za to pobyt w Złinie był o wiele ciekawszy, bo już pierwszego dnia spotkała tam wysokiego i sympatycznego, choć na pierwszy rzut oka nieco drętwego barmana, który nie mógł oderwać od niej wzroku. Jitka widziała, co się święci, była też świadoma swoich wdzięków, dlatego postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Miała powodzenie u facetów i do tego przywykła (a tych niewielu, którzy przezornie nie dali się oczarować, po prostu ignorowała), nie była przy tym ani wybredna, ani nieprzystępna. Farbowała włosy, piersi ujędźniła silikonem, do pielęgnacji skóry używała wyłącznie kosmetyków marki Nuxe, a w torebce trzymała zawsze co najmniej jedną buteleczkę „cudownych”, wielofunkcyjnych suchych olejków. Do walki z cellulitem nie zawahałaby się użyć napalmu (gdyby okazał się skuteczny), a jej ciała nie miał prawa szpeciść choćby jeden zbędny włoszek, co zapewniała luksusowa depilacja Brasil Hollywood (również dzieło doktora Marka z Brna). Goliła nawet brwi, a w ich miejsce rysowała ołówkiem grubą czarną linię.

Tamtego wieczoru miała na sobie czarną koszulkę z wyciętym dekoltem, w którym dwa dzieła chirurgii plastycznej prezentowały się jak w sklepowej witrynie, spódniczkę tak krótką, że gdyby nie wzorzyste rajstopy, to nie spełniałaby swojej podstawowej funkcji, do tego cienki pasek wysadzany błyszczącymi kamieniami, by zademonstrować, że luksus to jej chleb powszedni, i czerwone kozaczki.

Nosiła tipsy w najciemniejszym odcieniu fioletu, które laikowi mogły przywieść na myśl piaskowane szkło. Nowoczesna kobieta nie może obejść się bez tatuażu, dlatego ramiona Jitki zdobiło dzieło, którego autor zapewne starał się ukończyć niespełnione ambicje twórcy komiksów z kategorii fantasy. Dušanowi jednak spodobał się pokraczny kształt, mający wyobrazić

ziejącego ogniem smoka, i kiedy zapalał jej długiego, śnieżnobiałego papierosa, nie omieszkał pochwalić artysty. Dało to początek intensywnej konwersacji, połączonej z wychylaniem kolejnych szklaneczek sex on the beach, oczywiście na koszt lokalu, i przypalaniem papierosów w jej wydętych, ciemnofioletowych wargach, aż w końcu Dušan ośmielił się poinformować Jitkę, że kończy o trzeciej, na co ta, uchachana, odparła, że o trzeciej to ona dopiero zaczyna. Mężczyzna zrozumiał aluzję.

– Może pójdziemy gdzieś potem? – zaproponował.

– Jezu, czy w tej dziurze jest w ogóle gdzie pójść? – zapytała Jitka tonem kobiety, która do Zlína przybyła nie ze Šternberka, ale z Las Vegas.

– Możemy wpaść do mnie... – rzucił Dušan.

– Zrobisz mi jakiegoś super drina?

– Zrobię ci znacznie więcej, jeśli zechcesz.

Jitka zareagowała tylko frywolnym chichotem, a barman, pomiędzy 4:01 a 4:23, spełnił obietnicę w swoim mieszkaniu.

Przypadli sobie do gustu. Spotykali się co noc. Jitka postanowiła nawet przedłużyć pobyt w Zlinie o parę dni, co mężowi wcale nie przeszkadzało. Była w siódmym niebie, zwłaszcza gdy okazało się, że z Dušanem można się nie tylko fajnie pobzykać, ale też sensownie pogadać, co w praktyce oznaczało, że on sam mówił niewiele, za to pozwalał jej zalewać się potokiem monotematycznych opowieści, głównie o tym, co akurat wyczytała w którymś z babskich pisemek. Kiedy miesiąc po jej powrocie do Šternberka w lokalu zwolniła się posada barmana (Knur wyrzucił go z jakiegoś błahego powodu, znając życie facet niedostatecznie się przed nim płaszczył), Jitka zadzwoniła do Dušana i spytała, czy ciągle myśli o zmianie pracy. Mężczyzna nie dał się długo namawiać.

I właśnie dlatego mogli spędzać to przedpołudnie razem, w łóżku, w przytulnym mieszkanku Dušana z widokiem na šternberski zamek i jego

ogrody, i dyskutować o sprawie, która trapiła ich od pół roku: jak się uwolnić od Knura? Jitka przez kilka dni nie widziała się z kochankiem, więc dzisiejsze zbliżenie było wyjątkowo namiętne. Codzienna rutyna Zbyňka stała się nieprzewidywalna z powodu śmierci psów, a Dušan miał w związku z tym mniej wolnego czasu. Do tego jeszcze wyjechał na dwa dni do Zlína – Jitka wiedziała, że ma tam kumpla, który siedzi w więzieniu, ale Příklad nie był w tej sprawie zbyt wylewny.

Po zaliczonym seksie Jitka poszła wziąć prysznic, a kiedy wróciła, Dušan opowiedział jej, jaki numer wywinął Zbyňkowi. Aż się skręcała ze śmiechu.

– Serio? – chichotała.

– Serio – zapewnił.

– Jesteś po prostu ge-nial-ny!

Příklad aż się uśmiechnął z zadowolenia.

– Cały on – ciągnęła Jitka. – Myśli, świnią, że jest wielkim znawcą, ale daj mu siki, a on to wypije.

– Zna się na alkoholu jak ja na malarstwie – zażartował Dušan z pogardą.

Jitkę naraz coś zaniepokoiło.

– A nie boisz się, że na ciebie doniesie?

– Kto?

– No, ta kurwa.

– Nie. Ona też nienawidzi Knura. Miała z tego niezły ubaw.

– Naszczać mu do whisky... Dobrze, że się nie całujemy. Teraz na jego widok jeszcze bardziej będzie mi się chciało rzygać. – Oparła się na łokciach i z zamyśleniem przyglądała się odbiciu własnego ciała w lustrzanych drzwiach szafy. Czuła się piękna. Zwłaszcza po seksie.

– W związku z tym wpadł mi do głowy pewien pomysł... – zaczął Dušan.

Jitka go nie słuchała. Patrzyła w lustro i naraz przyszło jej na myśl, że...

– Ej – odwróciła się w jego stronę – nie wydaje ci się, że mam brzydkie sutki?

– Co?

– Sutki. Na piersiach.

– Masz cycki jak z okładki – zapewnił ją Dušan. Był wprawdzie typem faceta, dla którego „jak z okładki” były każde piersi, o ile tylko mógł je pomacać, ale Jitce wołał o tym nie mówić.

Kobieta poczuła się uspokojona.

– Co to za pomysł? – zapytała w końcu.

– Wiem, jak się pozbyć Knura.

– Pozbyć?

– Pozbyć.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że mój dobry kumpel siedzi w pierdlu... – zaczął.

Jitce ciągle nie dawały spokoju nieidealne sutki, dlatego z początku nie potrafiła się skupić na tym, co mówi Dušan. Rozmawiali na ten temat setki razy, wspominała, że czuje się tłamszona przez Knura i najchętniej by się rozwiodła, ale nie może, bo straci środki do życia. A teraz okazało się, że Dušan ma plan. To podziałało na jej wyobraźnię. Wszystko mogłoby należeć do niej. Salon samochodowy, udziały w biurze nieruchomości, gospodarstwo i działki, a przede wszystkim wywalony w kosmos lokal. Będzie panią właścicielką. A Dušan jej pracownikiem. Piękna myśl. Mieć wszystko na własność. Włącznie z Dušanem.

– Co o tym sądzisz? – wyrwał ją z rozmyślań Přikryl.

– A co jak wpadniemy?

– Nie ma szans. Załatwię to ostrożnie, małymi krokami...

Znów zaczęła sobie to wszystko wyobrażać. Gospodarstwo i działki sprzeda od razu. Zarobi na nich fortunę. Udziałów w biurze nieruchomości też się pewnie pozbędzie. Zostawi sobie salon i bar. Może zatrzyma dziewczyny? Czemu nie? Choć z drugiej strony – przypomniała sobie, że Knur je wszystkie posuwał, a one go nienawidzą. Jaki miałyby autorytet jako była żona takiego oblecha? Czy nie pomyślą, że jest taka sama jak one? Lepiej będzie je wyrzucić. Znajdzie sobie nowe. Młode, świeże pracownice. Wszystko będzie jej. A z Dušana zrobi... nie, współwłaściciela nie, bo jeszcze mu odbije palma... prędzej menadżera, choć będzie musiała pilnować, czy nie wyprawia z dziewczynami tego samego, co Knur.

– ...słuchasz mnie? – Přikrył podniósł głos.

– Co? – Odwróciła się do niego skonsternowana.

– Ta butelka wody w lodówce.

– Co z nią?

– Nie słuchałaś, co mówię? – Dušan się zirytował. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci z niej pić.

– Okej – odpowiedziała Jitka i zmarszczyła gniewnie swoją śliczną twarzyczkę. – Przecież i tak nie piję wódki. To alkohol dla meneli.

Dušan wyciągnął się na wznak i podłożył ręce pod głowę.

Jitka znów przyglądała się swojemu odbiciu w lustrzanej szafie. Te sutki! Szpecą jej piękne, jędrne piersi. Powinna odwiedzić doktora Marka w Brnie i zapytać, co z tym można zrobić.

Kristýna wyszła z urzędu gminy z adresem zapisanym na karteczce i uświadomiła sobie, że mogła panią Seidlovą zapytać o drogę. W stronę budynku zmierzała młoda kobieta, pchała wózek, a Kristýna ze zdziwieniem odnotowała, że widok matek z małymi dziećmi już jej nie rusza. Tęsknota i rozpacz, jakie wywoływały w niej bobasy w wózeczku, dawno minęły. Poza tym w końcu prowadziła własne dochodzenie. Rozmawiała o tym kiedyś z Edelweissem, który powiedział, że nie kieruje nim jakaś wielka żądza sprawiedliwości czy pragnienie dobra, ale że kiedy dostają z Wielką Sową jakąś sprawę, po prostu czują, że muszą ją rozwiązać. Kristýna zrozumiała, że nawet nie chodzi o tych pięć martwych psów ani o początkowe wzburzenie, które zdążyło wyparować. Chodzi o to, że najzwyczajniej w świecie chce się dowiedzieć, co się stało. Ważne było też pokazanie wszystkim, że zna się na swojej pracy, potrafi myśleć samodzielnie i podejmować niezależne decyzje. Że przez trzy lata była pojętną uczennicą Výrovej i Edelweissa, a teraz stanęła pewnie na własnych nogach. Kiedy rozwikła zagadkę, pójdzie do byłej szefowej i powie jej, że chce wrócić do zespołu. O nic nie będzie prosić, po prostu oznajmi chęć powrotu. Zrobi to, ponieważ jest lepsza nie tylko od Kubíka i Purkyněgo, ale też – i owszem! – od Davida. Zaczekała, aż kobieta z wózkiem się do niej zbliży, i spytała o drogę.

Droga autem zajęła jej dwie minuty. Zaparkowała przed dwupiętrowym szeregowcem z zadbanym ogródkiem. Zarzuciła na ramię torbę, poprawiła ramiączko od stanika i wcisnęła guzik dzwonka. Przez moment nic się nie działo, po chwili jednak na parterze, tuż przy pomalowanych na zielono

drzwiach wejściowych, otworzyło się okno i ukazała się w nim starsza pani. Mimo upału miała na sobie podomkę, a na niej jeszcze kardigan.

– Słucham – zwróciła się do Kristýny, mrużąc oczy.

– Dzień dobry, jestem z policji – pokazała jej służbową legitymację. – Czy rozmawiam z panią Bruknerovą?

Kobieta nie spojrzała na dokument, wciąż jednak mrużyła powieki, patrząc na Kristýnę.

– Co to jest?

Policjantka uświadomiła sobie, że słońce świeci jej zza pleców i zrobiła dwa kroki w bok, by starsza pani lepiej ją widziała.

– Pani Bruknerová? – zapytała znowu, bardzo głośno.

– Tak.

– Jestem z policji. Chciałabym z panią porozmawiać.

– Proszę podejść do okna, źle słyszę.

Kristýna otworzyła furtkę, przeszła przez ogródek i zbliżyła się do okna.

Bruknerová przyglądała się jej z zaciekawieniem.

– Czego pani chciała?

– Jestem z policji. Chcę tylko o coś spytać.

– Ja nic nie wiem – odpowiedziała zdecydowanym tonem kobieta.

– Proszę się nie obawiać. Po prostu znaleźliśmy kilka psów i...

– Nie mam żadnych psów. – Starsza pani pokręciła głową.

– Chodzi o bardzo wartościowe rasy. Dość drogie. Staramy się ustalić, do kogo mogły należeć. – Dotarło do niej, że mimowolnie rozmawia z Bruknerovą jak z małym dzieckiem.

– Ja nie mam psów – upierała się przy swoim tamta.

– A pani syn?

– Zbyněk czy Petr? Zbyněk jakieś ma, to jego hobby. Petr nie, jego nigdy nie ma w domu.

Horová wyjęła z torby atlas psów.

– Widziała pani psy swojego syna?

– Pewno, że tak – mruknęła Bruknerová.

Kristýna otworzyła książkę w pierwszym zaznaczonym miejscu.

– Wyglądały jak te?

– Chwileczkę.

Kobieta zniknęła, a po chwili znów pojawiła się w oknie, w grubych okularach na nosie. Kristýna podała jej atlas. Zauważyła przy tym, że kobieta ma bardzo brudne szkła. Bruknerová zapatrzyła się na zdjęcie rottweilera.

– Bo ja wiem? Wszystkie te kundle wyglądają tak samo.

– A czy te psy były duże? – Policjantka spróbowała podejść ją z innej strony.

– Duże? – Zamyśliła się, a po chwili pokiwała głową. – Dość duże, tak.

– Gdzie syn je trzymał?

– Kupił kiedyś stary chlew i oborę od spółdzielni. Tam w stronę Doliny Bělkovickiej, jak się jedzie z Loděnic... – Nie zdążyła dokończyć, bo przed domem z piskiem opon zatrzymało się metaliczno-zielone bmw gran turismo, wyskoczył z niego na oko stukilowy facet i rzucił się w stronę furtki.

– Wypad stąd! Słyszałaś? Odwal się od niej! – darł się na całą ulicę.

Kristýna nie musiała się długo zastanawiać kto to. Zbyněk Brukner miał na sobie niebieską koszulkę na ramiączkach, która odsłaniała jego szerokie barki i grube, porośnięte ciemnymi włoskami ramiona. Kiedy szedł, pokaźny brzuch trząsał się pod obcisłym materiałem. Koszulka była

wciśnięta w markowe spodnie o długości trzy czwarte, z którymi nie najlepiej komponowały się szare, zakurzone crocsy na bosych stopach. Był od Horovej dwa razy wyższy i cięższy, nie cofnęła się jednak na jego widok.

– Jestem z policji i...

– I co? Mam się zesrać z wrażenia? Jazda stąd, mówię! – wrzeszczał Brukner.

Musiała odpuścić i odejść od okna. Gdyby ją zaatakował, nie byłaby w stanie obezwładnić go w pojedynkę. Facet zasuwał w stronę drzwi wejściowych, więc zamienili się miejscami. Teraz to on stał pod oknem, z którego wyglądała matka, a aspirantka tkwiła przy furtce. Starsza pani przyglądała się całej scenie, okulary zsunęły jej się z nosa, w rękach nadal trzymała atlas.

– Zbyněčku, pani przyszła tylko pokazać mi zdjęcia...

Brukner wyrwał jej książkę i rzucił ją Kristýnie pod nogi.

– Nie masz tu czego szukać – krzyknął.

Gwałtowny upadek na ziemię sprawił, że od ciężkiego tomu oderwała się okładka.

– Pan Zbyněk Brukner? – zapytała Horová, podnosząc atlas.

– Zjeżdżaj stąd! – ryknął Zbyněk i ruszył w jej stronę.

Kristýna nie chciała kolejny raz wylądować na pogotowiu z pokiereszowaną twarzą, dlatego cofnęła się przed furtkę, na chodnik. Brukner na całe szczęście zatrzymał się za płotem.

– Zostaw moją mamę w spokoju, jasne? Inaczej nie ręczę za siebie!

– Nie brakuje panu przypadkiem kilku psów? – nie dawała za wygraną policjantka.

– Powiedziałem, spieprzaj stąd! – Zatrzasnął przed nią furtkę, pokazał jej plecy, a Kristýna zobaczyła, że na jego tłustych pośladkach niemal pęka szew spodni. Brukner wszedł do domu i trzasnął za sobą drzwiami.

Miewałam w życiu bardziej udane akcje, pomyślała. Wytarła książkę i wsunęła ją z powrotem w okładkę. Szkoda, trochę kosztowała. Schowała atlas do torby i odwróciła się w stronę auta.

W wiejskim otoczeniu podobna scena nie mogła przejść niezauważona. Kristýna rozejrzała się: z okien wyglądali sąsiedzi, na poboczu zatrzymały się kobiety na rowerach. Horová otworzyła drzwi samochodu, wrzuciła do środka torbę i nagle dostrzegła machającego do niej z ogródka naprzeciwko starszego mężczyznę w roboczym kombinezonie i flanelowej koszuli z podwiniętymi rękawami. Ruszyła ku niemu.

– Pani jest z policji? – zapytał wprost.

Kristýna przytaknęła.

– Rychło w czas – mężczyzna obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

– W jakim sensie? – zapytała.

– Nie wie pani, co się tu wyrabia? Będzie ze trzy miesiące, jak napisaliśmy skargę.

– A pan to...?

– Smékal. Radoslav Smékal.

– No więc o co chodzi?

– Jak to o co? O auta – wyjaśnił zniecierpliwiony Smékal. – Zbiera się to tałatajstwo u Bruknera, a po drodze mijają nasz dom. A potem wracają po nocy, o pierwszej, drugiej. Całą wieś stawiają na nogi. Składali my skargę u wójta, a on, że nic nie poradzi, bo to publiczna droga. Ale oni jeżdżą jak piraci. No tośmy zgłosili sprawę na policji w Šternberku, żeby choć patrol wysłali, i nic, żadnej odpowiedzi. W kółko to samo.

– Skąd pan wie, że jeżdżą właśnie do Bruknera?

– A do kogo mają jeździć? – Smékal miał najwyraźniej dość pytań. – Wszyscy wiedzą, że do niego. Ma gospodarstwo za wsią, tam niżej. Ciągłe się u niego schodzą jakieś ludzie.

– A nie wie pan, co tam robią?

Mężczyzna całkiem stracił cierpliwość.

– To już chyba wy powinniście wiedzieć, nie?

– Dziękuję panu.

– Nie ma za co – bąknął, wyraźnie rozczarowany. Horová okazała się kolejną policjantką, od której nie mógł oczekiwać pomocy. W dodatku kiedy przyglądał się jej odkrytym ramionom i opalonym udom w spodenkach, przyszło mu do głowy, że może nawet nie jest z policji.

Po rozmowie z sąsiadem Kristýna zmieniła zdanie. Nie chciała tak łatwo dawać za wygraną. Z torby w aucie wyjęła policyjną legitymację i ponownie wcisnęła dzwonek przy furtce. Drzwi wejściowe otworzyły się natychmiast i gwałtownie, a postawna sylwetka Zbyňka Bruknera wypełniła sobą całą futrynę.

– Nie słyszałaś, co mówię? Zjeżdżaj stąd!

Pokazała mu legitymację. Od Bruknera dzieliła ją furtka i ponad dwa metry ogródka.

– Jestem z policji. Aspirant Horová. Odbywam służbę, więc proszę zwracać się do mnie w należyty sposób. Nie jesteśmy na ty.

W odpowiedzi mężczyzna wydał z siebie chrumkający rechot. Pomyślała, że ten dźwięk idealnie do niego pasuje.

– Nie brakuje panu kilku psów? – zapytała.

– Nie, niczego mi nie brakuje – odparł z rozbawieniem.

– Znalezliśmy je...

– Wątpię – mruknął Brukner.

– Czyli zaprzecza pan, że kiedykolwiek posiadał dwa pitbulle, amstaffa...

Nie pozwolił jej dokończyć:

– Nigdy nie miałem żadnych psów, przecież już mówiłem.

– Przyjechałby pan do nas na komisariat i złożył w tej sprawie pisemne oświadczenie? – nie ustępowała aspirantka.

– Niech mnie pani posłucha. Ciężko pracuję i płacę podatki, także na was, policję, żebyście mogli w spokoju siedzieć za swoimi biurczkami. Więc odczep się pani. Ode mnie i mojej matki. – Nie czekając na odpowiedź, zatrzasnął za sobą drzwi.

Kristýna doszła do wniosku, że ponowne dzwonienie nie ma sensu. Wsiadła do auta, zawróciła i ruszyła w stronę Šternberka. Przyszło jej do głowy kilka spraw, które będzie musiała sprawdzić.

Po powrocie na komisariat Kristýna przez godzinę pracowała przy komputerze i telefonowała. Potem wstąpiła do biura podawczego. Kiedy udało jej się zebrać potrzebne informacje, zapukała do gabinetu swojego przełożonego. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale była ciekawa reakcji szefa, zwłaszcza że znacznie lepiej orientował się w miejscowym środowisku. Nie miała wątpliwości, że osobista wygoda i święty spokój są dla niego ważniejsze niż wzniosłe idee, wierzyła jednak, że Průcha jest w gruncie rzeczy poczciwym człowiekiem. Zastała go przy codziennej papierkowej robocie. Wysoki wentylator podłogowy wirował na pełnych obrotach, okno było otwarte, ale podkomisarz i tak intensywnie się pocił, w efekcie czego w pomieszczeniu unosił się kwaśny zapaszek.

– Nie przeszkadzam, szefie?

Průcha oderwał wzrok od dokumentów.

– Co tam? Rozwiązałaś już zagadkę swoich martwych piesków?

Kristýna usiadła na krześle naprzeciwko, on jednak w dalszym ciągu przeglądał i podpisywał raporty. Nawet nie zahaczył wzrokiem o jej dekolt, może z powodu upału i zmęczenia, a może dlatego, że nasycił nim już wzrok przed południem.

– Nie. Ale wiem, do kogo należały.

– Identyfikacja ofiary jako pierwszy etap ustalenia tożsamości sprawcy.

Brawo. – Nawet skwar nie był w stanie osłabić jego sarkazmu.

Kristýna postanowiła przejść do rzeczy.

– Czy mówi coś panu nazwisko Brukner?

Průcha przerwał oglądanie papierów i spojrzał podwładnej w oczy. Wiedziała już, że zaczęła z dobrej strony.

– To były jego psy – tłumaczyła dalej. – Prawdopodobnie to on organizuje walki, o których mówiłam. Ma działki i nieruchomości za Těšíkovem i wygląda na to, że właśnie tam się wszystko odbywa.

Průcha pomału pokiwał głową.

– Brukner powiadasz...

– Tak – potwierdziła. – Ale jest jedna dziwna sprawa. Trzy miesiące temu grupka mieszkańców Těšíkova złożyła u nas rzekomo skargę na ludzi, którzy odwiedzają Bruknera na jego posesji. Podobno przejeżdżają przez wieś, ignorują znaki drogowe, przekraczają dozwoloną prędkość, naruszają ciszę nocną. Mieszkańcy zażądali patrolu na miejscu...

– A co ja mam z tym wspólnego? – zapytał, jakby właśnie ocknął się z letargu.

– Pan nic. Chodzi o to, że na tę skargę nie było żadnej reakcji. Trafiła do szuflady i tyle.

– Aha – odpowiedział zdawkowo, jakby wcale go to nie zdziwiło.

Kristýna odczekała chwilę, po czym zapytała:

– Myśli pan, że moglibyśmy załatwić pozwolenie na przeszukanie jego posesji?

Podkomisarz odłożył pióro, ale zamiast na nią spojrzeć przez okno. Pomyślała, że pewnie nie chce dokładać sobie pracy. A równocześnie wie, że wpadła na ważny trop.

Przełożony zacisnął wargi.

– Przygotuj mi to na piśmie, ze szczegółami. Przeczytam i podejmę decyzję.

Horová wstała z krzesła.

– Dziękuję.

Odkaslnął i spojrział jej prosto w oczy.

– Bądź ostrożna, dobrze? – zwrócił się do niej tonem, którego wcześniej jeszcze nie słyszała. – Znam Bruknera. To kawał drania, więc uważaj, co robisz.

– Dziękuję. Przygotuję raport.

Wróciła do swojego biurka. A więc tak się sprawy mają... Westchnęła. Znowu pakuje się w kłopoty. Od czasu morderstwa na uniwersytecie w Ołomuńcu nauczyła się postępować roztropnie; ciągle miała w pamięci atmosferę paranoi, jaka panowała w zespole pod koniec śledztwa. Pomysł z przeszukaniem przyszedł jej do głowy nagle i po prostu rzuciła go szefowi, on jednak nie wyglądał na zaskoczonego. Wielka Sowa w podobnej sytuacji wyrzuciłaby ją za drzwi, tymczasem Průcha nawet nie mrugnął okiem, a przecież nie jest z niego taki niedojda, na jakiego czasem pozuje. I jeszcze ten cały Brukner. Przypomniała sobie jego zadufanie i przekonanie o własnej nietykalności, gdy się na nią wydarł. Czy psy należały do niego? Mogłaby się założyć, że tak, choć nie miała dowodów. To samo dotyczyło walk. Co się właściwie stało? Dlaczego zwierzęta zakopano w lesie? Zbyt wiele pytań, a zamiast odpowiedzi domysły i mgliste przeczucia. Wiedziała, że jeśli chce rozwiązać zagadkę, musi poszukać konkretów.

Dzień szósty

Wtorek 18 czerwca

37

Szóstego dnia od nocnego napadu na zoo w Ołomuńcu Marie ocknęła się ze snu już o świcie. Półprzytomna sięgnęła po pilot do odtwarzacza i jak zwykle rozpoczęła dzień z Bobem Dylanem. Dla urozmaicenia doznań przygotowała sobie wcześniej *Slow Train Coming* i postanowiła, że nie będzie czytać przy śniadaniu wiadomości w internecie. Obie decyzje okazały się strzałem w dziesiątkę. Mocny i wyraźny rytm *Gotta Serve Somebody* w połączeniu z gitarą Knopflera napełniły ją energią, a partie chóru gospel w *Precious Angel* wprowadziły w zachwyt.

Poprzedni dzień nie przyniósł przełomu w sprawie. Wieczorem przejrzała raporty, zostawione na jej biurku przez wyraźnie zmęczonych kolegów z zespołu. Ich treść tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że cała akcja z weterynarzami była rozpaczliwą próbą dojścia do czegoś po omacku, pozorowanym działaniem, okłamywaniem samych siebie, że w ogóle prowadzą jakieś śledztwo. Spakowała więc swoje rzeczy i wróciła do domu.

Do śniadania czytała wczorajsze wydanie miejscowej gazety, którą z ciekawości zabrała z recepcji. Chciała wiedzieć, czy nie napisano czegoś o ich sprawie. Z zadowoleniem przekonała się, że na pierwszej stronie o zbrodni w zoo nie ma nawet wzmianki. Po chwili jednak wpadła w osłupienie. Całą drugą stronę zajmował reportaż z miejskiego teatru, w którym donoszono, że w trakcie próby *Sprzedanej narzeczonej* do kanału dla orkiestry wpadła kura, służąca jako żywy rekwizyt w trzecim akcie

opery. Ptak wylądował na altówce jednego z członków zespołu, powodując uszkodzenie lakierowanego instrumentu. Jakby tego było mało, kura przeleciała ledwie dwadzieścia centymetrów od twarzy muzyka. Sprawa była na tyle poważna, że dyrygent złożył skargę u kierownika artystycznego i dyrektora teatru. W artykule cytowano wypowiedzi wszystkich zainteresowanych (rzecz jasna z wyjątkiem kwoki, która zapozowała przynajmniej do zdjęcia). Reżyser spektaklu próbował niezdarnie bagatelizować sprawę, tłumacząc, że zwierzę było tylko dublerem. Nie sprecyzował jednak, w zastępstwie kogo pojawiło się na scenie. Również dyrektor teatru zapowiedział na łamach gazety wdrożenie stosownych procedur, by podobny incydent się nie powtórzył. On także nie uściślił, o jakie środki zaradcze chodzi, a autorka reportażu zapomniała go o to zapytać. Marie przeczytała tekst jeszcze raz, przekonana, że chyba coś jej umknęło. Okazało się, że nie. Pomyślała, że albo ma do czynienia z surrealistycznym humorem, zrozumiałym tylko dla wybranych, albo zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. Całe szczęście, że zwierzę nie ucierpiało w wypadku, bo jeszcze zlecono by jej śledztwo w tej sprawie. Skoro może się zajmować skradzionymi niedźwiedziami, czemu nie miałyby badać przypadku teatralnej kury?

W klimatyzowanym biurze inspektora Šupiny na Marie i Edelweissa czekała kolejna niespodzianka: pięćdziesięciolatek o surowym, poważnym wyrazie twarzy, w idealnie wyprasowanym mundurze – szare spodnie, błękitna koszula z ciemnoniebieskim krawatem; na lewym rękawie miał przyszyte godło państwowe, pod lewą kieszonką na piersi służbową odznakę. Od razu widać było, że nie chodzi o półoficjalną, nieformalną wizytę starego znajomego, zatroskana mina szefa zdawała się mówić: „tego nam jeszcze brakowało”. Gość miał przed sobą otwarty laptop i postrzępioną papierową teczkę z dokumentami.

– Przedstawię państwa – zaczął Šupina. – Moja zastępczyni podinspektor Výrová. Podinspektor Vacek z urzędu celnego. Komisarz Edelweiss. Pan podinspektor ma dla nas ważne informacje...

Poprosili sekretarkę o kawę i wodę, usiedli przy stoliku konferencyjnym obok Vacka, a ten bez zbędnych wstępów przeszedł do rzeczy:

– Urząd celny, wydział trzydziesty pierwszy, od dłuższego czasu bada sprawę, która może mieć związek z państwa śledztwem. Do kompetencji naszej jednostki należy między innymi nadzór nad przestrzeganiem konwencji waszyngtońskiej, w skrócie CITES. – Rzucił spojrzeniem na Marie i Edelweissa, by sprawdzić, czy rozumieją, i tłumaczył dalej: – Zacznę od nakreślenia szerszego kontekstu. Aktualnie nasz wydział do zadań specjalnych jest bardzo zaangażowany w międzynarodową operację Nosorożec. Zakładam, że o niej państwo nie słyszeli, ponieważ ze względów technicznych i taktycznych staramy się utrzymywać wszystko w ścisłej tajemnicy. Działamy wspólnie z kolegami ze Słowacji, Polski, Austrii i Węgry w celu rozpracowania międzynarodowej grupy przestępczej, która nielegalnie przewozi produkty chińskiej i innej wschodnioazjatyckiej medycyny pozyskiwane ze zwierząt. Rok temu podczas rutynowej kontroli odkryliśmy przypadkiem magazyn przerzutowy niedaleko granicy z Austrią, dzięki czemu zablokowaliśmy ważny szlak przemytu z Bałkanów, przez Węgry i Słowację do Czech, skąd towar wyruszał w dalszą drogę na Zachód. Jak już powiedziałem, chodzi o preparaty tradycyjnej medycyny chińskiej wykorzystujące składniki pozyskane ze zwierząt, jak sproszkowany róg nosorożca używany na zwiększenie potencji i tym podobne.

– Kto jest końcowym odbiorcą? – zapytał Edelweiss.

– Zamożni Azjaci, zwłaszcza Chińczycy, mieszkający na Zachodzie. Niestety część towaru znajduje nabywców także u nas – objaśnił

podinspektor. Rozejrzył się po obecnych, a gdy stwierdził, że nie mają więcej pytań, kontynuował: – Udało nam się wprawdzie zamknąć jeden kanał, okazało się jednak, że natychmiast uruchomiono inny. Mówimy tu o bardzo dochodowym interesie. Przy czym jego najsłabszym ogniwem jest właśnie zapewnienie logistyki przemytu na duże odległości. Przejdę do sedna. Na podstawie pewnych przesłanek doszliśmy do wniosku, że produkcję zakazanych wyrobów przeniesiono w ostatnim czasie na Słowację i do Czech. Ma w tym udział także społeczność Wietnamczyków. U nas i na Słowacji działa dobrze zorganizowany gang, który dostarcza surowce wietnamskim bazom produkcyjnym.

Marie zmarszczyła brwi i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Chwileczkę. Może jestem słabo zorientowana w temacie, ale w jaki sposób można u nas pozyskać taki surowiec jak róg nosorożca? O ile wiem...

Edelweissowi coś się przypomniało.

– Właśnie że można. Opowiadał nam o tym dyrektor zoo.

Vacek otworzył teczkę, wyjął z niej kilka wycinków z gazet i rozłożył na stoliku przed VÝrovą.

– To prostsze niż pani podinspektor myśli. Zapewne słyszała pani o skradzionych eksponatach z pałaców, zamków i muzeów regionalnych. Wypchanym zwierzętom odpiłowano rogi. Łupem złodziei pada również kość słoniowa. Niestety mamy do czynienia z ogólnoeuropejskim trendem. Tylko w tym roku obrabowano z tego powodu czterdzieści muzeów na naszym kontynencie.

Marie spojrzała na leżące przed nią wycinki.

– A jaki to ma związek z nami?

– Zaraz do tego dojdę – zapewnił podinspektor celny i wybudził laptop z uśpienia. Był doskonale przygotowany do spotkania. – W medycynie

chińskiej bardzo ceniona jest żółć niedźwiedzia. Zawiera ona składnik nazywany kwasem ursodeoksycholowym. Chińczycy używają go jako stymulatora czy też środka do leczenia chorób wątroby i kamieni żółciowych. Poza tym mówi się, że poprawia wzrok i obniża gorączkę. W całej wschodniej i południowo-wschodniej Azji istnieją tak zwane farmy niedźwiedzi. Znajduje się tam łącznie około czternastu tysięcy osobników, w samym Wietnamie blisko cztery tysiące, mimo że zabrania tego prawo. Muszą państwo wiedzieć, że żółć pobiera się od niedźwiedzi bez narkozy i jest to bardzo bolesny zabieg. Zwierzęta mają na stałe wpiętą do woreczków żółciowych igłę punkcyjną. Są przetrzymywane w miniaturowych klatkach, bez możliwości ruchu, często wyrywa im się zęby i pazury. Jeśli niedźwiedź nie ma na stałe założonego cewnika, żółć odprowadzana jest dwa razy dziennie za pomocą metalowej rurki bezpośrednio z woreczka żółciowego. Zwierzętom wycina się otwór w jamie brzusznej, który zapewnia dostęp do tego narządu, a rana jest codziennie na nowo otwierana, kiedy wprowadzają rurkę. Pokażę państwu, jak to wygląda.

Výrová, Edelweiss i Šupina nachylili się nad laptopem Vacka. Celnik kliknął w ikonkę na pulpicie i puścił im filmik.

– To jest oficjalne nagranie Światowej Organizacji Zdrowia Zwierząt – wyjaśnił krótko.

Nawet wykład Vacka na temat nieludzkiego procederu nie był w stanie przygotować policjantów na to, co zobaczą. Obraz był ciemny, chwilami rozedrgany, kręcony amatorską kamerą bez dźwięku. Widać było na nim ogromną halę wypełnioną małymi, zardzewiałymi klatkami. Betonowa podłoga błyszczała od wilgoci. Zbliżenie na jedną z klatek: z ciemności wyłania się czarny niedźwiedź z białą plamą na piersi i przez drucianą siatkę chlepta długim językiem wodę z miseczki przymocowanej do

zewewnętrznej krawędzi klatki. Jego łeb jest wyliniały i pokryty bliznami, jedna łapa wysunięta przez otwór w siatce. Przestrzeń jest tak mała, że nie może się w niej poruszać, ani nawet obrócić czy przewalić na bok. Na ujęciu innej klatki widać parę łypiących, apatycznych oczu unieruchomionego zwierzęcia... Operator przechodzi przez całą halę, zagląda okiem kamery do każdej klatki, wszędzie ten sam obrazek.

Nie byli w stanie oglądać dalej. Marie zagłębiła się w fotelu i wyjrzała przez okno na zalane słońcem niebo. Milczała, choć zdawała sobie sprawę, że odwracanie wzroku nie zmieni uchwyconej na filmie rzeczywistości.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że podobne rzeczy dzieją się w Czechach? – zwrócił się do Vacka Edelweiss.

Celnik zamknął laptop. Już rozumieli, dlaczego sprawiał wrażenie oschłego, wycofanego człowieka: był to pancerz ochronny, konieczny przy tego typu sprawach.

– Koledzy ze Słowacji odkryli wiosną tego roku przypadki kłusowania na niedźwiedzie w Tatrach. Nie wiadomo wprawdzie, ile zwierząt złapano, ale niezwykle w całej historii jest to, że sprawcom zależało, by schwytać je żywe. Niedługo potem odnotowaliśmy pojawienie się nowego podmiotu handlującego niedźwiedzią żółcią. Nie wiemy, kim są ci ludzie ani gdzie przebywają, ale jesteśmy pewni, że to mała, sprawna grupka, prawdopodobnie z siedzibą na Morawach.

W pokoju zapanowała cisza. Marie wyglądała przez okno, na twarzy Edelweissa widać było sceptycyzm.

– Nie wierzy pan, że coś takiego może dziać się u nas? – zwrócił się bezpośrednio do niego Vacek. – Wystarczy zajrzeć do internetu. Czeskie apteki również oferują produkty z żółcią niedźwiedzią, importuje się je z Ukrainy. Mała tubka kremu kosztuje dwieście koron. Handluje nimi jedna firma z Opawy, mają nawet atest Ministerstwa Zdrowia. Na początku roku,

w okolicach Krnova, zrobiliśmy im nalot, znaleźliśmy w magazynie prawie dwieście opakowań kremu, a potem odkryliśmy, że sprzedają go od 2009 roku, a tylko w zeszłym roku dostarczyli z Ukrainy blisko dwa i pół tysiąca sztuk tej maści. – Ton jego głosu pozostawał rzeczowy i obojętny, jednak wszyscy czuli, że temat wpędza go we frustrację.

– Jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pan, że niedźwiedzie skradzione z zoo mogą być wykorzystywane do pobierania żółci – podsumował Šupina.

– A udało się państwu ustalić, do czego złodzieje potrzebowali tych zwierząt? – zapytał Vacek.

– Mamy kilka hipotez, ale żadnej nie sprawdziliśmy – wyjaśniła Marie.

– Dzięki operacji Nosorożec udało nam się zablokować trasy przemytu z Bałkanów i Wschodu. Czechy do tej pory służyły wyłącznie jako państwo tranzytowe, a my, w koordynacji z innymi państwami, byliśmy w stanie namierzać i łapać przewoźników. Po przeszło pół roku intensywnych działań w marcu przeprowadziliśmy serię nalotów w Opawie i, jak wspominałem, w okolicach Krnova. Nasze skuteczne interwencje sprawiły jednak, że obecnie cały biznes koncentruje się bliżej końcowego odbiorcy. Ponieważ Azjaci mają specyficzne podejście do kwestii ochrony praw zwierząt, a Chińczycy dotrzymują międzynarodowych umów według własnego widzimisie, jesteśmy w stanie eliminować przemyt i blokować trasy tylko w Europie. Wszystko wskazuje na to, że z powodu kłopotów logistycznych produkcja tych wyrobów przeniosła się do nas.

– Mówimy o międzynarodowej zorganizowanej grupie – odezwał się Šupina. – Jak duży może być udział Czechów?

– Jak wspominałem, na całą grupę trafiliśmy przypadkiem, w czasie zeszłorocznego nalotu, kiedy odkryliśmy magazyn przerzutowy z towarem zamówionym na Zachodzie. Na podstawie danych operacyjnych przypuszczamy, że na naszym terytorium gangiem dowodzą Wietnamczycy,

ściśle związani ze społecznością Azjatów w Niemczech i innych państwach zachodnich. Domyślcie się państwo, że to dość zamknięte i lojalne w stosunku do siebie środowisko. Zakładamy jednak, że współpracują z nimi także rodowici Czesi.

Výrová, Edelweiss i Šupina w milczeniu analizowali otrzymane informacje. Celnik zrobił krótką przerwę, po czym tłumaczył dalej:

– Kiedy dowiedzieliśmy się z telewizji o kradzieży niedźwiedzi z waszego zoo, połączyliśmy to ze zniknięciem zwierząt na Słowacji. Myślę, że powinni państwo rozważyć hipotezę o zorganizowanej grupie, która planuje założenie farmy niedźwiedzi w Czechach. A najpewniej już ją założyła.

Wielka Sowa westchnęła. Nie spodziewała się aż tak grubej sprawy.

– Od czasu upublicznienia informacji wydarzyła się jeszcze jedna rzecz – wyjawiał Šupina. – Mamy kolejnego zabitego. Ten człowiek był zamieszany w kradzież niedźwiedzi.

– W tym biznesie obraca się ogromnymi pieniędzmi – stwierdził Vacek i odkaszlnął. – Przepraszam, skoczę do toalety. To moja trzecia kawa... Mogę poprosić jeszcze o wodę? Potem zastanowimy się, jak skoordynować nasze działania.

Inspektor wskazał mu drogę, a potem zwrócił się do pozostałych:

– Co o tym myślicie?

Marie była blada, Edelweiss wyglądał na wkurzonego, co w ostatnim czasie zdarzało mu się często.

– Jeśli to prawda – zaczął Pavel – to jesteśmy w niezłej dupie. Po tym, co nam opowiedział ten Vacek, jeszcze mocniej do mnie dociera, jak bardzo daliśmy ciała z tym biednym Pluskalem. To jest zadanie dla specjalistów od przestępczości zorganizowanej.

Marie zgromiła go spojrzeniem, ale nic nie powiedziała.

– Myślicie, że śledztwo celników ma związek z naszym? – zapytał Šupina.

– Trzeba brać to pod uwagę – odparła Výrová.

– Ma to sens – stwierdził Edelweiss. – Vacek podrzucił nam wyjaśnienie, do czego ktoś może potrzebować niedźwiedzi. Jak również ewentualny motyw zabójstwa.

– Moja propozycja jest następująca – orzekł inspektor. – Omówię teraz z podinspektorem Vackiem wszystkie szczegóły i ustalę plan współpracy. Was dwojga do tego nie potrzebuję, więc możecie wrócić do śledztwa w sprawie obu zabójstw. W dalszym ciągu bierzemy na celownik weterynarzy. Może jest wśród nich jakiś Wietnamczyk? Albo ktoś, kto współpracuje z Azjatami? Sprawdźcie to!

– A co, jeśli to nie był weterynarz? – rzucił Pavel.

– Wtedy pozostaje nam usiąść i się modlić – odparł Šupina i złożył ręce.

Rozległo się pukanie do drzwi: sekretarka doniosła wodę. Zza jej pleców wyłonił się podinspektor Vacek i zajął swoje miejsce w fotelu.

Czerwona toyota Kristýny wspięła się na wzniesienie dzielnicy willowej i zaparkowała przed domem doktora Halasa. Od wczoraj na drzwiach przybyła kartka ze zdawkową informacją: „ZAMKNIĘTE Z POWODU CHOROBY”. Mimo to postanowiła spróbować i wcisnęła guzik dzwonka. Zero reakcji. Zadzwoiła ponownie. Znowu nic. Już chciała odejść, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, a w progu stanął weterynarz. Kristýna zmierzyła go spojrzeniem: facet po czterdziestce, cech szczególnych brak, przeciętna twarz, którą zapomina się po kwadransie. Jedynym, co rzucało się w oczy, była jego lewa dłoń zabandażowana po nadgarstek – środkowy, serdeczny i mały palec usztywnione, obwiązane i grubo zalepione czyjąś niewprawną ręką.

– O co chodzi? Nie umie pani czytać? Gabinet jest zamknięty – ofuknął Kristýnę.

Wyjęła legitymację.

– Policja. Karel Halas?

Lekarz pokiwał głową.

– Mogę zadać panu kilka pytań?

Halas przyglądał się przez chwilę legitymacji.

– W jakiej sprawie? – zapytał znacznie łagodniejszym tonem.

– Możemy wejść do środka?

– Proszę... – Przepuścił ją w drzwiach, a następnie je za nią zamknął.

Być może doktor Halas był w przeszłości sumiennym weterynarzem, aktualny stan jego gabinetu wskazywał jednak, że podobne ambicje musiał porzucić dawno temu: stare, wytarte linoleum, leciwy stół zabiegowy,

blaszane pudełko z kartami pacjentów, duże biurko, a na nim przedpotopowy komputer. Na ścianach przykurzone plansze anatomiczne i plakaty reklamujące suchą karmę i środki na kleszcze, wszystkie tak nieaktualne, że przypominały eksponaty w jakimś muzeum weterynarii. Halas siadł za biurkiem, Kristýna stała, położyła tylko torbę na stole zabiegowym i wyjęła z niej notatnik.

– Panie doktorze, sprawdzamy obecnie wszystkich w okolicy posiadaczy strzelb do usypiania zwierząt. Czy mógłby pan pokazać mi swoją?

Pretekst wizyty wymyśliła naprędce, ale że dzień wcześniej taktyka blefu Wielkiej Sowy okazała się skuteczna, postanowiła znowu z niej skorzystać.

Zdumiony Halas uniósł brwi.

– A skąd pani wie, że ją posiadam?

– A nie posiada pan? Tak wynika z ewidencji – powiedziała zaskoczona.

– Mam, ale na ten rodzaj broni nie potrzeba pozwolenia. Nie miałem pojęcia, że ktoś to ewidencjonuje.

Uśmiechnęła się.

– Wie pan, w dzisiejszych czasach wszystko jest gdzieś zarejestrowane. Mogę ją zobaczyć?

Halas wstał.

– Pozwoli pani za mną.

Przeszli korytarzem do magazynu leków i sprzętu medycznego. Lekarz chciał otworzyć szafkę, ale przekonał się, że jest zamknięta na klucz. Powiedział tylko „aha”, wrócił do gabinetu, z szuflady biurka wyjął pęk kluczy i tym razem się udało. Wyciągnął futerał ze strzelbą, igłami i resztą

potrzebnych akcesoriów. Cały zestaw rozłożył przed Kristýną na stole zabiegowym. Obandażowana dłoń utrudniała mu demonstrację.

– Ciągle nie rozumiem, skąd o niej wiecie. Tego typu aplikatory nie wymagają rejestracji na policji.

– Trudno powiedzieć. Po prostu polecono mi sprawdzić, czy dalej go pan posiada. – Kristýna uśmiechnęła się do niego.

– Ale czemu?

– W okolicy doszło do kilku napadów z użyciem podobnej broni.

Weterynarz przyjął informację bez szczególnego zainteresowania.

– Jeszcze się upewnię: co to za typ?

– Aplikator gazowy do zdalnej iniekcji 1V.31 NPL. Z nabojami CO₂. Lufa karbonowa do wystrzeliwania strzykawek o objętości od jednego do trzech mililitrów – wyrecytował Halas.

Kristýna dopiero wtedy zauważyła, że wszystkie informacje podane są na wewnętrznej stronie futerału.

– Jaki to ma zasięg? – zapytała, wpisując przy tym dane do notesu.

– To też potrzebuje pani wiedzieć dla pewności?

– Nie, po prostu mnie to ciekawi.

– Do trzydziestu metrów.

– A pan do czego konkretnie używa tego aplikatora?

Halas machnął ręką.

– Teraz już do niczego. Kiedyś współpracowałem z policją, brałem udział w wyłapywaniu dzikich, bezpańskich psów. W niektórych przypadkach nie było wyjścia, musiałem strzelać.

– Dlaczego?

– Bo były płochliwe albo niebezpieczne. Nikt nie chciał ryzykować pogryzienia.

– Rozumiem. Jeszcze jedno. To tylko formalność. Gdzie pan przebywał w piątek między dziesiątą wieczorem i północą?

– W domu – odpowiedział obojętnie. – To znaczy tutaj. Dom należy do mnie, mieszkam na piętrze.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Jestem rozwiedziony. Mieszkam sam.

– A w nocy ze środy na czwartek?

– To było tak dawno... – Westchnął.

– Sześć dni temu – skonkretyzowała Kristýna.

– Kiedy człowiek jest sam, wszystkie jego wieczory wyglądają tak samo. Czyli pewnie też siedziałem w domu.

Policjantka zamknęła notatnik i włożyła go do torby.

– W porządku. Dziękuję panu.

– Skończyliśmy? Wie pani, trochę się śpieszę. Mam umówiony zabieg... – powiedział, unosząc obandażowaną rękę.

– Co się panu stało?

– Wypadek przy pracy. Starczyła chwila nieuwagi i mam poharatane ścięgna. Muszą mi to zoperować...

– W takim razie życzę udanego zabiegu. – Kristýna uśmiechnęła się do niego i pożegnała.

– Dziękuję i do widzenia – odpowiedział Halas, ale nie odprowadził jej do drzwi.

Wyszła przed dom. Zadanie wykonane. Spojrzała na zegarek. Na wpół do pierwszej tata umówił ją ze swoim kolegą Zoubkiem, kynologiem z zamiłowania. Spokojnie zdąży na miejsce. A potem spisze raport i przekona się, co to za gagatek ten cały Brukner.

W stołówce komendy zapobiegliwie opuszczono rolety; przestronne pomieszczenie nie było wprawdzie chłodne, ale dało się w nim przynajmniej schronić przed słońcem. Marie kupiła sobie mrożoną kawę i croissanta z czekoladą, Edelweiss wziął dwie kanapki z szynką i tonik.

– Kiedy rodzinka wraca? – zapytała Wielka Sowa, gdy usiedli przy stoliku.

– Za cztery dni – odpowiedział, przyglądając się z bliska zawartości swojego talerza. – Obiecałem, że wyjadę po nich na lotnisko do Brna... – Ostatnie słowa wymówił niepewnie.

– Nie ma sprawy. Gdybyś nie mógł, wyślemy im eskortę policyjną.

To wyraźnie rozbawiło Pavla.

– Będą zachwyceni.

Marie upiła łyk kawy i patrzyła, jak kolega wgryza się w kanapkę.

– W ostatnim czasie niewiele rozmawiamy – zauważyła po chwili.

– Myślałem, że poczuła się pani dotknięta tą dyskusją o śmierci Pluskała. – Edelweiss podniósł na nią spojrzenie.

– Dotknięta? – zdziwiła się. – Przecież mnie znasz. Z zasady nie mam nikomu za złe, że się ze mną nie zgadza...

– Może przesadziłem, ale...

– Posłuchaj – przerwała. – Nie mamy udziału w śmierci Pluskała. Zabili go ludzie, z którymi się spiknął. Nie wiemy, dlaczego to zrobił. Pewne jest tylko, że zginął z powodu złych decyzji. Swoich, nie naszych.

– To był tylko naiwny dzieciak – ocenił komisarz.

– Bez przesady. Ile miał lat? Dwadzieścia siedem?

– Mnie wyglądał na zapalonego miłośnika zwierząt, który żył tym, co kochał. Jakos trudno mi uwierzyć, że dołączył do szajki przestępców, która bierze udział w takim maltretowaniu. Oczywiście, jeśli przyjąć wersję Vacka.

Marie dopiła kawę.

– Ciekawe, że do tej pory nie dostałam alergii na kofeinę... Co porabiasz jako słomiany wdowiec? – zmieniła temat.

– To, co pani. Słucham wieczorami płyt. Przeważnie starych Floydów.

– Muszę ich sobie przypomnieć. Mąż bardzo lubił... – Wielka Sowa odwróciła wzrok w stronę okna.

– W takim razie zapraszam do siebie na wieczór z Floydami.

– Kiedy uporamy się z tematem, chętnie skorzystam.

– Ale wtedy Eva i dzieci będą już w domu – skostatował Edelweiss.

Výrová roześmiała się serdecznie.

– Czyli mogę wpadać tylko pod nieobecność żony?

Komisarz zmarszczył czoło.

– Chodziło mi o to, że z nimi nie będzie już tyle spokoju.

– To weźmiesz płyty, kupisz wino i przyjdiesz do mnie. I tak mam lepszy adapter – rzuciła zadziornie. – Potem wstała, strząsnęła ze spodni okruszki i zarządziła: – A teraz do roboty!

Doktor nauk prawnych Oldřich Zoubek, prokurator okręgowy w Ołomuńcu, miał zwyczaj po lekkim (dla zachowania kondycji) obiedzie spędzać pół godziny na lekturze prasy. Robił tak od lat, choć w ostatnim czasie często odstępował od reguły, by chronić się od codziennej dawki irytacji i oburzenia. Przeszkadzało mu nie tyle zachowanie społeczeństwa, ile błędne i zwodnicze opinie dziennikarzy, których uważał za matołów. Nie mógł znieść ich jałowego krytykanctwa, biadolenia i psioczenia na wszystko i wszystkich, jak również zakamuflowanej próby wpływania tych frustratów na organy zaangażowane w postępowanie karne, i to tylko dlatego, że w głowie jednego czy drugiego z tych nieudaczników, co w życiu nie mieli porządnej pracy, za to chętnie rozprawiają na dowolny temat, pojawiła się myśl, że ktoś zachowuje się podejrzanie, a może nawet szkodzi społeczeństwu.

Miał jasność co do swojej misji. To on jest od orzekania, czyje zachowanie jest szkodliwe. Był niezbitnie przekonany, że ludzie nie są sobie równi, po prostu nie mogą być, a już zwłaszcza wobec prawa. Nie wyrażał tego na głos, bo wiedział, że w dzisiejszych czasach taki pogląd nie jest mile widziany. Jedynie w kręgu przyjaciół dawał upust niepohamowanej szczerości, zresztą, znajomi dzielali jego rozgoryczenie. Gdy ocenia się postępowanie człowieka z punktu widzenia prawa, należy zawsze brać pod uwagę przydatność danej jednostki dla społeczeństwa. On sam tak robił, choć nie otwarcie, wiedział bowiem, że system, w którym się poruszał, odrzuciłby jego rozumowanie ze wstrętem, a do tego oskarżył z najgłupszego możliwego paragrafu, to znaczy o „stronniczość” (§ 166,

ustęp 1 Kodeksu karnego), może nawet o „nadużycie urzędniczego stanowiska” (§ 329, ustęp 1, lit. a k.k.). Po prostu uważał, że właściciel fabryki, który stworzył ludziom dziesiątki miejsc pracy i jest za nich odpowiedzialny, ma inne znaczenie dla społeczeństwa niż jakaś ofierma na zasiłku. Jeśli taki fabrykant spowoduje wypadek (bo się biedak spieszył, chciał zadbać o pracę dla ludzi, był zestresowany), to czy w interesie ogółu jest ciągnięcie go po sądach i karanie? Formaliści prawni odpowiedzą, że tak. Czescy głosiciele równości, dla których oszustem jest każdy, kto się dorobił i nie wstydy się do tego przyznać, od razu zażądałiby dożywocia. W porządku, wsadźmy pirata do więzienia. A co z jego firmą? Co z ludźmi? Chętnie zobaczyłby miny tych równościowych oszołomów, gdy setka pracowników traci środki do życia, bo ich szef, dobroczyńca, wyładował w pierdłu z powodu jakiejś głupoty. Nie, w takich kwestiach się nie wahał. Kierowało nim poczucie odpowiedzialności za społeczeństwo.

W dzisiejszych czasach człowiek, który chce zrobić coś dobrego dla innych, musi podejmować ryzyko. Często w związku z tym porusza się na granicy prawa, czeska biurokracja nie ułatwia mu zadania, przepisy bywają zawile i nie rozumieją ich nawet prawnicy. W ostatecznym rozrachunku każdy, kto podejmuje wysiłek, żeby coś stworzyć, staje się przedmiotem ataków i drwin ze strony mniej udolnych jednostek. Zoubek podziwiał ludzi, którym jeszcze się chce, którzy nie machnęli na wszystko ręką, choć przecież wiadomo, że Czesi są mistrzami świata w rzucaniu innym kłód pod nogi.

A potem wszystko to spada na niego. Opinia publiczna żąda rozprawienia się z korupcją. Rzecz w tym, że ci gamonie uważają za korupcję także to, że ktoś swojemu wysoko postawionemu koledze przyniesie butelkę dobrego alkoholu, bo szacunek i tradycja nakazują dbać o przyjaciół i spłacać swoje długi. Cóż z tego, skoro opinia żąda... Gdyby

odważył się wyrazić głośno pogląd, oparty przecież na niedostępnej dla laików wiedzy prawniczej, że wręczanie prezentów nie jest korupcją, podobnie jak odpłacanie przysługą za przysługę czy po prostu poleganie na wartości, jaką jest przyjaźń, która stanowi w istocie fundament życia społecznego, słowem: gdyby wszystko to powiedział, uznano by go za wyrzutka, a może wręcz za przestępcę. Czemu? Dlatego, że głosi niepopularne, konserwatywne poglądy, na których zbudowano niegdyś liberalny model społeczeństwa.

Na domiar złego wydawało się, że tym razem to on, Zoubek, znalazł się w tarapatkach.

Zacząło się niewinnie. Zadzwoił do niego Hora i spytał, czy nie mógłby udzielić jego córce porady w pewnej kwestii związanej z kynologią.

Kristýna, którą znał jeszcze jako nastolatkę, niemal dziecko, wyrosła na piękną kobietę. Inteligentną. Czasem nawet myślał, że szkoda jej do pracy w policji. Gdyby o siebie zadbała, mogła osiągnąć w życiu o wiele więcej. Wystarczyłby elegancki makijaż i garsonka zamiast szortów i t-shirtu. Jako że był znanym hodowcą rottweilerów, przyszła go zapytać, czy nie słyszał o organizowanych w okolicach Šternberka psich walkach. Zoubek chciał wiedzieć, dlaczego ją to interesuje. Wytłumaczyła. A prokurator natychmiast pomyślał o Šmídmajerze, tym idiocie, partaczu i dyletancie, który nie potrafi utrzymać porządku we własnym komisariacie, ale na głos powiedział tylko, że nigdy nie słyszał o podobnej sprawie i jest nią zszokowany.

– Wie pani, sam mam dwa rottweilery, ale z tego, co wiem, w tych walkach wykorzystuje się głównie rasy bojowe...

– No właśnie. Ale wśród pięciu psów, które znalazłam, był też jeden rottweiler – wyjaśniła Horová.

– Niesłychana sprawa – zdziwił się teatralnie Zoubek.

– Tata mówił, że zna się pan na kynologii i pomyślałam, że... – Przez chwilę zastanawiała się, jak sformułować pytanie. – Wy, psiarze, z pewnością rozmawiacie ze sobą i...

Zoubek się zachnął.

– Psiarze! Pani Kristýno, ja hoduję rottweilery. Nie chodzę do parku na pogawędki z właścicielkami przekarmionych pudelków.

Kristýna nie bardzo rozumiała tę subtelną różnicę.

– Chcę przez to powiedzieć – wyjaśnił prokurator – że ja traktuję te psy poważnie, szkolę je i tak dalej. Chodzę z nimi na plac treningowy i na kurs agility, na dość wysokim poziomie trudności...

– I z pewnością ma pan wielu znajomych wśród innych, ekhm... hodowców. Jesteście jakoś zrzeszeni? – wpadła mu w słowo Kristýna.

– Hm, owszem, należę do jednego klubu – przyznał niepewnie Zoubek.

– Może mógłby pan tam popytać?

– Naturalnie. Zadzwońię do paru osób. Ale proszę zbyt wiele nie oczekiwać. Nam po prostu sprawia radość widok pięknych, dobrze wyszkolonych psów. Jesteśmy bardzo przywiązani do tych zwierząt. Jeśli człowiek wkłada tyle wysiłku w trening, to nie chce, żeby mu potem zmasakrowali zwierzę w jakiejś walce.

Kristýna wzruszyła ramionami.

– To potworne, co mi pani opowiedziała – ciągnął. – Oczywiście popytam. Ale naprawdę wątpię, żebym mógł pomóc. Walki psów to proceder przestępczy i nie potrafię sobie wyobrazić, żeby był w niego zamieszany ktoś z moich znajomych. A nawet gdyby, raczej by mi się z tego nie zwierzał. Z uwagi na moją funkcję.

Horová pokiwała głową na znak, że rozumie. Zoubek ponownie zapewnił ją, że zrobi, co w jego mocy, i równocześnie poprosił, by i ona

bezzwłocznie go powiadomiła, jeśli dowie się czegoś istotnego. Pożegnali się.

Gdy tylko Kristýna wyszła, prokurator wstał i kilka razy przemierzył swój gabinet. Trochę po to, by się uspokoić, a trochę, by się namyślić. Sytuacja była poważna. Bez dwóch zdań. Nigdy nie zakładał, że może zrobić się aż tak poważnie. Ba, żaden z członków klubu tego nie zakładał, bo przecież mieli jego, sędziego Jaroša, a nawet – choć z zaciśniętymi zębami – znosili obecność Šmídmajera. Nie rozumiał, jak Leoš mógł dopuścić, by Horová zaczęła w tym grzebać. I pech chciał, że to akurat musiała być ona, córka starego Hory, do tego powiązana z Výrovą i jej ekipą. W przeszłości zdarzały się już różne nieprzyjemne historie, ale zawsze udawało im się je rozwiązać, jemu i Šmídmajerowi. Horová trzeba spacyfikować i to szybko, pomyślał. Oczywiście najlepiej byłoby jej znaleźć jakieś sensowne zajęcie, by przestała niuchać, kto zakopał psy w lesie. Idealnie, gdyby wróciła do zespołu Wielkiej Sowy. Tylko jak to zrobić? Nie da się tego załatwić od ręki, a w każdym razie nie przy obecnej biurokracji, no i nie może o to zabiegać sam – tylko ściągnąłby na siebie uwagę, że niby dlaczego tak mu na tym zależy. Trzeba bezzwłocznie podjąć stosowne kroki, aby przestała zajmować się tą sprawą. Ale jakie konkretnie? Co tu, u diabła, zrobić?

W czasie krótkiej rozmowy z Kristýną zapewnił, że popyta. Z szuflady biurka wyjął prywatną komórkę i z miejsca zabrał się za spełnianie obietnicy.

Komendant komisariatu policji w Šternberku nadkomisarz Leoš Šmídmajer właśnie czekał na przyście podkomisarza Václava Průchy. Kiedy usłyszał pukanie, przerwał lekturę akt i patrzył, jak jego podkomendny niemal wbiega do środka.

– Cześć, powiedzieli mi, że mam się u ciebie stawić – wysapał Průcha i otarł pot z czoła. Rękę wytarł w spodnie.

– Tak, siadaj – powiedział Šmídmajer. Rozejrzał się po biurku pełnym teczek i raportów, po czym pokręcił głową. – Ta papierowa robota nas kiedyś wykończy.

Průcha ponownie otarł pot i z wyraźną ulgą zajął krzesło naprzeciwko szefa.

– Nie chcę ci zawracać głowy, Vašku, więc przejdę od razu do rzeczy – zaczął Šmídmajer. – Miałem dziś bardzo nieprzyjemny telefon.

– Czyżby dzwonił Brukner? – Průcha się uśmiechnął.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Leoš udał zaskoczenie.

Tamten był wyraźnie rozbawiony.

– Bo ja z kolei rozmawiałem z Horovą o Bruknerze.

– A o czym? – dopytywał Šmídmajer.

– Zdechły mu te jego kundle...

– Zgadza się. – Leoš pokiwał głową, jakby informacja wymagała jego aprobaty.

– ...a temu idiocie nie przyszło do głowy nic lepszego niż zakopać je w lesie. Nie miałem pojęcia, co to za sprawa. Horová chciała to koniecznie

zbadać, więc się zgodziłem, żeby miała zajęcie. A ona od razu wpadła na trop Bruknera.

– No to odbierz jej sprawę. Niech pracuje nad czymś innym i będzie spokój – zasugerował nadkomisarz.

Průcha spojrział na szefa twardo. Idąc do jego gabinetu, przygotował się na taką właśnie sytuację.

– Nie, Leoš. Nie zrobię tego.

– Niby czemu? – Przełożony nie mógł pojąć, jak można rezygnować z najprostszego rozwiązania.

– Bo to zdolna dziewczyna. Działa mi na nerwy, ale lubię ją za to, że poważnie traktuje swoją pracę. Poza tym Bruknerowi przyda się żółta kartka. Niech wie, że istnieją pewne granice.

– To już nie twoje zmartwienie – odpowiedział chłodno nadkomisarz.

– Dobra, jak uważasz. Ale w tym przypadku stoję po stronie Horovej. To ona odkryła te psie walki. Oczywiście, że wszystko da się załatwić bezboleśnie. Brukner może przyjść i złożyć wyjaśnienia. Że psów nikt nie otruł, że zwyczajnie zdechły, bo czegoś się naźarły. I że nie organizuje żadnych walk, po prostu czasem zwierzęta gryzą się między sobą. Dostanie mandat, dziewczyna zamknie sprawę, będzie spokój i porządek.

Leoš spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Te psy ktoś otruł? – zapytał cicho.

– Owszem – potwierdził Průcha.

Šmídmajer złożył ręce, a palce wskazujące przyłożył do warg.

– Oczywiście jest jeszcze jedna opcja. Między mną, tobą a Horovą istnieje określona hierarchia służbowa. Możesz jej odebrać sprawę. Z tego, co wiem, jesteśmy policją, a nie klubem zapaleńców.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz? – zapytał Průcha uszczypliwie.

– Jeśli każe ci zamknąć dochodzenie, to je zamkniesz.

– Wiesz co, Leoš? Do dzisiaj myślałem, że komisariatem kierujesz ty, a nie Brukner.

– Skończyliśmy rozmowę – odpowiedział Šmídmajer.

Průcha podniósł się ociężale z fotela i wyszedł.

Kristýna wróciła na komisariat, szybko sporządziła notatkę o wizycie u doktora Halasa, wydrukowała, podpisała i włożyła szefowi do przegródki. Teraz mogła zająć się Bruknerem... Poprzedniego dnia wieczorem podjęła decyzję, a rano, w czasie jazdy do Šternberka, jeszcze raz wszystko przemyślała i... postanowiła, że wykona ten krok. Wiedziała, że będzie stąpać po bardzo cienkim lodzie, który być może nawet się pod nią załamie. Ale czy Wielka Sowa nie postąpiłaby tak samo? Nie miała co liczyć na wsparcie bezpośrednich przełożonych, musiała działać na własną rękę, bo tylko tak mogła doprowadzić sprawę do pomyślnego końca, co z kolei dawało jej szansę powrotu do dawnego zespołu. Gdyby udało jej się potwierdzić hipotezę o walkach psów z niedźwiedziami i samej wszystko rozwiązać, z pewnością mogłaby wrócić. Ta myśl nie dawała jej spokoju i ostatecznie przekonała samą siebie, że cała zagadka skupia się wokół gospodarstwa Bruknera, a ona musi sprawdzić, do czego ten facet potrzebuje tak wielkiej posiadłości. Przychodziła jej do głowy prosta odpowiedź: psy, niedźwiedzie, walki. Nikt nie brał jej przypuszczeń serio, więc pokaże im, jak bardzo się mylili.

Poszła do łazienki, obmyła wodą spoconą twarz, a w szatni posmarowała ramiona, ręce, dekolt, nogi i twarz kremem do opalania. Postanowiła nie zakładać munduru. Gdyby coś poszło nie tak, będzie jej łatwiej się wycofać w cywilnym ubraniu. Zabrała z biurka okulary słoneczne, oprócz dokumentów i komórki wrzuciła do torby także lornetkę i legitymację policyjną. Już miała wyjść, gdy naraz pojawiło się w jej myślach pytanie: a co, jeśli będą tam psy? Może nie wszystkie zdechły? Jak

się obroni przed trenowanym do walki zwierzęciem? Przypomniała sobie agresywną postawę Bruknera i swoje poczucie bezsilności wobec jego grubiaństwa. Nie, nie mogła sobie pozwolić na powtórkę tamtej sytuacji. Ostatecznie włożyła do torby także służbową broń.

Stała w cieniu lasu na wzniesieniu, przy tej samej drodze, z której w poprzednich dniach obserwowała gospodarstwo Bruknera. Miała szczęście, bo ledwo zajęła pozycję, w posiadłości zaczęło się coś dziać. Przystawiła do oczu lornetkę: z bramy przejazdowej w przednim skrzydle wyłonił się wysoki łyсы mężczyzna w podkoszulku i ciemnych okularach na śmiesznie małym, spłaszczonym nosie. Szedł po drodze dojazdowej w stronę głównej bramy; Kristýna nawet z daleka była w stanie dojrzeć wydatne bicepsy i grubą fałdę skóry okalającą jego kark niczym szalik. Spomiędzy budynków wyjechała biała furgonetka. Policjantka nie chciała powtórzyć błędu, który popełniła przy renault clio, i od razu skierowała zoom na tablicę rejestracyjną. Drugą ręką namacała notatnik... Peugeot boxer, zardzewiałe błotniki, na brneńskich numerach, które szybko zapisała. Kierowca przez otwarte okno wystawiał rękę z papierosem. Auto podążało za łyсыm facetem drogą dojazdową aż do bramy, wzbijając za sobą chmurę kurzu. Mężczyzna nacisnął guzik na pilocie i brama zaczęła się otwierać tak powoli, jakby i ją zmęczyło całodzienne, bezlitosne słońce. Furgonetka pomału opuściła teren posiadłości, łyсыgłowy machnął ręką na pożegnanie, samochód skręcił w prawo w stronę lasu i Doliny Bělkovickiej, a w otwartym oknie mignęła twarz wietnamskiego kierowcy. Także przy bramie było co obserwować. łyсы odwrócił się w stronę budynków i śledził wzrokiem wyjeżdżającą škodę roomster. Policjantce znów udało się zapisać numery, tym razem miejscowe. Kierowca zatrzymał się na spowitej tumanami kurzu drodze, wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drewnianą bramę. Potem wrócił do auta, wyjechał na asfaltową szosę i ponownie się

zatrzymał. Łysy nacisnął pilota, brama drgnęła i zaczęła się zasuwac, on zaś wsiadł do škody, która ruszyła w przeciwną stronę niż furgonetka, w kierunku Šternberka. Warkot silnika się oddalił, kurz opadł na drogę i nastala cisza, przerywana jedynie szumem lasu i sporadycznym śpiewem ptaków. Z porośniętych trawą rowów przy drodze dobiegalo bzyczenie owadów. Krowy na pastwisku, podobnie jak dwa dni wcześniej, polegiwały jak w letargu i przeżuwały, chyba tylko z poczucia obowiązku.

Kristýna przez kolejnych parę minut obserwowala przez lornetkę gospodarstwo i jego okolice. Nie dostrzegła jednak żadnego ruchu. Wsiadła do toyoty, uruchomiła silnik, zwolniła hamulec, ale zostawiła auto na luzie. Pojazd zaczął się powoli staczać ze wzniesienia i stopniowo nabierał prędkości. Zjechała na sam dół, odbiła w stronę bramy posesji i zatrzymała samochód. Wsiadła i się rozejrzała. Tabliczka na ogrodzeniu informowała nieproszonych gości, że teren jest prywatny i pilnują go psy. Ruszyła drogą wzdłuż płotu i przez gęstą siatkę próbowała dojrzeć jakiegokolwiek oznaki życia po drugiej stronie, ale wszystko wskazywało na to, że ostrzeżenie o czworonożnych strażnikach było tylko bujda. Wróciła pod bramę i mocno nią potrzęsła. Żadna horda ujadających bestii z pianą na pysku nie pojawila się na horyzoncie.

– Halo! Jest tam ktoś? – zawołała. Rozejrzała się, a gdy stwierdziła, że teren jest czysty, wspięła się na bramę. Z cichym stęknięciem zeskoczyła na zapylony spękany asfalt drogi dojazdowej. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała odgłosów wskazujących na czyjaś obecność w gospodarstwie albo dźwięków zwiastujących niebezpieczeństwo. Cisza. Powoli skierowała kroki w stronę frontowego budynku. Okna od tej strony były wyposażone w pordzewiałe kraty z odłazającą farbą, a kiedy Kristýna podeszła na tyle blisko, by zajrzeć przez jedno z nich, zobaczyła puste pomieszczenie z surową, betonową posadzką.

Postanowiła obejść budynek i dotrzeć na podwórze. Na wszelki wypadek wyjęła z torby broń. Kiedy szła wzdłuż ściany, brodząc w wysokiej trawie, przyszło jej na myśl, że powinna się była spryskać środkiem odstraszającym kleszcze, bo tutaj z pewnością są ich całe chmary. Dotarła do końca przedniego skrzydła i znalazła się na dużym podwórzu, otoczonym z wszystkich stron zabudowaniami gospodarczymi. Pod blaszanym daszkiem stała inna furgonetka i zakurzona osobówka, w której rozpoznała renault clio z poprzedniego dnia. Kawałek dalej, przy jednym z budynków, zobaczyła przyczepę rolniczą z przebitą oponą. Zatrzymała przez chwilę wzrok na znajomym clio. Następnie rozejrzała się uważnie. Podwórze było po części wyłożone dziurawym, połatany asfaltem, po części zaś leżała na nim udeptana ziemia, z której w wielu miejscach wyrastały kępy dorodnej, choć teraz już wyschłej, powiewającej lekko na wietrze trawy. Wysoko nad dachami i podwórzem szybowало kilka jaskółek, jak na razie jedyne napotkane żywe istoty. Wszystkie okna, drzwi i bramy zabudowań gospodarczych były od tej strony zamknięte. Kristýna przypuszczała, że renault należy do pracownika Bruknera i pewnie zostawił je tu któryś z odjeżdżających chwilę wcześniej mężczyzn.

Wyłącznie wychodzący na szosę budynek frontowy najwyraźniej służył w przeszłości ludziom. To, co zobaczyła po swojej lewej stronie, uznała za garaż dla maszyn rolniczych, naprzeciwko frontowego budynku stała stodoła, a najbardziej oddalone zabudowanie mogło być chlewem albo oborą. Nigdzie żywej duszy. Nie dostrzegła też żadnego śladu psów, choćby małej pamiątki ich obecności. Szła schowana w cieniu, wzdłuż muru jedyne ludzkiego przybytku, i zaglądała do środka, na ile to było możliwe. Pomieszczenia były puste, niektóre z nich skromnie wyposażone w proste meble. Dotarła mniej więcej do połowy budynku, kiedy wiatr zmienił kierunek i z dawnego chlewu czy obory dotarł do niej trudny do

zdefiniowania dźwięk, coś jak bardzo głęboki pomruk. Nachyliła głowę, aby lepiej słyszeć. W tej samej chwili zza rogu świniarni wyszedł mężczyzna z wiaderkiem. Zobaczył sylwetkę po drugiej stronie podwórza i nim Kristýna odwróciła w jego stronę głowę, schował się w cieniu.

Podążała wzdłuż prawego skrzydła, próbując namierzyć źródło niepokojących dźwięków. W miarę jak zbliżała się do chlewu, odgłosy nasilały się i dopiero wtedy zauważyła, że szeroka brama do budynku jest uchylona. Szła ostrożnie skrajem podwórza. Zaglądała przezornie do wszystkich mijanych okien. Rozejrzała się, a następnie szybkim krokiem przemknęła obok ściany chlewu pod bramę. Na przyspawanym do jednego ze skrzydeł skoblu kołysała się odemknięta kłódka. Kristýna zacisnęła dłoń na służbowym pistolecie i oparła się o bramę. Natężenie dźwięków się zmieniało, ale było w nich wyraźnie słychać rozpaczliwe, bolesne zawodzenie. Lewą ręką przesunęła okulary przeciwsłoneczne z oczu na czoło. Następnie wychyliła się delikatnie zza krawędzi bramy i zajrzała do środka. W chlewie panował półmrok i dopiero po chwili jej wzrok zdołał do niego przywyknąć. Poczowała wstrętny, gryzący odór moczu i fekaliiów, zasłoniła ręką usta i nos, szara powłoka zaczęła się przeredzać i Kristýna dojrzała jakieś ciemne kontury. Nie widziała żadnego ruchu ani ludzkiej sylwetki. Powoli weszła do środka.

Mężczyzna, który przyglądał jej się zza rogu, postanowił, że musi działać. Plastikowe wiaderko postawił cicho na trawie, rozejrzał się i zobaczył oparte o pobliski mur dwie motyki i łopatę. Zrobił kilka kroków do tyłu, chwycił łopatę, ale drewniane stylisko było tak wysuszone, że metalowa łyżka zaraz się z niego zsunęła. Wziął więc to, co mu zostało w ręce, i ostrożnie zbliżył się do rogu budynku.

W tej samej chwili przerażona Kristýna wycofała się z chlewa. Światło słoneczne poraziło ją na tyle, że musiała zmrużyć oczy. Zrobiła jeszcze dwa

kroki w tył, jakby chciała oddalić się od straszliwego, nieoczekiwanego widoku, który zastał ją w środku i kompletnie zszokował. Uspokój się, i to już, próbowała przemówić sobie do rozsądku. Wolną ręką wyjęła z torby komórkę. Wybrała numer. Długie sekundy czekania.

– Skarbie, nie mogę teraz... – odezwał się głos Kodeta.

– David, znalazłam wasze niedźwiedzie – przerwała mu. Mówiła szeptem, przejęcie odbierało jej dech.

– Co?

Zdążyła jeszcze pomyśleć, że to najgłupsza możliwa reakcja, kiedy ktoś chce wyrazić zaskoczenie.

– Niedźwiedzie. Znalazłam je. Musicie...

Coś się poruszyło. Kristýna odwróciła się, ale było już za późno. Mężczyzna zamachnął się z całych sił trzonkiem łopaty. Uderzenie skierował na rękę, w której trzymała komórkę. Rozległ się trzask łamanej kości, kobieta krzyknęła, ostry czubek narzędzia ugodził ją w twarz, a siła ataku odrzuciła w bok i Kristýna upadła z hukiem na rozgrzany, suchy asfalt podwórza. Broń i telefon wysliznęły jej się z ręki. Komórka po uderzeniu o ziemię rozleciała się na kilka części – tylna obudowa odpadła, a bateria wylądowała metr dalej.

– Kristýna, słyszysz mnie?! – krzyknął David do telefonu. – Halo...

Rozległ się sygnał przerwane połączenia.

Wyświetlacz informował, że rozmowa zakończyła się nieodwołalnie.

David wcisnął guzik „oddzwoń”, przez kilka sekund wsłuchiwał się w ciszę, po czym nagrany głos oświadczył mu, że abonent jest czasowo niedostępny. Wybrał numer ponownie, ale rezultat był ten sam.

Siedzący przy sąsiednim biurku Edelweiss obserwował go uważnie. Kodet spojrzął na niego z przerażeniem.

Mężczyzna rzucił trzon łopaty na ziemię i kucnął, żeby sprawdzić, kim jest jego ofiara. Silnym ruchem zerwał z ramienia Kristýny torbę i zajrzał do środka. Wyjął służbową legitymację i obejrzał ją. Nerwowo i niepewnie spojrział na leżącą na boku dwa metry dalej policjantkę. Dostrzegł unoszącą się klatkę piersiową – znak, że żyła. Westchnął. Kristýna jęknęła cicho. Wybite lewe przedramię straszliwie zdeformowało jej rękę, a w miejscu złamania powstał zabarwiony na fioletowo obrzęk. Kaszlnęła, wypluwając z ust krew i kawałki połamanych zębów. Mężczyzna rozejrzał się, ale podwórze było puste. Jedyne sucha trawa falowała na wietrze, a w górze, nad dachami, szybowwały jaskółki. To znaczy, że przyszła tu sama?, zastanawiał się. Koniecznie chciał wiedzieć, co tu robiła, i przede wszystkim dlaczego. Nachylił się nad Kristýną i brutalnie nią potrząsnął. Kobieta jęknęła. Musiał powtórzyć to jeszcze dwa razy, żeby odzyskała świadomość.

Część czwarta

Potok Trusovka

18–20 czerwca 2013

Dzień szósty (ciąg dalszy)

Wtorek wieczorem

43

Zaraz po wejściu do komisariatu w Šternberku inspektor Šupina doznał małego *déjà vu*: nowa, przyjemna dla oka recepcja w różnych odcieniach niebieskiego, sympatyczna funkcjonariuszka za szybą dyżurki, na ścianie plazmowy telewizor, wygodne miejsca do siedzenia. Nie miał wątpliwości, że tutejszą jednostkę włączono do projektu P1000, megalomańskiej inicjatywy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Skrót oznaczał tysiąc nowych radiowozów i tyleż komisariatów. Zakup aut okazał się żyłą złota dla wszelkiego rodzaju cwaniaków, pośredników i podwykonawców, a w budynkach odnowiono tylko recepcje. Wynajęta agencja PR-owa kazała zgromadzić wszystkie samochody na brneńskim lotnisku, ustawiono je w kształt wielkiego napisu P1000, a z Pragi przyleciał śmigłowiec z kamerzystą i wszystko efektownie sfilmował. Šupina doskonale wiedział, co zobaczy w głębi korytarzy i w biurach komisariatu: wydeptane linoleum, starą kuchnię z przypalonym, pofalowanym od wilgoci blatem, laminowane stoły, trzydziestoletnie, jasne meble ze sklejki opatrzone po bokach dużymi, czerwonymi numerami, ciężkie metalowe krzesła z kompozytowym siedzeniem, szafy na akta i regały, blaszane segregatory i dyplomy na ścianach. Pomylił się tylko co do krzesel.

Gdy połączenie nagle się urwało, Kodet natychmiast pobiegł do Výrovej. Szefowa patrzyła zasepiona, jak David z Edelweissem próbują na przemian dodzwonić się do Kristýny, ale po drugiej stronie odzywał się raz po raz komunikat operatora: „abonent czasowo niedostępny”. Po upływie

pół godziny Marie uznała, że sytuacja jest poważna. Šupina osobiście skontaktował się z komisariatem w Šternberku, gdzie jednak nie udzielono mu żadnej konstruktywnej informacji, dlatego zdecydował, że tam pojedą.

Młoda kobieta dyżurująca na recepcji miała na sobie idealnie odprasowany mundur i nienaganny makijaż, ale na pytanie Šupiny, czy zastał komendanta, była w stanie odpowiedzieć jedynie kilkoma nieartykułowanymi dźwiękami, wyrażającymi zaskoczenie i niepewność. Šupina zmierzył ją z wysokości swoich dwóch metrów i rzucił ironicznie:

– Co jest tu właściwie pani zadaniem? Dobrze wyglądać czy udzielać rzetelnych informacji?

Recepcjonistka albo uznała pytanie za retoryczne, albo poczuła się dotknięta, bo i tym razem nie zdobyła się na rzeczową werbalną reakcję. Przed dalszymi ironicznymi uwagami uratował ją wracający z posiłku Průcha.

Ponieważ maleńki gabinet podkomisarza Průchy nie pomieściłby ich wszystkich, usiedli w sali konferencyjnej. Pozostali członkowie zespołu udali się do części biurowej komisariatu, a David natychmiast podszedł do biurka Kristýny i zaczął przeglądać jakieś papiery i karteczki.

Edelweiss przeszedł od razu do rzeczy:

– Czy orientuje się pan, gdzie w chwili obecnej przebywa aspirantka Horová?

– Nie. Cały dzień była gdzieś w terenie z powodu tych waszych weterynarzy... – zaczął Průcha, który w obecności trzech policjantów z dochodzeniówki czuł się jak na przesłuchaniu.

– Gdzieś w terenie? – wpadła mu w słowo Marie. – Co to ma...

Tym razem to podkomisarz przerwał jej:

– Informuję panią podinspektor – zaczął urzędowo – że pani była koleżanka nie do końca pasowała do naszego zespołu i jego codziennej

rutyny. Dałem jej wolną rękę, jeśli chodzi o pracę. Sądziłem, że ułatwię w ten sposób życie i jej, i nam.

– Wam? – Wielka Sowa zmierzyła go ironicznie.

Podkomisarz wytrzymał jej spojrzenie i się poprawił:

– Chciałem powiedzieć – sobie.

Edelweissowi nie podobał się konfrontacyjny ton Výrovej.

– Aspirantka Horová powiedziała nam, że natrafiła na jakieś psie walki organizowane w okolicy. Ma być z tym związany niejaki Zbyňek Brukner... – ciągnął Pavel, korzystając z informacji od Davida Kodeta. – Zna pan tego człowieka?

Průcha spojrział najpierw na wysokiego, surowego Šupinę, a potem na Marie. Ich milczenie zaczęło go niepokoić.

– Brukner to typ faceta, o którym w mediach mówi się „wpływowi biznesmen”, choć o lokalnym zasięgu. Ma w Šternberku klub nocny, salon samochodowy, kilka nieruchomości, dostarcza miastu różnych usług komunalnych, a koło Těšíkova posiada gospodarstwo, które odkupił dwadzieścia lat temu od upadłej spółdzielni rolniczej. Aspirant Horová twierdziła, że właśnie tam organizował te walki.

– Co pan miał na myśli, mówiąc „wpływowi biznesmen”? – odezwał się w końcu Šupina.

– Powiedzmy, że niektórzy idą mu na rękę.

– W czym na przykład? – dociekał Edelweiss.

– Na przykład w urzędzie miasta. Burmistrz, jego zastępca, tego typu ludzie. Chodzą razem na golfa, od czasu do czasu zaprasza ich do siebie do klubu na wystawną wyżerkę. Z dziewczynami.

– I pewnie ma takich nieźle ustawionych przyjaciół nie tylko w urzędzie miasta, co? – zapytał inspektor.

Průcha milczał. Jeszcze raz zmierzył spojrzeniem obecnych i postanowił, że jednak im powie. Jeśli będzie z tego afera, przynajmniej ocali skórę.

– Komendant Šmídmajer jest znanym hodowcą rottweilerów...

– Czyli niektórym nie było na rękę, żeby Kristýna prowadziło to śledztwo, prawda? – zasugerował Pavel.

– Na tej samej zasadzie Bruknerowi uchodzi płazem przekraczanie prędkości. Nasza drogówka rozpoznaje jego auta. – Průcha domyślał się, w jakim świetle stawiają go te słowa, więc postanowił się bronić: – Oczywiście nie byłem zachwycony odkryciem Horovej. Kiedy chciała dobrać im się do tyłków, ostrzegałem ją. Ale rozmawiałem też ze Šmídmajerem i powiedziałem, że mam tego wszystkiego dość.

– Aha – skwitował Edelweiss z nieskrywaną ironią.

Podkomisarz wstał, zrobił kilka kroków, otarł z czoła pot, a następnie z wyraźną ulgą znowu opadł na krzesło.

– Dlatego ucieszyłem się, gdy poleciliście nam sprawdzić tych weterynarzy. Myślałem, że to ją zajmie na jakiś czas.

– Przyniosła jakieś konkrety, nazwiska?

– Dam wam jej raporty.

– W porządku. Ilu ma pan teraz wolnych ludzi?

– Dwóch.

Marie uniosła brwi.

– Wszyscy z nocnego dyżuru są na ulicach – wyjaśnił Průcha i wytarł czoło. – Kiedy zaczęliście jej szukać i nie odbierała komórki, wysłałem chłopaków, żeby sprawdzili okolicę. Pojechała tym swoim czerwonym mikrusem, więc wiedzą, za czym się rozglądać.

Gdy wyszedł po raporty Kristýny, do pokoju zajrzał zdenerwowany Kodet.

– Próbowaliśmy namierzyć jej komórkę – poinformował. Musiał się czymś zająć, żeby nie popaść z bezsilności w panikę. – Wyjechała z miasta, ostatnią rozmowę telefoniczną wykonała gdzieś z okolic Těšíkova.

Výrová, Šupina i Edelweiss przyjęli to bez słowa.

– Powinniśmy się skupić na Bruknerze – zaproponował Pavel. – Trzeba załatwić pozwolenie na przeszukanie.

Inspektor pokiwał głową.

– Jasne. Zajmę się tym.

Do pokoju wrócił Průcha z kilkoma kartkami papieru. Z trudem łapał oddech, a jego twarz była tak czerwona, jakby zamiast do swojego biura wybrał się na pieszy rajd po górach.

– Powiadomił pan komendanta? – zapytał Šupina.

– Tak.

– I co?

– Nadkomisarz Šmídmejster nie lubi pracować po godzinach.

– To może go wezwiemy, jak pan sądzi?

– Nie wiem, czy znajdzie czas – stwierdził Průcha, wyraźnie zadowolony, że może to powiedzieć. – Mówił, że musi wyprowadzić psy na spacer.

Šupina zmierzył go uważnym spojrzeniem. Było oczywiste, że podkomisarz stara się pogryźć szefa. Inspektor nie potrafił na razie stwierdzić, co nim powodowało: głęboka awersja, zawodowe ambicje, oportunistyczny? Tak czy owak Šupina postanowił to wykorzystać i włączyć Průchę do całej akcji.

– Pojadę do niego. A wy do tego czasu ściągnijcie mi Bruknera.

– Kto z was wiedział o Kristýnie i Davidzie? – zaczęła Marie, kiedy tylko podkomisarz wyszedł z pokoju.

– Co wiedział? – spytał Edelweiss.

– Nie wkurzaj mnie. Kristýna była doskonale poinformowana o przebiegu naszego śledztwa. Jeśli czegoś potrzebowała, David wszystko jej załatwiał. Teraz też dzwoniła do niego. Wszyscy się o nią martwimy, denerwujemy, ale tylko on aż chodzi po ścianach z niepokoju. Czyli kto wiedział? Wszyscy?

– Z wyjątkiem szefa – przyznał Edelweiss.

– I mnie – dopowiedziała Marie.

Pavel milczał.

– Czym sobie zasłużyłam na tak wielkie zaufanie? – chciała wiedzieć Wielka Sowa, a w jej tonie pobrzmiwała raczej irytacja niż poczucie krzywdy.

– Kristýna obawiała się, że nie pozwoli jej pani wrócić do zespołu.

– Ach tak! – wybuchła Marie. – A tobie jak się wydaje? Powinna była wrócić? W takiej sytuacji?

Komisarz nie odpowiedział.

– Licz się z tym, że kiedy ją odnajdziemy, czeka was poważna rozmowa ze mną. Ciebie, Davida i Kristýnę.

Niewielka willa, w której mieszkał komendant miejscowej policji, schowana była za wysokim ogrodzeniem na końcu ślepej ulicy na samych obrzeżach miasta. Kawałek dalej szumiał już ospale las. Inspektor Šupina uprzedził o swoim przyjeździe telefonicznie i nalegał na bezzwłoczne spotkanie. Šmídmajer nie rozumiał przyczyny pośpiechu, próbował się wykręcać i twierdził, że musi wyprowadzić psy, a później jest umówiony, więc nie może już wrócić do biura ani nawet do miasta. Inspektor zapewnił, że chętnie potowarzyszy mu w czasie spaceru, a kiedy dotarł w okolice domu komendanta, zorientował się, że ten już na niego czeka. Komendant, odziany w ortalionowy dres, stał przed furtką, a przy jego nodze siedziały posłusznie dwa rottweilery, żywe dowody na to, że dobrze wytrenowany pies potrafi zachować spokój nawet wtedy, gdy całe jego masywne ciało aż drży z radości na myśl o przechadzce. Aby z góry dać Šmídmajerowi do zrozumienia, że nie chodzi o zwykłą koleżeńską pogawędkę, Šupina od razu po wyjściu z auta pokazał mu legitymację.

Leoš zmierzył go zdziwionym wzrokiem.

– W którą stronę idziemy? – zapytał inspektor.

Nadkomisarz wskazał ręką kierunek w dół ulicy.

– Przepraszam, że przyjmuję pana w taki sposób. Muszę wyprowadzić psy. Żony nie ma w domu, a dzieci już z nami nie mieszkają.

– Nie szkodzi, spacer dobrze mi robi – zapewnił Šupina.

– Przewietrzymy trochę hemoroidy, co? – zaśmiał się Leoš.

Inspektor, przewyższający komendanta šternberskiej policji o głowę, spojrział na niego z góry z niemym zdumieniem.

Przeszli w milczeniu parę kroków. Psy obwąchiwały latarnię.

– Byłem zaskoczony, że nie zastałem pana w biurze – zaczął inspektor.

– Wie pan, nie samą pracą żyje człowiek – odparł Šmídmajer beztróska.

– Nie niepokoi pana, że zaginęła jedna z waszych policjantek?

– Zaginęła? – zdziwił się tamten. – Pewnie zwyczajnie poszła po robocie na kawę z koleżankami. Wie pan, jakie są baby. Wyłączą komórkę, zagadają się, a facet w domu świruje.

– Można i tak na to spojrzeć – zauważył chłodno Šupina.

– No widzi pan – skwitował Šmídmajer, jakby uznał sprawę za zamkniętą. – Może wstąpimy na jednego, pogadamy? Z przyjemnością się z panem napiję.

– Możemy porozmawiać – zgodził się inspektor. – Ale nie wiem, czy będzie to dla pana przyjemność – dodał, a komendantowi z miejsca zrzędła mina.

– Dlaczego tak się pan nopusza? – obruszył się. – Mam się za nią uganiać osobiście? Z tego, co słyszałem, sprawia same problemy. Może jest z jakimś kochasiem, a rano się zdziwi, że jej szukaliśmy...

– Komu sprawiała problemy? – zapytał Šupina.

– Mówiłem ogólnie. Ta jej afera w Ołó...

– Może Bruknerowi? – sprecyzował pytanie inspektor.

– Nie rozumiem, do czego pan pije.

– Szkoda. Widzę, że jeden z pana psów był niedawno opatrywany. Co mu się stało?

Šmídmajer spojrział na jednego z rottweilerów. Blizna była ledwo widoczna.

– Pogryzł się z drugim. Proszę mnie posłuchać... – Wziął oddech, ale Šupina nie dał mu dokończyć.

– A gdyby tak weterynarz obejrzał pana psy, ile takich zagojonych ran by na nich znalazł? Ten drugi chyba ma zniekształcone ucho? Czy tylko mi się wydaje?

– O co panu chodzi? – nie wytrzymał Šmídmajer.

– Wiemy, że Brukner organizuje walki psów. To nie jest zabawa dla małych dzieci, ale droga impreza. Aż tu nagle zjawia się dociekliwa baba z Ołomuńca i zaczyna wam bruździć. Kiedy tak patrzę na pana psy, zaczynam rozumieć, dlaczego nie przejął się pan zaginięciem Horovej.

– To są jakieś... Niesłychane... – obruszył się Leoš.

Šupina zatrzymał się i spojrzał na niego z góry.

– Niech mnie pan dobrze posłucha. Znajdziemy ją. A na pana miejscu zacząłbym się modlić, żeby włos jej nie spadł z głowy. Żeby odnalazła się cała i zdrowa. Bo jeśli będzie inaczej, naśle na ten pana burdel inspekcję generalną i zamienię pana życie w piekło.

– Nie mam z tym nic wspólnego! I nie życzę sobie, żeby rozmawiał pan ze mną w taki sposób.

Inspektorowi nie drgnął nawet mięsień.

– I jeszcze coś – kontynuował suchym tonem. – Koniec konszachtów z Bruknerem. Tylko od pana zależy, czy skończy się na pogadance z komendantem regionalnym, czy będzie pan miał do czynienia z inspekcją.

– Nie rozumiem, co pan do mnie mówi – odpowiedział Šmídmajer z udawanym oburzeniem. – Jeśli to jakiś żart, to ja...

– Żart? – zdziwił się Šupina. – Coś panu zdradzę: nie mam poczucia humoru. – Inspektor obrócił się na pięcie i bez pożegnania wrócił do auta.

Leoš przetrawił już sens rozmowy. Przyzwyczajenie podpowiadało mu, że powinien ostrzec Bruknera, ale ostatecznie tego nie zrobił. Brukner... Gdyby tylko wiedział, ile go będzie kosztować ta znajomość... Minęło osiem lat, odkąd zaczęła się historia z psami. Zbyněk z dnia na dzień

oszalał na punkcie ras bojowych i rzucił się na książki kynologiczne. Šmídmajer, wtedy już doświadczony w trenowaniu psów, nagle znalazł się wśród ludzi, którzy tak jak on nie chcieli mieć w domu leniwych pupili, polegających cały dzień na kanapie. Zaproponowano mu, żeby pomógł w szkoleniu psów należących do kolegów Zbyňka. Zgodził się. Dostawał za to pieniądze, na początku nie chciał ich przyjąć, mówił, że robi to dla przyjemności, poza tym od kumpli się nie bierze, Brukner jednak przekonał go, że za dobrze wykonaną pracę należy się godziwe wynagrodzenie, także wśród przyjaciół. Leoš dłużej nie protestował, w końcu nie robił niczego złego, a jak się ma dwoje dzieci na studiach, przydaje się każda korona. Pojawiły się kolejne prośby o pomoc przy treningach. W końcu zorientował się, co to za biznes. Walki i obstawianie zakładów. Wiedział, że to nielegalne, ale dał się wciągnąć po uszy. Krok po kroku, centymetr po centymetrze coraz bardziej siedział w tym bagnie, aż w końcu było za późno, by wyjść. Uspokajał się, że znajomi Bruknera ustalili granice i psy nie mają prawa się pozagryzać. Opłacali weterynarza, który zawsze był na miejscu. A poza tym wśród kilkunastu klubowiczów mógł się czuć bezpiecznie. Radni, przedstawiciele władz regionu, jeden prokurator, a nawet sędzia... Faceci nie szczędzili mu pochwał, a on w końcu przestał być żalonym komendantem z jakiegoś wygwizdowa, a zyskał przyjaciół, którzy go cenili, poważali, odnosili się do niego z szacunkiem. To znaczyło więcej niż pieniądze, choć nimi też nie gardził. Stopniowo jednak wszystko zaczęło się zmieniać, aż w końcu Šmídmajer poczuł, że jest na płatnych usługach u Bruknera. Tylko dlatego, że w dzieciństwie byli kolegami. Zdawał sobie sprawę, że Šupina nie żartuje i grożą mu tarapaty, a w konsekwencji definitywny koniec beztroskich lat w Šternberku.

Leoš przeszedł z psami ulicą i dotarł aż do skraju lasu, gdzie puścił je wolno. Od rana czekał na tę chwilę: zostawić problemy w biurze,

przewietrzyć głowę, spędzić miłą godzinę z psiakami, które zaraz po odpięciu smyczy wbiegły ze szczenięcą radością między drzewa.

Horová była mu potrzebna jak pryszcz na tyłku. Z drugiej strony, gdyby okazało się, że jest cała i zdrowa, a on, Šmídmajer, doprowadziłby do jej szczęśliwego odnalezienia... Wtedy nawet ten nadęty Šupina byłby skłonny wysłuchać jego argumentów i wersji wydarzeń...

Przetarł więc ręce i sięgnął do kieszeni lekkich, ortalionowych spodni po komórkę.

W swoim biurze na zapleczu lokalu Brukner skosztował właśnie kolejnej próbki z buteleczki od Ramzesa i z całych sił starał się przekonać własne kubki smakowe, że mają do czynienia z absolutnie luksusowym trunkiem. Piętnastoletnia, czterdziestoprocentowa szkocka single malt z lekkim posmakiem torfu i soli morskiej, do tego słodkawo korzenna. Zbyněk wiedział, że jego barman jest geniuszem, ale to, co teraz pił... Zbliżył nos do krawędzi szklanki i skrzywił się. Z baru dochodziły dźwięki muzyki i niezrozumiała mieszanka głosów. W innej sytuacji poszedłby tam, posiedział i znalazł sobie kompana do rozmowy o życiowych sprawach, teraz jednak nie był w nastroju. Czuł się dzisiaj jakiś nieswój i pewnie dlatego nawet tak doskonała whisky mu nie podchodziła.

Rozległ się dzwonek komórki, potem znowu, Brukner spojrzął na wyświetlacz, aha, niech sobie poczeka, pomyślał, i odebrał dopiero za czwartym razem.

Šmídmajer przeszedł od razu do rzeczy:

– Cześć, Zbyněk. Słuchaj, zniknęła ta policjantka, której urządziłeś scenę.

– No i dobrze jej tak. – Brukner zarechotał.

– Masz z tym coś wspólnego?

– Ja? To twoja podwładna. Trzeba ją było spacyfikować.

– Słuchaj, zaginięcie policjantki to nie przelewki...

Leoš wydawał się zdenerwowany, co poprawiło Zbyňkowi humor.

– A czy ja coś przelewam? – Nie ukrywał rozbawienia.

– Są tu ludzie z Ołomuńca. Z kryminalnego.

– Mogą mi skoczyć – zapewnił Brukner.

– To nie są żarty.

– Więc załatw to, Leoš, nie zamierzam się z nimi użerać. To leży w twoim interesie. – Rozłączył się. Pomyślał, że ten cykor Šmídmajer ostatnio coraz bardziej go wkurza.

Na biurku stała szklanka z resztką nowej whisky od Ramzesa. Brukner w podnieceniu zapomniał, że mu nie smakowała, i wychylił trunek jednym haustem. Był w znakomitym nastroju, jak zawsze, gdy udawało mu się dać po nosie jakiemuś dupkowi w stylu Šmídmajera. Wyciągnął się na tapczanie i na chwilę zamknął oczy.

O dziesiątej wieczorem Brukner ciągle leżał w swoim biurze. Nawet obite tapicerką drzwi nie chroniły go przed zgiełkiem dobiegającym z baru, rytmicznym łomotem, do którego tańczą młodzi ludzie. Wieczorami, o ile nie spotykał się z członkami Klubu Przyjaciół Whisky, Zbyněk lubił być sam i delektować się świętym spokojem. Za domem nie tęsknił. Takie chwile najchętniej spędzał w towarzystwie swoich psów... Z niecierpliwością czekał na zamówione szczeniaki. Przyszło mu na myśl, żeby zawołać Luckę i trochę się odprężyć, ale drink od Ramzesa ewidentnie mu nie posłużył. Dostał zgagi, odbijało mu się, kilka razy nawet zebrało na wymioty, choć zdołał się powstrzymać. Chyba powinien podskoczyć do lekarza. Bolał go żołądek, a ogólne rozdrażnienie uniemożliwiało jakąkolwiek pracę. Jednak perspektywa odstawienia alkoholu była gorsza niż uczucie nudności. Nie dość, że stracił psy, to jeszcze miałyby rezygnować z kolejnej pasji? Co mu zostanie? Przyjaciele? Wolne żarty.

Odpłynął myślami w przyjemniejsze rejony. Czytał w internecie, że w Pakistanie, Afganistanie czy na innym pustynnym zadupiu kobiety są gwałcone przez terrorystów z Al-Kaidy tak brutalnie, że muszą potem nosić

pieluchy z powodu uszkodzonego odbytu. Wyobraził to sobie i uśmiechnął się do swoich myśli. Też chciałby wydymać jakąś babę tak, żeby miała po nim ślad na całe życie. Nagle okrutnie ścisnęło go w żołądku, aż zrobiło mu się ciemno przed oczami. Odkaszlnął i poczuł palący refluks.

– Jasny chuj! – ulżył sobie.

Dostał tak silnej zgagi, że nie był w stanie przełknąć śliny. Zwykle leczył się złocistym, wysokoprocentowym płynem, ale tego wieczora musiał zastąpić go wodą. Jak zwierzę.

Pooddychał chwilę przy otwartym oknie, ale niewiele pomogło; na dworze panowała duchota i nawet późny wieczór nie przyniósł śladu kojącego ochłodzenia. Ociężałym krokiem wrócił do biurka i zaczął przeglądać zostawione przez menadżera rachunki i faktury. Woda go orzeźwiła, złagodziła palenie w przełyku i nieco ukoїła podrażniony żołądek. Wstał, podszedł do małej lodówki przy drzwiach, wyjął butelkę mineralnej i znów obficie nawodnił organizm.

Chwycił leżący na lodówce zmięty ręcznik, którym dokładnie wytarł czoło i kark. Ulżyło mu. Trochę się uspokoił. Przed lustrem przeczesał włosy. Pomyślał, że powinien jeszcze raz zadzwonić do Šmídmajera i po pierwsze przekonać go, że nie maczał palców w zniknięciu policjantki, a po drugie ustalić kolejne kroki. Zanim jednak zdążył przejść od zamiaru do czynu, rozległo się donośne pukanie do drzwi i do biura zajrzał Endi, który tej nocy pilnował spokoju i porządku w lokalu.

– Szefie, pały tu są – wybełkotał.

Brukner przyglądał mu się przez chwilę, myśląc o tym, że wielu ludzi z założenia uznaje napakowanych facetów za debili, i że czasem to krzywdzące. Kiedy jednak widział przed sobą tę górę mięsa i tłuszczu, zakończoną gdzieś na wysokości dwóch metrów małą cielecą twarzączką z kanciastą brodą i masywnym podgardlem, pozbawioną praktycznie czoła,

przez co rzadkie, jasne brwi przechodziły od razu w łysinę, był skłonny przyznać rację tym stereotypom. Endi nie tylko wyglądał jak debil, nie tylko mówił debilnym, nosowym głosem, ale w istocie był debilem. Pały tu są! I co w związku z tym? Po cholere zaraz robić wielkie halo? Policjanci odwiedzają go regularnie, umówili się przecież, że mogą wpadać, rozerwać się i odprężyć. A jak już tu są, to przynajmniej jest porządek. W przeciwnym razie rozwydrzona dyskotekowa swołocz przynosi mu do lokalu te swoje tabletki na pobudzenie, co doprowadza go do białej gorączki. Brukner nigdy nie tolerował narkotyków, a Endi i Majkel troszczyli się, by niepokorni lądowali na jakiś czas w szpitalu, gdzie z kolei pobyt „uprzyjemniali” im lekarze. Na czele z ordynatorem, który także wpadał do salonu na beztroską szklaneczkę whisky, kulturalną rozmowę, a czasem też dla towarzystwa dziewcząt.

Zbyněk dobrze wiedział, że obecność policjantów w lokalu zapewnia spokój.

– No to co z tego, kurwa, że tu są? Chcą, żebym osobiście im dzisiaj polewał czy co? – wybuchnął Brukner. Kiedy tylko przestał mu dokuczać żołądek, odzyskał dawną werwę.

– Nie, szefie – mruknął Endi, ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, ktoś mało uprzejmie odepchnął go od drzwi.

Brukner pomyślał, że to dość ryzykowne, przestawiać w ten sposób faceta, który mierzy ponad dwa metry, waży ze sto pięćdziesiąt kilo, a jego mięśniami kieruje nie mózg, ale coś w rodzaju niewielkiego supełka splecionych neuronów. Zdziwienie przybrało jeszcze na sile, gdy w drzwiach na miejscu Endiego pojawił się spocony i purpurowy z wysiłku Průcha. Brukner w sekundzie przybrał uśmiechniętą maskę sympatycznego, kulturalnego obywatela.

– Panie podkomisarzu, po co tak brutalnie? Przecież pan wie, że policja jest zawsze mile widziana w moim lokalu.

Průcha zmierzył go wrogim spojrzeniem, odstąpił na bok, a za nim w drzwiach pojawili się dwaj funkcjonariusze w mundurach, z których jeden, młodszy – Brukner przypomniał sobie, że ma na imię Anton – też czasem tu wpadał, może nie za często, ale konsekwentnie...

Zbyńkowi cała ta scena przypominała zabawę: koleś staje w drzwiach, po chwili się usuwa, zza niego wyłania się kolejny, a potem jeszcze jeden...

– O rany, jest was trzech! – zawołał rozbawiony. – Mogliście chociaż uprzedzić. Dziewczyny nie są gotowe na taki najazd stróżów prawa. – Radośnie wyszczerzył się na czerwonego ze złości Průchę.

Mundurowi nie odpowiedzieli na zaczepki. W milczeniu, bez specjalnego przyglądania się Bruknerowi, podeszli do niego z obu stron i chwycili za ramiona. W wolnych teraz drzwiach ponownie stanął Průcha.

– Panie Brukner – zaczął urzędowym tonem – mamy nakaz doprowadzenia pana na przesłuchanie w związku z zakrojoną na szeroką skalę działalnością przestępczą, dwoma morderstwami i poszukiwaniem zaginionej osoby. Naturalnie ma pan prawo skorzystać z pomocy obrońcy.

Brukner był w takim szoku, że w pierwszej chwili czuł się raczej rozbawiony niż wściekły czy oburzony całą sytuacją.

– Zaraz, co? – Przechylił głowę i dodał z niezłomną pewnością siebie: – To się nie spodoba waszemu szefowi.

Průcha w końcu też się uśmiechnął.

– Mamy teraz nowego szefa. A on z kolei nie spodoba się panu.

Gdy tylko wyciągnęli Bruknera z biura, taneczna muzyka w klubie ucichła. Wszyscy odprowadzali go wzrokiem. Upokorzenie? Z całą pewnością! On jednak wiedział, jak się odnaleźć w sytuacji: eskortowany z obu stron przez policję, ze spoconym, sapiącym, ponurym Průchą za

plecami, Zbyněk rzucał naokoło pewne siebie uśmiechy, jakby nie był prowadzony ścieżką hańby, ale szedł po odbiór nagrody dla przedsiębiorcy roku. Poniżające byłoby stawianie oporu, bo każdy by się przekonał, że zabierają go wbrew woli, jak pierwszego lepszego złodzieja. Wiedział, że jeśli pójdzie dobrowolnie, z dumnie podniesioną głową, pokaże im wszystkim, kto tu rządzi. Potwierdzi się to, gdy tryumfalnie wróci tą samą drogą, a ten spaślak Průcha wyląduje z lizakiem na skrzyżowaniu pod Tesco.

Gdy za prowadzącymi ich szefa policjantami zamknęły się drzwi – trzymane w przyływie tępej, osiłkowatej gorliwości przez Endiego – Dušan Příklad sięgnął pod barową ladę po komórkę i wymknął się na korytarz prowadzący do magazynu. Klientom przy barze, spragnionym kolejnych porcji orzeźwienia, ten nagły przejaw obojętności względem ich potrzeb mógł przywieść na myśl znane przysłowie o kocie i harcujących myszach. Dušanowi jednak takie porównanie nie przyszłoby nawet na głowy. Nagle i niespodziewanie los podsunął mu inny scenariusz niż ten, jaki z Jitką zakładali, więc musiał szybko go z nią omówić, zaplanować kolejne kroki i możliwe opcje.

Po przewiezieniu na komisariat Brukner zażądał butelki wody, którą następnie opróżnił do połowy. Czuł się po niej znacznie lepiej. Przygnębienie i niepokój wywołane problemami z żołądkiem opuściły go na dobre, wpadł w wyśmienity nastrój. Myśl o przesłuchaniu nastawiła go nawet buntowniczo i zaczął sobie wyobrażać, jak rozstawia gliniarzy po kątach. Podświadomie liczył, że będzie go przesłuchiwać ta młoda, gorliwa policjantka i już widział, jak ją sprowadza do parteru, wbija w parkiet jak ostatnią stażystkę. Jakież więc było jego zdziwienie, gdy w drzwiach pokoju zobaczył wysoką, chudą, budzącą szacunek sylwetkę Jindřicha Šupiny z opasłą teczką w ręce.

– A pan to kto? – odpowiedział na powitanie inspektora.

Zagadnięty się przedstawił. Brukner zareagował teatralnym zdziwieniem: ściągnął kąciki ust i unióśł brwi. Šupinie zależało, by zachowywać się w możliwie suchy i urzędowy sposób, dając tym samym jasny sygnał, że podejrzewany ma do czynienia z innego typu policjantem niż ci, do jakich przywykł w ostatnich latach.

– Na wstępie informuję, że kiedy zakończymy przesłuchanie, dokonamy rewizji pańskich nieruchomości znajdujących się w okolicy Těšíkova. Czy faktycznie należą one do pana? – zapytał i spojrzał na Bruknera.

– Tak.

– Znakomicie – pochwalił odpowiedź inspektor. – Sądowy nakaz rewizji jest już w drodze.

Zbyněk wzruszył ramionami.

– Czy podkomisarz Průcha poinformował pana o powodach zatrzymania?

– Tak – odparł Brukner, z którego aż biły pewność siebie i bojowe nastawienie. – Ale płazem wam to nie ujdzie. Nie po to opłacam policję z podatków, żebyście mnie nękali.

Do rozmowy w końcu włączył się prawnik, ubrany stosownie do upałów w lekki garnitur. Ostrożnie położył palce na rękawie swojego klienta i starał się go uspokoić jak małe dziecko:

– Szszszsz...

Zbyněk cofnął jego rękę.

– Co: szszszsz?! – oburzył się na obrońcę.

Šupina otworzył teczkę i położył przed Zbyňkiem na stole powiększone zdjęcie Kristýny.

– Czy kiedykolwiek spotkał się pan z tą kobietą? – zapytał, ignorując zachowanie Bruknera.

– Bo ja wiem? Pracuje u mnie?

Prawnিক wyrócił oczami. Inspektor postanowił doprecyzować pytanie.

– Nie. Ta policjantka nigdy u pana nie pracowała. Dostaliśmy informację, że napadł ją pan słownie.

Zbyněk uśmiechnął się beztrósco jak człowiek, który doznał nagłego olśnienia.

– A! To ta suka, co nękała moją mamę.

Adwokat nachylił się, by coś mu szeptem wyjaśnić, ale Brukner myślał tylko o tym, jak wyprowadzić z równowagi tego starego chudego sztywniaka.

– Przypominam, że mówi pan o policjantce – pouczył go Šupina.

– I co z tego? Żyjemy w państwie policyjnym czy jak? Ta idiotka dręczyła moją mamę, starszą osobę. Tak ją wystraszyła, że mama musiała wziąć leki na uspokojenie. No to pogoniłem babę.

– A w jaki konkretnie sposób ją pan „pogonił”?

– Chcecie mnie oskarżyć o znieważenie funkcjonariusza czy co?

– Kiedy widział ją pan ostatni raz?

– Posłałem ją do diabła, a potem przestała mnie obchodzić.

– Zbyněk, uspokój się, proszę – nie wytrzymał prawnik.

– O co ci chodzi? Nie za to ci płacę, żebyś mnie strofował, tylko za to, żeby ci pajace dali mi święty spokój. Albo mnie stąd wyciągniesz, albo nie dostaniesz złamanego grosza.

Prawniki postanowili spełnić żądanie swojego klienta przynajmniej pro forma:

– Co jest przedmiotem sprawy, panie inspektorze?

– Policjantka, którą pan Brukner – cytuję – „pogonił”, prowadziła czynności sprawdzające w związku z podejrzeniem maltretowania zwierząt, jakiego wielokrotnie miał się dopuścić pana klient.

– Czy może pan być bardziej precyzyjny? – poprosił prawnik.

– Pana klient organizował walki psów.

Brukner zareagował na te słowa zestawem min, w którym szok i niedowierzanie przeplatały się z rozbawieniem.

– Ale dla nas w tej chwili najistotniejsze jest to, że policjantka, która zajmowała się pana klientem, zaginęła – dokończył Šupina.

Zbyněk parsknął śmiechem.

– Kazałem jej iść w cholere, to poszła. Prosta sprawa.

Inspektor spojrzał na niego z konsternacją. Następnie zwrócił się do adwokata.

– Gdyby pana klient udzielił nam jakiegokolwiek informacji na temat miejsca pobytu naszej koleżanki, współpraca z policją z pewnością wyszłaby mu na korzyść.

Brukner, ciągle rozbawiony własnym dowcipem, rozłożył ręce na znak udawanej bezradności.

– Przecież wam powiedziałem, gdzie poszła.

Prawnik westchnął.

– Mój klient nie posiada informacji na temat miejsca pobytu państwa koleżanki – podsumował.

Godzinę przed północą wyjechali ze Šternberka na rewizję gospodarstwa Bruknera. W policyjnej octavii siedział cały zespół wraz z nadal udającym wesołość właścicielem majątku, rozpartym na tylnym siedzeniu. Po drodze zabrali z domu Lipnera, wójta Těšíkova, który z wielkimi oporami zgodził się wziąć na siebie rolę postronnego, urzędowego świadka, a później, gdy wysiedli przed bramą posiadłości, konsekwentnie unikał spojrzenia biznesmena.

Nastała gorąca, sucha noc. W otwartym, pozbawionym miejskiej poświaty krajobrazie świeciły im nad głowami księżyc i nieprzebrane miriady gwiazd. Nad ciemnymi drzewami pobliskiego lasu przeleciał nisko jakiś nocny drapieżnik.

Gospodarstwo nie zdradzało oznak życia. Za nim czerniał gęsty las, którym lekko, prawie niedostrzegalnie kołysał łagodny, ciepły wiatr. W silnym świetle gwiazd i księżyca można było dojrzeć unoszące się na niebie kolejne dwa nocne ptaki. Purkyně i Kubík rozejrzeli się, Kodetowi kolejny raz nie udało się dodzwonić do Kristýny. Edelweiss dał znak Bruknerowi, ten otworzył bramę wjazdową i wszyscy ruszyli pylistym podjazdem w stronę posiadłości. Jej właściciel ewidentnie miotał się pomiędzy zuchwałą pewnością siebie i podenerwowaniem całą sytuacją, dlatego przez cały czas uparcie milczał, później otworzył kolejną bramę i wpuścił policjantów do środka.

Marie poleciła Kubíkowi, Kodetowi i Purkyněmu, by sprawdzili podwórze i jego otoczenie, a następnie kazała Bruknerowi oprowadzić się po części mieszkalnej. Ten wzruszył ramionami i zawiódł ich na piętro. W

ciszy otworzył kluczem wszystkie drzwi i bez większych emocji umożliwił policjantom zajrzenie do środka. Pokoje na piętrze nie budziły podejrzeń, Edelweiss zainteresował się wprawdzie przeznaczeniem dużego salonu w lewym skrzydle i dwóch przylegających do niego minisypialni, Brukner jednak dalej milczał jak głaz. Zdecydowanie większą ciekawość wzbudził parter. Weszli do największego pomieszczenia, Edelweiss włączył światło i wszystkich zamurowało. Ujrzeni przed sobą surową, nagą przestrzeń, której jedynym wyposażeniem były rzędy ławek pod ścianą i okrągła arena pośrodku. Biznesmen stał przy drzwiach w towarzystwie umundurowanego policjanta ze Šternberka, wójt gapił się przerażonym spojrzeniem, a potem zaczął bełkotać, że o niczym nie wiedział, jakby myślał, że ktoś go o coś obwinia. Marie podeszła do bandy, żeby obejrzeć arenę.

– Do czego to wszystko służy? – zapytała Bruknera. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, przechyliła się przez ogrodzenie i zaczęła przyglądać się jego wewnętrznej stronie. – Zasnęta krew – stwierdziła, wyprostowała się i pokazała to miejsce Edelweissowi, który pokiwał głową.

– Nasi technicy przetrząsną to miejsce milimetr po milimetrze – zwróciła się do Bruknera.

Wzruszył ramionami.

– Róbcie, co chcecie. Ale może was czekać niespodzianka...

W tej samej chwili za jego plecami pojawił się zasapany i wyraźnie wstrząśnięty Kubík.

– Musicie coś zobaczyć... to...

– Znalazłeś Kristýnę? – zapytał Edelweiss.

– Nie... ale tam... są tam te niedźwiedzie.

Blady jak ściana Milan Purkyně stał w bramie piętrowego budynku z suszonej cegły, opierał się bokiem o futrynę i oświetlał latarką popękany

beton, zarosły suchą trawą.

Marie z Edelweissem i Kubíkiem biegli w jego stronę przez podwórze.

– Znaleźliśmy te niedźwiedzie – powtórzył Kubík. – Nie wiem, co im zrobili, ale to potworne...

– Proszę otworzyć – nakazała Marie, a Purkyně jednym ruchem rozwarł bramę na oścież.

Uderzył ich słodkawy, ciężki odór odchodów. Marie cofnęła się, a Edelweiss odwrócił głowę. Výrovej zebrało się na wymioty, zrobiła jeszcze trzy kroki w bok, zasłoniła usta i powstrzymała napór kaszlu, równocześnie wciągając nosem suche nocne powietrze.

– W porządku? – zwrócił się do niej Edelweiss.

Kubík oświetlił latarką wnętrze budynku, w odpowiedzi ze środka rozległo się głębokie, ponure mruczenie, a następnie powolne, straszne, brzęczące uderzenia, jakby ktoś walił czymś miękkim w metalową powierzchnię.

– Już tak – odpowiedziała Marie, podnosząc rękę. Udało jej się złapać regularny oddech. – Co tam się dzieje?

– Są w środku – wyjaśnił cicho Adam.

Zakrywając usta i nos chusteczką, podinspektor podążała wzrokiem za światłem latarek Kubíka i Purkyněgo, przeszukujących wnętrze budynku.

W pewnej chwili snop padł na metalową klatkę, umieszczoną na metrowej konstrukcji, również z metalu. W środku, na malutkiej przestrzeni, leżał na boku ogromny niedźwiedź brunatny i uciekał wzrokiem przed światłem latarki, które go oślepiało.

Bam! Bam! Bam! Z najdalszej, mrocznej głębi budynku rozlegały się głucho, metaliczne uderzenia.

– To musi być Kristýna – orzekł Kubík. – Jeśli ją tu przetrzymują, to pewnie tam z tyłu.

– Potrzebujemy więcej światła – powiedziała Marie, rozglądając się dookoła. – Jest tu gdzieś włącznik?

Kubík przeleciał latarką po ścianie przy wejściu, ale niczego nie znalazł.

– Adam, podjedź tu autem i nam poświeć – nakazał Edelweiss.

– Lecę. – W głosie Kubíka pobrzmiwała ulga, że może opuścić budynek.

– Daj mi latarkę. – Marie wyciągnęła rękę w jego stronę. Adam podał jej swoją lampkę i oddalił się w pośpiechu. Obejrzała się za nim i zobaczyła, jak pozostali koledzy zbliżają się do niedźwiedziego więzienia, oświetlając sobie drogę.

Bam! Bam! Bam!

Edelweiss spojrzał na Marie pytająco: mogą zaczynać? Kiwnęła głową, znów przystawiła do ust i nosa chusteczkę, po czym razem weszli do środka.

Bam! Bam! Bam!

Pod bramę dotarli też inni, Edelweiss jednak kazał im zostać na zewnątrz.

Výrová uważnie przyjrzała się klatce, pod którą stała. Wynędziały, ledwo żywy niedźwiedź próbował się schować przed snopem światła, wydając złowrogie pomruki. Z brzucha wystawał mu długi wenflon połączony z plastikową rurką, która uchodziła do zamkniętego pojemnika, wypełnionego w jednej czwartej ciemnej barwy cieczą. Marie obeszła zwierzę i poświeciła na wenflon: przyrząd uchodził do czegoś – nie była w stanie stwierdzić, czy chodzi o cewnik, czy trokar – co niedźwiedź miał wprowadzone bezpośrednio do brzucha.

Bam! Bam! Bam!

„Kristýna! Odezwij się!”, usłyszała Pavla idącego z latarką w głąb zwierzęcego piekła.

Poświeciła do wnętrza klatki. Niedźwiedź był w niej praktycznie unieruchomiony; na wysokości pyska miał zawieszoną miskę z wodą, a jedna tylna łapa zwisała mu przez umieszczoną na dnie kratownicę. Na betonowej posadzce pod klatką stał sporej wielkości czerwony plastikowy kontener z wysokimi ścianami bocznymi. Marie uświadomiła sobie, że takich używa się w rzeźni.

– Boże, co to jest? – jęknął pod drzwiami Kodet.

Bam! Bam! Bam!

Przez podwórze przeleciały dwa duże snopy światła i zbliżyły się do chlewu. Mężczyźni odsunęli się od bramy, a Adam Kubík zaparkował służbową octavię tak, by lampy reflektorowe oświetliły wnętrze budynku, pięć podwójnych, wąskich klatek i wychudzone zwierzęta.

Światło rozdrażniło niedźwiedzie. Zaczęły pomrukiwać i drapać posadzkę łapami wystawionymi przez kraty. Jedno ze zwierząt w nerwach potrząsało całą klatką. Marie oświetliła latarką sąsiedni kojec. Uwięziony w nim niedźwiedź odgryzł sobie pazury przedniej łapy i zamiast palców widać było tylko zakrwawioną sierść, kości i mięso.

– Jest tam Kristýna? – krzyknął Kodet.

– Pavel? – zwróciła się do Edelweissa Marie.

Bam! Bam! Bam!

– Chyba nie... Nie wiem.

– Kolego Purkyně, proszę zadzwonić do dyrektora zoo Lysáka. I powiedziec mu, że znaleźliśmy niedźwiedzie. Niech mu pan poda lokalizację, musi zabrać ze sobą auto do przewozu zwierząt, opiekunów i przede wszystkim weterynarza. Najlepiej kilku. Mamy tu... Ile ich jest,

Pavel? – zapytała Výrová Edelweissa, który tymczasem dotarł aż do końca niedźwiedziej farmy.

– Siedem – odpowiedział, nie mogąc oderwać wzroku od ostatniej klatki.

Bam! Bam! Bam!

– Siedem – powtórzyła po nim Marie.

– Na miłość boską! Dlaczego nie pomożemy im od razu? Przecież cierpią! – zaprotestował Purkyně, wpatrując się w pierwszą klatkę, przy której stała Wielka Sowa.

– Proszę zrobić, co poleciłam!

– Pavel, znalazłeś Kristýnę? – zawołał spod drzwi Kodet.

– Niech pan zostanie tam, gdzie stoi – przykazała Davidowi Marie.

Bam! Bam! Bam!

– Co tak ciągle wali, do cholery? – krzyknął Kodet histerycznym tonem.

Pavel Edelweiss stał przy ostatniej klatce, oświetlając latarką źródło hałasu. Z przerażenia zakrył dłonią usta.

Bam! Bam! Bam!

Uwięzionemu w środku niedźwiedziowi wszystkie cztery łapy zapadły się do kratownicy, przez co wbił sobie wenflon głębiej do brzucha. Unieruchomiony, sparaliżowany potwornym bólem tłukł czołem o klatkę. Skóra na łbie była zdarta i odsłaniała kości czaszki, pobielące z cierpienia oczy zalewała krew.

Komisarz omiótł światłem latarki pozostałe kąty, a następnie odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Kristýny tu nie ma. – Pokręcił głową i znów spojrzał na oszalałe z bólu zwierzę, walące rozplatanym łbem o kraty. – Milan, powiedz Lysákowi, żeby się pospieszyli. Musimy uwolnić te biedne stworzenia.

Edelweiss wyszedł na dwór zaczerpnąć powietrza. Wszyscy milczeli. Kubík siedział za kierownicą octavii, Purkyně poszedł dzwonić, Marie przysiadła na klapie samochodu i patrzyła do wnętrza chlewu, Kodet oparł się o ścianę budynku przy otwartej bramie i ukrył twarz w dłoniach.

Výrová rozejrzała się bezradnie wokół siebie.

– Kristýna znalazła to miejsce. W tym momencie połączenie się urwało. Panie Davidzie, proszę sobie przypomnieć, czy nie słyszał pan czegoś jeszcze?

Kodet przetarł oczy.

– Nie. Tylko jej krzyk.

Marie, Edelweiss i Kodet w tej samej chwili, jak na komendę, zaczęli się rozglądać. To przecież musiało być gdzieś tutaj. David omiótł podwórze latarką. Naraz coś przykuło jego uwagę. Przykucnął i oświetlił popękany beton.

– Krew – skonstatował cicho.

Marie i Edelweiss podeszli do niego. Pochylili się nad wskazanym miejscem. David zmarszczył czoło i podniósł coś z ziemi. Poświecił latarką.

Między kciukiem i palcem wskazującym trzymał ludzki ząb.

Dzień siódmy

Środa 19 czerwca

48

Komórka zadzwoniła chwilę po drugiej w nocy. Prokurator Oldřich Zoubek ocknął się wylękniony. Aparat odłożył na szafkę nocną nie dlatego, że oczekiwał o tej porze telefonów, ale miał w nim nastawiony budzik. Dzwonek wyrwał ze snu także żonę, może nawet szybciej niż jego. Kobieta zaczęła mamrotać. Zoubek sięgnął po komórkę, ta jednak wysliznęła mu się z ręki i upadła na podłogę. Dzwoniła dalej.

– Co ty wyprawiasz? – odezwała się żona z irytacją. – Która godzina? Komuś odbiło?

Zoubek wstał z łóżka, podniósł telefon i spojrzał na wyświetlacz. Leoš Šmídmajer.

– Nic się nie dzieje, śpij – uspokoił ją, odebrał połączenie, żeby uciszyć dzwonek, i wyszedł z sypialni.

Czego ten matoł zbolały znowu chce?, zapytał się w duchu. O tej porze! Gdyby choć raz podjął jakąś decyzję samodzielnie, a nie dzwonił z powodu każdej pierdoły, przygłup jeden policyjny! Wszedł do kuchni, trzymając w dłoni komórkę z odebraniem połączeniem...

– Halo? Halo? – odzywał się po drugiej stronie głos Šmídmajera.

Zoubek usiadł ociężale na krześle.

– Co jest, do diabła? Leoš, wiesz, która godzina?

– Sorry, Olin – zaczął tamten.

Zoubek nie znosił, gdy ktoś go tak nazywał. Był wściekły na rodziców za swoje imię, nadane mu dla zachowania debilnej rodzinnej tradycji.

Pradziadkowi było Oldřich, dziadkowi i ojcu tak samo. Dopiero on wylał się z tej linii i uznał istnienie innych męskich imion. Stary był wściekły jak osa, ale on nie miał sumienia robić tego własnemu synowi, pozwolić, by pierwszy lepszy Šmídmajer zwracał się do niego per Olin. Albo Olda.

Leoš tymczasem kontynuował:

– ...ale nie wiesz, co tu się dzieje. Jest wtopa.

Zoubek był ciekawy, co tym razem przerosło tego histerycznego oferwę. Choć powtarzał sobie od dawna, że z ludźmi pokroju Leoša czy Bruknera nie powinien być w ogóle wchodzić w konszachty. Wszystko przez cholernego sędziego Jaroša, który spiknął go z tym towarzystwem.

– Przestań się jąkać, mów normalnie, o co chodzi – krzyknął na niego.

Po drugiej stronie rozległ się przyspieszony oddech Šmídmajera.

– No, słucham – huknął zniecierpliwiony Zoubek.

– Czekał, muszę złapać oddech. No więc...

Oldřich czekał.

– Ta Horová zaczęła węszyć w sprawie psów Bruknera, nie? – zaczął w końcu.

– Tak, wiem – potwierdził tamten.

– I wygląda na to, że wlała się do gospodarstwa...

– Co za idiotka! – westchnął Zoubek.

– Czekał, to nie wszystko! Znalazła tam te zaginione niedźwiedzie.

Wiesz, o co chodzi, nie? Zabójstwo w zoo.

– Niech to szlag! – skwitował prokurator, który w tym czasie zdążył całkiem oprzytomnieć. – No i co dalej?

– Wiem tyle, że znalazła te niedźwiedzie i zaraz potem wyparowała.

– Na terenie posiadłości Bruknera? – chciał się upewnić Zoubek.

– Tak.

– A co on miał z tym wspólnego?

– Nie gadałem z nim. Šupina ma tu swoich ludzi.

Oldřich zaczął rozważać potencjalne konsekwencje. Šmídmejser tymczasem opowiadał dalej:

– W gospodarstwie trafili na ślady krwi i ludzkie zęby. Coś się tam musiało wydarzyć. Šupina dostał amoku. Nie da się z nim gadać. Dobierze mi się do skóry, Olin...

– Leoš, tyle razy ci mówiłem, Karel zresztą też, że przeginacie z Bruknerem. Cała policja w Šternberku jest de facto na jego usługach i...

– Powiedz mi, co mam robić? – wyjęczał Šmídmejser.

Aha, pomyślał Zoubek, dzwoni do mnie, baran, bo narobił sobie bigosu, a ja mam go z niego wyciągać.

– Okej, zadzwonię do Karla i przegadamy sprawę. Ale mówię jasno: w żadne morderstwa mnie nie wplątuj. Tym bardziej, jeśli coś się stało Horovej. Posłuchaj mnie uważnie, Leoš. Za daleko to wszystko zaszło, głównie z twojej winy.

Słyszał, jak Šmídmejser bierze oddech, żeby zaprotestować.

– A może nie? – Zoubek podniósł głos, bo wiedział, że Leoš mu nie podskoczy. – Kto oprócz ciebie mógł powstrzymać Horovą, zanim stałoby się to podejrzone?

Rozmówca znów chciał wydukać coś na swoją obronę, ale i tym razem prokurator nie dał mu szansy.

– Dzięki, że zadzwoniłeś, i zapewniam cię, że Karel i ja spróbujemy zminimalizować szkody, do których doprowadziło twoje miękkie podejście. Ale jeśli wpadniesz w jakieś gówno, na mnie nie licz. I przekaz to Bruknerowi. – Potem się rozłączył.

Siedział dalej w kuchni. Światło było zgaszone, więc otworzył okno. Na zewnątrz nieco się ochłodziło. Wiedział, że teraz nie zaśnie. Miał powody do niepokoju. Brukner i Šmíd majer spieprzyli sprawę, a on i inni ludzie z ich kręgu mogą za to słono zapłacić. Z drugiej strony cieszył się, że wie o wszystkim, nawet jeśli z tego powodu do rana nie zmruży oka. Coś dawało im przewagę. Šupina i Výrová nadal nie wiedzieli, kto zawinił, oni – owszem. Mieli czas się przygotować. Wprawdzie pewnych spraw nie dało się już odkręcić, ale mogli przewidzieć różne niekorzystne scenariusze i starać się do nich nie dopuścić. Postanowił, że rano zadzwoni do sędziego Karla Jaroša i wszystko z nim ustali.

Zostawił okno otwarte i wrócił do sypialni.

– Kto to był? – wymamrotała żona sennym głosem.

– Nikt. Śpij – odpowiedział. Kiedy kładł się do łóżka, pomyślał, że właściwie nie okłamał żony. Šmíd majer był w tej chwili skończony, był nikim.

Świt zagościł w Šternberku nagle i jakby ukradkiem. Inspektor Šupina wkroczył do biura i rzucił na stół przepisany protokół z wieczornego przesłuchania Bruknera. Po nocy spędzonej w gospodarstwie biznesmena cały zespół bardziej polegał na krzesłach ze zmęczenia, niż siedział. W rogu cicho brzęczał duży wentylator podłogowy, a przyłączone do niego, trzepoczące w sztucznym wietrze kolorowe wstążki z papieru były bodaj jedynym dowodem, że w ogóle działa. Do schłodzenia powietrza nie wystarczał; trzeba było otworzyć wychodzące na zachód okna.

W nocy ekipa dowodzona przez Marie i Edelweissa zabezpieczyła w posiadłości dowody, a potem cały teren przekazano Kaplanowi i jego ludziom. Wcześniej na miejsce dotarli dyrektor zoo i doktor Toman, którzy w towarzystwie ściągniętej pilnie z Ołomuńca weterynarki udzielili pierwszej pomocy niedźwiedzim – lekarze wprowadzili je w narkozę, a kilku oniemiałych z szoku opiekunów przeniosło zwierzęta do furgonetek i odwiozło do lecznicy. Policjanci ze Šternberka mieli pilnować posesji z zewnątrz i nie wpuszczać do środka gapiów i dziennikarzy, których rychłego przybycia się spodziewano. Po całonocnej akcji wszyscy padali z nóg, byli spoceni i brudni.

– Dobra, panowie – odezwał się Šupina, rozejrzał się wśród funkcjonariuszy i sprawdzał w myślach obecność: Edelweiss, Purkyně, Kubík... – A gdzie Kodet?

– Tutaj – odezwał się głos za jego plecami. – David stał w drzwiach, w samych spodniach, w ręce trzymał koszulkę, a na jego nagim torsie i ramionach połyskiwały krople wody.

– Super. Rozpoczęła się akcja poszukiwawcza. Dostaliśmy posiłki z Ołomuńca, pomogą nam Przerów i Litovel. Przyłączyli się również leśnicy i strażacy z ochotniczej straży pożarnej w Šternberku. Akcją dowodzi podkomisarz Průcha, którego na ten moment uważam za jedyną godną zaufania osobę z tutejszego komisariatu. Macie za sobą dwudziestogodzinną zmianę. Musicie się trochę przespać, inaczej padniecie. Jedźcie do domu i odpocznijcie. Bądźcie pod telefonem, a kiedy...

– Przepraszam, szefie – przerwał mu Edelweiss. – Nie wiem, jak inni, ale w takiej sytuacji nie byłbym w stanie usnąć...

Pozostali zareagowali zgodnym pomrukiwaniem.

– Nadal mamy dwie niewyjaśnione śmierci. Powinniśmy zrobić Bruknerowi najazd na chatę i tak go przycisnąć, aż zacznie robić pod siebie. Wystarczy, że pošlecie kogoś do sklepu po kanapki i energetyki dla nas. Musimy znaleźć Kristýnę i dorwać tych sukinsynów. Wyśpimy się później.

Do pokoju weszła Marie z plastikowym kubeczkem kawy.

– Jindřich, nie oczekuj, że się teraz rozjedziemy po domach – upomniała go. – Dopóki nie znajdziemy Kristýny, nikt z nas nie odzyska spokoju. Potrzebujemy tylko dużo kofeiny.

Šupina spojrział na zespół z wysokości swoich dwóch metrów. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, w drzwiach za plecami Marie stanął Leoš Šmídmajer. Zmierzył wzrokiem obecnych, po czym uśmiechnął się w najbardziej uniżony sposób, na jaki go było stać.

– Dzień dobry, panie inspektorze – przywitał się. – Miałem nadzieję, że tu pana zastanę...

Šupina odpowiedział mu spojrzeniem, którym – w przeciwieństwie do wentylatora – zapewne schłodziłby cały komisariat.

– Chciałbym coś szybko omówić... – kontynuował Leoš z przesadnym dramatyzmem. – Na osobności. – Ruchem głowy dał inspektorowi znak, żeby za nim poszedł. Kiedy weszli do jego biura, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy nikogo poza nimi w nim nie ma.

Šupina nie rozumiał, skąd nagle taka ostrożność.

– Jestem świadomy wagi swojego uchybienia – zaczął nadkomisarz tonem skruszonego grzesznika. – Od ludzi pokroju Bruknera trzeba trzymać się z daleka. Oczywiście może pan liczyć z mojej strony na pełną współpracę w toku śledztwa. Po pierwsze: tu jest lista wszystkich, którzy brali aktywny udział w walkach psów, to znaczy nie byli tylko widzami... – Z tylnej kieszeni spodni wyjął kartkę i wręczył Šupinie, który rozłożył ją i przeleciał wzrokiem.

Šmídmajer najwyraźniej całą noc nie spał. Inspektora na swój sposób wprawiało to w zadowolenie; papier, który trzymał w ręce, lakoniczny jak anonim, pozbawiony wyjaśnień, czegokolwiek, co mogłoby go łączyć z autorem, tłumaczył trupa bladość i niewyspanie Leoša. Groził czy deklarował współpracę? Dla Šupiny odpowiedź była jasna.

– Jak rozumiem, swojego nazwiska nie dopisał pan z czystej skromności.

Nadkomisarz zatrzepotał ociężałymi powiekami i przełknął ślinę.

– Myślałem, że jeśli pójdę na współpracę... – wyjaśnił przestraszonym głosem.

– Walki psów są niezgodne z prawem. Funkcja, którą tymczasowo pan pełni, nic tu nie zmienia.

– Tymczasowo? – zdziwił się Šmídmajer.

– Poinformowałem o wszystkim komendanta regionalnego.

– Myślałem, że jeśli pójdę na współpracę...

– Proszę się nie obawiać, zaznaczę ten fakt przy pana nazwisku – zapewnił Šupina i opuścił pokój. Nie wrócił jednak do swoich ludzi, ale wyszedł na zamknięty parking i oparł się o klapę jednego ze służbowych samochodów. Rozłożył przekazaną mu przez Šmídmajera kartkę i przyglądał się jej z niepokojem. Komendant ze Šternberka wypisał starannie wszystkie nazwiska, łącznie z tytułami i funkcjami, uszeregował je alfabetycznie, choć Zbyňka Bruknera z jakiegoś powodu umieścił na samym końcu.

Inż. Bedřich Adámek, wicewojewoda, Ołomuniec

Mgr Čestmír Chloupek, radny miejski, Ołomuniec

Dr n. pr. Karel Jaroš, sędzia sądu okręgowego, Ołomuniec

Dr n. med., doc. Václav Kovaříček, kierownik kliniki, Szpital
Uniwersytecki w Ołomuńcu

Richard Loučný, właściciel salonu samochodowego,
Ołomuniec

Inż. Radek Mrkvička, zastępca wójta, Šternberk

Dr n. med. Ladislav Rezek, zastępca dyrektora szpitala,
Šternberk

Pavel Truněk, przedsiębiorca w branży nieruchomości,
Ołomuniec, Šternberk, Litovel

Inż. Jindřich Vlach, radny miejski, asystent posła Zaňáčka,
Ołomuniec

Dr n. pr. Oldřich Zoubek, prokurator, prokuratura okręgowa w
Ołomuńcu

Kamil Žáček, przedsiębiorca, przedstawiciel rady gminy,
Šternberk

Zbyněk Brukner

Šupina miał świadomość, że trzyma w ręku bombę zegarową. Gdyby lista nazwisk wyciekła do wiadomości publicznej, wybuchłby skandal na cały kraj, a z karierą mogłoby się pożegnać znacznie więcej osób niż trzynastu entuzjastów „kynologii sportowej”. Ciągłe nie mógł pojąć, dlaczego znalazł się w posiadaniu tego spisu. Co próbował osiągnąć Šmídmajer? Zamierzał wystawić całe towarzystwo czy może ostrzec jego, Šupinę, że ma wielu wpływowych znajomych? W tym drugim przypadku musiałby być skończonym idiotą. Inspektor przetarł zmęczone oczy i naraz wszystko zrozumiał: Leoš zostawił swoich kumpli na lodzie z jednego powodu. Nie po to, by chronić własną skórę, ale dlatego, że oni wystawili jego. Wynikały z tego dwa wnioski: po pierwsze ludzie z listy wiedzieli, że ich chora rozrywka wyszła na jaw, a teraz starali się zatrzeć ślady i mataczyć, a po drugie Brukner stracił obrońców. Co więc należało zrobić? Šupina złożył kartkę i schował ją do kieszeni spodni. Postanowił, że zacznie od Bruknera. Zaangażuje cały zespół, będą go maglować po kolei, przez cały dzień.

Poszedł wydać odpowiednie dyspozycje, przekazał też Bruknerowi, że ma się przygotować do przesłuchania i wezwać prawnika. Akurat gdy obmyślali strategię i strukturę pytań, zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz.

– Dzwoni Průcha – poinformował kolegów. W pierwszej chwili pomyślał, że z trudem artykułujący słowa podkomisarz idzie gdzieś szybkim krokiem albo nawet biegnie, ale potem dotarło do niego, że Průcha nie jest zdyszany, ale po prostu odebrało mu mowę. Inspektor nie rozłączył się, ale ręka, w której trzymał komórkę, opadła bezwładnie. Wszyscy spoglądali na niego niecierpliwie i w napięciu. – Znaleźli Horová – wykrztusił cicho.

– Jest cała? – zapytała Marie niemal błagalnym tonem, a Šupina dopiero wtedy uświadomił sobie, jaki bliska Wielkiej Sowie jest młodsza koleżanka.

– Nie, Marie. Bardzo mi przykro, ale nie.

Dolina Bělkovicka chowała się w cieniu stuletniego iglastego lasu. Rosły w nim olbrzymie sosny, świerki, jodły i modrzewie. Do tego suche igliwie, kruche gałązki. Pieńki pokryte wyschniętym mchem.

Potok Trusovka przepływający gęstwiną paproci, łopianów i mieniących się na żółto jaskrów.

Ospały prąd lawirował bez pośpiechu wśród głazów. Naprzemienne refleksy światła i cienia. Zielonkawy półmrok. Oślepiający blask słońca odbitego w niemal gładkiej wodzie. Latające nad potokiem ważki, obojętne na wszystko, co dzieje się wokoło.

Marie odpędziła owada, którego zaciekawił jej nadgarstek.

Ktoś powiedział, że mieli szczęście, bo w okolicy jest tyle parowów i opuszczonych kopalń łupkowych, że gdyby morderca porzucił tam ciało, pewnie nigdy by jej nie znaleźli... Marie nie była w stanie rozpoznać autora tej uwagi, jego głos gubił się w gorących, zielonych oparach.

Inny z policjantów poinformował Šupinę i Edelweissa, że najpierw znaleźli niedaleko stąd auto porzucone w rowie, więc zaczęli szukać w pobliżu pojazdu. Wśród całej tej obfitej zieleni spocony Průcha sprawiał wrażenie bezradnego i zagubionego, nie dlatego, że jego naturalnym środowiskiem pracy było biuro, ale po prostu znał swoje miejsce i nie chciał przeszkadzać. Purkyně i Kubík zostali z Davidem Kodetem przy samochodach na poboczu drogi i nie pozwalali mu zejść na dół. Funkcjonariusz w mundurze podał Edelweissowi zapakowane w woreczki dowody, komórkę i służbową broń, informując, że znalazł je na podłodze toyoty należącej do Kristýny.

Marie stała jakieś piętnaście metrów dalej, zwrócona w przeciwnym kierunku niż prąd potoku, i wyciągała szyję, by dojrzeć miejsce znaleziska: wysychająca struga miała w sobie na tyle siły, by omywać stopę Kristýny odzianą w tenisówkę. Výrová to widziała. Stopę i lewy nadgarstek z zegarkiem. Czarno-srebrny cyferblat, czarny skórzany pasek. Od razu je poznała. Resztę litościwie zasłaniały olbrzymie, mięsiste łopiany.

Nie dało się podejść do ciała tak, by nie zniszczyć potencjalnych dowodów. Kaplan i Pur byli już na miejscu, przyjechali tu prosto z gospodarstwa Bruknera, znajdującego się w okolicach Těšíkova. Stali w gumiakach w potoku i naradzali się szeptem, jak najlepiej ogrodzić i przeszukać miejsce ujawnienia zwłok.

– Cyril, to ona? – zapytała cicho.

Kaplan pokiwał głową.

– Na pewno? – pytała dalej, bo tylko wątpliwości niosły ze sobą nadzieję.

Patolodzy zdążyli już rozciągnąć policyjną taśmę na drodze, po której morderca prawdopodobnie włókł Horová w stronę potoku. Strzegący dostępu do miejsca funkcjonariusz pokazywał właśnie Andělowi, jak się dostać do ciała.

Marie przysłoniła ręką oczy, aby lepiej widzieć szefa techników kryminalistyki. Cyril Kaplan wyglądał na zmęczonego i przybitego. Jego asystent Rudolf Pur uciekał spojrzeniem, jakby przyglądał się bujnej florze wokół.

– Nie ma co do tego wątpliwości – odpowiedział w końcu Kaplan.

Nisko nad potokiem przeleciało kilka ważek. Ich skrzydła mieniły się w słońcu barwą miedzi. Výrová przymknęła oczy. Schroniła się do cienia.

– Muszę ją zobaczyć – powiedziała.

Kaplan kiwnął głową.

– Musi pani przejść potokiem...

Marie zrobiła krok.

– Mamy w aucie zapasowe gumiaki... – zaproponował patolog.

– Nie trzeba. – Weszła do zimnej wody, nie zważając na drogie, skórzane sandały.

Rudolf Pur, jak wiele razy wcześniej, ruszył w jej stronę w milczeniu, wyciągnął rękę i pomógł przejść przez głazy i kamienie w potoku.

– Dzięki – powiedziała.

Kiwnął tylko głową. Podeszli do Kapłana.

– Jak...? – zapytała Marie.

Patolog spojrzał jej ze smutkiem w oczy. Bodaj pierwszy raz zaobserwowała u niego poruszenie, przygnębienie i żal; wcześniej zawsze udawało mu się zachować profesjonalny dystans, teraz jednak nie potrafił znaleźć właściwych słów.

– Tak samo jak tamten chłopak w galerii... – wydukał w końcu.

Marie przypomniała sobie potworny widok zabitego Pluskała, ciało niemal utopione we krwi. Była wdzięczna Kaplanowi, że nie podał jej szczegółów.

– Jest mi strasznie przykro – powiedział kryminalistyk, potrząsając przy tym kędzierzawą grzywą. – Bardzo ją lubiliśmy, Rudolf i ja.

Pur pokiwał głową na znak, że zgadza się ze słowami szefa.

– Wiem – odpowiedziała Marie.

Lewą kostkę i tenisówkę Kristýny omywał potok, druga stopa została na brzegu pod łopianem.

Doktor Anděl w białym kombinezonie i butach zbliżył się do miejsca, gdzie przed chwilą stała Wielka Sowa, i też wszedł do koryta potoku. Przy

pierwszym kroku pośliznął się i mało brakowało, a upadłby na kamienie. Przytomny Pur zapobiegł wypadkowi.

Marie wzięła głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi.

– Chcę zobaczyć...

– To nie jest ładny widok... – zaczął niepewnie Kaplan.

– Nigdy nie jest – odpowiedziała.

Patolog milczał.

– Przepraszam – powiedziała, gdy dotarło do niej, że była nieprzyjemna. – Zmarła w tym miejscu?

– Prawdopodobnie. Jeszcze nie zaczęliśmy.

Kaplan spojrzał na Marie, a ta tylko skinęła głową. Zrobił krok w stronę potoku i przykucnął. Dłonią w rękawicy odgarnął mięsisty liść łopianu.

Są rzeczy, na które człowiek nigdy nie jest przygotowany. W ciągu długich lat pracy Marie nauczyła się postępować w obliczu tragedii profesjonalnie i możliwie bez emocji, ale jak dotąd żadna sprawa nie miała dla niej tak osobistego charakteru. Śmierć bliskiej osoby w jednej chwili pozbawia zawodowej rutyny.

Pierwszą reakcją było wyparcie. Twarz, na którą patrzyła, była dziwnie opuchnięta i cała pokryta zaschniętą krwią. Włosy zlepione czymś brązowym. Odchylona głowa odsłaniała głęboką ranę ciętą na szyi, biegnącą niemal od jednego do drugiego ucha.

Po chwili jednak odrzuciła to wyparcie. Kaplan nie mógł się przecież mylić w identyfikacji.

Rozpoznała kolczyk w kolorze niezapominajek. Pieprzyk pod kością policzkową. Zdażyła jeszcze zasłonić usta dłonią. Do oczu napłynęły jej łzy, zrobiła krok w tył i zawadziła nogą o kamień.

Na szczęście Rudolf Pur był znowu w pobliżu i w ostatniej chwili ją podtrzymał.

Zbyněk Brukner nie spał przez większość nocy spędzonej w areszcie tymczasowym. Przewracał się na pryczy z boku na bok, a woda, którą dobę wcześniej próbował leczyć żołądek, zdążyła pokonać drogę przez różne organy aż do nerek, skąd uparcie i nieuchronnie przemieszczała się do pęcherza. Co kwadrans musiał się w związku z tym ociężale podnosić z twardego łóżka. Jego nadzieja na „dumny powrót po czerwonym dywanie” okazała się wprawdzie płonna, ale za to ze szczegółami wyobrażał sobie, jak w końcu da popalić tym wszystkim gliniarzom. Na pierwszy ogień miał pójść ten tłusty, wiecznie spocony wieprz Průcha. Drogówka to zbyt łagodna kara! Już on się postara, żeby skończył jako ochroniarz w galerii handlowej. Co tam w galerii! Będzie pilnować regałów w wietnamskim spożywczaaku gdzieś na obrzeżach cygańskiej dzielnicy. Do drogówki trafi Šmídmajer, bo na nic innego mu nie pozwolą, już on, Brukner, załatwi to z tym zasuszonym inspektorkiem. A potem zaskarży nieuzasadnione zatrzymanie i państwo zapłaci mu odszkodowanie, i to słone. Rano obudzili go na planowane przesłuchanie, ale potem musiał czekać w towarzystwie prawnika przez dwie godziny i nic się nie działo. W komisariacie z początku panowała chaotyczna wrzawa, później jednak nastąpiła cisza. Około jedenastej pełnomocnik pojechał do domu, a Bruknera odprowadzili do celi, gdzie na zmianę drzemał i oddawał się mglistym fantazjom o tym, jak całą tę, pożałuj Boże, policję rozstawi po kątach, i jeszcze dostanie sowitą finansową rekompensatę.

Z rozmyślań na temat tryumfu, który niechybnie nadejdzie, gdy tylko uda mu się wydostać z policyjnego dołka, wyrwał go brzęk kluczy w zamku

i łomot otwieranych ciężkich drzwi, w których pojawił się Šupina z tak grobową miną, że jego zdjęcie mogłoby stanowić ilustrację najcięższych przypadków depresji w podręcznikach psychologii klinicznej. Brukner rozsiadł się na pryczy, a inspektor rzucił na niego z wysokości swoich dwóch metrów przesywająco chłodne spojrzenie.

- Znaleźliśmy naszą koleżankę – oznajmił.
- Gratuluję – odpowiedział aresztant ze złośliwym uśmiechem.
- Została zamordowana – ciągnął Šupina bez cienia emocji na twarzy.

Brukner postanowił, że nie przestanie się szczerzyć na policjanta, aby pokazać mu swoją przewagę.

- Tani chwyt. Ale cóż, toniecie i chwytnie się brzytwy.
- Przedstawię cały kontekst, żeby zrozumiał pan, w jak nieciekawej się znalazł sytuacji.

Brukner w końcu spoważniał. Zerwał się z pryczy.

- Gdzie mój prawnik? Bez niego nic nie powiem.
- Nie musi pan – odparł Šupina obojętnie. – Wystarczy słuchać. Na terenie pana nieruchomości znaleźliśmy siedem niedźwiedzi wykorzystywanych do produkcji preparatów z żółci. Trzy z nich zostały skradzione z ogrodu zoologicznego w Ołomuńcu. W czasie włamania do zoo zabity został stróż. Jeden z pracowników zoo zdecydował się na współpracę z policją, a następnie stał się ofiarą morderstwa. Równolegle policjantka ze Šternberka prowadziła śledztwo w sprawie pięciu martwych psów, co naprowadziło ją na trop procederu psich walk, które pan organizował. Innymi słowy, dotarła do pana. Także ona została zabita. Dwie różne sprawy, w których centrum znajduje się pan.

- Bzdury – mruknął Brukner, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Šupina wzruszył ramionami.

– Nie musi się pan do tego odnosić. Aktualnie prowadzimy szeroko zakrojone śledztwo w sprawie pana działalności. Mamy już zeznania świadka, który opisał incydent w Těšíkovie z udziałem pana i naszej zamordowanej koleżanki. W budynkach, gdzie trzymał pan niedźwiedzie i organizował psie walki, i gdzie doszło do napadu na policjantkę, nasi technicy zbiorą wystarczająco dużo materiału.

– Zawracanie głowy – wybuchnął Brukner, którego stoicki spokój Šupiny doprowadzał do szału. – Niczego na mnie nie macie, a moi znajomi postarają się, żebym do rana był na wolności. – Żeby dodać swoim słowom wagi, ponownie usiadł na krześle.

Šupina uniósł brwi ze zdumieniem.

– Zamordowana policjantka była córką prokuratora okręgowego. Zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy? Istnieją ludzie – pozna ich pan bliżej już niebawem – którym bardzo zależy na dobrych relacjach z prokuraturą. W więzieniu roi się od takich i zawsze chętnie świadczą prokuratorom przysługi, jeśli może to wpłynąć, powiedzmy, na rozpatrzenie wniosku o warunkowe zwolnienie z więzienia. Pójdzie pan siedzieć, a tam urządują panu piekło.

– Jutro mnie stąd wyciągną, a piekło to przeżyje pan – odciął się Brukner jak krnąbrne dziecko.

Šupina udał zamyślenie.

– Nadkomisarz Šmídmajer ma teraz sporo własnych zmartwień. Nikt nie chce, by go łączono ze śmiercią policjantki. Na pana miejscu bym się bał.

– A ja się nie boję. Wie pan dlaczego? – Na twarz Bruknera na chwilę powrócił uśmiezek.

– Bo jest pan idiotą – odparł zrezygnowany Šupina.

Wrócili do Ołomuńca.

Żaluzje w sali konferencyjnej były opuszczone, wysoki wentylator podłogowy z całych sił próbował rozproszyć ciepłe, usypiające powietrze i podrywał kartki papieru ze stołu. W środku siedziała ledwie garstka członków zespołu. Zdruzgotanego Kodeta wysłano do domu. Wielka Sowa pojechała do rodziców Kristýny i nikt nie wiedział, czy dziś jeszcze wróci. Šupinę wezwał komendant. Edelweiss postanowił, że nie zaczną narady przed powrotem szefa. Milczeli więc, każdy pogrążony w swoich myślach. Kubík wypił całą butelkę wody i przerwał ciszę, zgniatając plastik i rzucając nim w stronę kosza przy drzwiach. Nie trafił. Butelka odbiła się od drzwi i wylądowała pod stołem. Długa wskazówka wielkiego ściennego zegara co minutę, z tykotem, posuwała się do przodu.

Kwadrans przed szóstą w końcu zjawił się Šupina.

– I jak komendant... – zaczął Edelweiss, ale tamten przerwał mu gestem ręki.

– Dziękuję, że zaczekaliście – powiedział sucho, opadł na krzesło przy krótszym boku stołu, po czym zwrócił się do Pavla: – Możemy zacząć?

– Najpierw niedźwiedzie – przejął słowo zagadnięty. – Dyrektor zoo Lysák potwierdził, że trzy ze znalezionych zwierząt należą do nich. Pozostałe cztery pochodzą ze Słowacji.

– Skąd to wiedzą? – był ciekaw Purkyně.

– Jeden z niedźwiedzi miał ślad po obroży z chipem. W Tatrach niedawno znaleziono dwie takie obroże. Ktoś je rozciął nożem, więc było jasne, że ze zwierzętami coś się stało.

Purkyně pokiwał głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości.

– Jednego niedźwiedzia trzeba było uśpić, pozostałe mają szanse za jakiś czas wrócić do zdrowia.

– Cudowna wiadomość – rzucił Kubík z sarkazmem.

– Adam, bardzo cię proszę... – napomniął go Edelweiss.

– Przepraszam, szefie – odpowiedział tamten. – Po prostu wydaje mi się, że w tym momencie powinniśmy rozmawiać o czymś innym.

– Chodzi o to – zaczął wyjaśniać Pavel – że te informacje pomagają nam określić profil sprawcy. Według dyrektora człowiek, który przetrzymywał niedźwiedzie, doskonale wiedział, co robi. – Zajrzał do swoich notatek. – Cytat z Lysáka: „obchodzono się z nimi profesjonalnie”. Wiem, jak to brzmi po tym wszystkim, ale mamy przynajmniej potwierdzenie, że trzeba szukać wśród weterynarzy.

– Jak to sobie w ogóle wyobrażasz? – naskoczył na niego Purkyně. – Roześlemy im ankiety? A może poddamy testom psychologicznym weterynarzy z całego powiatu?

Kubík rozłożył ręce.

– Jesteśmy w dupie. Nie mamy żadnych podejrzanych.

Šupina przyglądał im się z pochmurną miną. Komisarz postanowił nie odpowiadać na zarzuty kolegów.

– Dochodzimy do sprawy najistotniejszej, to jest do profilu mordercy. Ale najpierw... – Przerwał i rzucił okiem na notatki. – Rozmawiałem z doktorem Andělem. Szczegóły znajdziemy w raporcie, który dopiero powstaje, ale wstępnie wiemy, że... Kristýna zmarła w przeciągu pół godziny od chwili napadu. Morderstwa dokonano w ten sam sposób, co w przypadku młodego Pluskala. Mamy zatem powtarzający się modus operandi i...

Šupina wpadł mu w słowo:

– Panowie, te informacje są bardzo ważne. W czasie, gdy rozpoczęliśmy poszukiwania, Kristýna Horová już nie żyła.

– Przepraszam, szefie – przerwał mu Kubík i z każdym wypowiedzianym słowem mimowolnie podnosił głos – ale tu nie chodzi o jakąś tam Horová. To była nasza koleżanka. A przede wszystkim bliska osoba. – Na chwilę zamilkł. Potem jednak dał upust emocjom: – Poderżnęli jej gardło jak cielakowi. – Głos drżał mu jakby w ataku hysterii.

Inspektor nie zareagował.

– Według wstępnego sprawozdania Kaplana – ciągnął Edelweiss – wygląda na to, że morderstwa dokonano przy Trusovce. Sprawca zawiózł tam Kristýnę jej własnym samochodem. Z gospodarstwa można tam dotrzeć w około dziesięć minut. Morderca prawdopodobnie wrócił piechotą po swoje auto, które zostało na terenie gospodarstwa albo w jego okolicy.

– Jeśli szedł pieszo, ktoś mógł go widzieć. Może jakiś człowiek przejeżdżał w pobliżu, na przykład w drodze do domku letniskowego. Albo kierowca autobusu – zasugerował Kubík.

– Zadzwońię do Průchy i polecę mu, żeby objechał ze swoimi ludźmi miejscowych i przyjezdnych – podjął myśl Šupina.

– Tak czy owak morderca nie zakładał, że znajdziemy niedźwiedzie – mówił dalej Edelweiss.

– Gdyby...

– Zgadza się, gdybyśmy się przyczaili, a nie wparowali tam z fanfarami, mielibyśmy szansę zgarnąć człowieka, kiedy oporządzał zwierzęta – dokończył za niego Pavel.

Przez chwilę nikt się odzywał. Edelweiss kontynuował:

– Napad na zoo to była robota zespołowa. Morderca Pluskala działał w pojedynkę. Myślę, że tak samo było w przypadku Kristýny. Pytałem

Lysáka, ilu mniej więcej ludzi potrzeba do pobierania żółci niedźwiedziom. Powiedział, że wystarczy jeden człowiek.

– Bardzo ważna informacja – włączył się znowu Šupina. – Wersję z gangiem należy na razie odłożyć. Brukner mówił prawdę, że nie ma nic wspólnego z morderstwami. Modus operandi wskazuje na jednego sprawcę. Brukner wie, kto nim jest. Być może nie zdaje sobie sprawy, w co wdepnął, ale mam nadzieję, że nawet taki idiota potrafi przejrzeć na oczy, kiedy pali mu się pod tyłkiem. – Inspektor podrapał się po kilkudniowym zaroście i westchnął: – Do komendanta dzwonił ten celnik Vacek i nawrzeszczał na niego, że po cholere zabraliśmy od razu niedźwiedzie, bo powinniśmy zacząć się na mordercę, a tak zmarnowaliśmy im śledztwo i już tych handlarzy żółcią nie dopadną. Ja... – Znow podrapał się po brodzie. – Rozumiem jego argumenty, ale... Powiedziałem mu, że postąpiliście słusznie. Tylko że... w związku ze śmiercią Horovej waszą akcją musi się zająć sama góra. Przygotujcie się na najgorsze. Na Kráčmara nie możemy liczyć, nie kiwnie palcem.

– Żadna niespodzianka – odpowiedział Edelweiss. – Powiem tyle: byłem na miejscu, szefie. Chłopaki też. Przeżyliśmy szok. Koszmar. Marie podjęła słuszną decyzję. Może impulsywną, nie do końca przemyślaną, ale w tamtej chwili wszyscy byliśmy zgodni, że trzeba jak najszybciej przerwać to straszne cierpienie.

– Oczywiście. Mówiłem Kráčmarowi, że było was... było nas widać z całej okolicy, bo wbiliśmy do Bruknera z przytupem, z włączoną sygnalizacją, kogutami i w środku nocy. Nie mogliśmy udawać, że nie wiemy o niedźwiedziach. Zastawianie pułapki na sprawcę było niewykonalne.

Edelweiss chciał coś powiedzieć, ale Šupina nie dopuścił go do słowa.

– Człowiek, którego szukamy, nie jest duchem. Ktoś musiał go widzieć w posiadłości. Jutro przetrzepimy wszystkich pracowników Bruknera.

– Czyli co? – odezwał się Kubík.

– Czyli ogłaszam osiem godzin przerwy. Musimy się wyspać. A jutro rano wracamy do Šternberka – zamknął posiedzenie Šupina.

Dopóki Marie Výrová przebywała wśród ludzi, a dokładniej mówiąc, wchodziła z nimi w interakcje, odpowiadała na pytania, koordynowała procedury i sprawdzała przebieg działań, dopóty nad sobą panowała. Skupiła się na roli niezawodnej szefowej, do której inni mogą się zwrócić w kryzysowej sytuacji, która daje im oparcie, jest twarda jak skała, zdecydowana, nie uznaje kompromisów (sama miała co do tych atrybutów wątpliwości, ale sądziła, że inni w nie wierzą). Trzymała emocje na wodzy (tak przynajmniej uważała, ludzie z jej otoczenia mieli inne zdanie, ale zachowywali je dla siebie). Kiedy jednak wieczorem znalazła się sama w nagrzanym mieszkaniu – na zewnątrz panował nieznosny zaduch, otworzyła drzwi balkonowe i wszystkie okna, ale słabiutki powiew udało jej się uzyskać dopiero, gdy włączyła wygrzebany dwa tygodnie wcześniej z piwnicy stary biały wentylator podłogowy – nagle, z pełną mocą, dopadła ją świadomość koszmaru, który się wydarzył. Żal, beznadzieja, ból, absolutna, nieodwołalna strata. A przede wszystkim poczucie winy. Betonowy ciężar wyrzutów sumienia przygniótł ją i dosłownie rzucił na dywan, na który opadła, gdy tylko uruchomiła wiatrak.

Poznała Kristýnę jako małą dziewczynkę, od wielu lat przyjaźniła się z Horą. Jej Tereza była tylko trochę starsza i dziewczynki nieraz bawiły się ze sobą. Zanim rozdzieliło je liceum, a potem lata studiów, spędziły razem wiele weekendów w domku letniskowym rodziców Kristýny w lesie u podnóża Jeseníków. Marie traktowała ją jak drugą córkę, a ich więź nasiliła się jeszcze bardziej, gdy żadna z nich nie włączyła się po Europie i Ameryce Północnej, a one w tym czasie widywały się codziennie. To ona

zachęcała ją do pracy w policji, stała się dla niej wzorem i powiernicą, rozpalala w młodej kobiecie ambicje, gorliwość i determinację, by chciała odnieść w twardym, męskim środowisku taki sam sukces jak ona, Wielka Sowa. Wiedziała, co skłoniło Kristýnę do samodzielnej akcji w posiadłości Bruknera. Nie miało znaczenia, że naruszyła reguły, że zapomniała, czego Marie ją uczyła. Ważne, co i komu próbowała w ten sposób udowodnić.

Nie ma nic bardziej przytłaczającego niż wyrzuty sumienia i poczucie winy... Výrová siedziała na podłodze oparta plecami o kanapę i zanosiła się płaczem. Ten jednak nie przynosił ukojenia.

Tamten dzień wysunął się na prowadzenie wśród najgorszych dni jej życia. Po południu małżeństwo Horów musiało dokonać formalnej identyfikacji zwłok córki. Przez lata służby Marie tak często była świadkiem rozpacz i bólu bliskich wobec nagłej, nienaturalnej śmierci ukochanej osoby, że w zasadzie powinna się była przyzwyczaić do widoku hysterii czy cichej, pełnej rezygnacji apatii. A jednak nie potrafiła, uważała to za przejaw emocjonalnego wypalenia i obojętności, przed którymi zawsze chciała się uchronić, choć mogłaby je wytłumaczyć koniecznością zachowania profesjonalnego dystansu. Wiedziała, że jest w stanie wyjaśnić zbrodnię także bez emocjonalnej rezerwy, za co wprawdzie płaciła wysoką cenę, ale długie rozmowy z zaprzyjaźnioną psycholożką Klárą Šamberkovą i muzyka Boba Dylana pozwalały jej utrzymać na tyle znośną formę psychiczną, by móc w dzień pracować, a w nocy spać.

W południe pojechała do Horów; gdy zobaczyli ją na ulicy pod furtką, od razu zrozumieli, co przysłała im powiedzieć. Marie poczuła ulgę, że nie musi nic mówić, bo i tak kiedy otworzyli drzwi, nie mogła pohamować płaczu i wydusić z siebie choćby słowa.

Spędziła godzinę w salonie załamanych przyjaciół, przygotowała ich do wyjścia, a potem przesiedziała z nimi kwadrans w służbowej octavii, której

kierowca, przejęty młody mundurowy, nie ośmielił się nawet na moment spojrzeć we wsteczne lusterko. Na wyłożonym kafelkami korytarzu instytutu medycyny sądowej, gdzie nawet w największe upały panował przesycony wilgocią chłód, przywitał ich doktor Anděl. Był blady jak ściana, a ona nie potrafiła ocenić, czy to z powodu zadania, jakiego musiał się podjąć, czy mlecznego światła jarzeniówki w pomieszczeniu bez okien. Lekarz złożył Horom ciche kondolencje, a jej tylko skiną głową na powitanie, cicho przy tym wzdychając.

– Muszę państwa uprzedzić, że córka padła ofiarą brutalnego ataku i...
– Przełknął ślinę. – Nie jest konieczne, abyście oboje państwo dokonali rozpoznania.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziała pani Horová.

Anděl poprowadził ich przygotowalnią do sterylnej czystego, chłodnego pomieszczenia, pośrodku którego, na metalowym stole, leżały zwłoki przykryte prześcieradłem. Matka Kristýny zachwiała się i przytrzymała ramienia męża. Marie wiedziała, że ich małżeństwo było dalekie od ideału i harmonii, zwłaszcza z powodu Horovej, która cierpiała na chorobę afektywną dwubiegunową, ale odmawiała jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. Od lat zadreęczała swoich bliskich nieobliczalną huśtawką nastrojów, aż w końcu Kristýna zrezygnowała z regularnych kontaktów z matką i wolała spotykać się tylko z ojcem w jego biurze.

Lekarz podszedł do okrytego prześcieradłem ciała. Do Marie dotarło wtedy, że stanął przy jednym boku łóżka, by rodzicom Kristýny odsłonić widok tylko na prawą, mniej poranioną stronę twarzy córki. Anděl spojrzał najpierw na stojącą pod drzwiami Výrovą, a następnie na Horów.

– Mogę? – zapytał.

Hora pokiwał głową. Lekarz zaczął bardzo ostrożnie odwijać prześcieradło z twarzy Kristýny, po czym starannie ułożył jego brzeg tuż

pod jej brodą, by oszczędzić rodzicom widoku głębokiej, rozwartej rany w poprzek całego gardła, śladu cięcia, które pozbawiło ją życia. Mimo że wcześniej zmył z ciała kobiety całą krew, obite, spuchnięte usta i rozdarta skóra na brodzie jednoznacznie świadczyły o tym, co musiała przejść tuż przed śmiercią. Marie nie była w stanie patrzeć i odwróciła wzrok. Usłyszała tylko jęknięcie zrozpaczonej matki i ojca mówiącego:

– Co oni jej... Boże jedyny...

A potem głos Anděla:

– Bardzo mi przykro, ale bliżej nie można podchodzić. Czy to państwa córka?

Hora nie mógł powstrzymać wybuchu gniewu:

– Oczywiście, że to ona. Przecież wszyscy ją znacie!

Marie odwróciła się do niego akurat w chwili, gdy medyk sądowy na powrót zasłaniał twarz Kristýny prześcieradłem.

Parę minut później Marie siedziała w pracowni strapionego doktora, który referował jej szczegóły śmierci Kristýny. Opisał ranę na twarzy, wybite zęby, przegryziony czubek języka, wybitą kość przedramienia.

– Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, ale na podstawie stanu złamania oceniam, że zgon nastąpił około dwudziestu pięciu minut po ataku. Szczegóły dostaniesz w raporcie. Mam mówić dalej? – zapytał.

Marie wciąż wpatrywała się w kąt. Na pytanie zareagowała skinieniem głowy. Morderca jednym cięciem bardzo ostrego, metalowego narzędzia podciął Kristýnie gardło od lewej do prawej strony. Lekarz opisał po kolei wszystko, co zostało przecięte.

– Śmierć nastąpiła w ciągu kilku sekund w konsekwencji wykrwawienia. Skonsultuję się jeszcze z Kaplanem, ale chodzi o tę samą technikę, co w przypadku chłopaka z toalety w Tesco...

– Była świadoma? – zapytała Marie.

– Biorąc pod uwagę, że zmusił ją do klęknienia, myślę... że... tak.

Dwadzieścia pięć minut. Aspirantka zadzwoniła do Davida, więc dokładnie wiedzieli, kiedy doszło do ataku. Dwadzieścia pięć minut później była już martwa. Siedzieli wtedy w biurze i patrzyli, jak Kodet bezskutecznie próbuje się z nią połączyć. Co w tym czasie robiła Marie? Czuła się urażona, że Kristýna zadzwoniła do niego, a nie do niej. Dopiero po trzech godzinach, gdy w ciele młodej policjantki nie została nawet kropla krwi, Edelweiss wytłumaczył jej dlaczego. Jak zareagowała? Znow poczuła się dotknięta. Wszyscy wiedzieli, tylko ona nie. Dlaczego? Bo Kristýna i David bali się, że ich związek stanie na przeszkodzie ewentualnemu powrotowi Horovej do zespołu.

Gdy więc ona trawiła urazę, Kristýna już nie żyła. Ta myśl wracała do Výrovej bezustannie. Morderca rzuca Kristýnę na kolana, chwytając ją za włosy, odchyła jej głowę do tyłu i podcina skalpelem gardło. Z rany tryska potok krwi, Kristýna rzezi, morderca ją puszcza, a ona zwała się na ziemię. Co w tamtej chwili czuła? Była świadoma? Boże, błagam, szeptała Marie, nie był to jednak dowód jej nagłego nawrócenia, lecz forma, w jakiej wyrażała najgorętsze pragnienie. Boże, błagam, żeby w tamtej chwili nie była przytomna. Żeby nie wiedziała, co się z nią dzieje. Wielka Sowa raz po raz wyobrażała sobie tych kilka sekund konwulsji, zanim odpływ krwi ostatecznie wyzwoli Kristýnę, a w miejsce bólu i przerażenia przyjdzie słodki brak świadomości, o ile nie przyszedł już wcześniej... A czym się wtedy zajmowała Marie? Co robiła, zamiast pilnować jedynej córki długoletniego przyjaciela, jak mu to obiecała, gdy Kristýna zaczynała pracę w jej zespole? Była zła, obrażona, że David Kodet (gdyby tylko on, ale i pozostali, łącznie z Edelweissem!) zataił przed nią, że jest w związku z byłą koleżanką z wydziału, i to na tyle poważnym, że nawet razem mieszkają...

Gdy tak siedziała na podłodze, a strumień ciepłego powietrza z wiatraka rozwiewał jej włosy na czubku głowy, przypomniało jej się nagle, jak dawno temu – mniej więcej rok po tym, gdy jej męża, wchodzącego po schodach do biura, niespodziewanie zwałił z nóg zawał – w czasie nieudanej próby zatrzymania przestępcy, upadła na ziemię tak niefortunnie, że złamała kilka kostek w stopie. Ciężki gips (a do tego różne uciążliwe powikłania) uwięziły ją na sześć tygodni w domu i w tym czasie oddała się nie tylko ukochanemu Dylanowi, ale także książkom. Był to jej najbardziej intensywny kontakt z literaturą w ciągu ostatnich dwudziestu lat życia; sięgała głównie po publikacje zdobyte jeszcze za komuny przez męża, na ogół dzięki znajomości z kierowniczką ołomunieckiej księgarni U Prombergera, nazywanej tak na pamiątkę dawnego właściciela (późniejsza likwidacja tego starego, pięknego miejsca i zamiana go w ohydny oddział banku bardzo poirytowała Vladimíra). Pochłonęła około dziesięciu powieści, w tym *Kolekcjonera* Johna Fowlesa (kolejna reminiscencja: mąż opowiadał jej, że książka z miejsca trafiła na czarny rynek, więc w księgarni zostały tylko dwa egzemplarze dla szczęśliwców, którzy w dniu premiery ustawili się jako pierwsi w kolejce o wpół do siódmej rano) i *Sto lat samotności* Márqueza, choć największe wrażenie zrobił na niej *Wybór Zofii*. Powieść Styrona nią wstrząsnęła; początek wydał jej się wprawdzie przegadany i zbyt długi, ale gdy tylko doszła do wspomnień bohaterki, nie mogła się oderwać od czytania. Co więcej, w niektórych przeżyciach Zofii dostrzegła analogię z własnymi życiowymi doświadczeniami – rzecz jasna nie musiała przechodzić tego, co tamta, ale rozumiała jej emocje i sposób postępowania. Najbardziej poruszyły ją refleksje narratora na temat dwóch wymiarów czasu w ludzkim życiu, istniejących równolegle, ale też niezależnie od siebie, wymiarów, które czynią możliwym paradoks starcia dwóch skrajnie odmiennych doświadczeń i przeżyć, jak Stingo jedzący

banana w piękne wiosenne przedpołudnie i Zofia wysiadająca w tej samej chwili z bydłowego wagonu w Auschwitz. Marie musiała wtedy na kilka minut odłożyć książkę, bo przypomniało jej się chłodne jesienne popołudnie, gdy chodziły z Terezą po mieście, obeszły parę sklepów („Znów byliście na ciuszkach”, podśmiewał się za każdym razem Vladimír), w antykwariacie kupiły lektury szkolne, w cukierni zamówiły po pucharku lodowym i kawie, a o wpół do szóstej poszły na jakiś odmóźdzacz do Metropolu, największego kina w Ołomuńcu, na które mówiono „Pogranicznik”, bo za komuny nazywało się „Kino straży granicznej”. Wieczorem wracały do domu w świetnych nastrojach, ich „babski dzień” był przedni (dla piętnastoletniej Terezy spędzenie kilku godzin z matką na mieście nie było ujmą na honorze), córka rozgadała się na temat kolegów, koleżanek i nauczycieli z liceum na Hejčínie, gdzie od niedawna chodziła, i liczyła, że nie będą jej jutro pytać z histy ani z bioli, bo – jak wyznała – dzisiaj już zwyczajnie nie ma ochoty zaglądać do zeszytów, Marie z kolei nie chciała psuć udanego dnia i uznała, że nie będzie truć, by córka przejrzała notatki... Gdy dotarły do domu, już na schodach usłyszały dzwonek telefonu i zdziwiło je, dlaczego tata nie odbiera i jak to możliwe, że jeszcze nie wrócił. Marie przebiegła korytarzem, nie zdjęła nawet butów, a kiedy podniosła słuchawkę, odezwał się głos kolegi Vladimíra:

– Boże, cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić...

W czasach, gdy nie wszyscy mieli telefony komórkowe, złe wieści docierały z opóźnieniem. I właśnie przy lekturze Styrona Marie dopadła szokująca myśl, że przez cały czas, gdy cieszyły się z Terezą wspólnym dniem, śmiały się, gadały, korzystały z uroków zalanego słońcem babiego lata, a nawet snuły plany o wyjeździe w góry po Bożym Narodzeniu – Vladimír już nie żył. Przez następne lata wspominała to popołudnie jako najdziwniejszy moment w swoim życiu, swoistą dziurę czasową,

przewrotne odroczenie wdowiej żałoby. Tak intensywne poczucie szczęścia miało się już nigdy nie powtórzyć, bo Marie towarzyszyła potem instynktowna obawa, że gdy tylko pozwoli sobie na bycie szczęśliwą i zadowoloną z życia, znów rozlegnie się dzwonek telefonu i zamieni jej radość w rozpacz. Nie to było jednak najważniejsze, lecz nieustający wyrzut sumienia, że jej ukochany mąż, w chwili gdy między piątym a szóstym stopniem szerokich schodów do biura dopadł go zawał, był całkowicie sam, a Marie przez wszystkie te lata nie dawało spokoju pytanie, co czuł, gdy jego serce naraz stanęło. Czy się bał? Czy go bolało? Jak się czuje umierający człowiek, gdy nie ma przy nim bliskiej osoby, kogoś, kto potrzymałby go za rękę i szepnął ciepłe, serdeczne słowo, nim odejdzie świadomość? Pałący wyrzut sumienia, że ostatnim, co widział Vladimír, nie były żona i córka, ale zimne, kamienne schody, wciąż czasem ją nawiedzał.

Historia zamordowanej koleżanki znów jej o tym wszystkim przypomniła. Potrafiła dokładnie odtworzyć, co robiła, gdzie była i o czym myślała w chwili, gdy świadomość Kristýny odpływała i gasła, a wraz z krwią wypływało z niej życie. Ciężar winy za wszystkie popełnione błędy był jak głaz, który przygniatał ją do ziemi, ale wiedziała, że to jeszcze nie wszystko, bo przecież tego upalnego i spowitego kurzem dnia, Horová wybrała się do gospodarstwa Bruknera z jej powodu. A ona, Marie, będzie z tym musiała żyć.

Wciąż nie zaczęło się ściemniać. Ciągłe siedząc na podłodze, Marie obserwowała przez chwilę jerzyki za oknem, szaleńczo i zawzięcie krążące nad dachami domów. Wentylator brzęczał, a dzięki jego wysiłkom w pokoju zrobiło się chłodniej. Wyłączyła urządzenie i przeniosła je do sypialni. Dopadło ją zmęczenie, w tym momencie silniejsze niż poczucie winy i beznadziei. Poprzedniej nocy nie zmrużyła oka. Wiedziała, że sen nieco ją ukoi i przynajmniej na jakiś czas odpędzi złe myśli. Wzięła szybki

prysznic, dla pewności połknęła całą tabletkę stilnoxu, aby ciało nie stawiało oporu, i po dziesięciu minutach zasnęła.

Dzień ósmy

Czwartek 20 czerwca

54

Šupina i Edelweiss przybyli do šternberskiego komisariatu jako pierwsi i już na parkingu wpadli na podkomisarza Průchę, który z trudem gramolił się ze starej fabii, równie sfatygowanej jak on sam. Mężczyzna śmierdział potem bardziej niż zwykle, a jego mundur był tak wymięty, jakby w nim spał. Przywitali się i razem weszli do budynku, w którym poza dyżurnym sierżantem nie było żywej duszy.

Edelweiss podążył za Průchą; podkomisarz stąpał powoli i niepewnie, sprawiając wrażenie człowieka, który nie widzi wyraźnie najbliższego otoczenia. Pavlowi przyszło na myśl, że może ma kaca, i zbliżył się do niego. Průcha jednak zdążył schronić się w swoim biurze, zwałił się na krzesło i spoglądał z apatią przez okno.

Edelweiss zastukał we framugę drzwi. Podkomisarz podniósł głowę.

– Gdzie się pan podziewał? – zapytał Pavel szorstko.

– Musiałem pojechać po coś do domu – odpowiedział cicho tamten.

Komisarz zmierzył go podejrzliwie.

– Raczej nie po świeży mundur. Dużo pan wypił?

– Że co? – Průcha w końcu wyteńczył wzrok.

– Pytam, czy dużo pan wypił. Wygląda mi pan na lekko wczorajszego.

– W ogóle nie piłem – odparł podkomisarz i uznał temat za zamknięty.

– Bądźmy poważni...

Průcha schylił głowę, potarł nos, a następnie spojrział Edelweissowi prosto w oczy.

– Może nie wyglądam, jakbym wyszedł prosto z salonu piękności i wolałbym dzisiaj nie pozować do zdjęć, ale jest jedna rzecz, której nie tykam, a jest nią alkohol.

– To dobrze o panu świadczy – skonstatował łagodniejszym tonem komisarz.

– I proszę sobie darować to pouczenie. Mam wrażenie, że jestem od pana starszy. A gwoli wyjaśnienia: wyglądam jak wyglądam, ale nie od chłania. Choruję poważnie na cukrzycę.

– Przepraszam. – Edelweiss się zawstydził.

Tamten machnął ręką.

– W porządku. Powiedzmy, że nie najlepiej się zaczęła ta nasza znajomość. Ja... – Pokręcił głową, a Pavel widział, że ledwo kontroluje nawał emocji. – Kristýnę przysłali tu za karę, nie lubiła tej pracy, w zasadzie nie miała nic do roboty. Wkopałem ją w tę sprawę, żeby dała mi spokój...

– Rozmawiałem z nią. Podobało jej się tutaj – próbował go pocieszyć komisarz.

– Daj pan spokój, i tak w to nie uwierzę. To nie było miejsce dla Kristýny. My tu łapiemy złodziei sklepowych, użeramy się z Cyganami, awanturnikami w knajpach. Na żadną taką akcję nie mogłem jej wysłać. Pasowała tu jak kwiatek do kozucha.

Do Pavla dotarło, że Průcha chce się po prostu wygadać.

– Kiedy tak na nią patrzyłem, jak nie może usiedzieć na miejscu, ciągle coś wyszukuje, proponuje, działa, pomyślałem o sobie, o własnej karierze. Dwadzieścia lat na jednym komisariacie, od rana do wieczora siedzę na tyłku w biurze, moi ludzie nic nie robią, tylko wypełniają papierki. Stoi nad nami Šmídmajer, który wdał się w konszachty z największym miejscowym bandziorem. A my, zamiast się z nimi rozprawić, udajemy, że nic się nie

dzieje, zajmujemy się pierdołami. Cygan kradnie rower, a my przez trzy godziny spisujemy protokół dla ubezpieczalni. Prawda jest taka, że Kristýna działała mi na nerwy, bo jej się chciało, miała zapał do pracy.

– Potrafiła zająć człowiekowi za skórę – przytaknął Edelweiss.

– Patrzyłem na nią i widziałem własną nędzę. Wie pan, bardzo ją lubiłem. Znaczy się, nie żebym chciał ją poderwać czy coś...

– Wiem, co pan ma na myśli. Wszyscy za nią przepadaliśmy.

– Można było na niej polegać. Pomyślałem kiedyś, że jeśli w ogóle mam tu kogoś zaufanego, to właśnie ją. Dałem jej do zbadania te psy, żeby czymś ją zająć. Rozumie pan... – Rozpaczliwa próba usprawiedliwienia się doprowadziła Průchę do łez.

Edelweiss postanowił ulotnić się po cichu z jego biura. Gdy się odwrócił, zobaczył za sobą Šupinę.

– Co się dzieje? – zapytał inspektor.

– Niech go pan zostawi na chwilę samego.

– Już dobrze – zapewnił Průcha, przetarł pulchnymi dłońmi twarz i wstał. – Czym mogę panu inspektorowi służyć?

– Czy da się gdzieś tu pójść na śniadanie? – spytał tamten.

– Pokażę panu. I też coś zjem.

Podkomisarz spojrział jeszcze na Edelweissa, ale ten powiedział, że zostanie na miejscu.

Było trochę po szóstej rano; Šupina z Průchą siedzieli w wątpliwej klasy całodobowym barze („Czy ta knajpa nie należy przypadkiem do Bruknera?”, zapytał inspektor. Podkomisarz zapewnił go, że nie, wskazując ruchem głowy na azjatycką obsługę: „On nie zatrudnia Wietnamczyków”) i pili tak paskudną kawę, że gdyby nie potrzeba postawienia się na nogi po nieprzespanej nocy, nie wzięliby jej do ust. W piekarni obok kupili

drożdżówki, usiedli na ławce i w mocnym porannym słońcu, zwiastującym kolejny upalny dzień, jedli i omawiali sprawę Bruknera, zwracając szczególną uwagę na zamięłowanie wszystkich jego przyjaciół do psów.

– Podobno Rudolf Höss też uwielbiał bojowe, agresywne psy – powiedział Šupina.

– To jakiś nazista był, nie? – spytał zasapany Průcha, aby dać do zrozumienia, że wie, o kogo chodzi.

– Tak, esesman – odpowiedział inspektor, a jego rozmówca nie wiedział, czy ma to uznać za korektę, czy uściślenie. – Przez pewien czas był komendantem Auschwitz. Dla przyjemności wytrenował sforę psów – nie pamiętam, czy chodziło o dobermanów, rottweilery czy wilczury – żeby rzucały się na więźniów. Ale w końcu zwierzętom się to przejadło i zamiast spełniać polecenia, szukały okazji, żeby się gdzieś zadekować. Nawet one miały już dość agresji, chciały mieć spokój i robić to, co psy lubią najbardziej. Polegiwać i spać.

Průchę rozbawiła ta opowieść.

– Fajna historia.

– Byłaby fajna, gdyby nie chodziło o Auschwitz – skomentował sucho Šupina.

– Interesuje się pan takimi rzeczami?

– Człowiek musi mieć jakieś hobby. Żeby nie dostać świra od tej pracy.

– Racja. Ja na przykład sklejam modele z papieru – powiedział Průcha nieśmiało, jakby się bał, że to wyznanie może go kosztować stanowisko.

– A Šmídmajer ma swoje pieski.

– Jak Rudolf Höss – dodał drugi z policjantów.

– Zaskoczył mnie pan tym modelarstwem.

– To wyrabia zręczność.

Šupina mimowolnie spojrzął na krótkie, serdelkowate palce Průchy.

– Proszę mi powiedzieć... – zaczął inspektor.

– Dlaczego nie rozpędziłem tego towarzystwa? – dokończył za niego tamten.

– Właśnie.

– Powtarzałem sobie, że będę ich tolerować, dopóki nie przekroczą pewnych granic. Šmídmajer powiedział mi kiedyś, że Brukner daje ludziom pracę, a u nas jest straszne bezrobocie. Gdybyśmy go zgarnęli, kto by tych biedaków zatrudnił?

Dokończyli śniadanie, wytarli ręce w papierowe serwetki i pomału ruszyli z powrotem na komisariat.

Wystarczył im szybki rzut oka na parking, by stwierdzić, że w czasie ich nieobecności zjechali się pracownicy komisariatu, włącznie z samym szefem. Gdy tylko minęli lśniąca, nowoczesną recepcję i znaleźli się w obskurnym korytarzu, wyszedł im naprzeciw sierżant Anton.

– Panie inspektorze – wyrzucił z siebie jak automat – zatrzymany Brukner chce z panem rozmawiać.

Šupina w towarzystwie Průchy i Antona przeszedł labiryntem korytarzy šternberskiego komisariatu aż pod cele tymczasowego aresztu. Anton usłużnie otworzył drzwi do tej, w której siedział Brukner. Aresztant zerwał się z pryczy, gdy tylko ujrzał inspektora.

– Nie mam z tym morderstwem nic wspólnego. Zapytajcie Šmídmajera... – zaczął bez żadnych wstępów.

– Kto się opiekował niedźwiedziami? – warknął Šupina.

– Mnie w to nie mieszajcie – powtórzył Zbyněk.

– Marnuje pan mój czas, do cholery! – stracił cierpliwość inspektor. – Chcę znać nazwisko weterynarza! Ale już!

W tym czasie do Šternberka dotarła Wielka Sowa z resztą zespołu. Wybitna koncepcja infrastruktury drogowej w kraju ołomunieckim przyniosła owoce: drogę do miasteczka całkowicie zablokował sznur tirów, wiozących jakieś niezbędne towary do Opawy i Krnova, a potem dalej na północ w kierunku Opola i Wrocławia, podczas gdy z przeciwnej strony nie mniej ważne produkty zmierzały w ciężarówkach na południe. Tego rana szybkiego przejazdu nie umożliwiły policjantom nawet syreny i koguty, bo mimo najlepszych chęci dwie służbowe octavie nie dały rady precyzyjnie się między dwiema zwartymi kolumnami tirów, osobówek i spóźnionych autobusów. Marie siedziała obok kierującego w milczeniu Purkyněgo, wierciła się nerwowo i co chwila spoglądała na zegarek na desce rozdzielczej. Do środka wpadały promienie prażącego słońca, z którymi nie radziła sobie nawet klimatyzacja, a mocne światło raziło Výrovą w oczy. Kiedy je zamknęła, wyłonił się przed nią obraz męskiej ręki, która chwyta Kristýnę za kasztanowe włosy, odchyła jej głowę i... Marie szybko podniosła powieki, słońce zaraz ją oślepiło, a jego refleks na srebrnej klapie sunącego z naprzeciwka opla przypominał jej błysk skalpela. Ukryła twarz w dłoniach, aby Milan nie widział, że do oczu napłynęły jej łzy, i udała, że tylko ziewa i rozciera policzki.

Dzięki zeznaniom Zbyňka Bruknera na porannej odprawie mieli szansę nadać śledztwu konkretny kierunek. Wielka Sowa, której tabletka na sen pomogła spokojnie przespać noc, dotarła krótko po ósmej i nikt z kolegów nie widział u niej wcześniej tak wścieklej żądzы odwetu.

David Kodet przemierzał nerwowo salę konferencyjną, Marie stała oparta o parapet, Edelweiss przy biurku przeglądał gorączkowo teczkę przyniesioną przez Průchę, a zmęczony Šupina siedział w fotelu.

– Naprawdę nie wiem, na co czekamy! – wybuchł nagle Kodet. – Mamy jego adres, zeznania i... – Edelweiss wertował zaciekle kartki. – Gdzieś tu widziałem to nazwisko...

– Proszę się uspokoić! – nakrzyczała na niego Marie. – Żeby dorwać mordercę Kristýny, musimy działać skrupulatnie.

David chciał się odciąć, ale w tej samej chwili Edelweiss poderwał się z krzesła.

– Mam! Już wiem, skąd pamiętałem to nazwisko. – Podał Výrovej kartkę z raportem Kristýny. – Był wśród weterynarzy, których sprawdzała na nasze polecenie. Posiada broń usypiającą.

Wielka Sowa powoli czytała. Cały zespół spoglądał na nią w napięciu. Šupina nachylił się i czytał jej przez ramię.

– W porządku. – Marie odetchnęła. – To by się zgadzało. Jeśli Kristýna natknęła się na niego przypadkiem w gospodarstwie Bruknera, rozpoznała go i...

– To na co czekamy? – chciał wiedzieć Edelweiss.

– Na nic – odparła Wielka Sowa. – Jedziemy go zgarnąć.

Właśnie te słowa wszyscy chcieli usłyszeć.

– Ale uwaga – zwróciła się do zespołu Marie. – To będzie cicha akcja. Nikomu ani słowa. Miejscowi mogliby go ostrzec. Ciągłe uważają Šmídmajera za szefa.

Rozległ się pomruk aprobaty.

Marie z Edelweissem przeglądali z gniewnymi minami kartkę, którą położył przed nimi na stole w pokoju przesłuchań doktor Halas. Lewą rękę miał dokładnie i fachowo owiniętą lśniąco białą opaską elastyczną.

– Wypis ze szpitala nie pozostawia wątpliwości – oświadczył weterynarz, nieudolnie próbując dodać swojemu głosowi pewności siebie. – Przez ostatnie trzy dni przybywałem na oddziale chirurgii w Šternberku. Dzisiaj wypisano mnie do domu, gdzie będę się dalej leczyć. Proszę sprawdzić w szpitalu, czy w tym czasie opuściłem oddział. Poza tym zraniona ręka uniemożliwia mi jakiegokolwiek działania.

– Tylko lewa – zauważyła Marie, ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, że zwyczajnie kwestionuje fakty.

– Jestem leworęczny.

– W jaki sposób doznał pan urazu? – zapytał Edelweiss.

– Pogryzł mnie pies. Na pogotowiu opatrzyli mnie tak nieszczęśliwie, że skróciły mi się ścięgna w środkowym i serdecznym palcu. Jak u ludzi cierpiących na artretyzm.

Komisarz przyglądał się wypisowi.

– Kiedy to się stało?

– Ponad miesiąc temu. Dlaczego was to interesuje? Jestem aresztowany, bo pogryzł mnie pies? – Weterynarz wiedział, że niezależnie od przyczyny zatrzymania, udało mu się zaskoczyć policjantów i ma nad nimi przewagę.

Edelweiss zdawał się czytać w jego myślach. Odłożył szpitalny dokument, rozparł się w krześle, ręce złożył na piersiach i zmierzył Halasa ironicznym spojrzeniem.

– Zastanawiające. Opatrzyli pana na pogotowiu za kwadrans pierwsza w nocy. Do tego w weekend.

– I co w tym dziwnego? Ten kundel pogryzł mnie w sobotę w nocy.

– Pamięta pan rasę?

– A jakie to ma znaczenie?

– York raczej by pana tak nie urządził.

– To był pitbull.

Komisarz pokiwał głową z uznaniem.

– Słowem: w sobotnią noc pogryzł pana pitbull. Hm... Domyślam się, że nie stało się to w pańskim gabinecie. Raczej przy okazji walk, które urządzał Zbyněk Brukner, nieprawdaż?

Marie spojrzała na niego, próbując zrozumieć, do czego zmierza.

– Moja koleżanka – ciągnął Edelweiss – odkryła, że w okolicach Šternberka organizowane są nielegalne walki psów. Stał za nimi Zbyněk Brukner. A pan brał udział w tym procederze jako weterynarz, prawda? Udzielał pan pierwszej pomocy zranionym zwierzętom. I przy tej okazji doznał urazu, czyż nie?

Halas milczał.

– Traktuję to jako potwierdzenie. Myślałem, że lekarze weterynarii mają trochę inny stosunek do zwierząt. Że nie uczestniczą w imprezach tego typu.

Przesłuchiwany roześmiał się gromko i jakby z ulgą.

– Miłość do zwierząt, co? Wiecie, co to znaczy przez całe życie leczyć przekarmione jamniki, zeschizowane pudle, które dostają telepki od byle czego, albo chihuahua tak wynaturzone, że mają alergię żywieniową dosłownie na wszystko? Wysłuchiwać opowieści starych bab o rzadkiej kupce Bobinka, Bercika albo Nelusi? Mnie te pieprzone kundle wychodzą

bokiem! Brukner przynajmniej porządnie płacił, mogłem się odkuć. Myślicie, że można się dorobić na szczepieniu piesków i odrobaczaniu kotków? Wiecie, ilu jest weterynarzy? Żyłem od pierwszego do pierwszego. No i nieszczęsna ręka. Zgadza się, to te cholerne kundle od Bruknera tak mnie załatwiły!

Na Edelweissie ta nagła erupcja gniewu i nienawiści nie zrobiła wrażenia.

– I dlatego je pan otruł.

– Z dziką radością – odparł Halas, pozbawiony już jakichkolwiek hamulców. – Wiecie, co było najlepsze? Że jeszcze mi za to zapłacili. Psy Bruknera masakrowały w walkach inne, więc goście z klubu dali mi pieniądze, żebym je wyeliminował, i pozostałe miały szansę wygrać. No to dodałem im do żarcia środków przeczyszczających i usypiających. Zbyněk myślał, że zdychają, więc zapłacił mi za ich uspienie, a potem utylizację. Potraktowałem to jako odszkodowanie. – Zamilkł na chwilę. – Rozumie pani, że te zasrane kundle zrobiły ze mnie kalekę? – zwrócił się nieoczekiwanie do Marie, jakby w obliczu beznamietnej postawy Edelweissa właśnie od niej oczekiwał zrozumienia. – Rękę mogę spisać na straty.

Również Výrová milczała. To, co spotkało weterynarza, wydało jej się jakąś formą sprawiedliwości losu.

– W porządku, temat zamknięty – odezwał się komisarz, najwyraźniej nieczuły na cierpienia Halasa. – A teraz przejdźmy do najważniejszego – do niedźwiedzi.

– Nie wiedziałem, że Brukner je tam trzyma. Odrażająca sprawa.

– On twierdzi coś innego – stwierdził Edelweiss.

– Co niby?

– Podobno to pan wynajął od niego stary chlew i razem ze współnikiem przetrzymywał w nim zwierzęta.

– Brukner łąze jak bura suka – zachnął się weterynarz.

– W świetle zebranych informacji sądzimy, że to raczej pan za tym stał. Napadem w zoo dowodził weterynarz, który doskonale wiedział, co robi. Wiemy też, że posiada pan broń usypiającą.

– Jasne, pytała mnie o to ta policjantka... Wyjaśniłem jej, dlaczego ją mam. Brukner chce mnie we wszystko wrobić, żeby uniknąć odsiadki za śmierć tego portiera. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Edelweiss i Marie przyglądali mu się, nic nie mówiąc.

Halas uniósł obandażowaną rękę.

– Naprawdę sądzicie, że mógłbym to zrobić w takim stanie? Brukner musiał zaangażować innego weterynarza.

– On mówi, że to pan wszystko wymyślił. I że jego ludzie potwierdzą, że to pan sprowadził niedźwiedzie.

– Co za dupek! – ulżył sobie Halas. – Ale przecież to on płaci tym gorylom! Gdyby chciał, zeznaliby, że tydzień temu widzieli nad jego głową aureolę.

Pavel obserwował go z ponurą miną.

– Proszę spojrzeć na moją rękę – powtórzył weterynarz spokojniejszym tonem. – Od ponad miesiąca jestem półkaleką.

Bruknera i Halasa przewieziono do Ołomuńca. Kiedy tylko eskorta opuściła parking šternberskiego komisariatu, zjawił się Průcha. Zniecierpliwieni Marie z Pavlem od razu ruszyli w jego stronę.

– Sprawdziłem alibi Halasa – przeszedł do rzeczy podkomisarz. – Faktycznie spędził cztery noce w szpitalu. Pielęgniarka dobrze go zapamiętała, był bezproblemowym pacjentem. Skarżył się na bóle i nie mógł zasnąć, więc co wieczór dostawał środek nasenny. Siostry zaklinały się, że na pewno nie opuszczał oddziału. Pytałem też lekarza. Potwierdził, że Halas miał długotrwałe problemy ze zdrowiem i przez pewien czas nie poruszał palcami. Ogólna sprawność ręki była ponoć przez dłuższy okres obniżona.

W czasie gdy Purkyně, Kubík i Kodet pakowali niezbędne dokumenty, Šupina oznajmił Výrovej i Edelweissowi, że przejdą się teraz do centrum na porządną kawę. Z tonu jego głosu wywnioskowali, że nie powinni mu odmawiać.

Siedzieli w cieniu parasola w ogródku kawiarni przy Górnym Rynku (władze morawskich miast nigdy nie siliły się na zbytnią inwencję przy nadawaniu nazw swoim placom) z widokiem na kolorową, odnowioną ze smakiem dawną mieszczańską zabudowę, barokową kolumnę maryjną z połączoną figurą na szczycie i ogromny budynek liceum, tak ponuro dostojny i depresyjnie szary, jak tylko potrafią być przybytki oświaty. Na placu dominował klasycystyczny kościół Zwiastowania Najświętszej Maryji Panny z dwiema sześćdziesięciometrowymi wieżami, którego

monumentalność podkreślało także to, że zbudowano go na wzniesieniu, a dostanie się do środka wymagało pokonania najpierw szerokich kamiennych schodów. Świątynia nie była jednak widoczna z kawiarni, podobnie jak przylegający do niej klasztor augustianów i wyłaniająca się ponad Rynkiem panorama brodzącego w zieleni wzgórza zamkowego. Historyczne centrum miasteczka ze swoimi zabytkami mogło budzić ich zachwyt przed rozpoczęciem śledztwa; teraz, gdy poznali je od ciemniejszej strony, jakoś stracili ochotę na spacerowanie krętymi uliczkami.

Kelnerka z baniastymi nogami przyniosła im kartę napojów. Pod oczami miała wielkie, ciemne kręgi, przypominające makijaż aktorek z niemych filmów, i patrzyła na nich z taką apatią, że Marie najchętniej wstałaby i wyszła. Zamówili trzy kawy i wody mineralne, Šupina zaczekał, aż ospała dziewczyna oddali się od stolika.

– Chciałem z wami porozmawiać bez świadków. Wolę, żeby nikt nas nie słyszał.

Marie ze zdziwieniem uniosła brwi. Czyżby szefa dopadła mania prześladowcza?

Inspektor położył na stoliku listę członków psiego klubu Bruknera.

– Šmídmejster próbuje chronić własny tyłek – powiedział. – Dał mi to wczoraj.

Mrużąc oczy chronione przeciwsłonecznymi okularami Výrová spojrziała na kartkę.

– Co to ma być? – spytała.

– Ludzie umoczeni w te walki. Nie wiem, czy to pełna lista, podejrzewam, że nie, ale nazwiska są dość interesujące. Albo raczej funkcje, które za nimi stoją.

Marie wzięła kartkę do ręki. Edelweiss schylił głowę w jej stronę. Lista była wydrukowana, Šmídmejster starannie opisał wszystkie tytuły i

stanowiska; Šupina ręcznie dopisał przynależność partyjną. Spis zamykało również ręcznie dodane nazwisko Šmídmajera.

Inż. Bedřich Adámek, wicewojewoda, Ołomuniec (*CzPSD*)

Mgr Čestmír Chloupek, radny miejski, Ołomuniec (*OPD*)

Dr n. pr. Karel Jaroš, sędzia sądu okręgowego, Ołomuniec

Dr n. med., doc. Václav Kovaříček, kierownik kliniki, Szpital
Uniwersytecki w Ołomuńcu

Richard Loučný, właściciel salonu samochodowego,
Ołomuniec

Inż. Radek Mrkvička, zastępca wójta, Šternberk (*CzPSD*)

Dr n. med. Ladislav Rezek, zastępca dyrektora szpitala,
Šternberk

Pavel Truněk, przedsiębiorca w branży nieruchomości,
Ołomuniec, Šternberk, Litovel

Inż. Jindřich Vlach, radny miejski, asystent posła Zaňáčka,
Ołomuniec (*CzPSD*)

Dr n. pr. Oldřich Zoubek, prokurator, prokuratura okręgowa w
Ołomuńcu

Kamil Žáček, przedsiębiorca, przedstawiciel rady gminy,
Šternberk (*KPCzM*)

Zbyněk Brukner, przedsiębiorca (*klub nocny, autosalon, usługi
techniczne*), Šternberk

Leoš Šmídmajer

Do stolika przyczłapała niemrawa kelnerka i podała im zamówione napoje.

– Jasna cholera... – wymknęło się Edelweissowi, gdy przeczytali całą listę.

Kelnerka się obejrzała, ale gdy stwierdziła, że Pavel nie miał na myśli jakości kawy, zniknęła we wnętrzu kawiarni.

– Dostałeś to bezpośrednio od Šmídmajera? – zwróciła się do Šupiny Wielka Sowa.

– Tak. Zorientował się, że pali się pod nim grunt, więc chciał jak najszybciej pokazać swoją gotowość do współpracy.

– Hm... – zadumał się Edelweiss – wygląda mi to bardziej na... ostrzeżenie.

Inspektor spojrział na niego pytająco.

– Po prostu chciał panu pokazać, ilu ludzi jest w to zamieszanych razem z nim...

– ...i że mamy uważać – dopowiedziała Marie.

– To może być też lista potencjalnych podejrzanych – zasugerował Pavel. – Załóżmy, że Kristýna wpadła na trop tych całych kynologów od Bruknera, i ktoś postanowił ją uciszyć.

– Nie wykluczałabym tego – stwierdziła Marie – ale póki co ta wersja wydaje mi się naciągana.

– Podoba mi się to szerokie polityczne spektrum. – Edelweiss przyglądał się liście. – Jak kiedyś w parlamencie: władza dogaduje się z opozycją, ręka rękę myje, tyle że na polu biznesowym. Kiedy chodzi o pieniądze, światopogląd schodzi na bok.

Zapanowała cisza. Marie napiła się wody, trzy kawy stały na stoliku nietknięte.

– Właśnie dlatego chciałem porozmawiać bez świadków. Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę łączy tych ludzi.

Wciąż wpatrując się w przyciśniętą popielniczką kartkę, Výrová poczuła naraz obezwładniające zmęczenie. Šupina przypomniał sobie o kawie. Wsypał do filiżanki cukier z saszetki, powoli zamieszał łyżeczką, którą następnie odłożył na spodek, i upił łyk. Jedną z zalet upałów jest to, że gorące napoje nie stygną na lód.

Edelweiss zrobił to samo. Odłożył filiżankę na stolik i powiedział:

– Rozumiem, o co panu chodzi, szefie. Łatwo sobie wyobrazić system, w którym poruszają się ci ludzie. Podobnie było kiedyś z Jonášem. Kiedy tylko zaczęliśmy się nim interesować, odsłoniła się cała układanka. Co z tym zrobimy?

Šupina wzruszył ramionami.

– Gdyby to opublikować, będzie skandal, jakiego tu jeszcze nie mieliśmy – ciągnął Edelweiss.

– Naiwniak z ciebie – mruknęła Marie posepnie.

Przypomniała jej się rozmowa z Jonášem tamtego grudniowego wieczora w jego willi. Rozgoryczenie, które czuła, i drwiąca postawa kwestora, oparta na przekonaniu o bezkarności. To była jedna z najgorszych spraw, jakie prowadziła. Co mu wtedy powiedziała? „...zabójcę zrobił z niego układ, który stworzyli tacy ludzie jak pan albo pański nowy chlebodawca. Układ oparty na klientelizmie, kołesioństwie i przysługach na zasadzie coś za coś”. Świadomość, jak cała afera się zakończyła, nadal doprowadzała ją do furii.

Edelweiss się nie odzywał, wyjął tylko z kieszeni nokię lumia i czegoś w niej szukał.

– Czyli co z tym zrobimy? – zapytała Marie inspektora i wskazała na listę.

– Nie mam pojęcia. Jeśli się w to teraz zaangażujemy, możemy stracić z pola widzenia istotę śledztwa. Mamy trzy niewyjaśnione śmierci. Wydaje

mi się, że szkoda czasu na zajmowanie się walkami. Najpierw musimy znaleźć mordercę Kristýny, a dopiero potem zajmować się psami.

Marie milczała, także ona w końcu sięgnęła po filiżankę z kawą.

– Coś wam pokażę. – Edelweiss oderwał spojrzenie od komórki. – Przedwyborcza strona tego całego Adámka. Ma na niej zdjęcie z psami. Jeden rottweiler i nie wiem... Chyba pittbul. A może amstaff? Zawsze mi się mylą.

Marie i Šupina spojrzeli na zdjęcie: łysy pięćdziesięciolatek o twarzy wygładzonej w photoshopie, uśmiechał się z typowym dla biorących udział w kampaniach polityków optymizmem i obejmował dwa czarne stworzenia. Výrová, mając świadomość, do czego się je wykorzystuje, od razu dostrzegła w ich niby to apatycznych spojrzeniach żądzę przegryzienia fotografowi tętnicy szyjnej.

Pokiwali z Šupiną głowami na znak, że przyjmują ten fakt do wiadomości.

Edelweiss palcem wskazującym usunął zdjęcie z wyświetlacza.

– Proszę posłuchać tego. Zainteresowania: kynologia i cyklistyka. Gdyby jego wyborcy wiedzieli, co się za tym kryje...

– Osobiście nigdy nie zagłosowałabym na faceta, którego największym hobby jest jazda na rowerze – stwierdziła Marie. – Spocony pięćdziesięciolatek w obcisłych spodenkach z lycry wywołuje u mnie odruch wymiotny.

Wbrew nie najweselszym okolicznościom spotkania Pavel gromko się roześmiał i schował komórkę do kieszeni.

– Mój pradziadek – zaczął Šupina – prowadził przed wojną własny gabinet lekarski. Potem mu go odebrali i do emerytury pracował w przychodni rejonowej. Lekarze w tamtym czasie cieszyli się wielkim autorytetem. Byli kimś. I on właśnie tak się czuł. Nie chodziło mu w

pierwszej kolejności o pieniądze, choć potrafił je zarobić, ale o prestiż zawodu. Miał abonament na całą łożę w teatrze i uważał to za coś oczywistego. W domowej bibliotece trzymał dzieła Masaryka i Čapka. A nawet je czytał. Nie wiem, ile z tego rozumiał, słabo go pamiętam, ale z pewnością o tym wspominał. Głosował na partię rolniczą. W międzywojniu naturalnie. Tata mi kiedyś opowiedział, jako rodzinną anegdotę, że dziadek miał pewną słabość, której bardzo się wstydził i ukrywał ją przed kolegami i klientami. Wiecie, o co chodziło? – Inspektor się uśmiechnął. – Ubóstwiał operetki. Nie te klasyczne, ale nasze, czeskie. Przepadał za Járą Benešem i Rudolfem Piskáčkiem. Bardzo obu szanował, a nawet znał osobiście. *Perły panny Serafínki* wprawiały go w zachwyt. Znał je praktycznie na pamięć, nie mógł się od nich uwolnić. Ale też czuł ogromne zażenowanie, bo wiedział, że jako lekarz, elita narodu, powinien znać pisma Masaryka. A dzisiejsze elity? Szczycą się, że umieją jeździć na rowerze. Mój dziesięcioletni wnuk też umie, i co?

– Czeka go wielka kariera – skomentowała ponuro Wielka Sowa.

Šupina uśmiechnął się gorzko i wrócił do tematu:

– Spójrzcie na tę listę. Politycy, wprowadźcie lokalni, ale zawsze. Sędzia. Prokurator. Dyrektor szpitala. O przedsiębiorcach nawet nie wspominam... Wszyscy oni są na swój sposób elitą tego regionu. A tymczasem ich pasją jest kynologia sportowa! Jestem już stary i przerasta mnie to. Mój ojciec też był lekarzem, ale w wolnym czasie czytał książki. Przez trzydzieści pięć lat był członkiem klubu czytelnika. Czemu? Żeby mieć o czym rozmawiać z pacjentami. Jazdę na rowerze uważał za zajęcie dla dzieci. A o czym może pogadać z pacjentami taki Rezek? Albo Kovaříček? Że spadł im łańcuch? Nie macie pojęcia – Šupina podniósł głos – jak bardzo jestem wkurwiony. To jest żywa ilustracja przestrogi Marksa: upadek rządów autorytarnych i wprowadzenie demokracji nie wystarczą, aby między ludźmi zapanowały

prawdziwa równość i przyzwoitość. Nic dziwnego, że ten naród jest, jaki jest, skoro sędzia bierze udział w walkach psów. – Inspektor, przez większą część rozmowy opanowany i powściągliwy, naraz zaczął wychodzić z siebie. Gruzłowatym palcem wskazującym uderzył w kartkę papieru na środku stolika. – Nie chodzi o jedno zgniłe jabłko, tu zawiódł cały system, na którym pasą się te nowe elity. To najgorsze dziedzictwo komunizmu, establishment złożony z ludzi bez skrupułów, cwaniaków, którym chodzi wyłącznie o kasę i własny interes.

– Problem w tym, że lista sama w sobie nie ma żadnej wartości dowodowej – zaproponowała Marie. – To tylko zestaw nazwisk. Nic więcej. Šmídmajer może się wszystkiego wyprzeć.

Edelweiss włączył się do rozmowy:

– Proszę się nie gniewać, ale wydaje mi się, że tracimy czas, przesiadując w kawiarni i narzekając na system. Jaki powinien być kolejny ruch?

– Šmídmajer chyba się zorientował, że niczego u mnie nie wskóra. I pewnie postanowił wrócić pod skrzydła swoich koleś. Oni wiedzą, że o nich wiemy. Ale nie znają naszych planów. Dla nas najważniejsze jest wyjaśnienie tych morderstw. A przy tym musimy się jakoś zabezpieczyć. Cokolwiek postanowimy w sprawie tej listy, potrzebne są nam gwarancje z góry.

– Co to znaczy? – spytał Edelweiss podejrzliwie.

– Że niczego nie będę ukrywać. Włączę listę do akt śledztwa. A oryginał przekażę jutro komendantowi regionalnemu.

Marie pokręciła głową.

– Robisz błąd, Jindřich. Kráčmar nas udupi.

– Kráčmar nas udupi, jeśli to przed nim zataję – odpowiedział Šupina pewnym siebie tonem.

Kiwnęli na ospałą kelnerkę i poprosili o rachunek.

Część piąta

W kręgu przyjaciół

21–28 czerwca 2013

Dzień dziewiąty

Piątek 21 czerwca

58

Komendant regionalny kraju ołomunieckiego Ivo Kráčmar zmierzył przybyłych wzrokiem, dał im znak, by usiedli w fotelach przy stole konferencyjnym, i zapytał, czy wypiją z nim poranną kawę. Marie miała wprawdzie ochotę na kofeinę, ale nie w towarzystwie tego człowieka. Komendant wiedział o jej awersji i za każdym razem dawał do zrozumienia, że zbytnio się nią nie przejmuje.

Gdy oboje zrezygnowali z kawy, Kráčmar uznał, że mogą zacząć, i przybrał urzędowo surowy wyraz twarzy.

– Wezwałem was o tak wczesnej porze, bo zaraz przyjdą koledzy z inspekcji.

Ani Šupina, ani Wielka Sowa nie zareagowali w żaden sposób na tę informację. Komendant zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował:

– W związku z sytuacją w komisariacie w Šternberku, który po waszej interwencji jest kompletnie sparaliżowany...

– Mam poczucie, że był sparaliżowany raczej przed naszą interwencją... – zauważył inspektor.

Kračmar zignorował jego uwagę.

– ...zostanie powołana specjalna komisja do zbadania sprawy.

– Której sprawy?

– Sprawy aspirant Kristýny Horovej.

– Aha. A kto będzie w komisji?

– Wyłącznie bezstronne osoby. Przejrzałem bardzo dokładnie akta waszego śledztwa. Muszę przyznać, że wyniki dochodzenia stoją w całkowitej sprzeczności z opinią, jaką cieszy się wasza formacja...

Výrová miała ochotę powiedzieć mu coś bardzo niemiłego, ale ugryzła się w język.

– ...panie inspektorze – dodał komendant, aby nie było wątpliwości, do kogo się zwraca. – Śledztwo w sprawie zabójstwa w ogrodzie zoologicznym... Cóż, niedźwiedzie udało wam się znaleźć. A właściwie nie wam, tylko Horovej, która szukała ich na własną rękę. Namierzyliście sprawcę? Nie.

– Wytypowaliśmy dwóch podejrzanych – oświadczył Šupina, a Marie nie mogła wyjść z podziwu dla jego opanowania.

– Owszem. Ale dowodów brak. Poza tym obaj mają alibi na noc, kiedy doszło do napadu. To samo dotyczy tego nieszczęśnika, którego wystawiliście jako przynętę. Jedyne, o co możecie ich oskarżyć, to uśpienie psów Bruknera. Jeszcze nie skończyłem! – zaznaczył głośniejszym głosem, widząc że Wielka Sowa chce coś powiedzieć. – Macie choćby jeden dowód, że faktycznie organizowano tam psie walki? Nie macie – odpowiedział sam sobie. – Jedyne, co macie, to lista znaczących ludzi z naszego regionu, których chcecie zdyskredytować, jak to się zwykło u nas robić. Jesteście świadomi konsekwencji, gdyby ten spis insynuacji dostał się do wiadomości publicznej? To są zwyczajni hodowcy psów, którzy spotykają się i wymieniają doświadczeniami...

– Chyba nie mówi pan tego... – Wielka Sowa rozeźliła się.

– Powiem wam dokładnie, co się stało. Psy Bruknera pożarły się między sobą. Trzeba je było uśpić. Weterynarz, zamiast odwieźć zwłoki do spalarni, z czystej chęci zysku zakopał je w lesie. Znalazła je Horová. Wszyscy wiemy, że stawała na głowie, żeby wrócić do waszego zespołu. I

żeby się popisać, wykazać, wymyśliła sobie wielką aferę. Przy okazji zupełnym przypadkiem natrafiła na coś, czego szukaliście i powinniście byli odkryć wy. Wystraszyła się i zaczęła działać wbrew wszelkim regułom i przepisom, za co zapłaciła życiem. Doszło do okropnej tragedii, zginęła młoda kobieta. Może gdyby nie wzorowała się tak bardzo na waszych metodach pracy, przestrzegała procedur i słuchała przełożonych, uniknęlibyśmy najgorszego. Teraz planujecie osobistą wendetę. Chcecie skompromitować komendanta ze Šternberka. Rozmawiałem z nim wczoraj. Ten człowiek jest na skraju załamania, nie może się otrząsnąć z tego, co mu zgotowaliście. A przy tym jesteście jego kolegami po fachu. Powiem tak: jeśli Šmídmajer odbierze sobie życie na skutek waszych pomówień, sami sobie wystawicie świadectwo! – zakończył patetycznie.

– Na ile miałem okazję go poznać, sądzę, że jakoś sobie poradzi. Prawdopodobnie nawiąże nowe, równie korzystne dla siebie znajomości – skonstatował bez emocji Šupina.

– Reasumując, mamy trzy sprawy. Wam udało się ustalić jedynie, kto uśpił chore psy. Jestem pod wrażeniem.

– Mamy podejrzanych i kilka wersji zdarzeń – zaproponował inspektor. – Jak pan doskonale wie, śledztwo zawsze opiera się na skrupulatnym zbieraniu dowodów i...

– Bardzo mnie cieszy, że pan o tym nie zapomniał, inspektorze. Przynajmniej zdajecie sobie sprawę z błędów, które popełniliście.

Następnie poinformował ich, że przed chwilą zwolnił Bruknera i Halasa z aresztu, albowiem zakopanie pięciu psów w lesie nie jest wystarczającym powodem tymczasowego zatrzymania.

Zbyněk Brukner sądził, że dzień jego powrotu z aresztu będzie dniem chwały i zwycięstwa, w najczarniejszych myślach nie mógł natomiast przewidzieć, że dwanaście godzin później będzie leżeć bezwładnie na ziemi, na wpół ślepy i unurzany w wymiocinach, nie mogąc złapać powietrza i skręcając się w konwulsjach, a do jego słabnącej świadomości docierać będą jedynie mgliste, rozmazane kształty i sylwetki w czarno-białych barwach. Nie będzie wiedział, gdzie jest ani co się z nim dzieje, jego wnętrzości zaleje szarpiący, nieznośny ból, serce będzie walić jak oszalałe, aż w końcu wszystko wokół niego rozplynie się na dobre. A potem miną jeszcze dwa długie dni, zanim znajdą go uwalanego w rzygach i fekaliach, z wytrzeszczonymi, zalanymi krwią, martwymi oczami.

Wszystko to jednak miało go spotkać dopiero za kilka godzin. Na razie stał przed komendą miejską policji w Ołomuńcu, wystawiając zmęczoną twarz do słońca, a przez ciężkie, przymknięte powieki przenikał do jego oczu mocny żar w postaci ciepłej, pomarańczowej barwy, która rozlewała się na siatkówce, i choć minione godziny wiele go kosztowały, czuł się zwycięzcą. Co tam „czuł się” – on nim po prostu był. Na razie.

Zastanawiał się, co teraz. Jechać do domu, gdzie czekała oziębła jak lód żona? Odpada! Jeszcze parę tygodni wcześniej po tego typu przygodzie zapewne od razu popędziłby do swoich psów. Najpierw oszalałyby z radości na jego widok, potem rzuciłyby im kilo podrobów cielejących i przyglądał się, jak pożerają je z głośnym mlaskaniem, a z ich szerokich pysków tryska ślina. Jeszcze później zabrałyby całą piątkę, szczęśliwą i najedzoną, na spacer i patrzył, jak biegają po lesie, poruszając nerwowo

nozdrzami, nakręcając jeden drugiego – i biada każdej sarnie czy zającowi, które stanęłyby im na drodze. On w tym czasie odprężyłby się i zrelaksował, bo nic go tak nie zachwyca – a właściwie nie zachwycało – jak widok tych rozbieganych czworonogów, korzystających z wolności i ruchu, spoglądanie na ich doskonale wypracowane mięśnie, rozedrgane od nieustannego natężenia zmysłów... I co mu z tego zostało? Nic, wspomnienie. Mógł tylko sięść i płakać. Wtedy przypomniał mu się Halas, z którym musiał się porachować.

Powrót do domu nie wchodził więc w rachubę. Był podenerwowany i wypluty, brakowało mu zwierząt, w końcu postanowił pojechać do lokalu, wypić parę shotów na uspokojenie, a potem – jeśli będzie mieć ochotę i siły – może jeszcze zaruchać dla poprawy nastroju. Ale to dopiero w nagrodę. Najpierw musi załatwić parę rzeczy. Kto pójdzie na pierwszy ogień? Niech będzie ten pajac Šmídmajer.

Jeszcze rano zadzwonił z komisariatu do firmy i kazał po siebie przyjechać, a teraz zawieźć do lokalu.

Ramzes – jak można się było spodziewać – stał za barem, przy którym siedziała jakaś blondyna z papierosem i nawijała przez komórkę. Brukner domyślał się, że dziewczyna dla niego pracuje, bo inaczej nie miałyby tu czego szukać o tej porze, ale nie rozpoznawał jej. Nie widział twarzy, a te laski co chwila zmieniają fryzury i stylówki, bo do ich kurzych mózdków nie dociera, że świat składa się z ciekawszych rzeczy niż galerie handlowe i fryzjerzy geje. Nie zawracał nią sobie dłużej głowy, widok barmana jednak tak bardzo go ucieszył, że aż sam się sobie dziwił; zdarzało mu się sparzyć na ludziach, ale Ramzes ze swoją nieruchomą twarzą był dla niego jak żona Cezara, a do tego zawsze zjawiał się, gdy był potrzebny.

– Nalej mi... – zawołał od drzwi, a zaraz potem odebrało mu mowę.

Blondyna się odwróciła i... Nie pojechał do domu, bo nie chciało mu się patrzeć na własną, pozał się Boże, żonę, a tymczasem ona siedzi tu, w jego barze.

– Co tu robisz? – zapytał chłodno.

Jitka uniosła narysowane kredką brwi. Zbyňkowi przypomniały się czasy, gdy jeszcze spędzali razem noce i gdy najpierw z fascynacją, a potem z coraz większym obrzydzeniem patrzył co rano, jak cipencja przez kwadrans tkwi z pęsetą w ręce przed lustrem i sprawdza, czy w kępkach rzadkiego, jasnego zarostu nad oczami nie przybył aby nowy włossek. Teraz miała problem z głowy, brwi zastąpiła imitacja. Pomyślał, że cała jest jedną wielką imitacją.

– Zbyňk... Puścili cię? – zdziwiła się głosikiem, który kiedyś potrafił go oczarować.

– Nie mieli powodów mnie tam trzymać – wyjaśnił. – Ale ja chcę wiedzieć, co ty tu robisz?

– Ktoś musiał doglądać lokalu... – odparła.

Miała na sobie białą koszulkę na ramiączkach i beżową spódniczkę. Na nogach wymyślne sandały. Skąpym ubraniem dawała światu do zrozumienia, że większość czasu spędza, opalając się przy domowym basenie, bo jak każda kuta na cztery nogi blachara znalazła sobie starszego faceta, który opłaca jej luksusowe życie, choć w zamian nie może liczyć nawet na regularne obciążanie.

Brukner zarechotał od serca.

– Chyba se robisz jaja! Doglądać lokalu? Ty? Przecież ty nie umiesz nawet wypełnić formularza w pośredniaku! Ramzes, powiedz mi, jak długo tu siedzi? Żebym wiedział, czy już jesteśmy na minusie, czy dopiero będziemy...

Barmanowi nie drgnęła nawet powieka.

– Niech się pan nie martwi, szefie. Żona naprawdę pilnowała, żeby nikt pana nie okradł i tego typu rzeczy...

– W to nie wątpię. – Brukner się roześmiał, podszedł do baru i wspiął się na stołek obok żony. – W to akurat, kurna, nie wątpię. Nalej mi jedną, Ramzes, ale nie tego, co ostatnio. Jakoś mi nie zasmakowało.

Přikrył wyjął spod lady butelkę i napełnił szklaneczkę w jednej trzeciej. Brukner wychylił ją na jeden haust i dał znak ręką, żeby mu dolać. Gdyby nie myślał wyłącznie o tym, co zaraz powie żonie, może dostrzegłby lekki uśmiech na twarzy barmana i porozumiewawcze spojrzenie, jakie ten rzucił Jitce.

– Wiesz, żabciu, kto mnie w życiu najbardziej okradł? Zgadnij. Siedzi naprzeciwko mnie.

– Jestem twoją żoną i należy do mnie połowa majątku. Musiałam wszystkiego przypilnować, kiedy byłeś w pierdlu.

Brukner poczuł do niej bezbrzeżną nienawiść. Ramzes postawił na barze drugą szklanę, tym razem hojniej napełnioną. Powinienem suce przylać, pomyślał Zbyněk, patrząc na żonę, złoić jej tyłek, żeby przez tydzień nie mogła usiąść. Jezu, jaki ja byłem głupi i miękki! Gdybym się zorientował, kogo sobie biorę, gdybym odpowiednio wcześniej ją ustawił, to jebane małżeństwo mogło wyglądać zupełnie inaczej.

– Ramzes, znasz ten dowcip: po czym poznać, że żona umarła?

Barman pokręcił głową. Brukner twierdził wprawdzie, że opowiadanie kawałów Ramzesowi to jak tłumaczenie Cyganom, czym jest dyscyplina pracy, ale teraz zależało mu głównie na wbiciu szpili Jitce.

– Seks jest taki sam, tylko naczynia nieumyte – zachrumkał i napił się (jeden łyk, plus minus ćwiartka szklanki). – Dobra, żabko, zrobiłaś kontrolę, a teraz zasuway do domu, bo tu jest miejsce dla ludzi pracujących i jeszcze paznokiec byś sobie złamała. Ja już mam wypite, czyli na

pogotowie musiałyby cię odwiedzić Ramzes, a po drodze by się przekonał, jaka z ciebie intelektualistka. No, zmykaj...

Jitka z obrażoną miną zeskoczyła ze stołka, wymieniła kolejne spojrzenie z barmanem (Bruknerowi znowu to umknęło, bo był zajęty whisky), mruknęła pod nosem coś, w czym jej mąż słusznie domyślił się przekleństwa (kiedy miał dobry nastrój, fochy żony nawet go bawiły) i wyszła.

– Wszystko w porządku, szefie? – zapytał Příklad. – Martwiliśmy się o pana.

– Jest git, Ramzes. – Zbyněk wychylił resztę whisky.

Barman uśmiechnął się krzywo, Brukner posunął szklaneczkę w jego stronę, a tamten od razu zrozumiał, co to znaczy.

– Doigrały się, cholerne pały. Zadzwonię w parę miejsc i mnie popamiętają, cwele jedni policyjni. Zbyněkowi Bruknerowi nikt nie będzie robił koło dupy.

Barman napełnił szklankę i pokiwał głową z aprobatą.

– Gdzie wszystkich wywiało, do cholery? – chciał wiedzieć Zbyněk, rozglądając się wokoło.

– Majkela i Endiego zgarnęła w nocy policja.

– Dlaczego, kurwa?

– Tego nie wiem, szefie.

– Nie bój, Ramzes, długo tam nie posiedzą. Pamiętaj, Zbyněk Brukner nie zostawia swoich ludzi na lodzie.

– Uspokoił mnie szef. Wczoraj dzwoniła pana mama, pytała, dlaczego się pan nie odzywa i że ludzie we wsi gadają...

– Co jej powiedziałaś?

– Ja nic, rozmawiała z nią pana żona.

– Boże – westchnął Brukner. – I co jej powiedziała?

Barmanowi nie drgnął na twarzy żaden mięsień.

– Że pana przymknęli.

– Co za tępą dzida! – Zbyněk odłożył szklankę na bar i poszedł odkręcać, co inni napsuli.

– Bardzo się o ciebie martwiłam, Zbyněčku – westchnęła pani Bruknerová.

Siedzieli przy kuchennym stole, a jego uwadze nie uszło, że od ostatniej wizyty matka nie poczyniła znacznych postępów, jeśli idzie o korzystanie z podarowanych jej nowoczesnych urządzeń.

– No przecież jestem, mamó, przyjechałem – odpowiedział apatycznie syn. Znow rozboleł go brzuch. Niech to szlag, pomyślał, nie powinienem być pić na pusty żołądek.

– Nie jesteś głodny, Zbyněčku?

Nie był w stanie odmówić sobie matczynej oferty gastronomicznej. Zwłaszcza dziś. Z garnka wyrzały na niego ziemniaczane knedle nadziewane domową wędzonką, do których nałożyła mu wielką porcję zasmażanej kiszzonej kapusty.

– No, Zbyněčku, podjedz sobie. To jest porządne, zdrowe jedzenie. Nie to co w tych barach.

Miała rację. Po ostatnich przeżyciach, kiedy zobaczył ją w tej samej co zawsze podomce i w chustce na głowie, bo w końcu – jak podpowiadała żelazna logika siedemdziesięcioletniej kobiety – nawet w upalny dzień może człowieka przewiać, niespodziewanie i głęboko się rozrzewnił. Tak, właśnie tu czuł się najlepiej. Gdyby wyłączył komórkę, a najlepiej wyrzucił, mógłby tu sobie żyć w absolutnym spokoju, nikt nie trąby mu głowy, no może mama, żeby się tak nie złościł, odpoczął sobie i zjadł porządny obiad. Mieszkałby z nią, kupiłby nowe psy, ale tylko dla

przyjemności, nie dla kasy. Wszystko i wszystkich miałby w dupie. Warto w ogóle żyć w takim stresie? Spokojnie dokończył jedzenie i słuchał opowieści matki o życiu we wsi, o ludziach, których powinien kojarzyć, a jak na złość nie kojarzył, o jej wyprawach do sklepu i z powrotem. Głos matki płynął jak potok, on jadł i od razu puszczał jej słowa mimo uszu, bo do niczego nie były mu potrzebne. Poczł się trochę lepiej. Skończył jeść, odsunął talerz, podziękował i zauważył, że starsza pani świdruje go wzrokiem typowym dla matki dorosłych dzieci. Podniósł głowę w jej stronę. Twarz mamy była pełna troski.

– Wszystko u ciebie w porządku, Zbyněčku?

– Coś mnie boli żołądek ostatnio – przyznał boleściwie.

– To dlatego, że źle się odżywasz. Poza tym te komórki są strasznie szkodliwe. Majka Trochtová mówiła, że robili o tym badania. – Bruknerová była przekonana do swojej racji, a Zbyňkowi nie chciało się z nią kłócić. – Mam domową śliwowicę. Znasz Mojmíra Šťopkę, tego młodego, syna starego Mojmíra Šťopki. To on ją upędził zeszłego roku. Stary Mojmír mi przyniósł, napij się, to nie jest bimber, dla zdrowotności, dam ci kieliszek i zobaczysz, od razu ci się poprawi. Zobacz, ile już wypiałam i nic mi nie dolega.

Brukner spojrzł podejrzliwie na litrową, opróźnioną w jednej trzeciej butelkę.

– Nie ma w niej metanolu. Ciągle o tym mówią w telewizji, ale stary Mojmír nie dałby mi żadnego świństwa – zapewniła pani Bruknerová.

Jej syn miał już po dziurki w nosie drogich marek i dziwnych smaków, którymi raczył go Ramzes. Pozwolił sobie nalać kieliszek i wypił go na dwa razy. Śliwowica była mocna, aż łzy napłynęły mu do oczu, a gardło paliło jak diabli. Po chwili jednak poczuł rozplływającą się po całym wnętrzu falę ciepła i musiał przyznać, że młody Šťopka zna się na rzeczy.

– A teraz mi powiedz, Zbyněčku, czego od ciebie chciała policja. Ludzie mówili, że cię aresztowali.

– Jacy, kurwa, ludzie? – Brukner się wściekł.

– Nie denerwuj się. Zaraz pomyślałam, że to jakieś bzdury, ale powiem ci szczerze, że nie mogłam potem spać. A kiedy sobie przypomnę, jak cię szukała ta młoda dziewczyna i też mówiła, że jest z policji...

– Mamo, siedzę tu z tobą, prawda? To znaczy, że mnie nie zamknęli, jasne?

Bruknerová przytaknęła.

– Policjanci chcieli tylko, żebym im pomógł w jednym śledztwie...

– Pomógł w śledztwie? A czemu przyszli do ciebie? Jesteś detektywem, czy co?

– Oczywiście, że nie. Po prostu składałem zeznania.

– Zeznania? Rany boskie! W związku z czym? Nie będzie z tego jakich kłopotów, Zbyněčku?

– Nic się nie bój. A kto w ogóle mówił, że mnie zamknęli?

– Nieważne. Tylko byś się zdenerwował.

– Aha. Czyli Smékal, ten kutas z naprzeciwka. Szmaciarz pierdolony!

– Nie mów tak o nim, synku. Ja muszę żyć dobrze z sąsiadami.

– Jeszcze go załatwię, starego komucha.

– Zbyněčku, nie rób ludziom wstrętów.

– To po cholere cię niepokoi, a potem całą noc nie śpisz?

– Najważniejsze, żebyś nie robił wstrętów. Jitka też mówiła, że cię zamknęli.

– Oczywiście, Jitka! Nawet mi o niej nie przypominaj! Ją też niedługo usadzę, krowę jedną.

– Nawet mi tak nie mów. Znów nie będę mogła spać. Jak tak leżę wieczorem, to sobie myślę, że w domu pewnie nie dostajesz nic ciepłego do jedzenia. A gorący posiłek to podstawa. Wieczorem też. Jak mężczyzna wraca do domu z pracy, musi zjeść gorący posiłek. Ale porządny, a nie jakieś takie... co pokazywali w telewizji, że kupujesz gotowe w sklepie, wkładasz do mikrofalówki i odgrzewasz. A właśnie, Zbyněčku – starsza pani rozejrzała się po kuchni – nie chcesz sobie zabrać tej kuchenki? Majka Trochtová mówiła, że te mikrofalówki wytwarzają jakieś promienie, czy co. A w telewizji widziałam kiedyś, jak taka kuchenka wybuchła. Boję się tego trzymać w domu. Zabierz to sobie...

Pół godziny później pożegnał się i z kuchenką w objęciach ruszył w stronę auta. Mama miała rację. Śliwowica naprawdę pomogła. Czuł się lepiej, żołądek przestał boleć, a mroczki przed oczami ustąpiły. Zapakował urządzenie do bagażnika, rozejrzał się po ulicy i naraz zauważył, że w oknie domu naprzeciwko poruszyła się firanka. Czekał, szmaciarzu jeden, pomyślał i ruszył dziarsko w tamtą stronę.

Nacisnął dzwonek przy furtce. Cisza.

– Otwieraj, wiem, że tam jesteś – krzyknął.

Z okna na parterze wyłoniła się naburmuszona twarz staruszka.

– Musisz zaraz tak ryczeć, Zbyňo?

– Dla ciebie to ja jestem inżynier Brukner.

Sąsiad mruknął coś pod nosem, a Zbyňkowi zdawało się, że powiedział „tylko się nie zesraj”. Zignorował to.

– Podobno mówiłeś mamie, że mnie zamknęli.

Smékal nie reagował.

– Stoję tu, tak? Wyglądam na człowieka, który siedzi w pierdlu? Nie, prawda? Więc na przyszłość łaskawie się zamknij.

– Przestań się wydzierać – upomniął go tamten.

– Posłuchaj uważnie! – ciągnął Brukner, ostrzegawczo unosząc palce. – Jeśli jeszcze raz usłyszę, że opowiadasz mamie jakieś dyrdymały na mój temat, inaczej pogadamy. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

– Nie będziesz mi tu urągać. Wiem, że cię wsadzili! – krzyknął z okna Smékal, ale na wszelki wypadek zrobił krok do tyłu.

– Stul dziób, ty wyliniały komuchu! – odwdzieczył mu się Brukner.

– Bandzior!

– Goń się, fiucie! – odpowiedział Zbyněk, ale już do zamkniętego okna.

W lokalu przywitał go Ramzes i od razu nalał mu solidną porcję whisky, zapewniając przy tym, że to coś specjalnego. Wymówił przy tym jakąś irlandzką nazwę, ale dla Bruknera mógłby równie dobrze mówić po chińsku. Biznesmen nie miał na trunek najmniejszej ochoty i już chciał odmówić, barman wspomniął jednak, że bardzo podszedł wicewojewodzie Adámkowi. Wprawdzie kazał sobie dolać wody, ale i tak był zadowolony. Zbyněk uległ sile argumentu. Szczerze nie znosił Adámka i mawiał o nim w prywatnych rozmowach, że nawet jamnik po wylewie ma bardziej wysublimowane kubki smakowe, a ten snob zjadłby z apetytem zdechłego kreta marynowanego w szambie, gdyby mu powiedzieć, że to szwajcarski przysmak narodowy. Cóż, skoro taki idiota cmoka z zachwyty nad tą whisky, on, Brukner, może się co najwyżej uśmiechnąć z wyższością. Skosztował nowej próbki. Ramzes przyglądał mu się uważnie. Receptory w języku Zbyńka ani drgnęły, mózg nie zanotował choćby cienia przyjemności, a jednak mężczyzna pokiwał głową z uznaniem, jakby chciał powiedzieć: niezłe.

– Widzę, że nie rzuciła szefa na kolana – skomentował sucho Ramzes. – Tak myślałem. Obawiam się, że pan Adámek nie jest aż takim ekspertem,

za jakiego się uważa. Proszę spróbować tego.

– Muszę zadzwonić w parę miejsc... – wykręcił się Brukner.

Nie miał ochoty na kolejną degustację. Ramzes potrafił być namolny jak akwizytorzy dostawców energii. Podstawiał mu tacę ze szklaneczką, a Bruknerowi wydawało się, że jeśli odmówi, zachowa się jak ojciec, który nie pochwalił dziecku rysunku (tak to sobie przynajmniej wyobrażał, bo z tą swoją gęsią żadnych bachorów nie miał i mieć nie będzie). Napił się.

– Powiem ci szczerze, że dupy nie urywa. Co to jest?

– Dostałem próbkę od kolegi. Piętnastoletnia irlandzka. Quistadavich. U nas praktycznie nie do kupienia. Produkuje ją mała firma i prawie wszystko idzie na rynek amerykański, dla nowobogackich.

Brukner wpatrywał się w złocisty płyn w szklaneczce. Smak go nie porwał. Aromat też nie. Czyżby stępiły mu się narządy zmysłu?

– Powtórzysz, jak się nazywa?

– Quistadavich. Jak już powiedziałem, u nas de facto nieznana. Pomyślałem, że się pan ucieszy.

Stara się chłopak, pomyślał Brukner.

– Zaczekam trochę, może powinno się uleżeć na języku... – zasugerował Zbyněk i naraz przyszło mu do głowy, że tą uwagą mógł się skompromitować w oczach Ramzesa i wyjść na kompletnego dyletanta.

Barman jednak pokiwał głową.

Brukner wziął do ust porządny łyk. Nic. Przełknął.

– Nie mam teraz smaka.

Přikrył znowu przytaknął na znak, że rozumie.

– W bagażniku mam mikrofalówkę. Zanieś ją do magazynu. A gdyby ktoś mnie szukał, powiedz, że wszystko w porządku, ale chcę być sam. –

Poszedł do swojego biura, aby w końcu wykonać pilne telefony. Znow nie czuł się najlepiej.

– Nareszcie coś mamy – powitał Wielką Sowę i Šupinę podekscytowany Edelweiss, gdy spotkali się znowu w biurze.

Jego miejsce za biurkiem zajmował Průcha, popijał kawę z plastikowego kubeczka i jak zwykle obficie się pocił.

– Interesują mnie wyłącznie dobre wiadomości – burknęła Marie.

– Ta jest taka pół na pół. Wczoraj po pani odejściu przyszło mi do głowy, że powinniśmy wziąć na spytki tych goryli od Bruknera, co wszędzie za nim łążą. Pojechaliśmy po nich z Vaškiem...

Miał na myśli podkomisarza Průchę, który z zadowoleniem pokiwał głową zza biurka Edelweissa.

– Akcje w terenie mają swój urok – dodał niemal rozmarzonym głosem.

Wspólny wyjazd z Edelweissem, nieodłącznym Kubíkiem i wiecznie zdziwionym Antonem dostarczył mu emocji, jakich nie zaznał przez ostatnie trzy lata służby, co najmniej od czasu, gdy pod dworcem kolejowym anarchiści naparziali się ze skinheadami, bo ci ostatni urządzili polowanie na Cyganów. Goryla o ksywce Majkel przyskrzynili w drzwiach burdelu Bruknera Kubík i Anton. Sytuacja w środku trochę wymknęła się spod kontroli, czemu przyglądał się w milczeniu barman o kamiennej twarzy. Endi próbował uciec. Anton otrzymał cios stołkiem barowym, a kiedy upadał na ziemię, pociągnął za sobą Kubíka. Ścigany zamknął się w biurze menadżera, skąd chciał wymknąć się oknem do ogrodu. Tam jednak czekał na niego Průcha i trochę się „poszarпали”, jak określił podkomisarz ich starcie, zakończone dla Endiego gębą po tym, jak policjant zdzielił go pałką po goleni.

– Psie pierdolony! – zawył ochroniarz. – Złamałeś mi nogę.

– Nie kazałem ci skakać z okna – wyjaśnił Průcha, gdy zakładał mu na ziemi kajdanki.

Wspomnienie napełniło podkomisarza poczuciem dobrze wykonanej pracy.

– No... – mruknął cicho, jakby mówił do siebie. – Akcje w terenie mają swój urok.

Edelweiss podjął się dalszego sprawozdania:

– Goryle od Bruknera póki co nie puścili pary z ust. Twierdzą, że o niczym nie wiedzieli i udają głupich. Nie muszą zresztą udawać... Brukner i Halas obwiniają się nawzajem. Słusznie założyli, że kradzież niedźwiedzi i trzy morderstwa to jednak inny kaliber niż psie walki. Na ten moment wydaje mi się oczywiste, że w grze jest jeszcze trzecia osoba, weterynarz, który brał udział w nocnym napadzie na zoo. Ale że obaj się wszystkiego wypierają, siłą rzeczy nie chcą zdradzić kto. Niestety nie mamy twardych dowodów, więc ich odmowa współpracy staje się dla nas poważną przeszkodą.

– Mówił pan, że coś ma – zwróciła się do niego bez przekonania Marie.

– Owszem. – Pavel się uśmiechnął. – Przyszedł z tym rano Vašek...

Kiwnął głową na Průchę. Ten dopił kawę i grzbietem pulchnej ręki wytarł usta, po czym kontynuował:

– Postanowiłem zajrzeć do materiałów Kristýny i znalazłem kilka fotografii. Już wcześniej pojechała obejrzeć majątek Bruknera. Wypożyczyła służbowy aparat, ale nie zdążyła przerzucić zdjęć do laptopa, więc nie znaleźliśmy ich w jej rzeczach osobistych. Sfotografowała na miejscu kilka aut.

Marie, Šupina i Edelweiss pochylili się nad komputerem, do którego Průcha ściągnął kilka zdjęć z karty pamięci. Kristýna fotografowała z dużej

odległości, z góry, a czasem pod światło, dlatego na nieostrych obrazkach trudno było dojrzeć detale. Na monitorze zobaczyli gospodarstwo i bramę wjazdową, potem otwierających ją Endiego i Majkela, następnie SUV-a Bruknera, niezidentyfikowaną białą furgonetkę („peugeot boxer”, stwierdził Průcha, jakby chodziło o kluczową informację), a na końcu małe, srebrne albo szare auto.

– To ono. Srebrne renault clio. – Komisarz wskazał tryumfalnie na ekran.

– Kto nim kieruje? – zapytała Marie.

Pavel wzruszył ramionami.

– Aha. A znamy numery?

Pokręcił głową.

– Doskonale... – nie mogła sobie odpuścić ironii Wielka Sowa. – No to mamy przełom w śledztwie. Ktoś gdzieś jechał renault clio. A do tego ten peugeot. Chyba czegoś nie rozumiem... Co jest w tym podejrzanego? Poza tym, że ktoś jest na tyle odważny, żeby jeździć francuskimi samochodami.

Edelweiss pochylił się do komputera. Průcha zrobił mu miejsce, odjeżdżając w bok fotelem na kółkach.

– Zastanawia mnie to. Kiedy zabito Pluskała, kamery przed centrum handlowym niczego nie zarejestrowały. Morderca postarał się, żeby parkować poza kadrem. Ale nie pomyślał o kamerach na parkingu przed McDonaldem po drugiej stronie.

Marie potwierdziła, że pamięta ten szczegół, a Edelweiss tłumaczył dalej:

– Przy pierwszym oglądaniu niczego nie zauważyliśmy, bo nie było wiadomo, skąd dokąd jadą samochody, ale teraz widać pewien związek. – Kliknął myszką w przygotowany wcześniej plik i na monitorze pojawiło się czarno-białe, zaproszone nagranie z monitoringu. Zegar na podglądzie

wskazywał, że do morderstwa Pluskala zostały trzy kwadranse. Naraz pojawiło się niewyraźne, szare auto kierowane przez ciemną sylwetkę, przejechało rozedrganym kadrem z prawa do lewa i zniknęło. – Renault clio – oznajmił Edelweiss tonem konferansjera zapowiadającego główną gwiazdę wieczoru.

– No to już jest coś – zgodził się Šupina.

– Znamy kogoś, kto ma takie auto? – zapytała Marie.

– Nie, ale Milan z Adamem właśnie przeglądają w straży miejskiej nagrania monitoringu z tamtego wieczoru. Może trafią gdzieś na samochód i to z czytelnymi numerami.

Výrovej zadzwoniła komórka. Spojrzała na wyświetlacz, a nazwisko dzwoniącego wyraźnie jej nie ucieszyło. Westchnęła tylko i wyszła do swojego biura, by odebrać połączenie.

– Hm, na waszym miejscu nie skakałbym z radości – zwrócił się do Edelweissa i Průchy Šupina, równocześnie odprowadzając wzrokiem Wielką Sowę. – Właśnie wracamy od komendanta.

– I?

– Śledztwo przejmie specjalny zespół, który powstanie dziś po południu. A to dlatego, że wy... chciałem powiedzieć: my nie jesteśmy bezstronni z uwagi na Kristýnę. Bruknera i Halasa wypuścili do domów.

– A co z walkami psów? – spytał Pavel.

– Nic.

– Jak to nic?

– Na tej liście jest zbyt wiele wpływowych nazwisk, panie komisarzu.

– Ale przecież...

– Brukner założył w swoim lokalu coś w rodzaju klubu koneserów dobrego alkoholu. Spotykali się tam różni ważniacy i degustowali whisky.

A że wielu z nich przy okazji zajmowało się hodowlą określonych ras psów, powstał też drugi klub. Razem trenowali zwierzęta, wzmacniali ich wytrzymałość, wymieniali się doświadczeniami...

– Słowem: terapia z udziałem psów – skwitował Edelweiss. – Czyli się wyłgają, dupki.

– Proszę nie używać takich wyrazów, mówi pan o przedstawicielach władzy ustawodawczej i sądowniczej – upomniał go Šupina.

– A Šmídmajer? – zapytał Průcha, z którego nalanej twarzy odpłynęła cała krew.

– On też był członkiem klubu, nie? – odpowiedział inspektor.

– Czyli całe towarzystwo śmieje nam się teraz w twarz. Z Bruknerem na czele.

– Chyba to pana nie dziwi?

Komisarz najchętniej zaczęłby kopać meble albo jednym, wściekłym gestem zmiotł wszystkie papiery z zarzuconego nimi biurka, krótko mówiąc, miał ochotę jakimś aktem destrukcji uwolnić całą buzującą w nim złość. Powstrzymał się jednak, bo pamiętał, że ostatnim razem, gdy dał w ten sposób upust rozgoryczeniu, musiał potem przez kwadrans sprzątać i przez pół godziny porządkować dokumenty, co zamiast przynieść mu ulgę, jeszcze bardziej go wpieniło.

Do wspólnego biura wróciła Wielka Sowa. W rękę ciągle trzymała komórkę, jakby na dowód, że naprawdę dzwoniła.

– Rozmawiałam z ojcem Kristýny. Już o wszystkim wie. Włączył się w to prezes sądu okręgowego i prokurator generalny. Załatwią to po cichu między sobą, żeby nie wybuchł skandal. Podobno powiedzieli naszemu komendantowi, że szkody wynikłe z upublicznienia całej sprawy i pokazowego śledztwa nie odpowiadają ciężarowi czynu.

– No trudno, na razie sprawa pozostaje w naszych rękach – stwierdził Šupina i klasnął w dłonie, żeby wyrwać wszystkich z letargu. – Panie komisarzu, proszę zapytać chłopaków, jak im idzie z tymi nagraniami z kamer. Zanim na górze skompletują politycznie bezpieczny i lojalny zespół, może uda nam się doprowadzić śledztwo do końca. Mam już listę wszystkich weterynarzy w okolicy. Śmiem podejrzewać, że niewielu z nich jeździ starym renault clio. A na wylewanie żali przyjdzie czas później.

Marie była zaskoczona jego decyzją.

– Coś nie tak? – zapytał, widząc wahanie na jej twarzy.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się Edelweiss:

– Jest jeszcze jedna możliwość. Przyszła mi do głowy w nocy, kiedy myślałem, jak znaleźć tego weterynarza. Brukner i Halas na pewno wiedzą, o kogo chodzi, ale słusznie założyli, że gdyby go wydali, wyszłoby na to, że ukrywali morderstwo. Gdybyśmy sprawdzili, czy Halas spotykał się regularnie z którymś z kolegów po fachu albo czy często do niego dzwonił, mógłby się bronić, że chodziło o jakieś branżowe wydarzenia czy konsultacje. Myślę po prostu, że ta dwójka nie doprowadzi nas do celu. Ale mam inny pomysł: pojedę do zoo i zapytam jeszcze o kilka szczegółów tego opiekuna Havlíčka. Jako jedyny z zeznających pracowników zoo widział, że jednym z napastników mógł być weterynarz, najdłużej się im wszystkim przyglądał. Sądzę, że powinniśmy mu pokazać tych dwóch goryli od Bruknera. Może się okazać, że rozpozna w nich napastników. Havlíček twierdzi, że byli wysocy i napakowani, to by się zgadzało. A nuż mieli podobne gesty, sposób chodzenia czy głosy. Tylko on ich widział.

– Świetny pomysł. Ściągnijcie go – ucieszył się Šupina. – A gdzie jest tych dwóch?

– Są u nas – poinformował Edelweiss.

– Pojadę z panem – zdecydowała Marie.

David Kodet obserwował ich zza biurka.

– Mogę jechać z wami? Muszę się przewietrzyć.

O godzinie 10:23 nadkomisarz Leoš Šmíd majer wrócił do swojego biura w komisariacie policji w Šternberku. Nie wyspał się tej nocy. Obmyślał i analizował, co powinien zrobić, ale tak bardzo zaplątał się w możliwe scenariusze, opcje i ciągi przyczynowo-skutkowe, tak wiele musiał przewidzieć, założyć, zważyć i rozważyć, że jego przegrzany mózg w końcu odmówił posłuszeństwa.

Kiedy nie udało mu się przekonać do siebie inspektora Šupiny i nie pomógł nawet spis wpływowych znajomych, dzielących z nim specyficzne zamiłowanie do kynologii, zwrócił się do wybranych osób z listy, nie wspominając wszakże o uprzednim przekazaniu ich nazwisk policji. W tym środowisku mógł liczyć na wsparcie i wkrótce pożałował, że w ogóle przyszło mu do głowy dopraszać się współczucia od starego służbisty Šupiny. Uznał to za błąd, ale też wierzył, że odrobiną improwizacji można go naprawić. Leoš był oportunistą, a nie strategiem, dlatego postanowił uderzyć do komendanta regionalnego Kráčmara. Siedząc teraz z powrotem w swoim biurze, zastanawiał się, czy aby nie przegiął z lamentem nad własną opłakaną sytuacją, ale spotkanie z Kráčmarem przyniosło efekty, bo ten – tak to trzeba nazwać – wyciągnął do niego pomocną dłoń, i jako szef, i jako człowiek. Choć Šmíd majer nie miał pewności, co przyniosą kolejne dni, tego rana wkroczył do biura z gotową listą spraw do załatwienia. Najpierw wezwie na dywanik Průchę i rozmówi się z nim bez litości. Przygotował sobie nawet zdanie, które usłyszał kiedyś w telewizji i wydało mu się jak znalazł na tę okazję: „W sposób rażący przekroczyłeś zakres swoich kompetencji i kwalifikacji”. Albo coś w tym stylu.

Pracownicy komisariatu nie kryli zadowolenia, że wszystko wróciło na stare, utarte tory. Owszem, śmierć koleżanki to tragedia, ale Horová nigdy tak naprawdę tu nie pasowała, a panoszenie się w biurze śledczych z Ołomuńca i traktowanie ich, miejscowych policjantów, jak chłopców na posyłki, zaczęło im już wyłazić bokiem. Leoš wiedział, że na swoją ekipę zawsze może liczyć. Kazał sekretarce wezwać do siebie Průchę, a potem z zaskoczeniem przyjął informację nie tylko o jego nieobecności w komisariacie, lecz także o „nocnym nalocie” na klub Bruknera. Tak, to było z pewnością rażące przekroczenie kompetencji.

– Rozmawiałam z podkomisarzem Průchą przez telefon – oświadczyła sekretarka. – Jest w drodze.

– W drodze skąd? Zasnął do pracy, czy co?

– Nie. – Kobieta przełknęła ślinę. – Wraca z Ołomuńca.

Šmíd majer uśmiechnął się pod nosem. Wiadomość go ucieszyła i pomyślał, że zaraz dobierze się temu kolaborantowi do skóry.

– Będzie tu za dziesięć, piętnaście minut – sprecyzowała sekretarka.

– Kiedy pan podkomisarz raczy dotrzeć do pracy, niech się u mnie bezzwłocznie stawi.

– Dobrze.

Šmíd majer układał sobie w myślach listę drwiących uwag i uszczypliwych aluzji, planował też parę razy użyć słowa „lojalność” i przypomnieć, że przymykał oko na stan zdrowia podwładnego: w czasie, gdy brakowało im ludzi, a zewsząd przychodziły skargi i naciski, Průcha mógł spędzać całe dni u siebie w biurze, nikt go nie nękał, po prostu robił, co chciał. I jak się odwdzięcza? Czy mówi mu coś słowo „lojalność”? Jak się odpłaca szefowi za jego wielkoduszność? Ale dość tego dobrego. Tak właśnie mu powie. Skończyła się taryfa ulgowa, od teraz zapierniczasz w

terenie tak jak inni, grubasie. No może aż tak to nie, nie jest przecież chamem. Wystarczy „będziesz zasuwał w terenie”. Kropka.

Ze świata fantazji wyrwał go telefon. Czyżby Průcha? Nie, Brukner.

– Czołem, Zbyněk. Jakbym cię ściągnął w myślach!

– Jak to ściągnął? Skąd? – burknął tamten.

– Co? – zapytał skonsternowany Leoš.

– Nieważne. Możesz mi z łaski swojej powiedzieć, dlaczego ten twój tłusty pajac zgarnął dwóch moich chłopaków?

– Zbyněk, daj mi trochę czasu. Przez dwa ostatnie dni mieliśmy tu straszny kocioł. Ale teraz wszystko wraca do normy... Z tymi psami sprawa załatwiona. No, może nie całkiem, ale niech cię o to głowa nie boli.

– Możesz przejść do rzeczy?

– A coś ty taki nabuzowany?

– Niedobrze mi jakoś, kurwa.

– Luz, będzie lepiej. Chcę tylko powiedzieć, że wszystkim się zająłem. Jasne? Wszystko załatwiłem. Trochę się to jeszcze pociągnie, rozumiesz, zginęła policjantka, ale nikt już nie ma wątpliwości, że ze sprawą nie masz nic wspólnego, zadbałem o to. Z Majkelem i Endim musisz poczekać, zwinęła ich ekipa z Ołomuńca, ja tu nic nie wskóram. Oczywiście dzwoniłem do paru ludzi, mam nadzieję, że niedługo będzie po krzyku i...
– Šmídmajer trajkotał jak najęty, a Brukner potrzebował chwili, by dojść do słowa.

– Nie mów tak szybko, do cholery, nawijasz jak jakaś panienka.

– Zbyněk, nic się nie martw – nie pozwolił sobie przerwać Leoš. – Průchę już wezwałem na dywanik i dostanie po jajach, żebyś wiedział. Mówię, dwa dni mieliśmy tu chaos, ale teraz już wszystko pod kontrolą. I w ogóle powiedz mi, kurde, jak żyjesz? Bardzo ci dali w kość?

– A jak myślisz, kurwa? Siedziałeś kiedyś tyle czasu na pałach?

– Ja tu siedzę od dwudziestu lat. – Šmídmajer zarechotał, po czym dodał dla uspokojenia nastroju: – Nie bój nic, wszystko będzie git.

– Gównu, nie git. Jest mi niedobrze. Czymś się tam zatrąłem albo co.

– Zbyňo, strzel sobie jednego. Od teraz będzie już tylko lepiej.

– Musi być! – mruknął Brukner i się rozłączył.

Faceci też najwyraźniej mają te dni, przyszło do głowy Leošowi, którego nie opuszczał dobry humor. Znow zapukała sekretarka i poinformowała go, że podkomisarz Průcha czeka za drzwiami. Šmídmajer uśmiechnął się i pomyślał, że oto nastąpił moment, by przejść od słów do czynów i pokazać, kto tu rządzi. Zamierzał właśnie polecić, by czekającego wpuszczono do środka, gdy wtem znowu zadzwonił telefon. Tym razem nie znał numeru.

– Moment – powiedział do sekretarki, a gdy wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi, odebrał. – Šmídmajer, słucham.

– Dzień dobry, z tej strony Šupina.

Niech to szlag. Pewnie się dowiedział, jak sprawy stoją, i próbuje się dogadać, pomyślał.

– Dzień dobry, panie inspektorze.

– Chcę się tylko przypomnieć – zaczął Šupina swoim mrukliwym głosem. – Proszę być dzisiaj do dyspozycji. Koło południa przyjadą ludzie z inspekcji i będą chcieli z panem rozmawiać.

Leoš zamrugał. Czyżby komendant regionalny go wystawił? Umowa przestała obowiązywać?

– Pan komendant zapewnił mnie...

– Tak, wiem. Komendant uformuje specjalny zespół do zbadania sprawy morderstwa Horovej. Z pewnością liczy się pan z tym, że będą

chcieli z panem mówić.

– Nie do końca rozumiem, dlaczego pan do mnie dzwoni – przyznał szczerze Šmídmajer.

– Żeby przypomnieć, że ciągle mam tu coś do powiedzenia, panie nadkomisarzu.

Leoš zastanawiał się, czy Šupina mu grozi, czy go ostrzega. A może jest to zakamuflowana prośba o łapówkę?

– Postaram się włączyć do pracy zespołu.

– Tak – odpowiedział Šmídmajer, bo żadna lepsza reakcja nie przyszła mu do głowy. – Chcę też zwrócić panu uwagę, że podkomisarz Průcha bardzo nam pomógł w śledztwie. Znacznie bardziej niż pan, swoją drogą.

– Ale ja...

– Choć i pan się starał. Czy pańscy przyjaciele wiedzą o liście z nazwiskami osób, biorących udział w tej waszej obrzydliwej zabawie? Liście, którą mi pan dał...

Jego wątpliwości się rozwiały. Šupina jednak groził.

– Pewnie nie, co? Pozostańmy w kontakcie, panie nadkomisarzu. Oczywiście będę się przyglądać, co się tam u was w komisariacie dzieje. – Pożegnał się i rozłączył.

Šmídmajer analizował sytuację. Gdyby Brukner zadzwonił do niego teraz, zapewne darowałby sobie wcześniejszy optymizm. Przełknął kilka razy ślinę, wstał i podszedł do drzwi. W pokoju sekretarki stał pod oknem spocony Průcha i wyglądał gorzej niż na ogół.

– Václav, proszę do mnie – rozkazał Leoš.

Wezwany wszedł do jego biura na słomianych nogach. Nadkomisarz stał na środku i nie polecił mu nawet, by usiadł.

– Jak widzisz, wróciłem – zaczął. – Ostatnie dni były koszmarne dla nas wszystkich. Ta śmierć Horovej, coś podobnego chyba nigdy się tu nie zdarzyło, prawda?

Průcha potwierdził. Był podenerwowany, co Leošowi bardzo odpowiadało. Bój się, bój, masz czego. A ja ci pokażę, który z nas dwóch ma jaja.

– Krótko mówiąc, Václav, obaj działaliśmy pod wielką presją. Także w przeszłości dochodziło do błędów, nie twierdę, że nie, ale jesteśmy inteligentnymi ludźmi i potrafimy wyciągać z nich wnioski, racja?

Průcha milczał.

– Słowem, co było, a nie jest... i tak dalej. Wyciągam do ciebie rękę na zgodę i mam nadzieję, że będzie między nami jak dawniej.

Podkomisarz odruchowo uściśnął wystawioną do niego przez szefa prawicę. Šmídmajer potrzymał przez chwilę jego dłoń w swojej, a przy tym poklepał go kordialnie po ramieniu.

– Pobudka, chłopie! Mieliśmy trudny okres, ale trzeba wziąć się w garść i działać, nie?

Průcha pokiwał głową.

– No, to do roboty! – zakończył chwacko Šmídmajer i odprowadził podwładnego do drzwi.

Znów był z siebie niezmiernie zadowolony. Pokazał podkomisarzowi, jaki z niego twardziel, ale też ludzki pan, i nie miał wątpliwości, że dowiedzą się o tym także osoby na odpowiednich stanowiskach.

Parking przed zoo był prawie pełny, a do wejścia zmierzał tłum odwiedzających. W pewnym momencie Edelweiss musiał nawet zatrzymać samochód, bo inaczej wjechałby w grupkę ludzi otaczającą stragan z pamiątkami, który stał w tym miejscu, odkąd pamiętał, czyli od czasów, gdy przychodził tu jako dziecko. W końcu Pavlowi, Marie i Davidowi udało się przedostać wzdłuż lasu aż do wejścia dla pracowników. Kiedy tylko wysiedli z auta, wyszedł im na spotkanie portier.

– Pana dyrektora dzisiaj nie ma. Mam do niego zadzwonić, że przyjechaliście? – zapytał.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Edelweiss. – Gdzie znajdziemy pana Havlíčka? Jest dzisiaj w pracy?

– Spróbujcie go poszukać w lecznicy... Mają tam jakiś nagły przypadek.

Weszli na podwórze i wyłonił się przed nimi widok, który w innych okolicznościach można by uznać za sielankę. W wolierze zaraz przy ogrodzeniu maszerowała dumnie biała kakadu. Cały plac roił się od pracowników zoo. Traktor wywoził gdzieś na przyczepie ładunek słomy do wyścielania klatek i wybiegów. Za budynkiem portierni mechanik w kombinezonie naprawiał ciuchcie dla odwiedzających. Jego czoło zdobiły czarne smugi, ślad wycierania potu brudną ręką. Na tle bladego nieba z rzadkimi, białymi obłoczkami wznosiła się żółto-niebieska wieża widokowa, której wysmukła sylwetka stanowiła idealne tło dla stadka żyraf. Obok nich pasły się zadumane zebry. Po wewnętrznym wybiegu, widocznym jedynie z tarasu widokowego w pawilonie żyraf, paradował

gepard, jakby chciał zademonstrować swoim sąsiadkom, czym są wdzięk i doskonała koordynacja mięśni. Edelweiss zaciągnął się głęboko leśnym powietrzem.

Mieli szczęście. Na Havlíčka wpadli zaraz na podwórzu. Pobliski las szumiał łagodnie, a dzięki świeżemu powietrzu i przyjemnemu cieniowi rzucanemu przez budynki upał nie dawał się we znaki tak jak w mieście.

– Czy możemy pana poprosić na chwilę? – zwrócił się Edelweiss do pracownika zoo. – Chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami na komendę. Mamy tam dwóch podejrzanych. Mógłby nam pan pomóc w ich identyfikacji.

– Napastnicy mieli przecież kominiarki – zastrzegł Havlíček.

– Ale widział ich pan. Może rozpozna pan kogoś na podstawie postury ciała.

– Dobrze. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Ale proszę zadzwonić do dyrektora, żeby mnie zwolnił.

– Naturalnie – zapewniła Marie i zwróciła się do Kodeta z prośbą o załatwienie sprawy.

Havlíček poinformował go, gdzie znajdzie sekretarkę dyrektora.

– Jeszcze jedna sprawa – ciągnął komisarz po odejściu Davida. – Kiedy w noc napadu obserwował pan człowieka usypiającego niedźwiedzie, czy nie zauważył pan u niego jakichś ograniczeń motorycznych?

– W jakim sensie?

– Nie wyglądał przypadkiem na człowieka, który nie jest całkiem sprawny fizycznie?

– Znaczy że utykał albo coś takiego?

– Albo że nie poruszał którąś z rąk... – odpowiedział mu Edelweiss.

Havlíček kategorycznie pokręcił głową.

– Nie. Wyglądał na całkiem zdrowego. Widziałem, jak przygotowuje ten pistolet usypiający. Musiał do tego użyć obu rąk.

– Hm. Był lewo- czy praworęczny?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Na pewno prawo.

– Nie zauważył pan w nim niczego szczególnego?

– Już o to pytaliście. Nie.

Wielka Sowa postanowiła włączyć się do rozmowy:

– Ale przecież musiał się pan nad tym zastanawiać. Człowiek po takich przeżyciach nieustannie myśli, co go spotkało. Nie prześladowuje pana tamta noc?

– Jasne, że tak – potwierdził mężczyzna. – Ale ten facet był moim zdaniem całkiem normalny. No może...

– Może co? – naciskała Výrová.

– Pomyślałem przez chwilę, że jest cudzoziemcem.

– Dlaczego?

– W ogóle się nie odzywał – wyjaśnił Havlíček. – Tylko pokazywał gestami pozostałym, co mają robić. Przyszło mi nawet do głowy, że inaczej by się nie dogadali.

Marie i Edelweiss wymienili się spojrzeniami. Była to najistotniejsza informacja, jaką do tej pory udało im się wyciągnąć od Havlíčka.

– Ilu weterynarzy zna pan osobiście? – zapytał Edelweiss.

– Naszego doktora Tomana, panią doktor Ulrichovą, która pracuje u nas na pół etatu...

– Ulrichovej nie przesłuchiwalismy... – Marie się zmartwiła.

– Jest na urlopie – poinformował Havlíček. Wyjechała z mężem na dwa tygodnie do Egiptu czy coś takiego. Zdaje się, że wraca pojutrze. Ale to

wam powiedzą dokładnie w dyrekcji.

– Przychodzi panu do głowy ktoś jeszcze? – zapytała Marie.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Dobrze, dziękujemy – zakończył rozmowę Pavel. – Wie pan może, gdzie znajdziemy doktora Tomana?

– Jest w lecznicy. Mamy kłopoty z jedną lwicą.

– Proszę, żeby pan się nie oddalał. Zamienimy tylko słówko z panem dyrektorem.

– A mogę pójść na obiad? Do naszego bufetu...

– Oczywiście – powiedziała Marie. – Czy doktor Toman ma tu gdzieś auto?

Havlíček rozejrzał się po podwórzu. Widok zasłonił mu kolejny ciągnik z przyczepą pełną słomy. Po chwili wskazał ręką w stronę lecznicy.

– O tam, jeździ tym starym renault.

Wielka Sowa z Edelweissem podziękowali mu i pozwolili iść na obiad. Opiekun oddalił się, a oni stali dalej na podwórzu. Obok nich przejechała minicieżarówka z otwartą platformą wyładowaną łopatami i grabiami.

– Havlíček sądzi, że tamten się nie odzywał, bo nie umiał po czesku. Ale mógł też milczeć, bo... – zaczął Edelweiss.

– ...nie chciał, by rozpoznano go po głosie – dokończyła zdanie Výrová.

Ruszyli w stronę lecznicy. W cieniu rozłożystej lipy na tyłach budynku zaparkowane było stare, znacznie zardzewiałe przy progach i błotnikach srebrne renault clio. Edelweiss wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Purkyněgo.

– Jak panu idzie z tymi numerami tablic?

– Pracuję nad tym – odpowiedział Milan. – Ale nagrania są fatalnej jakości.

– Proszę zapisać: 1M2 1458. Pokrywają się?

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy.

– Zasadniczo pasują. Nie mamy nigdzie całej tablicy, ale to by się zgadzało – odezwał się Purkyně.

– Dzięki – odpowiedział Edelweiss i się rozłączył. – To on – powiedział do Marie.

Wielka Sowa odetchnęła z ulgą.

– Dlaczego Toman się nie wystraszył, kiedy zrobiliśmy tę mistyfikację z DNA? Pluskał od razu wpadł w panikę... – zastanawiał się na głos komisarz.

– Po prostu wiedział, że nikogo ani niczego nie dotykał. Przez cały czas miał na sobie rękawice. Havlíček powiedział nam o tym zaraz pierwszego dnia – wyjaśniła mu Marie. – A poza tym nie uczestniczył w pobieraniu próbek, wykonywał tego ranka jakiś zabieg. – Zatrzymała się i oparła plecami o lipę.

Pavla zaskoczył ten przejaw słabości.

– Co się z panią dzieje? – zapytał.

– On zabił Kristýnę – westchnęła.

– Mam wezwać posiłki?

– Poradzimy sobie z tym gnojem sami – odpowiedziała z przekonaniem.

– Zgarniemy go i wsadzimy za kratki na resztę życia.

Ruszyli w kierunku lecznicy.

Gdy tylko weszli do budynku lecznicy, mieszanina głosów („Tylko ostrożnie, chłopaki! Na trzy. Raz, dwa, trzy...”) wskazała im drogę do sali operacyjnej, przestronnego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia ze stołem zabiegowym pośrodku i kilkoma stolikami, na których leżały narzędzia lekarskie, ampułki i pojemniki z przeróżnymi rodzajami opatrunków. Doktor Toman z pomocą dwóch opiekunów prznosił ze stołu na niski wózek z małymi kółkami dużych rozmiarów zwierzę, ułożone na grubej płachcie. Z początku Marie i Pavel nie potrafili rozpoznać gatunku, bo widok zasłaniały im krawędzie uginającego się pod ciężarem surowego materiału oraz trzymający go mężczyźni. Dopiero kiedy załadowali zwierzę na wózek, a płachtę odłożyli na bok, oczom policjantów ukazała się lwica. Leżała na boku z zamkniętymi oczami, z pyska wystawał jej koniuszek szerokiego języka, a biodra unosiły się miarowo w rytm oddechu. Weterynarz pogłaskał ją po czubku łba, uchu i szyi, a w jego geście było tyle czułości i troski, że policjanci naraz stracili pewność, czy kościsty, niedbale ubrany facet jest tym, którego szukają. Toman skłonił głowę i nachylił się do ucha śpiącej lwicy, zajrzał do środka, ze stolika z narzędziami wziął pęsetę, a potem szybkim, ale delikatnym pociągnięciem ręki wyciągnął z ucha zwierzęcia duży, poczerniały od woskowiny kłós trawy. Jego ruchy były absolutnie precyzyjne i fachowe, a przy tym ostrożne, niemal subtelne. Toman znów pogładził lwicę, tym razem po łopatkach, jakby był pediatrą głaszczącym dziecko. Výrovej i Edelweissowi w tej samej chwili przyszło do głowy pytanie (spojrzeli na siebie i byli pewni, co myśli to drugie), czy taki człowiek byłby zdolny do

okrucieństwa, jakim jest wprowadzanie niedźwiedzim igły od cewnika do woreczka żółciowego.

– Mamy mniej więcej dziesięć minut – poinformował Toman swoich asystentów, wyprostował się i przeciągnął.

– Jasne – odpowiedział jeden z nich. – Idziemy po auto.

Przez cały ten czas żaden z nich nie dostrzegł stojących w drzwiach śledczych. Postanowili w końcu zasygnalizować swoją obecność. Pavel zapukał w otwarte drzwi.

– Dzień dobry. Możemy wejść?

Toman właśnie rozprostowywał plecy. Wzdrygnął się i wyraźnie zaskoczony odwrócił się w ich stronę.

– Dzień dobry, oczywiście. Właśnie skończyliśmy.

Weszli do środka. Edelweiss z zaciekawieniem przyglądał się uspiionej lwicy.

– Niech się pan nie boi – uspokoił go weterynarz.

– Co jej dolega? – chciał wiedzieć Pavel.

– Odłamek kości wbity w górną szczękę. Wdała się infekcja, więc musieliśmy zaleczyć i oczyścić ranę.

Edelweiss pokiwał głową.

– Naturalnie nawet tak prosty zabieg wymaga narkozy... – wyjaśniał dalej Toman, przyglądając się lwicy, której zaczęły lekko drżeć uszy i powieki.

Marie czuła wyraźny niepokój. Po pierwsze wiedziała, że znajdują się na terytorium weterynarza, a obecność lwicy pod narkozą dodatkowo budziła w niej przekonanie, że są na gorszej pozycji. Było to zupełnie irracjonalne uczucie, a ona nie mogła pojąć, skąd się w niej brało. Czy chodziło o zachowanie Tomana? A może o to zwierzę? W ostatnim czasie

popęłniła tyle błędów z fatalnym skutkiem, że nie była pewna, czy to tylko paranoja, czy może powinni jednak wezwać posiłki. Kodet! – uzmysłowiła sobie nagle. Na śmierć zapomnieli o Davidzie. Lwica poruszyła łapą.

– A co z uratowanymi niedźwiedziami? Jak się czują? – zapytała.

Toman westchnął.

– Starą niedźwiedzicę musieliśmy niestety uśpić. W ranie doszło do okropnej infekcji, a potem sepsy. Pozostałych sześć na razie żyje. Czas pokaże, czy się z tego wyliżą. Niedźwiedzie to silne zwierzęta, wiele potrafią znieść. – W jego głosie pobrzmiwało autentyczne współczucie.

– A gdzie są teraz? – zapytał Edelweiss.

– Musieliśmy je rozdzielić. Nasze są w niedźwiedziarni, dwa trzymam tutaj na kwarantannie, a dwa w pomieszczeniu zamkniętym dla zwiedzających. Nie mamy wystarczająco miejsca dla tylu dużych zwierząt. Poza tym rozszalała nam się tutaj infekcja wirusowa, więc działamy prewencyjnie.

Marie podjęła decyzję. Jeśli mają go zgrańić, to nie tu, na jego terenie. Muszą mu najpierw pokazać nagranie z jego autem z miejsca morderstwa Pluskała.

– Mam prośbę, panie doktorze – zaczęła. – Zatrzymaliśmy człowieka. Jest weterynarzem tak jak pan. Musimy zweryfikować jego zeznania od strony merytorycznej. Znalazłby pan czas?

Komisarz zachował kamienną twarz, ale Tomana wyraźnie to zaskoczyło.

– Teraz? Mam tu jeszcze robotę.

– Zajęłoby to tylko godzinę – dołączył się do prośby Marie Pavel.

Weterynarz zmierzył ich chłodnym, podejrzliwym spojrzeniem.

– I z tego powodu przyjechali państwo osobiście? Mogliście zadzwonić.

- Z zasady preferujemy osobisty kontakt – zapewnił go Edelweiss.
- Kogo państwo zatrzymali?
- Właściciela budynku, w którym przetrzymywali te biedne zwierzęta, i jednego weterynarza.

Tomana to o dziwo nie uspokoilo.

- Jak się nazywa? Być może go znam.
- Halas – odpowiedziała Marie, bo doszła do wniosku, że kłamstwo byłoby w danej sytuacji zbyt ryzykowne. – Mówi to panu coś?
- Nie kojarzę...
- To co, pojechałby pan z nami? Potrzebujemy opinii specjalisty.
- Nie jestem bezstronny... – wykręcał się Toman.
- Szczerze mówiąc, właśnie na tym nam zależy.
- Muszą państwo zaczekać, aż koledzy odwiozą lwicę na wybieg.

Wszyscy troje spojrzeli na zwierzę. Narkoza powoli przestawała działać. Toman zdjął lateksowe chirurgiczne rękawice i położył je na stoliku z narzędziami.

- Za chwilę się obudzi. Nie wiem, czemu się tak guzdrzą. Spróbuję...
- Wykonał jakiś niezdarny ruch i przewrócił blaszany stolik. Akcesoria spadły z brzękiem na wykafelkowaną posadzkę i rozleciały po całej sali. Lwica drgnęła parę razy i zastrzygła uszami. – Cholera! – zaklął Toman, kucnął i zaczął zbierać sprzęt.

Edelweiss przeszedł obok wózka ze zwierzęciem i schylił się, by pomóc weterynarzowi. Marie nerwowo spojrzała na lwicę. Toman w przysiadzie rozejrzał się wokół siebie, a gdy stwierdził, że nie jest obserwowany, wsunął jedno z narzędzi do skarpety zakrytej płóciennymi roboczymi spodniami. Zebrane akcesoria włożył do pojemnika i razem z Pavlem postawił przewrócony stołek na nogi.

Następnie spojrział na lwicę i wsparł ręce na biodrach.

– No nic – powiedział nagle. – Rzucę jeszcze okiem na ostronosa tu obok. Musieliśmy mu wyrwać ząb, więc tylko sprawdzę, czy się wybudził z narkozy. Dzisiaj czuję się jak dyplomowany dentysta. Chce pan pójść ze mną? – zwrócił się do Edelweissa.

Pavel pokiwał głową. Ruszyli do sąsiedniej sali pooperacyjnej. Marie przeszła obok lwicy i stanęła w drzwiach na korytarz, żeby mieć widok na wejście do budynku.

W sali pooperacyjnej opuszczono żaluzje i panował w niej półmrok. Pomieszczenie było przechodnie, a większą część przestrzeni zajmowały różnej wielkości klatki.

Edelweiss zamrugał powiekami. Toman przeszedł przez salę i otworzył drzwi naprzeciwko. Pavel przypomniał sobie, że gdy weterynarz pokazywał im po napadzie budynek lecznicy, za tymi właśnie drzwiami znajdowało się jego biuro.

– Przebiorę się – oświadczył Toman.

Komisarz przyglądał się klatkom. Wyczuł, że Marie jest niespokojna, ale złożył to na karb jej ogólnego nastroju. Udało im się namierzyć mordercę. Przez otwarte drzwi obserwował, jak lekarz się przebiera. Zdjął kitel i robocze spodnie, a na ich miejsce włożył koszulkę i lekkie dżinsy. Po drugiej stronie widział Marie opartą o framugę i wyglądającą na korytarz, pewnie w oczekiwaniu na Kodeta albo opiekunów wracających po wybudzoną lwicę. Ze stojącej na podłodze klatki dobiegł szelest. Edelweiss nachylił się i zobaczył ostronosa. Jego dzieci uwielbiały to ruchliwe zwierzątko, wciąż kręcące się po wybiegu.

– Wybudził się – odezwał się głos tuż obok. Edelweiss się wyprostował, a Toman kucnął przy klatce i przyglądał się samcowi. Pavel stał nad nim, a lekarz ostrożnie sięgnął do skarpety.

– Wracają pańscy koledzy – odezwała się z sąsiedniego pomieszczenia Wielka Sowa.

Edelweiss obejrzał się na nią i...

Atak przyszedł nieoczekiwanie. Ból kompletnie go sparaliżował. Zatoczył się i upadł na stolik, gdzie w równych rzędach stały leki i miski. Tym razem mebel wytrzymał napór ciała, za to policjant osunął się na posadzkę. Skupił wzrok na epicentrum bólu: Toman wbił mu skalpel w pachwinę.

Raban ostatecznie wybudził lwicę.

Marie wyjęła z kabury broń, przemknęła obok drapieżnika i wbiegła do sali pooperacyjnej.

Toman nachylił się nad Edelweissem, wyjął skalpel i mocno ścisnął miejsce rany. Pavel zdążył tylko jęknąć z bólu.

– Odejdź od niego! – krzyknęła Výrová i wycelowała pistolet w weterynarza.

Toman spojrział na nią, uśmiechnął się i upuścił skalpel na ziemię. Palce lewej dłoni wciąż jednak trzymał głęboko zanurzone w ranie, z której rytmicznie tryskała krew. Pavel leżał bezwładnie na plecach i próbował złapać oddech.

– Odejdź od niego! – powtórzyła Marie.

– To krwawienie tętnicze – powiedział cicho i powoli weterynarz. – Proszę wybierać, on albo ja.

Marie z wycelowaną bronią w ręku oceniała sytuację. Z tej odległości miała mordercę Kristíny na widelcu i mogła go zlikwidować jednym strzałem. Nie dało się spudłować. W danych okolicznościach nikt nie podważyłby jej decyzji. Z drugiej strony widok krwi broczącej z pachwiny Edelweissa nie pozostawiał wątpliwości, czym by się to dla niego skończyło.

– Nie widzieli panowie moich kolegów? – usłyszała dobiegający z korytarza głos Kodeta.

– Są w środku z panem doktorem – odpowiedział jeden z opiekunów.

– Chce pani, żeby się wykrwawił? Szybko, bandaże, gaza, musimy zatamować krwotok – rozkazał Toman, jakby był tylko przypadkowym świadkiem nieszczęścia, a nie jego sprawcą.

Marie włożyła pistolet do kabury i zebrała z ziemi opakowania bandażu, które spadły ze stolika, gdy Edelweiss w niego uderzył.

David tymczasem przeszedł w towarzystwie opiekunów korytarzem do sali operacyjnej. Wszedł do środka, a potem zaraz cofnął się z przerażenia. Lwica przewróciła się na bok, wypadła z niskiego wózka i usiadła na podłodze. Dopiero odzyskiwała przytomność, ale Kodet nie miał pojęcia, że była wcześniej pod narkozą.

Toman ciągle przyciskał krwawiącą ranę Edelweissa, Marie drżącymi rękami rozdarła opakowanie z bandażem i obwiązała nim mocno udo Pavla nad miejscem przecięcia tętnicy. Krwotok nie ustawał.

– Niech pani weźmie drugi i uciśnię ranę – polecił chłodno weterynarz.

Marie rozdarła kolejny woreczek z gazą.

– A trzecim proszę przewiązać.

W sali obok lwica potrzepała łbem, otworzyła pysk i suchym językiem oblizała wargi. Potem łypnęła na stojącego w progu Kodeta, który oniemiał z przerażenia.

Marie nerwowo rozdzierała papierowe opakowanie z opatrunkiem.

– Tu jest lew! – wrzasnął za jej plecami Kodet.

– Zastrzel go! – odkrzyknęła Marie i wetknęła Pawłowi opatrunek w ranę.

– Przecież nie zabiję lwa... – wymamrotał David.

– Nie lwa, weterynarza! Strzelaj, słyszysz? – wrzasnęła Výrová.

Toman w jednej chwili puścił ranę i uskoczył w bok. Marie przycisnęła z całej siły opatrunek, by zatamować krwotok. Brakowało jej wolnej ręki, żeby przymocować go kolejną opaską.

Nie wiedziała, co się dzieje za jej plecami. Kącikiem oka zauważyła tylko, jak Toman znika w drzwiach swojej kanciapy. Czowała, że wpada w histerię.

– David! Podejdź szybko i mi pomóż!

– Ale tu jest lew!

– Potrzebuję pomocy!

Do sali operacyjnej wbiegli sanitariusze, interwencja nie była jednak potrzebna. Otumaniona lwica próbowała usiąść, ale na śliskiej podłodze łapy rozjechały się jej zabawnie w obie strony. Potrzepała łbem, lecz była jeszcze na tyle zdezorientowana, że nie zdołała znowu się podnieść. Łypała wokół siebie, a potem ziewnęła, odsłaniając poźółkłe siekacze. Jeden z sanitariuszy zarzucił jej na łeb płachtę, która wcześniej służyła jej za prześcieradło, a Kodet wbiegł do sali pooperacyjnej.

Edelweiss tracił przytomność. Krwotoku nie udawało się zatamować. Wielka Sowa była cała uwalana w jego krwi, miała ją na rękach, spodniach i do niedawna białej koszuli. Po posadzce płynęła czerwona struga, Edelweiss zaczął się trząść i ostatkiem sił chwycił Marie za nadgarstek.

– Pavel... – Wielkiej Sowie napłynęły do oczu łzy rozpacz. – Nie odchodź...

Wytrzeszczył na nią oczy, ale zdawał się nie słyszeć jej słów, tylko gwałtownie, płytko oddychał.

Kodet nachylił się nad Marie dokładnie w chwili, gdy Pavel Edelweiss rozluźnił uścisk na jej nadgarstku, głowa opadła mu na bok, a powieki się zamknęły.

Trzej mężczyźni, cztery psy. Łąki nieopodal lotniska w Neředínie. Sucha, wysoka trawa, dzikie krzaki, osty, wyblakłe niebo. Para błotniaków stawowych, unoszących się nisko nad ziemią. Dawniej było to idealne miejsce do wyprowadzania psów, polną drogą można było dojść aż do Hněvotína, później jednak poprowadzono tędy obwodnicę. A komu chciałoby się przechadzać wzdłuż autostrady? Postanowili więc nie brodzić w chaszczach przy lotnisku, ale wybrali trasę w kierunku ogródków działkowych niedaleko ulicy Horní Lán. Przestrzeń była bardziej ograniczona, co groziło konfrontacją z mniejszymi pieskami, na które widok czterech ogromnych, masywnych psisk działał jak płachta na byka. Na ogół nie wyprowadzali swoich pupili wspólnie, bo gdyby się zaprzyjaźniły, mogłoby to mieć wpływ na ich zachowanie w czasie walk. Sytuacja była jednak poważna i wymagała szybkich decyzji. A zjazdy i tak się skończyły, chyba że znajdą nowe miejsce.

Trzej mężczyźni, cztery psy. Późne letnie popołudnie. Patrząc z daleka, można by pomyśleć, że kilku dobrze sytuowanych panów przyjechało odpocząć i przy okazji dać się wybiegać czworonogom. Bliższe spojrzenie nie pozostawiało jednak wątpliwości, że nie są tu dla rekreacji; gesty, ton głosu i czujność świadczyły wyraźnie o napiętej atmosferze, jak również wadze problemu, który muszą rozwiązać. Również psy wydawały się zaskoczone spacerem. Mężczyźni puścili je luzem, nie wydawali poleceń ani za nimi nie krzyczeli. Wszystkie cztery rozbiegły się więc po łące. Dwóm rottweilerom Arnoldowi i Derekowi towarzyszył doberman Harold, którego granicząca z upośledzeniem psychicznym dobrotliwość wykluczała

z udziału w walkach, a właściciel sędzia Karel Jaroš trzymał go w domu tylko dlatego, że to chude ciele garnęło się do jego dzieci całym swoim czterdziestokilowym, gamoniowatym jestestwem. Amstaff Bruno, którego w młodości trzeba było starannie wymusztrować, by dał spokój starszemu o dwa lata Haroldowi, z przyzwyczajenia trzymał się blisko pana, bo na pozostałe psy spoglądał wciąż jak na przeciwników, a nie kolegów.

Pomysł rzucił na szybko Oldřich Zoubek. Pierwotnie miało ich być dwóch, ale dołączył jeszcze Jaroš i w ten sposób doszło do spotkania trzech mężczyzn, którzy (jak sami ocenili) z uwagi na swoje funkcje i pozycję mieli najwięcej do stracenia, zarówno z prawnego, jak i towarzyskiego punktu widzenia. Prokuratora Zoubka od dawna wszyscy klubowicze (ze zrozumiałym wyjątkiem Bruknera) uważali za faktycznego przywódcę. To do niego uderzali, gdy trzeba było podjąć decyzję albo coś rozsądzić, bo liczyli się z jego trzeźwym spojrzeniem. Ponieważ Zbyňka ostatecznie spisali na straty (także na przyszłość nie brano go pod uwagę), Šmídmejera od razu zadzwonił do Zoubka. W trakcie nerwowej i głośnej rozmowy prokurator przypomniał sobie, jak jego babcia – gdy chciała wyrazić swój głęboki absmak (uwielbiała ten staromodny wyraz) czyjaś nie najwyższych lotów inteligencją – mawiała: „on jest tak głupi, że powinien pracować na kolei”. Leoša w jego mniemaniu nie przyjęto by nawet tam, dlatego skończył w policji.

Do Šmídmejera przed godziną dzwonił Halas i powiedział mu, kto przyszedł szukać azylu w jego domu i jakie stawia warunki. Bezradny i przerażony nadkomisarz natychmiast skontaktował się z Zoubkiem. Wiadomo już było, że Výrová namierzyła mordercę oraz że policjanci totalnie skopali akcję jego ujęcia, w efekcie czego sprawca uciekł, a Edelweiss wylądował na OIOM-ie z kiepskimi rokowaniami.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego dzwoniś z tym do mnie? – oburzył się Zoubek.

– A do kogo miałem zadzwonić? – odparł Šmídmejser prostodusznie. – Do Zbyňka nie mogę. Cholera wie, czy nie jest na podsłuchu.

Oldřich był w kompletnym szoku. Postanowił się upewnić, że się nie przesłyszał.

– Chcesz mi powiedzieć, że ty, komendant komisariatu, dzwoniś do mnie, prokuratora, żeby oznajmić, że poszukiwany morderca policjantki ukrywa się w domu twojego kolegi i stawia jakieś warunki? I jeszcze się pytasz, co masz robić?

– Mam go aresztować, czy co?

Ten matoł nie ma zielonego pojęcia, co robi, zdumiał się Zoubek.

– A co ja mam z tym wspólnego? – wybuchnął do telefonu.

– On powiedział, że... – zaczął Šmídmejser jak dziecko, które próbuje uniknąć lania, oskarżając innych.

Oldřich wydedukował, że Toman dowiedział się od Halasa o ich rozrywce, absolutnie niewinnej w porównaniu z okrutnym biznesem, który prowadzili oni dwaj, i przekazał im – co tam przekazał, wprost przystawił im nóż do gardła – że jeśli go zamkną, to zgarną też Halasa, obaj zaczną śpiewać i cała afera wyjdzie na jaw. Weterynarz zdawał sobie sprawę, że taki skandal wszystkich ich pogrąży, bo – jak mawiał Zoubek – Czesi mają więcej współczucia dla psów niż bezdomnych. Toman dał im więc wybór: albo pomogą mu wygrzebać się z bagna, to znaczy dadzą kasę i przerzucą za granicę, albo pozwoli się aresztować. A potem będzie przeciw nim zeznawać.

– Wiem, co ci powiedział! – przerwał Šmídmejserowi. – A ja ci mówię, że powinienes go być wysłać w cholerę. Co my z tym całym Tomanem mamy wspólnego? Do dzisiaj nie wiedziałem, że ktoś taki w ogóle istnieje.

– Wiem – jęczał do telefonu Leoš. – Ale on mówił, że...

Zoubek zadzwonił następnie do sędziego Jaroša, a ten do innego członka klubu, wicewojewody Adámka, i umówili się na popołudniowy spacer z psami. Ten ostatni nie zdążył zahaczyć o dom, przyjechał prosto z urzędu („Mieliśmy briefing!”, oświadczył, sądząc chyba, że pozostali padną z wrażenia), w związku z czym jego piesek nie załapał się na rekreacyjną przechadzkę.

– Toman to bomba z opóźnionym zapłonem – stwierdził sędzia Jaroš. – Nie wiem, co sobie wyobraża, ale po tym, co zrobił policjantom, jest dla nich ściganym numer jeden. Na ile znam Výrovą, traktuje to jako punkt honoru i za drugim podejściem nie zawali sprawy. Nawet gdyby zbiegł za granicę, wydadzą za nim międzynarodowy list gończy i... – Machnął tylko ręką.

Zoubek wiedział, że pozostało im jedno wyjście. Chciał jednak, by reszta go poparła. By przyjaciele z klubu wzięli na siebie zbiorową odpowiedzialność.

Bedřich Adámek uznał, że siła jego osobowości i waga sprawowanej funkcji wymagają, by i on włączył się do dyskusji.

– Sytuacja nie jest dobra. – Pokiwał głową i nieśmiało spojrzął na swoich dwóch kompanów, jakby w obawie, że zakwestionują jego katastroficzne wizje.

Tamci jednak pogrążeni byli we własnych rozmyślaniach.

Zoubek zawiesił spojrzenie na psach. Żywy materiał dowodowy. Biegły weterynarz nie musiałby się długo przyglądać, by dojść do oczywistego wniosku. Największa miłość Oldřicha mogła go w ułamku sekundy pogrążyć. A jednak czuł się spokojny, bo wiedział, że gdyby przyszło co do czego, to albo on, albo Jaroš, albo któryś z przyjaciół znajdą sposób, jak przekonać weterynarza, by dał sobie spokój z oczywistymi wnioskami. Lata

praktyki w zawodzie nauczyły go, że przyjaciele i znajomi potrafią się nawzajem przekonywać. W świecie, w którym żył, nie istnieli weterynarze gotowi wykorzystać ich psy jako dowód przeciwko nim. No, może z wyjątkiem dwóch, ale ci, choć jeszcze tego nieświadomi, nie byli już brani pod uwagę.

Arnold obwąchiwał z rozmarzeniem łodygę jakiejś rośliny, Derek zawzięcie wpatrywał się w jeden oddalony punkt, naprężył ciało, a pod krótką, czarną sierścią wystąpiły mu mięśnie wypracowane jak u kulturysty. Piękno bez skazy. Także para drapieżnych ptaków, szybujących w górze, musiała być urzeczona tym widokiem. Po wielu latach małżeństwa nawet żona nie budziła w prokuratorze Zoubku takiego zachwyty. Na żadnym z ludzi nie mógł polegać tak bardzo jak na swoich dwóch psach. A teraz okazuje się, że ukochane zwierzęta mogą doprowadzić do jego upadku. Jeśli już musi wyeliminować zagrożenie, z pewnością nie zrobi krzywdy psom. Im nie.

– Rozmawiałem dzisiaj z Kráčmarem – poinformował swoich towarzyszy. – Šupina dał mu listę osób, które brały udział w walkach.

Adámek zbladł jeszcze bardziej.

– Skąd ją miał? – chciał wiedzieć Jaroš.

– Od Šmídmajera. Spanikował. Gadałem z nim. Powiedział, że źle ocenił Šupinę. Myślał, że gdy tamten się dowie, kto należy do klubu, pójdzie mu na rękę.

– Skurwysyn – podsumował zwięźle Jaroš.

Adámek umierał ze strachu:

– No i co teraz zrobimy? Naprawdę nie chciałbym wieczorem zasypiać z obawą, że kiedy rano włączę wiadomości, zobaczę na paskach swoje nazwisko.

Zoubek nie spuszczał oczu ze swoich psów. Ich widok go uspokajał. Rozwiązanie było tylko jedno i nasuwało się samo. Przedstawił go pozostałym.

– Załatwi to Šmídmejser. On nas wciągnął w to szambo, więc niech nas teraz wyciąga.

Koledzy namyślali się przez chwilę, aż w końcu się zgodzili.

Potem rozdzielili zadania. Zoubek wziął na siebie rozmowę z Leošem. Jaroš miał się spotkać z komendantem regionalnym kraju ołomunieckiego Kráčmarem. Wicewojewoda Adámek nie musiał robić nic, co wyraźnie mu odpowiadało. Oldřich od razu zabrał się do rzeczy. Šmídmejser czekał na telefon i odebrał natychmiast. Oczywiście nie mogli omawiać sprawy przez komórkę, Zoubek podał mu tylko czas i miejsce, w którym ma się zjawić. Odmowy nie brał pod uwagę, i słusznie.

Choć Zoubek kochał oba swoje czworonogi, jego największą miłością był Arnold. Podczas gdy Šmíd majer telefonował, on spoglądał z zadowoleniem, jak jego cudowny pies obwąchuje pieńek jednego z młodych dębów, którymi obsadzono całą ulicę. Leoš w trakcie mówienia wykonywał zamaszyste gesty, a kiedy słuchał, kiwał tylko głową. Rusza się jak marionetka, przyszło do głowy Oldřichowi. Gdyby miał bardziej sprężyste kolana, a na nogach saboty, wyglądałby jak Hurvínek z teatrzyku kukiełkowego dla dzieci. Nawet jego Arnold miał w sobie więcej swobody, niezależności i inteligencji niż ten policyjny klaun. Nie mówiąc już o tym, że był od niego ładniejszy. Leoš włożył nieodłączne lśniące dresy, które w mniemaniu Zoubka jasno dowodziły, że facet stara się zamaskować umysłową nędzę noszonymi na pokaz, markowymi ciuchami. Patrzył, jak po skończonej rozmowie Šmíd majer powoli i z jakimś dziwnym namysłem wkłada komórkę do kieszeni.

– Mówiłem ci, Leoš, że chłopaki są na ciebie wkurwieni. Nie przewidziałeś, jakie ten cały burdel może mieć konsekwencje dla wszystkich.

Šmíd majer był załamany i nie potrafił tego ukryć.

– Tylko ty możesz to załatwić. Dla dobra i spokoju całej ekipy. Halas dzwonił do ciebie.

Leoš ewidentnie nie chciał przyjąć do wiadomości tego argumentu. Zoubkowi kończyła się cierpliwość. Nie tylko jemu zresztą. Arnold zostawił pieńek w spokoju, przyczłapał do pana (który dostrzegł, że pies porusza się jakoś ociężale i trochę kuleje na tylną prawą łapę; będzie go

musiał zabrać do lekarza, choć z całą pewnością nie do Halasa) i wyłożył swoje długie cielsko przy jego lewej łydce. W ten sposób zawsze dawał mu do zrozumienia, że się nudzi: okolica spenetrowana, nie ma czego obwąchiwać.

– Powiem inaczej, Leoš. Za cały ten burdel odpowiadasz ty. Nikt inny. Halas jest chciwym, nienazartym dupkiem, to prawda. Dostał od nas kasę, ale oczywiście musiał się spiknąć z jakimiś jebanymi Wietnamcami. Niedźwiedzia żółć! Gdybyśmy wiedzieli, co kombinuje, dostałby kopa w dupę zaraz na początku. To ty wpadłeś na pomysł, żeby pozbyć się kundli Bruknera. Kompletny absurd i od tego się wszystko zaczęło. Tak samo z Horovą. Gdybyś przez chwilę pomyślał, mogło do tego nie dojść. Teraz musisz ten burdel posprzątać. Kropka. Nie oczekuj od nas, że będziemy stać z założonymi rękami. Nie damy się wciągnąć Halasowi i Tomanowi w ich bagno. A wierz mi, że spróbują nas wrobić. No chyba że chcesz pójść siedzieć. Ale nawet jeśli, nie licz, że do ciebie dołączymy.

Šmídmejster doskonale rozumiał sens przemowy Zoubka.

– Chcę, żebyś poszedł ze mną, Olin – zaskomlał błagalnie.

Oldřich najpierw uniósł ze zdziwienia brwi, potem tylko się uśmiechnął i pokręcił głową. Pstryknął palcami na psa, odwrócił się i odszedł bez słowa.

Šmídmajerowi najpierw przyszło na myśl, że sprawę można załatwić bez zdejmowania munduru. Może się przecież zdarzyć, że obława na groźnego przestępcę wymyka się spod kontroli, a policjant sięga po pistolet w samoobronie. Odrzucił jednak tę opcję, przewidując, że rozpętałoby się piekło, do gry wkroczyłaby dochodzeniówka, i tym podobne. Chodziło przecież o jego wolność. Godność. Szacunek, na który zasługuje, a którego mu odmawiają. O prestiż i autorytet. Wszyscy ci ważniacy z tytułami i stopniami traktują go jak chłopca na posyłki, ale on im pokaże, że potrafi stanąć na wysokości zadania.

Kupił w supermarkecie kartę SIM i umówił się na spotkanie.

W domu zszedł do piwnicznego warsztatu za garażem i z małej blaszanej skrzynki, zamkniętej skrzętnie na klucz w szafie z narzędziami, wyjął stary pistolet CZ 100 kaliber 9 mm. Regularnie go czyścił i kilka razy wypróbował na strzelnicy, gdzie z uwagi na jego funkcję nikt nie pytał, skąd ma broń. Odpowiadała mu waga pistoletu, choć musiał się długo przyzwyczajać do nieco powolnego zwalniania języka. Nikt nie wiedział, że posiada tego gnata. Należał do znajomego, który poprosił go kiedyś o przekazanie broni policji w ramach amnestii, co Leoš wprowadzie mu obiecał, ale w końcu zatrzymał ją dla siebie i schował w piwnicy. Na „czarną godzinę”, jak sobie wtedy tłumaczył. Czarna godzina nadeszła dziś w południe i zapowiedziała się głosem Karla Halasa, który domagał się spotkania. Šmídmajer miał za sobą wyczerpujące popołudnie, podobnie zresztą jak inni członkowie klubu. Rozdzwoniły się telefony, toczyły się rozmowy, a w końcu Oldřich Zoubek spotkał się z nim pod wieczór i

przekazał jasne zadanie do wykonania, jakby przyłożył mu nóż do szyi. Tak, pomyślał znowu Leoš, tu chodzi o godność, szacunek, autorytet, wolność i przyszłość. On ma jeszcze przed sobą jakieś perspektywy. Halas i Toman już nie.

Popołudnie przechodziło w wieczór. Wsiadł do auta, pistolet włożył do schowka i ruszył. Ze Šternberka pojechał do Těšíkova, stąd wąską, połataną szosą skierował się na Hraničné Petrovice (droga przez las dawała cienisty chłód; zwolnił, wyłączył klimatyzację i otworzył wszystkie okna, aby wywietrzyć samochód i nawdychać się powietrza przesyconego wonią suchego mchu i igieł), a potem na Domašov nad Bystřicí i Heroldovice. Nie dotarł do nich, bo w połowie trasy odbił w prawo na starą zapuszczoną drogę wiodącą w głąb dawnego wojskowego poligonu.

Najpierw telepał się przez otwartą przestrzeń pól, a potem schował się przed oczami ewentualnych ciekawskich w głębokich lasach Libavy. Idealne miejsce. W latach osiemdziesiątych armia radziecka ukrywała tu pociski jądrowe, a wielu ludzi od tego czasu uważało ten teren za nawiedzony i omijało go z daleka. Dotarł do okrągłego placyku. Przywoził ich tu Brukner, znający okolice jak własną kieszeń, żeby psy mogły polatać za sarnami i jelonkami. Z początku mieli przejścia z tutejszym leśniczym, który strasznie się przychrzaniał i groził skargami, ale Zbyněk wiedział, jak postępować z miejscowymi, i usadził faceta, zanim Šmídmajer musiałby to załatwiać swoimi policyjnymi sposobami.

Las był wyschnięty od długich upałów, trawa pożółkła, a sosny i świerki przypominały modrzewie późną jesienią. Z placyku jak nitki pajęczyny odchodziło kilka ścieżek do lasu, na jednej z nich, jakieś piętnaście metrów dalej, stała srebrna kia sportage Halasa. On sam opierał się o klapę, a w prawej ręce trzymał plastikową butelkę z wodą. Samochód miał opuszczone okna, a Šmídmajer dojrzał w środku czyjąś sylwetkę. Znakomicie,

przyjechali obaj. Leoš nawlókł na prawą dłoń rękawicę z jasnej jeleniej skóry, a ze schowka wyjął pistolet. Wsiadł z auta, prawą rękę z bronią trzymał za plecami, lewą uniósł na powitanie. Halas wrzucił butelkę oknem do samochodu i powiedział coś do człowieka, który siedział w środku. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i mężczyzna wysiadł. Postawny, wysportowany facet w dżinsach i koszulce. Šmídmajer zastanawiał się, czy widział już wcześniej Tomaną, ale nie był w stanie sobie przypomnieć. Wolnym, spokojnym krokiem przemierzył połowę odległości dzielącej go od tamtych dwóch. Wziął głęboki oddech. Chciał się poczuć jak zawodowiec, ale zżerały go nerwy. Pod jego butami na pylistej drodze chrupały kamyki, szyszki i suche gałązki. W lesie panowała absolutna cisza. Kącikiem oka dostrzegł szybującego w górze drapieżnego ptaka.

– Czołem! – zawołał do niego Halas. – I co powiedziały chłopaki?

– Czołem! – ryknął nerwowo Šmídmajer. Pomyślał, że cała historia zaczęła się nocą po jednym ze zjazdów u Bruknera tak jak teraz, w środku lasu. I w podobnych okolicznościach się zakończy. Naraz uświadomił sobie, że nie jest do tego zdolny, brakuje mu odwagi, charakteru, stalowych nerwów. Ze stresu chciało mu się sikać.

Toman mierzył go wzrokiem. Stał po jednej stronie auta, a Halas po drugiej. Idealne rozstawienie. Gdyby tylko się na to zdobył. Tu chodzi o odwagę. Szacunek do siebie. Autorytet. Przyszłość. Wiedział, że w tej chwili rozstrzyga się jego życie. W podobnych sytuacjach kluczowe jest zdecydowanie. Jeśli wykonasz ten krok, wszystko potoczy się samo. Przeszedł jeszcze kawałek, od mężczyzn dzieliło go około pięciu metrów. Albo robi to teraz, albo straci efekt zaskoczenia. Dobrze.

Teraz.

Kolejny krok. Zwolnił.

Nie wahać się.

Nie. Nie da rady.

Teraz! Nie. Krok do przodu. Halas z Tomanem nie odrywali od niego wzroku, Karel coś powiedział, ale do niego nic już nie docierało.

Teraz! Nie. Nie potrafi. Tylko się ośmieszy. Ludzie muszą cię szanować, przypomniał sobie. Godność. Szacunek do siebie. Co sobie pomyśla, jeśli tego nie zrobisz? I co ty sam o sobie pomyślisz? Co powiesz tym dwóm, gdy zobaczą, jak stoisz i gapisz się na nich z pistoletem w ręce? Już podjąłeś decyzję.

Teraz! Podjąłeś decyzję i nie możesz się wycofać, obrócić się na pięcie i udawać, że nic się nie stało. Chodzi o twoją, a nie ich przyszłość. Przed nimi nie ma przyszłości. To Halas do ciebie zadzwonił, stawiał warunki i praktycznie ci groził. Nie masz wyboru. Musisz.

Widział poruszające się wargi Halasa, coś mówił, uśmiechał się i patrzył na tego drugiego.

Wyciągnął rękę zza pleców.

Już nie ma odwrotu.

Raz-dwa i będzie po wszystkim.

Wycelował, nacisnął spust, rozległ się strzał jak trzask łamanej gałęzi, a Halas zwalił się na ziemię. Toman nie zdążył nawet zareagować. Drugi strzał skosił także jego.

Šmídmajer stał w miejscu. Nie był w stanie się ruszyć. Tomanowi było widać tylko wystające spod samochodu nogi. Halasa miał przed sobą w całej okazałości. Zastrzelił człowieka. Ludzi. Ile razy musiał na służbie sięgnąć po broń? Raz? Czy kiedykolwiek oddał strzał w czyjąś stronę? Nie. Dopiero teraz. Prosto w piersi. Rana nie była duża, ale obficie krwawiła. Naraz do niego dotarło: Halas żyje. Poruszył ręką, potem głową, a z ust wykrztusił kilka czerwonych baniek. Nie patrzył na Leoša, już nie był do tego zdolny, po prostu toczył krwawe bańki i lekko podrygiwał ręką.

Šmídmajer wiedział, że weterynarz i tak za chwilę umrze, ale przyglądanie się agonii było ponad jego siły. Zrobił dwa szybkie kroki i władował lekarzowi w pierś drugą kulę. W cichej okolicy huk strzału brzmiał jak detonacja bomby. Rozejrzał się. Drapieżnego ptaka już nie było na niebie. Obszedł samochód. Toman na szczęście nie potrzebował kolejnej kuli.

Co teraz? Miał pustkę w głowie, nie potrafił zmusić się do myślenia. Odłożył pistolet na klapę auta, wyjął z kieszeni drugą rękawicę i wsunął do niej dłoń. Naraz uświadomił sobie, jak bardzo musi ulżyć pęcherzowi. Cholera. Znów się rozejrzał. Nie wytrzyma. Zastanawiał się, czy z moczu da się pobrać próbkę DNA. Przecież zawsze to wiedział, ale nagle nie miał pojęcia i nie był w stanie zebrać myśli. Zrobił trzy kroki między drzewami i opróżnił pęcherz na suchą ściółkę. Dotarło do niego, że zostawił ślad zapachowy. Cholera. Teraz i tak było za późno.

Kiedy udało mu się opróżnić pęcherz, doszedł trochę do siebie. Pomyślał, że musi stąd spieprzać, ale najpierw... Tak, Halas dzwonił na jego komórkę, wprowadził nie ze swojego numeru, użył kupionej karty SIM. Trzeba się jej pozbyć. Halas nie miał telefonu przy sobie, zostawił go w aucie. Šmídmajer zabrał urządzenie, przejrzał samochód w poszukiwaniu ewentualnych tropów dla policji, ale poza resztkami jedzenia nic istotnego nie znalazł. Jeszcze gdy tu jechał, przemyślał wszystkie kroki, ale teraz mózg odmawiał mu współpracy. Zauważył, że w przegródce obok drążka zmiany biegów leży jeszcze jedna simka, więc dla pewności ją zabrał. Cholera, praca w policji nie przygotowała go do bycia mordercą. Rozejrzał się po wnętrzu auta. Czysto. Następnie sprawdził teren przy samochodzie. Czysto. Zmusił się, by obejrzeć jeszcze raz oba ciała. Nic. Żadnych śladów. Musi stąd spadać, i to jak najszybciej. Broni, komórki Halasa i kart SIM pozbędzie się potem.

Ruszył pośpiesznie po zakurzonej drodze w stronę swojego samochodu. Słońce powoli zniżało się ku linii horyzontu, ale do zmroku zostawało jeszcze dużo czasu.

Uruchomił silnik, zawrócił i odjechał.

Chodziło o szacunek i autorytet. Również szacunek do siebie. Oba wywalczył.

W czerwcu zachód słońca każe na siebie długo czekać. Ten rok był szczególny, bo nawet łagodne nadejście nocy nie miało wyraźnego wpływu na wskaźniki termometrów. Restauracja Oliva w hotelu Ibis przy ulicy Wolкера oferowała przyjemny, dyskretny, a nade wszystko klimatyzowany azyl od upałów dla tych, którzy ze względów zawodowych muszą zachowywać odpowiedni dress code. Do tego posiadała własny parking. Gdy komendant regionalny Ivo Kráčmar zatrzymał na nim swoją octavię, zauważył, że SUV sędziego Jaroša jest już na miejscu.

Wszedł do restauracji i się rozejrzył. Wszystko błyszczało od czystości i nienachalnego luksusu, dokładnie tak, jak lubił. Ledwie kilka stolików było zajętych, sędzia Jaroš siedział w rogu, słusznie jak najdalej od okien wychodzących na socrealistyczne kamienice przy Wolкера. Już z daleka pozdrowił Kráčmara uniesioną prawicą.

Dzisiejsze spotkanie było ostatnim i najważniejszym etapem ich planu. Ryzykował, ale też opierał się na ogólnie znanej awersji komendanta do Výrovej. Skorzystać mogli na tym wszyscy, dlatego należało sformułować konkretne oferty i żądania.

Przywitali się i gdy tylko uznali, że po całym dniu wytężonej pracy i braku czasu na posiłek dobrze im zrobi lekka kolacja, do stołu dyskretnie zbliżył się kelner z kartami dań. Sędzia zamówił śródziemnomorską bisque na francuskim koniaku, tosty i domowy majonez z szafranem, a jako danie główne sałatkę z ciecierzycą, boczkiem, anchois, kaparami i jajkiem w koszulce. Do tego tylko butelkę wody mineralnej, bo – jak wyjaśnił przepaszająco – przyjechał samochodem. Komendant regionalny Kráčmar

był z natury ignorantem, a do lokali jak ten chodził tylko po to, by pokazać innym, że mają do czynienia z człowiekiem na poziomie, choć strasznie go irytowało, że nie zna się na etykiecie i nie wie, które sztucce do czego służą. Nie rozumiał, co jest napisane w tych wszystkich kartach dla snobów, gdzie proste dania nosiły obcojęzyczne nazwy. Risotto uważał za potrawę dla biedoty, nawet jeśli w menu opisano je jako „alla coś tam”, podaje się je z małżami i kosztuje dwieście osiemdziesiąt koron. Za makaronem nie przepadał, poza tym nie mógł pojąć, dlaczego mówi się na niego „pasta”, a każdy rodzaj ma osobną, trudną do wymówienia nazwę. Ostatecznie zamówił saltimbocę z podsmażaną zieloną fasolką, cebulką i prosciutto crudo, bo zapamiętał sobie, że to po prostu kotlet cielęcy bez panierki. Do tego kieliszek lekkiego białego wina.

– Ja też jestem autem. – Uśmiechnął się do Jaroša. – Ale wie pan, moi ludzie mnie znają, a tej kropelki wina i tak się nie da poczuć w czasie jazdy.

Zaczekali, aż nienagannie ubrany kelner zapisze ich zamówienie. Kráčmar zastanawiał się, czego sędzia od niego chce. Trochę się domyślał, a zawartość jego teczki, opartej o nogę stołu, mogła świadczyć, że na spotkanie przyszedł dobrze przygotowany.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Co z tym waszym człowiekiem? – zapytał naraz Jaroš. – Mmm, jakże się on nazywa...?

– Chodzi panu o Edelweissa? – odpowiedział komendant.

– Tak, właśnie o niego.

– Stracił wiele krwi. Jego stan jest krytyczny. Aktualnie leży na OIOM-ie.

Kráčmarowi ewidentnie zależało, by każde słowo wymówić z odpowiednim namaszczeniem.

– Pozostaje mieć nadzieję – stwierdził Jaroš. – A sprawca?

Komendant westchnął.

– Trwają intensywne poszukiwania. Na tę chwilę niestety bezowocne.

Sędziego ta odpowiedź ucieszyła. Dostał już wcześniej pewne informacje od Oldy Zoubka, któremu z kolei przekazał je Šmídmajer. Zapewnił Kráčmara o swoim wsparciu w tej jakże trudnej sytuacji.

Komendant podziękował.

Jaroš chrząknął i napił się wody, która tymczasem dyskretnie pojawiła się na stole w towarzystwie lampki białego włoskiego wina.

– Rozmawiałem z paroma ludźmi z prokuratury – zaczął sędzia. – Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak krytyka pańskiej pracy, absolutnie nie mam takich intencji... – Spojrzał na rozmówcę, któremu jednak nie zadrżał na twarzy nawet mięsień. – Po rezygnacji doktora Hory w prokuraturze nastąpią zmiany personalne i nie jest wykluczone, że nowi ludzie będą mieć nieco inne podejście...

Kráčmar grymasem zasygnalizował, że nie do końca go rozumie.

– Chcę przez to powiedzieć... – przeszedł Jaroš do rzeczy – że nadmierne zaangażowanie w pewne śledztwa... – wymówił to z jakimś szczególnym obrzydzeniem – krótko mówiąc... nowe kierownictwo prawdopodobnie zweryfikuje poprzednie stanowisko w niektórych dochodzeniach. – Zmierzył wzrokiem Kráčmara, ten jednak wolał na razie milczeć. – Powiedzmy sobie uczciwie: Výrová mogła liczyć na wsparcie doktora Hory i jego ludzi. I naturalnie Vitouša, a za jego sprawą także różnych dziwnych struktur wpływu, których nikt nie kontroluje i które dopuszczają się zakulisowych machinacji...

Komendant rozłożył bezradnie ręce, jakby chciał powiedzieć, że wprawdzie mowa o jego podkomendnej, ale on nie ponosi odpowiedzialności za jej działania.

– Obawiam się – ciągnął sędzia – że te czasy się skończyły. Mając na uwadze ostatnią kompromitację... Proszę się nie gniewać, ale to, co odstawiła Výrová, można porównać chyba tylko do ucieczki Radovana Krejčířa*.

Kráčmar ponownie wykonał gest mający wyrażać bezsilność.

– Pozwoli pan, że dokończę wątek. Szykuje się generalna kontrola przebiegu śledztwa, a być może także reorganizacja całej formacji Šupiny.

– Výrová nigdy nie była łatwa we współpracy, panie sędzio. – Komendant westchnął. – Dopóki osiągali sukcesy, a wiemy, że osiągali i to niemałe, byłem skłonny przymykać oko na jej specyficzne podejście do instytucji władzy...

– Zapewne zdaje pan sobie sprawę, jak wyglądają takie dogłębne kontrole. Wcześniej czy później jakiś gorliwy człowiek zapyta: no dobrze, ale kto za to wszystko odpowiada? I na kogo wtedy padnie?

Kráčmar się nie odzywał. Wiedział, że w takich sytuacjach opłaca się milczeć z zafrasowanym wyrazem twarzy.

– Ale chciałem się z panem spotkać z innego powodu. Mam nadzieję, że nie zabrzmie to nieskromnie... Razem z grupą przyjaciół przedsiębiorców i samorządowców jesteśmy mocno zaangażowani w działalność charytatywną. Postanowiliśmy założyć fundację wspierającą utalentowanych młodych sportowców z kraju ołomunieckiego, i to zarówno finansowo, jak i poprzez organizację zgrupowań w naszym ośrodku w Dolanach...

Komendant zamrugnął oczami. Przesłyszał się czy sędzia naprawdę powiedział „w naszym”? Jarošowi najwyraźniej umknęło własne przejęzyczenie, które zresztą wcale nie musiało nim być.

– Fundacja ma na celu nie tylko wspieranie talentów, ale też promocję postawy fair play w sporcie i w życiu. Zamierzamy nagradzać takie

zachowania i ogólnie przejawy bohaterstwa czy godne naśladowania zaangażowanie społeczne. Po naradzie z przyjaciółmi, a jak mówię, są to ludzie ze świata biznesu i lokalnych władz, chcielibyśmy panu zaproponować miejsce w radzie fundacji. Pana pozycja w pełni uzasadnia taką decyzję. Biorąc pod uwagę pana zasługi, wszystko, co dobrego uczynił pan dla ludzi, byłoby nam miło, gdyby został pan także członkiem rady nadzorczej klubu sportowego...

Kráčmar zwrócił uwagę, że tym razem Jaroš nie użył słowa „naszego”.

– ...ale mając na względzie określone przepisy dotyczące sprawowanej przez pana funkcji, oczywiście zdajemy sobie sprawę, że nie jest to możliwe. Z pewnością jednak wrócimy do tematu w przyszłości – dodał sędzia.

Komendant nie posiadał się z radości.

– Naturalnie chętnie przyjmę funkcję w organizacji pożytku publicznego – zgodził się wspaniałomyślnie.

– Doskonale.

Kráčmar zdawał sobie sprawę, kto w tej chwili posiada więcej atutów (złożona kartka papieru w jego teczce była znakomitym punktem wyjścia do dalszych negocjacji), dlatego uznał, że powinien nieco ostudzić zapędy Jaroša, by tamten nie pomyślał sobie, że komendant będzie tańczyć, jak mu z Zoubkiem zagrają.

– Kogo jeszcze zamierzają państwo zaprosić do rady fundacji?

Sędzia się uśmiechnął. Zrozumiał, że Kráčmar wie, co jest grane.

– Na razie dyskutujemy o składzie poszczególnych organów. Fundacja będzie mieć radę, komitet założycielski, prezesa i komisję rewizyjną, jak również co najmniej jedną zatrudnioną na stałe sekretarkę. Chodzi przede wszystkim o ludzi, którzy mają określoną pozycję w mieście i regionie. Jak choćby wicewojewoda Adámek. Zaproszenie przyjęli też ordynator kliniki

ginekologicznej docent Kovaříček, radni kilku gmin czy zasłużeni przedsiębiorcy, na przykład panowie Truněk i Loučný. Zna ich pan?

– Tylko ze słyszenia.

Kráčmar zaśmiał się w duchu: gdyby wyciągnął z teczki kartkę, wystarczyłoby sprawdzić listę obecności. Pojął, że klub Bruknera przechodzi reorganizację. W Dolanach powstanie wkrótce nowoczesny teren treningowy dla psów. Ludzie z regionu już zaczynają załatwiać na to środki z unijnych pieniędzy.

– Oczywiście moja skromna osoba także włączy się w działalność – dodał sędzia.

Z komendanta tymczasem opadło całe dotychczasowe zdenerwowanie.

– A jakie konkretnie sporty będzie wspierać fundacja? – zapytał i zanim Jaroš zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Kráčmar rzucił sugestię: – Znajdzie się wśród nich kynologia sportowa?

– Panie inspektorze... – zareagował tamten tonem oburzonej nauczycielki w wieku przedemerytalnym.

Posiadanie władzy to najsilniejszy narkotyk i najlepszy afrodyzjak, pomyślał komendant. Schylił się po aktówkę, otworzył ją i podał sędziemu kartkę, z powodu której spotkali się tego wieczoru.

Jaroš wziął papier do ręki.

– Cieszę się, że pan rozumie, iż z całą tą tragiczną sprawą nie mamy nic wspólnego – powiedział. – Gdyby którekolwiek nazwisko z listy zaczęło łączyć z aferą, oznaczałoby to dla tego człowieka osobistą, społeczną i zawodową dyfamację.

Kelner zaczął serwować kolację.

– Jest jeszcze jedna kwestia – kontynuował sędzia. – Výrová. Wedle mojej oceny jest nieobliczalna, typuję zaburzenia hormonalne.

Kráčmar sycił oczy widokiem swojego talerza. Był spokojny, bo wiedział, że ma w ręku kilka atutów. Jaroš i jego znajomi są na gorszej pozycji, a do tego drżą, że Výrová dobierze im się do skóry.

– Sam pan mówił – odpowiedział – że zostanie przeprowadzona szczegółowa kontrola działań całej komendy. Biorąc pod uwagę sytuację, myślę, że pożegna się ze służbą.

Jaroš przyjął jego słowa z zadowoleniem i rzucił okiem na listę.

– Rozumiem, że to tylko kopia?

Komendant przytaknął.

* Do spektakularnej ucieczki Krejčířa, oskarżanego o morderstwo, oszustwa podatkowe i wyłudzenia, doszło 18 czerwca 2005 r. w czasie przeszukania jego willi w Černošicach pod Pragę. Okoliczności zdarzenia, w tym m.in. obecność dużej liczby policjantów na miejscu, doprowadziły do dymisji ówczesnego komendanta głównego czeskiej policji Jiřego Kolářa (przyp. tłum.).

Tydzień później

Piątek 28 czerwca

68

„Nie istnieje ciemna strona księżyca. W istocie cały księżyc jest ciemny”. Tekst Rogera Watersa dokładnie oddawał jego uczucia. Edelweiss leżał w szpitalnym łóżku i bał się poruszyć. Na okragło puszczał w słuchawkach *Dark Side of the Moon*. Oraz *Wish You Were Here* i *Animals*. Te trzy albumy najlepiej odpowiadały jego kondycji psychicznej. Obłąd, depresja, rozpacz, strata, tęsknota, wściekłość i furia. W kółko to samo. Miał zamknięte oczy i bał się poruszyć. Bezdenna rozpacz. *Wish You Were Here*. Wściekła żądza zemsty. *Animals* ze swoimi depresyjnymi tekstami i agresywną, mroczną muzyką.

Bał się poruszyć, żeby szwy nie popękały. Miał o nich jedynie mgliste wyobrażenie, ale przecież musieli go zszyć, by zatamować krwawienie, a w stanie załamania, w jakim się znalazł, łatwo uległ przekonaniu, że wystarczy jeden nieopatrzny ruch i rana się otworzy. Przed laty Klára Šamberková, długoletnia przyjaciółka jego szefowej, wprowadziła go w tajniki treningu autogennego, dzięki czemu Pavel potrafił teraz pozbawić swoje ciało ciężaru, a strach przed poruszeniem się zamienić w stan doskonałego uspokojenia. Stale jednak przerażała go myśl o pójściu do toalety. Był to strach połączony ze wstydem, że wykonywanie najintymniejszych czynności skazuje go na ciągłą asystę obojętnie spoglądającego personelu. Z tego powodu przez pierwsze dni unikał jedzenia. Nie kosztowało go to zresztą wiele wysiłku. Po wybudzeniu z narkozy, w której go „zszywali” (w ten sposób odbierał zabieg sam

Edelweiss, nie jako operację, ale właśnie „zszywanie”), przez długi czas było mu niedobrze i nie potrafił sobie wyobrazić, że bierze cokolwiek do ust. Poza tym doznany szok zdecydowanie nie wzmógł jego apetytu. Ograniczył się zatem do uzupełniania poziomu płynów w organizmie, zachwianego znacznie w wyniku krwotoku. Jeszcze w trakcie operacji – „zszywania” – wprowadzono mu cewnik, więc odczuwał ogromne zażenowanie za każdym razem, gdy lekarz kontrolował stan jego rany i szczelność szwów, a jego spojrzenie padało na plastikową rurkę, ciągnącą się przez udo i uchodzącą do torebki zawieszanej na haczyku pod ramą łóżka. W nocy prześladowały go koszmary: niedźwiedzie, cewnik, jego wprowadzanie, wszystko mieszało się ze sobą, a do tego Toman wbijający mu igłę punkcyjną w woreczek żółciowy. Edelweiss był uwięziony w wąskiej, śmierdzącej klatce, która nie tylko krępowała jego ruchy, ale nie pozwalała mu nawet na krzyk.

Gdy przyszli go odwiedzić Eva i dzieci (Kubík przywiózł ich do szpitala prosto z brneńskiego lotniska), uwadze Pavla nie uszło, że Katka i Tomík wpatrują się w torebkę zawieszoną pod łóżkiem, a także rurkę, która z niej wychodziła i znikwała pod lekką szpitalną kołdrą. Edelweiss spróbował zasłonić widok, ale że wykonał przy tym nieostrożny ruch, w ranie odezwał się rwący ból, od którego łzy napłynęły mu do oczu. Eva od razu zorientowała się, o co chodzi, chwyciła go za rękę, po czym kazała dzieciom stanąć po drugiej stronie łóżka.

Jeszcze przed ich wizytą przyszła go zobaczyć Wielka Sowa. Stało się to zaledwie parę godzin po tym, jak przeniesiono go z OIOM-u do normalnej sali (w której na szczęście leżał sam). Ocknął się z sennego letargu i ujrzał przed sobą szefową, siedzącą na krześle obok łóżka i patrzącą na niego zatroskanym wzrokiem. Zamrugał. Znał ją na tyle długo,

by się zorientować, że była niewyspana i błada ze zmęczenia, a sprawy nie układały się dobrze.

– Dzień dobry, Pavel – powiedziała cicho.

Miał sucho w ustach i sklezione wargi, dlatego nie był w stanie odpowiedzieć. Marie podała mu pojnik z wodą. Edelweiss się napił.

– Dzięki – wyszeptał.

– Jak się czujesz? – zapytała i odstawiła pojnik na blaszaną nocną szafkę.

Zebrał wszystkie siły i lekko się uśmiechnął.

– Powiedzieli, że wyczerpałem im zapasy krwi w magazynie...

Matczynym gestem złapała go za rękę.

– Pavel, jest mi okropnie przykro... – zaczęła.

– Ale... – wycharczał. Głos ciągle go zawodził, a Wielka Sowa błędnie to sobie wytłumaczyła.

– Bardzo cię przepraszam.

Przez chwilę nie było wiadomo, kto ma kogo pocieszać i uspokajać.

– Właśnie dzwonił Adam. Są już w drodze.

– Kto?

– Eva z dziećmi.

– Co? – nie rozumiał nadal Edelweiss.

– Pamiętasz, że dzisiaj mieli wrócić? – wyjaśniała powoli Výrová w obawie, że narkoza przytępiła mu umysł.

– Kompletnie straciłem poczucie czasu... – Westchnął. – Dziękuję, że się pani tym zajęła.

– Obiecałam ci przecież eskortę policyjną, jeśli sam nie będziesz mógł ich odebrać.

Komisarz lekko się zatrząsł.

– Nie wolno mi się śmiać – jęknął. – Boję się, że pękną szwy.

– To się nie śmieję.

– Jest pani cudowna.

– O mało cię nie zabiłam.

– Pieprzenie... – nie zgodził się Edelweiss.

– Tak się rozmawia z przełożoną? – upomniała go Wielka Sowa.

Pavel znów się zatrząsł.

– Mówiłem już, że nie wolno mi się śmiać.

Marie spojrzała na zegarek.

– Są już w drodze. Autostrada jest zapchana, więc powiedziałam Adamowi, żeby jechał z fanfarami. Radiowóz, kogut, syrena.

– Dzieciaki oszaleją z radości. Ale jak się wyda, wszystkich nas wywalą.

Wielka Sowa machnęła ręką.

– Przynajmniej będą mieć pretekst, nie?

– Co z Tomanem?

Westchnęła.

– Zwiął. Nie ma go. Pewnie uciekł za granicę. Jeśli faktycznie jest w zmowie z jakimś gangiem, jak podejrzewał ten celnik Vacek, na pewno już mu załatwili bezpieczną kryjówkę.

– Zapewne organizuje kolejną farmę niedźwiedzi.

– Wydaliśmy za nim europejski list gończy – dodała w tonie pocieszenia, jakby chodziło o żelazną gwarancję schwytania sprawcy.

– A... z Evą... pani rozmawiała?

– Tak, dzwoniłam do niej. Musiałam jej powiedzieć. Że zostałeś ranny. Wydzwaniała do ciebie bez przerwy, gdy byłeś na sali.

– Co powiedziała?

– A jak myślisz? Macie dwoje dzieci. Co mogła powiedzieć?

Komisarz poczuł do niej ogromną wdzięczność. Marie spoglądała przez okno.

– Gdyby się nie udało... Masz dwoje dzieci i żonę, odszedłbyś bez pożegnania...

Rozumiał, co chciała mu powiedzieć.

Jako że w wyniku niepojętego dla Edelweissa zrządzenia losu leżał w szpitalnym pokoju sam, w związku z czym miał nie tylko względny spokój (zachodził przy tym w głowę, dlaczego przepisy oddziału nakazywały budzić pacjentów już o szóstej rano; rekonwalescencja zakłada chyba wypoczynek?), ale też można go było odwiedzać poza ustalonymi godzinami. Wiedział, że tego dnia miał się odbyć pogrzeb Kristýny. Planowano go wypisać za dwa dni, by – jak to ujęła pielęgniarka – „dochodził do siebie w domu”, ale gdy w czasie obchodu zapytał lekarza, wiecznie smutnego, mówiącego wyłącznie szeptem trzydziestolatka, czy może uczestniczyć w ostatnim pożegnaniu koleżanki, doktor wymamrotał coś, co Pavel zrozumiał jako „odradzałbym”, następnie wydał kilka dźwięków niesłyszalnych dla ludzkiego ucha, ale zdanie zakończył słowami „na własne życzenie”. Z początku chciał się upierać, ale ponury wyraz twarzy lekarza wywołał w nim najróżniejsze czarne wizje, które mogły się ziścić, gdyby zdecydował się na wcześniejsze opuszczenie szpitala, dlatego ostatecznie przyjął rekomendację w milczeniu. Bał się. W kolejnych tygodniach, miesiącach i latach będzie się musiał zmagać z tym strachem. Zgodnie z jego oczekiwaniem Marie przyszła o wpół do drugiej. Choć w tych okolicznościach nie było to zbyt stosowne, pomyślał, że ładnie jej w czarnej garsonce. Weszła do pokoju ze strapioną miną i usiadła ciężko na krześle pod uchylonym oknem. Torebkę położyła na parapecie.

– Jak było? – zapytał.

– Pfff. – Machnęła tylko ręką. – Z wielką pompą. Wieńce, przemowy, dygnitarze. Kráčmar miał wystąpienie. Przyjechał też jakiś błazen z ministerstwa. Nie cierpię pogrzebów.

Pavel milczał. Marie wyglądała przez okno. Nie chcieli sobie przeszkadzać, jakby każde odbywało prywatną minutę ciszy.

– Jak się czujesz? – Odwróciła głowę w jego stronę.

– Za dwa dni wracam do domu.

– Reszta za chwilę się tu zjawi. Kubík szuka miejsca do parkowania. Jindřich i Milan poszli do bufetu coś ci kupić, bo chyba trudno przeżyć na szpitalnym wikcie.

– Po tym... – Edelweiss wskazał swoją nogę. – Przeżyję nawet tutejsze jedzenie. A co z Davidem?

– Pojechał do domu. Złożył wypowiedzenie.

– Szkoda.

– Mam ci przekazać pozdrowienia od Evy – zmieniła temat.

– Mówiła mi, że się wybiera.

– Przyniosła piękny bukiet. Także w twoim imieniu.

Komisarz tylko coś mruknął.

– Masz też pozdrowienia od Vitouša. I Pacáka.

– Co u nich słychać?

Marie wzruszyła ramionami.

– Vitouš został hodowcą papużek...

Edelweiss parsknął śmiechem.

– ...a Pacák się żeni.

– No nie wierzę...

– A jednak. Narzeczona chyba dobrze go karmi. Przytył jakieś dziesięć kilo. Wygląda jak łódź podwodna.

– Ja naprawdę nie mogę się śmiać – jęknął Pavel.

Rozległo się pukanie, po czym do pokoju zajrzeli Šupina, Kubík i Purkyně. Ten ostatni trzymał reklamówkę wypchaną prowiantem. Wszyscy trzej mieli na sobie idealnie odprasowane mundury. Milan wyjął z torby i postawił na laminowanej szafce kilka butelek wody mineralnej, oszronione puszki z piwem bezalkoholowym i pudełko kanapek.

Kubík i Purkyně usiedli na krzesłach przy szafce, a inspektor umościł się w głębokim fotelu ze sztucznej skóry. Marie wolała stać, oparta o szeroki blaszany parapet pod uchylonym oknem. Wspólnie konsumując przyniesione z bufetu jedzenie, zreferowali Edelweissowi postępy w śledztwie.

Toman przepadł bez śladu, a wraz z nim Halas. Najpierw podejrzewali, że dołączył do nich Brukner, ale Dušan Příklad, barman z nocnego lokalu biznesmena, po dwóch dniach znalazł szefa martwego w jego biurze. Doktor Anděl ustalił, że przyczyną śmierci było zatrucie metanolem. W pomieszczeniu znaleziono butelkę podejrzanego samogonu, w dwóch trzecich opróżnionego, z wysokim stężeniem wspomnianej substancji. Jitka Bruknerová zeznała, że jej mąż przywiózł alkohol ze swojego gospodarstwa i wspominał, że dostał go od znajomego. Potwierdził to także barman. Nie było tajemnicą, że zmarły lubił sobie wypić, a Šmíd majer z pewnymi oporami przyznał, że Brukner był recydywistą (Šupina uśmiechnął się z przekąsem), gdy idzie o kierowanie pojazdem w stanie nietrzeźwości. Inspektor nie miał wątpliwości, że nie chodziło o nieszczęśliwy wypadek, ale o morderstwo; innymi słowy założył, że któryś ze znajomych przedsiębiorcy wykorzystał jego powszechnie znany pociąg do napoi wysokokowych.

– Moim zdaniem ma to oczywisty związek z tym jego psim towarzystwem – wyjaśniał dalej Šupina. – Przestraszyli się, że Brukner zacznie sypać, więc się go pozbyli.

– Kto konkretnie? – dopytywał Edelweiss.

– Czytał pan listę Šmídmajera? – odpowiedział pytaniem inspektor. Pavel przytaknął.

– No to sam pan wie.

Pavel wyraźnie widział, że Wielka Sowa nie zgadza się z tą hipotezą.

– Jest jedno istotne „ale” – zaczęła. – Według zeznań Bruknerovej i barmana zmarły przywiózł butelkę jeszcze przed wybuchem całej sprawy. To znaczy zanim pierwszy raz go przesłuchiwaliśmy...

– Ale... – Šupina uniósł dydaktycznie palec wskazujący, dlatego Pavel nie miał wątpliwości, że dyskutowali o tym wcześniej zawzięcie we dwoje – ...już po tym, jak Horová zaczęła się interesować zabitymi psami. Bali się, że jeśli wpadnie na jego trop, mogłaby za jego pośrednictwem trafić także na nich. Ktoś więc podrzucił mu butelkę zatrutej gorzalki. Nie przewidując jednak, że Brukner będzie pić wolniej, niż ma w zwyczaju.

Marie kręciła stanowczo głową.

– Jindřich, w twojej logice jest luka. Wydaje mi się, że zaczynasz mieć obsesję na punkcie Šmídmajera. Przecież zamiast mordować Bruknera mogli odebrać Kristýnie śledztwo. Nie byłoby to prostsze rozwiązanie?

– No więc kto stoi za jego śmiercią?

– Nie wiem. Jeśli jest tak, jak mówią Bruknerová i barman, mógł to być równie dobrze wypadek.

– No widzisz! – zawołał tryumfalnie Šupina.

– Niczego nie widzę. A już zwłaszcza dowodów na twoją szaloną teorię spiskową. Słuchaj, we mnie też się gotuje na myśl o tym całym

towarzystwie od piesków, ale nie mamy żadnego dowodu, że byli umoczeni w te morderstwa. A jeśli nie dorwiemy Tomana i Halasa, nie będziemy go mieć także w przyszłości.

Edelweissa powinno było zastanowić to nagłe przejście na „ty”, ale Šupina nie dał mu czasu na rozmyślania. Machnął ręką na argumentację Marie i ciągnął swój wywód:

– Można uznać za sukces, że pracownik zoo Havlíček, choć z początku się wahał, ostatecznie trafnie rozpoznał dwóch goryli Bruknera. Po charakterystycznych sylwetkach, ubraniach, a nawet głosach. Wystarczyło mu kilka chwil i wiedział, że to oni, choć w czasie napadu mieli na sobie kominiarki. Sąd pewnie nie uznałby tego za wystarczający dowód, ale świadomość bycia rozpoznanym i śmierć szefa otworzyła tym gamoniom usta. Owszem, przydała się też nasza groźba, że jeśli nie zgodzą się zeznawać, to ich wypuścimy i skończą jak Brukner. Dzięki nim wiemy, co się wydarzyło. Za wszystkim stał Halas. Skumał się z wietnamskim gangiem i wspólnie planowali rozkręcić u nas biznes z niedźwiedziami. Szukał odpowiedniego miejsca na stworzenie farmy, po czym znalazł i wynajął opuszczony budynek od Bruknera. Przesłuchaliśmy wszystkich pracowników zmarłego, przetrząsnęliśmy jego dom i inne nieruchomości, i na ten moment nic nie wskazuje, że sam Brukner był zaangażowany w cały proceder. Udostępnił tylko Halasowi stary chlew. I jeszcze wypożyczył mu na nocną akcję w zoo dwóch swoich ludzi. Ale to było później. Halas uruchomił biznes w oparciu o słowackie niedźwiedzie. Ci dwaj nie wiedzą, jak je zdobył. Po prostu któregoś dnia pojawiły się w gospodarstwie. Wszystko szło jak po maśle, żółć się sprzedawała, więc Halas postanowił rozszerzyć zasoby produkcyjne. Tylko skąd wytrzasnąć kolejne niedźwiedzie? Wtedy najpewniej spiknął się z Tomanem. Był mu potrzebny z dwóch powodów. Po pierwsze jako kontakt w zoo. Toman siedział po

uszy w długach, ciągle brakowało mu pieniędzy, bo był uzależniony od hazardu. Wydaje mi się, że Halas nawet nie musiał mu oferować fortuny, facet zwęszył jakąkolwiek okazję zarobku, więc wszedł w interes. Równocześnie musimy pamiętać, że w tym czasie Halas miał już niesprawną rękę, bo pogryzły go psy Bruknera. Goryle zeznali, że pierwotnie planowali napaść na zoo dwa tygodnie wcześniej, ale właśnie z powodu ręki Halasa wszystko się przesunęło. Ludzie z gangu prawdopodobnie zaczęli się niecierpliwić. Wiemy z zeznań, że do gospodarstwa dwa razy w tygodniu przyjeżdżał jakiś Wietnamczyk i zabierał towar...

– Niedźwiedzią żółć – sprecyzowała chłodno Marie.

– Ci dwaj widzieli – kontynuował Šupina – jak Halas kłóci się z Wietnamczykiem, a z tego, co zdołali zrozumieć, tamten nie mógł czegoś zrobić z powodu skaleczonej ręki. Krótco potem w gospodarstwie pojawił się po raz pierwszy Toman. Zagadką pozostaje udział w całym przedsięwzięciu nieszczęsnego Pluskala. Z pewnością zwerbował go Toman.

– Udało wam się ustalić dlaczego?

– Możemy tylko snuć domysły. – Podinspektor rozłożyła ręce. – Według mnie Toman potrzebował go jako siły roboczej, ale głównie po to, żeby wyprowadzić niedźwiedzie z wybiegu. Przeniesienie ich do lecznicy znacznie ułatwiło logistykę. Gdyby Toman postanowił otruć je sam i kręcił się w pobliżu, wzbudziłoby to podejrzenia. Tymczasem Pluskał miał z nimi całodzienny kontakt. Był zapaleńcem, naiwnym miłośnikiem zwierząt, więc nietrudno go było przekonać, że miejsce misiów jest na wolności, a nie w zamknięciu. Licho wie, co mu Toman nagadał.

– Zastanawiam się, co by było, gdyby... – powiedział cicho Edelweiss.

– Halasa nie pogryzły psy? – dokończyła zdanie Výrová. – Przeprowadziliby akcję inaczej. W innym czasie. I kto inny by nią dowodził. Być może ocaliłoby to życie Rampuli, a kto wie, może też Pluskalowi.

Pavel opuścił głowę na poduszkę i na kilka sekund zamknął oczy.

– Gdyby psy Bruknera go nie pogryzły, nigdy by ich ze wściekłości nie otruł – stwierdził.

Również Marie łączyła w myślach przyczyny ze skutkami. Gdyby... gdyby Halas nie otruł psów... Gdyby z czystej chęci zysku nie zakopał ich w lesie... Gdyby nie znalazł ich tam leśniczy... Cały ten ciąg przypuszczeń kończył się nieuchronną konstatacją: ...wówczas Kristýna nie zajęłaby się sprawą. Zbiór banalnych powodów, gmatwanina przypadków, których nagromadzenie prowadzi do tragicznych konsekwencji.

Pavel uniósł się nieco na łóżku.

– Kradzież niedźwiedzi z zoo i psie walki Bruknera to dwie oddzielne historie. Miały tylko dwa wspólne mianowniki: gospodarstwo i Halasa. Najwyraźniej w pewnej chwili wszystko wymknęło im się spod kontroli.

– Cała ta sprawa to jeden wielki bajzel – powiedział Šupina, jakby chciał go pocieszyć.

Wielka Sowa znów rzuciła przełożonemu konfrontacyjne spojrzenie.

– Powiedzmy sobie szczerze, Jindřich. To śledztwo było kompletną porażką.

– Tak czy inaczej... – zaczął inspektor.

Marie przerwała mu gestem ręki. Edelweiss pojął nagle, że nie przyszli go wspólnie odwiedzić tylko ze współczucia, ale w innym, poważniejszym celu.

– W czym rzecz? – zapytał.

– Wszczęto przeciwko nam poważne dochodzenie, Pavle. Komendant wystawił nas do wiatru.

Komisarz wpatrywał się w nią, jakby nie mógł zrozumieć, co właśnie powiedziała.

– Kiedy dojdiesz do siebie, musisz się przygotować na drobiazgowe przesłuchanie przez generalną inspekcję. – Marie wzięła oddech i dodała: – Mnie zawiesili.

Pavel zdołał z siebie wykrztusić tylko krótkie: „Dlaczego?”, w którym pobrzmiwały gorycz i szok.

– Doskonale wiesz dlaczego. Za całokształt. Po prostu kończę służbę.

– Przecież pani nie zwolnili...

– Ale planują. Tyle że ja nie dam się poniżyć. Nie pozwolę się wyrzucić. Ani ciągać po komisjach. Odejdę sama.

Šupina już o wszystkim wiedział. Z wyrazu jego twarzy Edelweiss wyczytał, że rozmawiali na ten temat i Marie nie zmieni zdania.

– Kráčmar chce się jej pozbyć – zaczął inspektor. – Ewidentnie stara się przypodobać ludziom takim jak Jaroš i Zoubek. I całemu „towarzystwu kynologii sportowej”.

Pavel miał ochotę krzyknąć. To jakiś kiepski żart? Chciał dać wyraz swojej wściekłości, ale ostatecznie milczał, bo po pierwsze wiedział, że Šupina nie jest typem żartownisia, a po drugie wyszedłby na naiwniaka, który nie zna życia.

– Ja go rozumiem – stwierdziła cynicznie Wielka Sowa. – Na jednej szali położył historię kilku psów, na drugiej własną karierę, a następnie podjął pragmatyczną decyzję...

– My dwoje – zwrócił się Edelweiss do Marie – wiele razem przeszliśmy. Poznałem panią od najlepszej strony. Jako wojowniczkę. Z ludźmi jak ci z listy Šmídmajera umie pani postępować twardo i

nieustępliwie. Bez wymówek i biadolenia. A teraz nagle chce się pani poddać? Przecież...

– Pavel, ja nie odchodzę dlatego, że mnie złamali, ale... po prostu... Tracę zdolność oceny sytuacji. Zawodzi u mnie ostatnio racjonalne myślenie i zdolność podejmowania decyzji. Narobiłam w tym śledztwie straszego bałaganu. Twoje nieszczęście i ucieczka Tomana z Halasem tylko przepełniły czarę. Muszę odejść, dopóki jeszcze stać mnie na samokrytycyzm, dostrzegam konsekwencje swoich błędów, a mój mózg jako tako funkcjonuje.

Edelweiss chciał zaproponować, ale głos uwiązł mu w gardle. Marie milczała, siedząc z pochyloną głową, jakby wpatrywała się we wzór na linoleum.

– Jeśli pani odejdzie... jeśli odejdą tacy ludzie, to kto zostanie? – spytał po chwili.

W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy czekali, co powie Marie.

Wielka Sowa podniosła głowę i spojrzała na Edelweissa. Doskonale знаła odpowiedź.

Epilog

Półtora miesiąca później Pierwsza połowa sierpnia 2013

Průcha usłyszał w telefonie, że potrzebne będzie lepsze auto.

– Co to znaczy lepsze? – ryknął podkomisarz.

– SUV, off-road, coś terenowego. Droga jest koszmarna, o mało nie złamaliśmy pólasi.

Dla niego każde auto terenowe to był po prostu dżip (no, może kojarzył jeszcze markę Łada Niva, którą znał z serialu *Goście* i uważał za najlepsze auta do jazdy przełajowej), nigdy nie przyswoił sobie tych wszystkich nowych, obco brzmiących nazw i potrzebował chwili, by zrozumieć, co do niego mówi sierżant Marek.

– A skąd mam je niby wytrzasnąć? – wrzasnął jeszcze głośniejsze do telefonu. – Myślisz, że co, że je będę ściągać przez komendę? Albo od strażaków? A może ci załatwić śmigłowiec? Śmigłowiec starczy? Czy wezwać wojsko?

Marek zachował spokój. Wiedział, że Průcha lubi się nakręcać i musi sobie pokrzyczeć, nim zacznie myśleć racjonalnie.

– Masz przecież tego...

Po drugiej stronie rozległy się trzaski i piski, a Průcha miał wrażenie, że Marek powiedział mu coś wulgarnego.

– Co? – ryknął znowu, bo nigdy nie nauczył się rozmawiać cicho przez telefon.

– Hundaja! Masz przecież nowego hundaja!

Aha, więc o to chodziło. Šmídmajer poskarżył się komendantowi regionalnemu, z którym w ostatnim miesiącu byli w dobrej komitywie, na fatalny stan dróg lokalnych i dojazdowych w ich rejonie, po czym wyprosił dofinansowanie na zakup nowego samochodu do jazdy terenowej.

Průcha zarechotał. Hyundai! Hyundai santa fe!

– Chyba cię pogrzało – krzyczał do telefonu podkomisarz. – To plastikowe koreańskie pudło nadaje się w teren jak ja do baletu.

Marek wiedział, że z szefem nie ma sensu wdawać się w dyskusje.

– Rób, co chcesz, ale jesteś mi tu potrzebny, bo... Zresztą sam zobaczysz.

Pół godziny później Průcha siedział na miejscu pasażera i trzymał się mocno uchwytu nad drzwiami (z powodu swojej masywnej postury nigdy przesadnie nie ufał pasom bezpieczeństwa), aby na pylistej polnej drodze nie wybić sobie zębów o deskę rozdzielczą. Libor Anton szczyrzył się za kierownicą, nie ściągając nogi z gazu mimo dziur, wybojów i kamieni pod kołami.

– Li-bor kur-wa two-ja mać. – Artykulacja podkomisarza zestroiła się z podrygiwaniem samochodu. – Zwol-nij.

W dzieciństwie, gdy jeździł na rowerze, lubił dodawać gazu na wyboistym podłożu. Przestał tak robić, gdy w wieku czternastu lat zauważył, że jego jądra bawią się dużo gorzej. Anton ewidentnie nie doszedł do tego etapu. Ba, któregoś razu pochwalił mu się, że sprawdzał, ile najwięcej wyciągnie na jedyńce. O ile Průcha dobrze pamiętał, temu matołowi udało się rozpędzić nieszczęsne auto do sześćdziesięciu pięciu kilometrów. Być może załapał się do Księgi Guinnessa, ale służbowa

octavia spędziła kolejne dwa tygodnie w serwisie. Za karę przydzielał mu zadania i interwencje w najdalszych częściach miasteczka, gdzie Anton musiał drałować na nogach.

Libor wyszczerzył zęby i zdjął nogę z gazu. Podkomisarz spojrział na niego krzywo; odkąd stracili Horovą, średni współczynnik inteligencji w jego zespole poleciał na łeb na szyję. Šmídmajer odzyskał rezon i wszystko wróciło na stare tory. Po miesiącu Průcha wpadł na niego przypadkiem w centrum. Komendant z kimś rozmawiał, nie widział twarzy odwróconego plecami człowieka, ale obok zauważył znajome metaliczno-zielone bmw gran turismo. Z butiku naprzeciwko wyszła szczupła blondynka z torbą zakupową w ręce, wrzuciła ją na tylne siedzenie i podeszła do zagadanych mężczyzn. Leoš przywitał się serdecznie z wdową po przyjacielu, ten drugi się odwrócił, a Průcha rozpoznał w nim barmana Dušana Příklad z nocnego klubu Bruknera. Pożegnali się w dobrych nastrojach, Bruknerová z Příkladem wsiedli do auta i odjechali. To było we wtorek. W niedzielę następnego tygodnia podkomisarz był na służbie i krótko po dziewiątej rano zadzwonił do niego notoryczny skarżypyta Smékal z Těšíkova, że w nocy we wsi znowu pojawiła się hałaśliwa kolumna drogich samochodów, które wcześniej zjeżdżały do gospodarstwa Bruknera. Oczywiście chciał wiedzieć, co policja ma zamiar z tym zrobić. Průcha kazał mu złożyć pisemne zawiadomienie. Tamten odparł, że pieprzy pisanie zawiadomień. I się rozłączył. Podkomisarz przez chwilę się wahał, czy ma do niego oddzwonić. W końcu machnął ręką. To przecież nie jego zmartwienie. Nigdy zresztą nie było.

Telepali się po polnej drodze. Anton dyskretnie dodawał gazu, a Průcha coraz wyżej podskakiwał na siedzeniu. Wjechali w przewiewny świerkowy las, samochód zarył w koleinę po traktorze, a przednim zderzakiem nabrał suchej gliny, która posypała się na przednią klapę i szybę.

– Jeśli rozbijesz to auto, gamoniu, zapłacisz z własnej kieszeni – warknął podkomisarz.

Anton zwolnił. Nie miał zresztą wyboru, bo w głębokich koleinach nie dało się jechać szybciej. Las wokół nich zgęstniał, droga nieco stwardniała, a Libor mógł w końcu przyspieszyć.

– Nie szalej mi tu... – huknął na niego Průcha.

Drzewa znów się przeredziły, świerki zastąpił las mieszany, a samochód wtoczył się na rozległy, okrągły plac, z którego promieniście odchodziły drogi i ścieżki. Pośrodku stała przykurzona policyjna octavia, o której klapę opierał się sierżant Marek i palił papierosa. Na kłodach w cieniu drzew siedział utrudzony stary leśniczy. Anton wdepnął gaz, przejechał parę metrów, po czym gwałtownie zahamował. Udało mu się podbić do góry tuman kurzu, a Průcha skwitował jego osiągnięcie słowami: „Brawo, czubku”.

Podkomisarz wygramolił się z auta i rozprostował kości. Jadąc tu, utwierdził się w swoich uprzedzeniach co do koreańskich samochodów. Byle jak wykonany pojazd w połączeniu z mało rozgarniętym kierowcą zemściły się na jego krzyżu. Marek, zajęty paleniem papierosa, nie okazał mu współczucia.

– No, coś tu znalazł? – stęknął Průcha i przeciągnął się. – Lepiej dla ciebie, żeby to było ważne.

Marek wskazał miejsce za jego plecami. Podkomisarz pomału się odwrócił.

Parędziesiąt metrów dalej, w cieniu lasu, stał zaparkowany SUV. Przed nim leżało coś przypominające kształtem rzucony na ziemię długi, gruby płaszcz. Průcha nie mógł się pozbyć wrażenia, że skądś zna to auto.

– Co to jest? – zwrócił się do Marka.

Tamten dopalił, rzucił peta na ziemię, między kilka poprzednich, i od razu sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa. Podkomisarz dopiero wtedy zauważył, że trzęsie mu się ręka.

– Sam zobacz – odpowiedział Marek. – Sprawdziłem numery. Zarejestrowane na Karla Halasa.

No jasne, dlatego wydało mi się znajome, uzmysłowił sobie podkomisarz. Powoli zbliżył się do auta. Od razu zrozumiał, że to nie żaden stary płaszcz. Marek obserwował z perwersyjną ciekawością, jak szef zareaguje na widok dwóch ciał leżących tu w upale od półtora miesiąca. Do tego w okolicy nie brakowało zwierząt i ptaków. On sam mało się nie porzygał. Gdyby nie miał przy sobie fajek, na miejscu zdarzenia zostawiłby nie tylko pety, ale też dzisiejszy obiad i śniadanie.

Z samochodu wysiadł Libor Anton.

– No hej, co jest grane?

– Chujnia z grzybnią, stary – starał się możliwie najcelniej opisać sytuację Marek.

Następnie odwrócił wzrok w stronę Průchy: tuż przed autem podkomisarz zwolnił kroku i wyciągnął mięsistą szyję, żeby lepiej widzieć. Szerokim łukiem ominął oba ciała i okrążył samochód. Następnie wyjął z kieszeni chusteczkę, owinął ją wokół dłoni, otworzył tylne drzwi pojazdu i zajrzał do środka. Znosi to lepiej, niż myślałem, Marek pokiwał głową i wciągnął do płuc kolejną dawkę kojącej nikotyny. Průcha wyprostował się, zamknął samochód i ruszył z powrotem.

– Kto ich znalazł? – zapytał Marka, gdy się do niego zbliżył. – Tamten facet? – Wskazał głową mężczyznę siedzącego na zwalonych kłodach, które drwale zapomnieli wywieźć.

– Tak, leśniczy – potwierdził Marek.

– Dzwoniłeś do Šmídmajera?

– Nie. Znasz go. Jeszcze by mnie opieprzył, że zawracam mu głowę w wolnym czasie.

– Mądry chłopiec – pochwalił go Průcha.

To nie była robota dla nich. Wiedział, do kogo musi zadzwonić. Z kieszeni spodni wyłowił komórkę, a z kieszonki koszuli okulary. Wziął telefon do lewej dłoni i pulchnym palcem wskazującym prawej ręki niezdarnie szukał kogoś w liście kontaktów. Znalazł. Wybrał numer z nadzieją, że abonent nie jest akurat na urlopie, w sanatorium czy w innym miejscu, gdzie nie odbierze albo z którego nie jest w stanie natychmiast tu przyjechać. Sygnał połączenia. Průcha był podenerwowany i wstrząśnięty tym, co właśnie zobaczył. Telefon emitował powtarzający się sygnał. Naraz rozległ się lekki trzask, sygnał ustał, podkomisarz przez dwie sekundy słyszał tylko własny oddech, aż w końcu po drugiej stronie odezwał się znajomy głos: „Edelweiss, słucham”.

Polecamy

Proza czeska

Jan Balabán *Wakacje / Możliwe, że odchodzimy* • *Którędy szedł anioł* **Bianca Bellová** *Jeziro* • *Mona* **Tereza Boučková** *Rok Koguta* **Roman Cílek** *Ja*, *Olga Hepnarová* **Emil Hakl** *Zasady śmiesznego zachowania* **Petra Hůlová** *Plastikowe M3, czyli czeska pornografia* • *Macocha* • *Krótką historią Ruchu* **Zdeněk Jirotka** *Saturnin* **Markéta Pilátová** *Ciemna strona* **Miroslav Sehnal** / **Břetislav Uhlář** *Godzina w niebie* *Petra Soukupová* *Zniknąc* • *Pod śniegiem* • *Najlepiej dla wszystkich* • *Sprawy, na które przyszedł czas* **Petr Šabach** *Gównu się pali* • *Podróże konika morskiego* • *Masłem do dołu* • *Pijane banany* • *Dowód osobisty* • *Babcie* **Marek Šindelka** *Zostańcie z nami* • *Mapa Anny* • *Zmęczenie materiału* **Zdeněk Svěrák** *Opowiadania i wiersz* **Kateřina Tučková** *Boginie z Žítkovéj* • *Wypędzenie Gerty Schnirch*

Seria Czeska Bajka

Radek Malý *Popieliczki* **Vojtěch Matocha** *Truchlin* • *Truchlin. Czarny merkuryt* • *Truchlin. Biała Komnata* **Iva Procházková** *Pyszna środa* • *Nawet myszy idą do nieba* **Petra Soukupová** *Bercik i niuniuch* **Pavel Šrut**, **Galina Miklínová** *Niedoparki* • *Niedoparki powracają* • *Niedoparki na zawsze*

Seria Czeskie Krymi

Jiří Březina *Przedawnienie • Południca* **Petra Klabouchová**
Źródła Wełtawy **Daniel Petr** *Siostra Śmierć* **Iva Procházková**
Mężczyzna na dnie • Rozneglizowane • Zagraj mi na drogę
Michal Sýkora *Człowiek pana ministra • To jeszcze nie koniec*

czeskie smaczki

Zofia Tarajło-Lipowska *Nowy Kapoan. Strzel i traf do czesko-
polskich językowych gaf* **Michael Žantovský** *Havel od kuchni*

Ekonomia i polityka

Václav Klaus *My, Europa i świat*

Seria Nowe Polskie

Rafał Niemczyk *Mama umiera w sobotę*